

DRUGI TOM TRYLOGII "WIĘZIEŃ LABIRYNTU"

JAMES DASHNER

LABIRYNT TO BYŁ DOPIERO POCZĄTEK.
CZAS NA...

PROBY OGNIA

PAPIER  WYKSIEŻYC

WALCZ, ALBO GIN

JAMES DASHNER

Próby ognia

Tom II

Tłumaczenie Agnieszka Halas



JAMES DASHNER

Amerykański autor, którego seria Więzień Labiryntu przebojem wdarta się na listy bestsellerów na całym świecie. Swoim rozmachem i wizją świata jest porównywana do Igrzysk Śmierci czy serii Gone.

Prawa do trylogii Więzień Labiryntu zostały sprzedane do ponad 20 krajów, a wytwórnia 20th Century Fox pracuje właśnie nad wersją filmową książki.

Zanim James Dashner odniósł międzynarodowy sukces trylogią Więzień Labiryntu napisał kilka serii dla młodszych czytelników.

Mieszka w South Jordan City w stanie Utah z żoną i czwórką dzieci.

Przemówiła do niego, zanim świat się rozpadł.

- Hej, śpisz jeszcze?

Thomas poruszył się na łóżku, poczuł wokół siebie ciemność niczym zestalone powietrze, napierające ze wszystkich stron. W pierwszej chwili spanikował; jego oczy otwały się szeroko, gdy wyobraził sobie, że znów znajduje się w Pudle - w tym okropnym sześciennym z zimnego metalu, w którym został przetransportowany do Strefy i Labiryntu. Jednakże dostrzegł słabe światło, a w całym obszernym pomieszczeniu stopniowo zaczął rozróżniać ciemne kształty. Piętrowe łóżka. Komody. Ciche oddechy i pochrapywanie pogrążonych we śnie chłopców.

Wypełniła go ulga. Był bezpieczny, uratowano go i przywieziono do tego dormitorium. Żadnych więcej zmartwień. Żadnych Bóldożerców. Żadnej śmierci.

- Tom?

Głos w jego głowie. Głos dziewczyny. Niesłyszalny, niewidoczny. Ale Thomas mimo to go słyszał, choć przenigdy nie umiałby nikomu wytłumaczyć, jak to działa.

Z głębokim westchnieniem rozluźnił się, opadając na poduszkę, gdy jego wciąż jeszcze rozdygotane nerwy uspokoiły się po tamtej przelotnej chwili strachu. Odpowiedział, formując słowa w myślach:

- Tereso? Która godzina?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Ale nie mogę zasnąć. Myślę, że zdrzemnęłam się na jakąś godzinkę. Może dłużej. Miałam nadzieję, że też nie śpisz i możesz mi dotrzymać towarzystwa.

Thomas usiłował się nie uśmiechnąć. Nawet jeśli ona nie mogłaby zobaczyć tego uśmiechu, i tak byłoby mu wstyd.

- Nie dałaś mi wyboru, co? Trochę trudno zasnąć, kiedy ktoś gada wewnątrz twojej czaszki.

- Ajajaj. To idź z powrotem spać.

- Nie, spoko. - Wpatrywał się w spód górnego łóżka - pozbawioną szczegółów ciemniejszą plamę w mroku - gdzie Minh aktualnie oddychał jak ktoś cierpiący na radykalny nadmiar flegmy w gardle. - O czym myślałaś?

- A jak sądzisz? - Jakimś sposobem zawarła w tych słowach kłujący ładunek cynizmu.

- Wciąż mam przed oczami Bóldożerców. Ich wstrętną skórę i równie obrzydliwe cielska, wszystkie te metalowe ramiona i kolce. Cholernie mało brakowało, Tom. Jak mamy to kiedykolwiek wyrzucić z pamięci?

Thomas miał własne zdanie na ten temat. Te obrazy już nigdy ich nie opuszczą -

wspomnienia okropnych wydarzeń, jakie rozegrały się w Labiryncie, będą dręczyć Streferów przez resztę życia. Przypuszczał, że większość spośród nich, o ile nie wszyscy, będzie mieć duże problemy z psychiką. Może nawet kompletnie ześwirują.

A przede wszystkim jeden obraz pozostał w jego pamięci niczym piętno wypalone rozżarzonym żelazem. Jego przyjaciel, Chuck, dźgnięty nożem w klatkę piersiową, krwawiący, konający Thomasowi na rękach.

Thomas wiedział, że nigdy tego nie zapomni. Ale Teresie odpowiedział:

- To odejdzie. Potrzeba tylko trochę czasu.

- Straszny z ciebie zadufek - odparła.

- Wiem. - Czemu, do pioruna, był zachwycony, że mu powiedziała coś takiego? Że jej sarkazm oznaczał, iż wszystko będzie w porządku? Idiota z ciebie, powiedział sam sobie, a zaraz potem zaczął mieć nadzieję, że Teresa nie usłyszała tej myśli.

- Strasznie mi się nie podoba, że mnie od was oddzielono - powiedziała.

Thomas jednakże rozumiał, czemu tamci to zrobili. Była jedyną dziewczyną, a pozostali Streferzy - nastoletnimi chłopakami, bandą sztamaków, którym póki co nie ufano.

- Myślę, że chcieli cię chronić.

- Taa, tak sędzę. - Do jego mózgu wraz z jej słowami napłynęła melancholia, oblepiała je niczym syrop. - Ale beznadziejnie jest zostać samej po tym wszystkim, przez co przeszliśmy.

- A dokąd cię zabrali, tak w ogóle? - Jej głos brzmiał tak smutno, że Thomas niemal miał ochotę wstać i zacząć jej szukać, ale wiedział, że to nie jest dobry pomysł.

- Do pokoju zaraz po drugiej stronie tej dużej świetlicy, gdzie jedliśmy wczoraj wieczorem. To małe pomieszczenie z kilkoma piętrowymi łózkami. Jestem prawie pewna, że kiedy tamci wyszli, zamknęli drzwi na klucz.

- No widzisz, mówiłem, że chcieli cię chronić. - Potem szybko dodał: - Nie żeby to było potrzebne. Gdybym miał obstawiać, postawiłbym na ciebie przeciwko co najmniej połowie tych sztamaków.

- Tylko połowie?

- Dobra, przeciwko trzem czwartym. W tym mnie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, choć Thomas jakimś sposobem nadal był w stanie wychwycić obecność Teresy. Czul ją. Prawie na tej samej zasadzie, na jakiej - choć nie widział Minho - wiedział, że przyjaciel leży niecałe dwa metry nad nim. I nie chodziło tylko o chrapanie. Kiedy ktoś jest w pobliżu, po prostu o tym wiesz.

Mimo wszystkich wspomnień z ostatnich kilku tygodni, Thomas był zaskakująco

spokojny, i wkrótce znowu ogarnęła go senność. W jego świecie zapadły ciemności, lecz była tam również Teresa, tuż obok, pod tyłoma względami. Niemal... czuł jej dotyk.

Zupełnie zatracił świadomość upływu czasu. Na wpół śpiąc, cieszył się obecnością dziewczyny oraz myślą, że zostali uratowani z tamtego okropnego miejsca. Że byli bezpieczni, że on i Teresa będą się teraz mogli poznać nawzajem od nowa. Że życie może być dobre.

Błogi sen. Zamazana ciemność. Ciepło. Fizyczne zadowolenie. Uczucie odpływania.

Świat wydawał się niknąć w oddali. Istniało już tylko odrętwienie i słodycz. I ciemność, w jakiś sposób dodająca otuchy Thomas zaczął śnić.

Jest małym dzieckiem. Ma cztery lata? Może pięć? Leży w łóżku, przykryty pledem aż po szyję.

Obok siedzi kobieta, dłonie złożyła na kolanach. Ma długie brązowe włosy, a jej twarz zaczyna zdradzać pierwsze oznaki wieku. Jej oczy są smutne. Thomas wie o tym, choć ona bardzo się stara ukryć ten smutek za uśmiechem.

Chce coś powiedzieć, zadać jej pytanie. Ale nie może. Tak naprawdę go tu nie ma. Tylko obserwuje to wszystko z miejsca, które nie całkiem rozumie. Kobieta zaczyna mówić, jej głos brzmi tak słodko, a zarazem gniewnie, że przyprawia go to o gęsią skórę.

- Nie wiem, czemu cię wybrali, ale wiem jedno. Jesteś kimś szczególnym. Nigdy o tym nie zapomnij. I nigdy nie zapomnij, jak bardzo - jej głos załamuje się, a po twarzy płyną łzy - nigdy nie zapomnij, jak bardzo cię kocham.

Chłopiec odpowiada, ale tak naprawdę to nie Thomas mówi. Mimo że faktycznie jest nim. Nic z tego nie trzyma się kupy.

- Mamo, czy zwariujesz tak, jak wszyscy ci ludzie w telewizji? Jak... tata?

Kobieta wyciąga dłoń i głaszcze go po włosach. Kobieta? Nie, Thomas nie może jej tak nazywać. To jest jego matka. Jego... mamusia.

- Nie martw się tym, kochanie - odpowiada. - Ciebie tu nie będzie, więc i tak tego nie zobaczysz.

Już się nie uśmiecha.

Sen zbyt szybko zniknął w czerni, pozostawiając Thomasa w pustce, samego ze swymi myślami. Czy ujrzał kolejne wspomnienie, które wypłynęło na powierzchnię z głębin amnezji? Czy naprawdę widział swoją mamę? Padła wzmianka o tym, że jego ojciec zwariował. Głęboko w umyśle chłopaka pulsował tępy, uporczywy ból. Thomas bezskutecznie starał się odpłynąć w nieświadomość.

Później - nie miał pojęcia, ile czasu mogło minąć - Teresa znów do niego przemówiła.

- Tom, dzieje się coś złego.

Tak się to zaczęło. Usłyszał, jak Teresa mówi te słowa, ale zdawało się, że jej głos dobiega z bardzo daleka, jakby z głębin długiego i zagraconego tunelu. Jego sen stał się gęstą, lepłą cieczą, uniemożliwiającą ruchy. Chłopak odzyskał świadomość, ale zdał sobie sprawę, że jest odcięty od świata, uwięziony w grobowcu wyczerpania. Nie był w stanie się przebudzić.

- Thomas!

Wykrzyczała jego imię. Przeszywające grzechotanie w jego głowie. Poczuł pierwsze ukłucie strachu, lecz nadal bardziej przypominało to marzenie senne. Mógł jedynie spać dalej. I przecież byli teraz bezpieczni, o nic już nie trzeba było się martwić. Tak, na pewno tylko śnił. Nic nie zagrażało Teresie, nic im tutaj nie groziło. Ponownie się rozluźnił, pozwolił sobie zatonać w objęciach snu.

Do jego świadomości przedostały się inne odgłosy. Głuche uderzenia. Brzęk metalu o metal. Trzask czegoś rozbijanego. Krzyki chłopców. Czy raczej echo krzyków, bardzo odległe, stłumione. Nagle te krzyki przeszły we wrzaski. Nieludzkie głosy cierpienia. Ale nadal odległe. Jakby zawinięto go w gruby kokon z ciemnego aksamitu.

Wreszcie spokój jego snu ostatecznie prysł. Coś było nie w porządku. Teresa go zawołała, mówiła, że dzieje się coś złego! Thomas zaczął się szamotać, walczyć z przygniatającym go ciężarem sennej odrętwienia.

- Obudź się! - wrzasnął sam na siebie. - Obudź się!

Potem coś zniknęło z jego wnętrza. Było tam jeszcze sekundę wcześniej, a teraz już nie. Poczuł się tak, jakby z jego ciała wydarto któryś z głównych narządów.

Ona. Zniknęła.

- Teresa! - wrzasnął w myślach. - Teresa! Jesteś tam?

Ale nie było nic, a Thomas zdał sobie sprawę, że nie ma już tamtego dodającego otuchy poczucia jej bliskości. Ponownie wykrzyknął imię dziewczyny, a potem jeszcze raz, nie przestając walczyć z ciemnym przyciąganiem snu.

W końcu spadła na niego rzeczywistość, przeganiając mrok. Ogarnięty przerażeniem Thomas otworzył oczy i gwałtownie usiadł na łóżku. Podsunął się do krawędzi i spuścił stopy na podłogę, po czym skoczył na równe nogi. Rozejrzał się.

Wszystko oszalało.

Inni obecni w pomieszczeniu Streferzy biegali tam i z powrotem, krzycząc. A wokół rozbrzmiewały straszne, potworne, upiorne głosy, niczym przeraźliwe skomlenie torturowanych zwierząt. Poblady Patelniak wskazywał coś za oknem. Newt i Minh biegli do

drzwi. Winston przyciskał dłonie do krostowatej twarzy, na której malowało się takie przerażenie, jakby dopiero co ujrzał krwiożercze zombie. Inni przepychali się, żeby wyrzeć przez okna, zachowując jednak bezpieczną odległość od szyb. Thomas z bólem serca uświadomił sobie że nawet nie zna imion większości chłopaków, którzy przeżyli Labirynt - dziwna myśl wśród tego całego chaosu.

Kątem oka ujrzał coś, co kazało mu się odwrócić do ściany. To, co zobaczył, momentalnie zatarło wspomnienie spokoju i bezpieczeństwa, jakie Thomas czuł, rozmawiając w nocy z Teresą. Kazało mu zwątpić, czy takie emocje w ogóle mają prawo istnieć w tym samym świecie, w którym teraz stał.

Niecały metr od jego łóżka znajdowało się okno z kolorowymi zasłonami, za którym płonęło jaskrawe, oślepiające światło. Szyba była rozbita, jej ostro zakończone fragmenty opierały się o stalową kratę. Po drugiej stronie stał mężczyzna, uczepiony tej kraty zakrwawionymi rękoma. Oczy miał szeroko rozwarte i przekrwione, pełne szaleństwa. Chudą, spaloną słońcem twarz pokrywały wrzody i blizny. Nie miał włosów, jedynie chore plamy czegoś, co wyglądało jak zielonkawy mech. Prawy policzek przecinało paskudne rozcięcie; wewnątrz jątrzącej się rany Thomas widział zęby. Z podbródka mężczyzny rozedrganymi nitkami spływała różowa ślina.

- Jestem Poparzeńcem! - wrzasnęło to upiorne widmo człowieka. - Jestem cholernym Poparzeńcem!

A potem zaczął wykrzykiwać wciąż na nowo dwa słowa, zapluwając się przy każdym okrzyku.

- Zabijcie mnie! Zabijcie mnie! Zabijcie mnie!...

Czyjaś ręka opadła ciężko od tyłu na ramię Thomasa; ten krzyknął i odwrócił się gwałtownie. Ujrzał Minhó, który wpatrywał się w maniaka wrzeszczącego za oknem.

- Są wszędzie - oznajmił Minhó. Posępny ton jego głosu idealnie oddawał to, jak Thomas się czuł. Zdawało się, że wszystkie nadzieje, jakie pozwolili sobie żywić poprzedniej nocy, rozwiały się w nicość. - I nigdzie nie ma śladu tych sztamaków, którzy nas uratowali - dodał.

Przez ostatnich kilka tygodni Thomas żył w ciągłym strachu, ale tego już było niemal zbyt wiele. Poczuć się bezpiecznie, tylko po to, żeby nagle znów mu to odebrano. Jednakże, zaskakując nawet samego siebie, szybko odsunął na bok tę drobną część własnego umysłu, która pragnęła wskoczyć z powrotem do łóżka i rozplakać się wniebogłosy. Odepchnął wciąż żywe i bolesne wspomnienie matki oraz wzmiankę o tym, że jego ojciec i inni ludzie wariują. Thomas wiedział, że ktoś musi przejąć dowodzenie - potrzebowali planu, jeżeli mieli przeżyć

również i to.

- Czy ktoś z nich zdołał się przedostać do środka? - zapytał, czując, że ogarnia go dziwny spokój. - Czy we wszystkich oknach są takie kraty?

Minho skinął głową w stronę jednego z wielu okien, jakie widniały w ścianach długiej, prostokątnej sali.

- Taa. Zeszłej nocy było zbyt ciemno, żeby dało się je dostrzec, zwłaszcza przez te głupie zasłony z falbankami. Ale słowo daję, cieszę się, że są.

Thomas potoczył wzrokiem po Streferach, z których jedni biegali od okna do okna, żeby rzucić okiem na zewnątrz, a inni skupili się w małe grupki. Wszyscy mieli miny na wpół niedowierzające, na wpół przerażone.

- Gdzie jest Newt?

- Tu obok.

Thomas odwrócił się, żeby spojrzeć na starszego chłopca, nie wiedząc, jakim sposobem go przeoczył.

- Co się dzieje?

- Myślisz, kurwa, że mam choćby blade pojęcie? Wygląda na to, że banda wariatów chce nas zeżreć na śniadanie. Musimy znaleźć inną salę, zwołać Zgromadzenie. Przez ten przeklęty zgiełk czuję się tak, jakby mi ktoś gwoździe w czaszkę wbijał.

Thomas z roztargnieniem skinął głową; zgadzał się z planem, ale liczył, że Newt i Minho zajmą się jego realizacją. Chciał jak najszybciej nawiązać kontakt z Teresą - miał nadzieję, że jej ostrzeżenie było jedynie częścią snu, halucynacją zrodzoną z głębokiego wyczerpania. I ta wizja jego matki...

Jego dwaj przyjaciele odeszli, nawołując i machając rękami, żeby skrzyknąć Streferów. Thomas z drżeniem popatrzył jeszcze raz na pokancerowanego szaleńca za oknem, ale natychmiast odwrócił wzrok, żałując, że znów ma w głowie obraz krwi i pokaleczonego ciała, szalonych oczu, a w uszach historyczne krzyki.

Zabijcie mnie! Zabijcie mnie! Zabijcie mnie!

Potyając się, Thomas doszedł jakoś do najdalszej ściany, oparł się o nią ciężko.

- Tereso - zawołał ponownie samym umysłem. - Tereso, słyszysz mnie?

Czekał, zamknąwszy oczy, żeby ułatwić sobie koncentrację. Wyciągając niewidzialne ręce, starając się uchwycić jakiś ślad dziewczyny. Nic. Nawet przelotnego cienia czy muśnięcia jej obecności, a co dopiero mówić o odpowiedzi.

- Tereso - odezwał się ostrzej, ponaglać, zaciskając zęby z wysiłku. - Gdzie jesteś? Co się stało?

Nic. Odniosł wrażenie, że jego serce zwalnia, aż prawie przestało bić, i poczuł się tak, jakby połknął wielki kłęb waty. Przydarzyło jej się coś złego.

Otworzył oczy i ujrzał, że Streferzy zebrali się wokół pomalowanych na zielono drzwi prowadzących do świetlicy, w której poprzedniego wieczoru jedli pizzę. Minhó bezskutecznie poruszał okrągłą mosiężną klamkę. Zamknięte na klucz.

Jedynie pozostałe drzwi prowadziły do pryszniców i szatni, skąd nie było już żadnego dalszego wyjścia. To by było na tyle - plus okna. Wszystkie zabezpieczone metalowymi kratami. I całe szczęście. Za każdym z okien wniebogłosy wydzielali się szaleńcy.

Chociaż niepokój kąsał go niczym żrący kwas w żyłach, Thomas chwilowo zrezygnował z prób nawiązania kontaktu z Teresą i dołączył do pozostałych Streferów. Newt właśnie podjął próbę otwarcia drzwi. Z takim samym efektem, a raczej bez żadnego.

- Zamknięte na klucz - wymamrotał, dając wreszcie za wygraną. Ręce opadły mu bezwładnie.

- Doprawdy, geniuszu? - odparł Minhó. Splótł silne ramiona na piersi i naprężył mięśnie, aż pod skórą wystąpiły grube żyły. Thomas przez ułamek sekundy miał wrażenie, że widzi, jak pulsuje w nich krew. - Nic dziwnego, że nadali ci imię od Izaaka Newtona - masz taki zadziwiający talent do myślenia.

Newt nie był w nastroju do żartów. Czy też może dawno temu nauczył się ignorować cięte odzywki Minhó.

- Rozwalmy tę cholerną klamkę. - Rozejrzał się, jakby oczekując, że ktoś mu poda dwuręczny młot.

- Żeby tak ci pikoleni Poparzeńcy się zamknęli! - wrzasnął Minhó, odwracając się, żeby spiorunować wzrokiem najbliższego, kobietę wyglądającą jeszcze ohydniej niż pierwszy mężczyzna, którego zobaczył Thomas. Jej twarz przecinała krwawiąca rana, kończąca się aż z boku głowy.

- Poparzeńcy? - powtórzył Patelniak. Zarośnięty kucharz do tej pory milczał, tak że niemal można byłoby go przeoczyć. Thomas pomyślał, że Patelniak wydaje się jeszcze bardziej wystraszony niż wtedy, kiedy szykowali się do walki z Bóldożercami, żeby uciec z Labiryntu. Może teraz było gorzej. Kiedy zeszłej nocy kładli się do łóżek, zdawało się, że nareszcie są bezpieczni. Tak, może to faktycznie było gorsze: że brutalnie im zabrano owo złudzenie.

Minhó wskazał palcem krzyczącą, zakrwawioną kobietę.

- Sami ciągle tak o sobie mówią. Nie słyszałeś?

- A nazywaj ich choćby kotkami na wierzbie, mam to w nosie - warknął Newt. -

Znajdźcie mi coś, czym da się otworzyć te durne drzwi!

- Trzymaj - powiedział niższy chłopiec, podając mu niedużą, ale solidnie wyglądającą gaśnicę, którą zdjął ze ściany - Thomas przypomniał sobie, że wcześniej ją tam widział. Znów poczuł wyrzuty sumienia, że nawet nie wie, jak ten dzieciak ma na imię.

Newt chwycił czerwony walec, gotów walić w klamkę. Thomas stanął tak blisko, jak tylko mógł. Bardzo chciał zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie drzwi, choć miał paskudne przeczucie, że cokolwiek to jest, nie spodoba im się.

Newt uniósł gaśnicę, a następnie z całej siły rąbnął nią w okrągłą mosiężną klamkę. Głośnemu traskowi zawtórowało chrupnięcie głębiej, i wystarczyły zaledwie trzy dalsze ciosy, żeby klamka razem z zamkiem wypadła na podłogę z brzękiem popsutych metalowych części. Drzwi centymetr po centymetrze otwarły się akurat na tyle, by ukazać ciemność po drugiej stronie.

Newt stał w milczeniu, wpatrując się w tę długą, wąską czarną szparę, jakby spodziewał się, że wylecą stamtąd demony z piekła rodem. Z roztargnieniem oddał gaśnicę chłopcu, który ją wyszukał.

- Chodźmy - powiedział. Thomasowi wydało się, że słyszy w jego głosie najłżejsze drżenie.

- Zaczekajcie! - zawołał Patelniak. - Jesteśmy pewni, że chcemy się tam pchać? Może ktoś miał konkretny powód, żeby zamknąć te drzwi na klucz.

Thomas nie mógł się z tym nie zgodzić; coś mu się nie podobało w tym wszystkim.

Minho podszedł i stanął tuż obok Newta; obejrzał się do tyłu na Patelniaka, potem nawiązał kontakt wzrokowy z Thomasem.

- A co innego mamy zrobić? Siedzieć tu i czekać, aż ci popaprańcy dostaną się do środka? Daj spokój.

- Ci wariaci nie poradzą sobie tak szybko z kratami - odciął się Patelniak. - Po prostu zastanówmy się przez sekundę.

- Czas na zastanawianie już się skończył - oświadczył Minho. Kopnął drzwi, a one otwarły się na oścież; zdawało się, że mrok po drugiej stronie jeszcze bardziej zgęstniał. - Poza tym powinieneś był się odezwać, zanim rozwaliliśmy zamek na kawałki, krótasie. Teraz już za późno.

- Nienawidzę, kiedy masz rację - wymamrotał niechętnie Patelniak.

Thomas nie mógł oderwać wzroku od atramentowej ciemności za drzwiami. W brzuchu ścisnął go aż nadto znajomy lęk, świadomość, że coś musiało być bardzo nie w porządku, inaczej ludzie, którzy ich uratowali, przyszliby po nich już dawno temu. Jednak

Minho i Newt mieli rację - trzeba było tam pójść i poszukać odpowiedzi.

- Purwa - rzucił Minho. - Idę pierwszy.

Nie czekając na odpowiedź przeszedł przez otwarte drzwi, prawie natychmiast znikając w mroku. Newt z wahaniem popatrzył na Thomasa, następnie ruszył drugi. Z jakiegoś powodu Thomas pomyślał, że teraz kolej na niego, więc poszedł jako trzeci.

Krok za krokiem opuścił dormitorium i wkroczył w ciemność świetlicy, wyciągając ręce przed siebie.

Słabe światło padające z tyłu niewiele pomagało; równie dobrze mógłby iść z zaciśniętymi powiekami. W dodatku w świetlicy śmierdziało. Potwornie.

Z przodu Minho wydał okrzyk zaskoczenia, potem zawołał w ich stronę:

- Hej, uważajcie. Coś... dziwnego zwiesza się z sufitu.

Thomas usłyszał nieznacznym pisk czy jęk, coś zaskrzypiało.

Zupełnie jakby Minho wpadł na wiszący nisko żyrandol, wprawiając go w kołysanie. Gdzieś z prawej Newt stęknął, a potem rozległ się piskliwy zgrzyt metalu przesuwanego po podłodze.

- Stół - oznajmił Newt. - Uwaga na stoły

Patelniak odezwał się zza pleców Thomasa:

- Czy ktoś pamięta, gdzie były włączniki światła?

- Tam właśnie idę - odparł Newt. - Dam głowę, że je widziałem gdzieś o, tutaj.

Thomas nadal posuwał się po omacku naprzód. Jego oczy zdążyły się już nieco dostosować do ciemności; tam, gdzie wcześniej wszystko było ścianą czerni, był teraz w stanie rozróżnić zarysy cieni na tle cieni. Jednak coś było nie w porządku. Nadal czuł się nieco zdezorientowany, ale rzeczy wydawały się znajdować w miejscach, gdzie nie powinno ich być. Było prawie tak, jakby...

- Blee - jęknął Minho z wyraźnym dreszczem obrzydzenia, jakby wdepnął w wielkiego klumpa. Rozległ się kolejny skrzypiący dźwięk..

Zanim Thomas zdążył spytać, co się stało, sam na coś wpadł. Coś twardego. O dziwnym, nieregularnym kształcie. Wyczuł fakturę tkaniny.

- Znalazłem! - krzyknął Newt.

Zabrzmiało kilka pstryknięć i nagle całe pomieszczenie rozjarzyło się blaskiem świetlówek, na chwilę oślepiając Thomasa. Zatoczył się do tyłu, byle dalej od tego czegoś, z czym się zderzył. Wpadł na kolejny nieruchomy kształt, wprawiając go w kołysanie.

- Łooo! - wrzasnął Minho.

Thomas zmrużył oczy; stopniowo odzyskał wzrok. Zmusił się, żeby popatrzeć na

przerażającą scenerię, jaka się przed nim roztaczała.

Na całej długości obszernego pomieszczenia z sufitu zwieszali się ludzie - przynajmniej tuzin. Wszyscy zostali powieszani za szyję; skręcone sznury wrzynały się w purpurową, opuchniętą skórę. Sztywne ciała kołysały się nieznacznie, bladoróżowe języki wystawały pomiędzy bezkrwistych warg. Wszyscy mieli otwarte oczy, choć zmętniałe w sposób jednoznacznie świadczący o śmierci. Wyglądało na to, że wiszą tak od wielu godzin. Ich ubrania oraz niektóre spośród twarzy wyglądały znajomo.

Thomas opadł na kolana.

Znał tych martwych ludzi.

To byli ci sami, którzy uratowali Streferów. Zaledwie dzień wcześniej.

Wstając, Thomas starał się nie patrzeć na żadne z martwych ciał. Potykając się podszedł do Newta, który nadal stał obok rzędu włączników, wodząc przerażonym wzrokiem od jednego wiszącego trupa do drugiego.

Dołączył do nich Minhó, klnąc pod nosem. Inni Streferzy wyłaniali się z dormitorium, krzycząc, gdy docierało do nich, co widzą; Thomas usłyszał, jak kilku wymiotuje, krztusząc się i plując. Sam nagle poczuł falę mdłości, ale zwalczył ją. Co się stało? Jak to możliwe, że wszystko tak szybko im odebrano? Żołądek ścisnęła mu rozpacz, niemal zwalająca z nóg.

Potem przypomniał sobie o Teresie.

- Tereso! - zawołał wewnątrz umysłu. - Tereso! - Raz po raz, wyrzaskując to w myślach z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi szczękami. - Gdzie jesteś?!

- Tommy - odezwał się Newt, wyciągając rękę, żeby potrząsnąć go za ramię. - Co się z tobą, do cholery, dzieje?

Thomas otworzył oczy i uświadomił sobie, że jest zgięty wpół, oburącz obejmuje brzuch. Wyprostował się powoli, starając się odepchnąć panikę, która zżerała go od środka.

- A jak... jak sądzisz? Rozejrzyj się.

- No tak, ale wyglądałeś, jakby cię bolało albo coś w tym stylu.

- Wszystko ze mną w porządku, starałem się tylko nawiązać z nią myślowy kontakt. Ale nie mogę. - Nie, nie wszystko było z nim w porządku. Nienawidził konieczności przypominania pozostałym, że on i Teresa potrafią się telepatycznie porozumiewać ze sobą. A jeśli wszyscy ci ludzie nie żyli...

- Musimy znaleźć to miejsce, gdzie ją umieścili - wypalił, gorączkowo szukając jakiegoś zadania, które pomoże mu myśleć jaśniej. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, starając się w miarę możliwości rze przyglądać trupom, szukając drzwi mogących prowadzić do jej pokoju. Powiedziała, że znajdował się po przeciwległej stronie świetlicy, patrząc od strony

sali, gdzie spali oni wszyscy.

Tam. Żółte drzwi z mosiężną klamką.

- On ma rację - zwrócił się Minho do grupy. - Rozproszyć się! Znajdźcie ją!

- Możliwe, że już znaleźliśmy. - Thomas ruszył naprzód, zaskoczony tym, jak szybko wróciła mu zdolność trzeźwego myślenia. Podbiegł do drzwi, wymijając stoły i trupy. Musiała znajdować się tam w środku, bezpieczna, tak jak i oni. Drzwi były zamknięte; dobry znak. Prawdopodobnie zamknięte na klucz. Może Teresa zapadła w głęboki sen, tak jak i on. To dlatego milczała, nie reagując na nic.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy przypomniał sobie, że mogą potrzebować czegoś, żeby wylamać zamek.

- Niech ktoś przyniesie tę gaśnicę! - krzyknął przez ramię. W świetlicy śmierdziało wprost upiornie; gdy głębiej zaczerpnął tchu, zakrztusił się.

- Winston, leć i weź ją - rozkazał za jego plecami Minho.

Thomas pierwszy dotarł do drzwi i spróbował przekręcić klamkę. Ani drgnęła - zamknięte na glucho. Potem zauważył mały kwadrat z przezroczystego plastiku przymocowany na ścianie po prawej, mierzący góra trzynaście centymetrów kwadratowych. W jego środek wsunięto kawałek papieru, na którym widniało kilka wydrukowanych słów.

Teresa Agnes. Grupa A, Obiekt A1.

Zdrajczyń.

Dziwne, ale tym, co najbardziej rzuciło się Thomasowi w oczy, było nazwisko Teresy. A w każdym razie to, co wydawało się być jej nazwiskiem. Agnes. Nie wiedział, czemu, ale zaskoczyło go to. Teresa Agnes. Przywołując chaotyczne fragmenty wiedzy historycznej, które zachowały się w jego wciąż jeszcze skąpych wspomnieniach, nie umiał wskazać nikogo, kto by się tak nazywał. On sam otrzymał nowe imię na cześć Thomasa Edisona, wielkiego wynalazcy. Ale Teresa Agnes? Nigdy o niej nie słyszał.

Oczywiście wszystkie ich imiona były w zasadzie kpina, prawdopodobnie bezduszną zmyłką mającą ułatwić Stwórcom - DRESZCZowi, czy ktokolwiek im to zrobił - zdystansowanie się od prawdziwych ludzi, których wykradziono od prawdziwych matek i ojców. Thomas nie mógł się doczekać dnia, kiedy dowie się, jakie imię mu nadano po narodzinach, jakie imię wyryte było w pamięci jego rodziców, kimkolwiek oni byli. Gdziekolwiek teraz byli.

Urywki wspomnień, które odzyskał wcześniej, po przebyciu Przemiany, kazały mu przypuszczać, że nigdy nie miał rodziców, którzy by go kochali. Ze kimkolwiek byli, nie chcieli go. Ze został zabrany z miejsca, gdzie żył w strasznych warunkach. Ale teraz nie

potrafił już dłużej w to wierzyć, zwłaszcza po tym, jak w nocy śnił o swojej mamie.

Minho pstryknął palcami przed twarzą Thomasa.

- Halo? Thomas, zgłoś się? Kiepski moment sobie wybrałeś na błądzenie myślami. Mnóstwo trupów dookoła, śmierdzi jak pachy Patelniaka. Zbudź się.

Thomas odwrócił się do niego.

- Przepraszam. Pomyślałem tylko, że to dziwne, że Teresa ma na nazwisko Agnes.

Minho cmoknął niecierpliwie.

- A kogo to obchodzi? I co to za porypane bzdury, że ona jest Zdrajczynią?

- I co to znaczy „Grupa A, Obiekt A1”? - To powiedział Newt, który następnie wręczył Thomasowi gaśnicę. - Tak czy owak, teraz twoja kolej rozwalić cholerną klamkę.

Thomas chwycił ciężki przedmiot, nagle wściekły na siebie za zmarnowanie nawet kilku sekund na zastanawianie się nad głupią kartką. Teresa znajdowała się tam w środku i potrzebowała ich pomocy. Starając się nie martwić znaczeniem słowa zdrajczynie, mocno ujął metalowy walec i z całej siły rąbnął nim w mosiądz. Odczuł wstrząs aż w ramionach, gdy metal donośnie brzęknął o metal. Chłopak poczuł, że klamka nieco się obluzowuje. Dwa walnięcia później odpadła, a drzwi otworzyły się na trzy czy cztery centymetry.

Thomas odrzucił gaśnicę na bok i chwycił je, otworzył na oścież: Swędząca niecierpliwość mieszała się w nim ze strachem przed tym, co może zastać w środku. Wkroczył do jasno oświetlonego pokoju jako pierwszy.

Była to mniej obszerna wersja dormitorium chłopców: tylko cztery piętrowe łóżka, dwie komody oraz zamknięte drzwi, przypuszczalnie prowadzące do łazienki. Wszystkie łóżka były schludnie pościelone... poza jednym, gdzie pled był odrzucony na bok, prześcieradło zmięte, a poduszka zwisała nad krawędzią. Jednakże nie dostrzegli ani śladu Teresy.

- Tereso! - krzyknął Thomas przez ściśnięte paniką gardło.

Zza zamkniętych drzwi dobiegł pluszczący, przeciągły odgłos spuszczonej wody w toalecie i chłopaka ogarnęła nagła ulga, tak gwałtowna, że niemal musiał usiąść. Teresa była tu, była bezpieczna. Ochłonawszy skierował się w stronę łazienki, ale Newt wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

- Jesteś przyzwyczajony do mieszkania z bandą chłopaków

- powiedział. - To raczej niezbyt grzeczne władować się bez pukania do damskiej łazienki. Po prostu poczekaj, aż wyjdzie.

- Potem musimy tu wszystkich zebrać i zwołać Zgromadzenie - dodał Minho. - Tutaj nie śmierdzi i nie ma żadnych okien, przez które Poparzeńcy mogliby się na nas wydzierać.

Aż do tego momentu Thomas nie zauważył braku okien, choć powinno mu się to rzucić w oczy w pierwszej kolejności, biorąc pod uwagę chaos panujący w ich własnym dormitorium. Poparzeńcy. Prawie o nich zapomniał.

- Mogłaby się pospieszyć - mruknął.

- Zawołam tu wszystkich - oznajmił Minhó, po czym odwrócił się i poszedł z powrotem do świetlicy.

Thomas wpatrywał się w drzwi łazienki. Newt, Patelniak i kilku innych Streferów weszło na salę, przepychając się w drzwiach. Zajęli miejsca na łózkach, wszyscy pochyleni w przód, opierając łokcie na kolanach, z roztargnieniem zacierając ręce. Ich mowa ciała świadczyła o niepokoju i lęku.

- Tereso! - odezwał się w myślach Thomas. - Słyszysz mnie? Czekamy na ciebie tu na zewnątrz.

Żadnej odpowiedzi. I nadal czuł bańkę pustki, jakby sama obecność dziewczyny została mu permanentnie odebrana.

Coś kliknęło. Klamka w drzwiach do łazienki przekręciła się; potem drzwi otworzyły się w stronę Thomasa. Dał krok do przodu, gotów uściskać Teresę - nie obchodziła go obecność świadków. Ale osobą, która weszła do dormitorium, nie była Teresa. Thomas zamarł w pół kroku i omal się nie wywrócił. Miał wrażenie, że jego świat się wali.

To był chłopiec.

Ubrany w taki sam strój, jaki oni wszyscy otrzymali poprzedniej nocy - czystą piżamę z zapinaną na guziki górą i flanelowymi spodniami, jasnoniebieską. Miał oliwkową skórę i ciemne włosy, przystryżone zaskakująco krótko. Malujący się na jego twarzy wyraz niewinnego zaskoczenia był jedyną rzeczą, jaka powstrzymała Thomasa od pochwycenia delikwenta za kołnierz i potrząśnięcia nim tak długo, aż udzieli jakichś odpowiedzi.

- Coś ty za jeden? - zapytał Thomas. Nie obchodziło go, jak ostro zabrzmiały te słowa.

- Ja? - zareplikował chłopiec, cokolwiek sarkastycznie.

- Coście wy za jedni?

Newt również wstał. Stanął jeszcze bliżej nowego niż Thomas.

- Tylko nie próbuj nas tu robić w fuja. Nas jest wielu, a ty jeden. Gadaj, kim jesteś.

Chłopiec splótł ramiona na piersi, stając w wyzywającej pozie.

- Dobra. Nazywam się Aris. Co jeszcze chcecie wiedzieć?

Thomas miał ochotę rąbnąć go pięścią. Gość zachowywał się jak napuszony bubek, a tymczasem Teresa zniknęła.

- Skąd się tu wziąłeś? Gdzie jest dziewczyna, która spała tutaj zeszłej nocy?

- Dziewczyna? Jaka dziewczyna? Jestem tu tylko ja, i tak było, odkąd mnie tutaj umieścili wczoraj wieczorem.

Thomas odwrócił się, żeby wskazać palcem drzwi do świetlicy.

- Zaraz za tymi drzwiami wisi tabliczka, na której jest napisane, że to jest jej pokój. Teresa... Agnes. Nie ma ani słowa o sztamaku imieniem Aris.

Coś w tonie jego głosu musiało uzmysłwić chłopcu, że to nie żart. Nowy wyciągnął rękę w pojednawczym geście.

- Słuchaj, chłopie, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Umieścili mnie tutaj zeszłej nocy. Spałem na tamtym łóżku - wskazał to, gdzie prześcieradło i pled były zmięte

- zbudziłem się jakieś pięć minut temu i poszedłem się wysikać. Nigdy w życiu nie słyszałem o żadnej Teresie Agnes. Sorry.

Przelotna ulga, jaką Thomas odczuł na dźwięk spuszczonej wody, definitywnie przysła. Skrzyżował spojrzenia z Newtem, nie wiedząc, o co zapytać w następnej kolejności.

Newt nieznacznie wzruszył ramionami, po czym odwrócił się z powrotem do Arisa.

- Kto umieścił cię tutaj zeszłej nocy?

Aris uniósł rękę, a następnie pozwolił, żeby znów opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

- Nawet nie wiem, chłopie. Banda ludzi z bronią, którzy nas uratowali, powiedzieli, że teraz wszystko będzie w porządku.

- Uratowali was skąd? - zapytał Thomas. Robiło się coraz dziwniej. Naprawdę, naprawdę dziwnie.

Aris wbił spojrzenie w podłogę, przygarbił się. Wyglądało to tak, jakby ogarnęła go fala strasznych wspomnień. Westchnął, potem wreszcie podniósł wzrok na Thomasa i odpowiedział.

- Z Labiryntu, chłopie. Z Labiryntu.

Thomas złagodniał. Ten obcy chłopak nie kłamał - to się po prostu dało poznać. Wyraz przerażenia na twarzy Arisa był mu doskonale znany. Thomas sam przeżył coś podobnego i widział tę minę na zbyt wielu innych twarzach. Dobrze wiedział, jakiego rodzaju okropne wspomnienia sprawiają, że ktoś tak wygląda. Wiedział też, że Aris nie ma pojęcia, co się stało z Teresą.

- Może powinieneś usiąść - stwierdził. - Myślę, że mamy mnóstwo rzeczy do obgadania.

- Co masz na myśli? - spytał Aris. - Kim wy jesteście? Skąd się tu wzięliście?

Thomas zaśmiał się krótko.

- Labirynt. Bóldożercy. DRESZCZ. I co tam jeszcze. - Wydarzyło się tyle rzeczy, od

czego miał zacząć? Nie wspominając już o tym, że strach o Teresę przyprawiał go o gonitwę myśli, sprawiał, że chłopak miał ochotę wybiec z sali i szukać jej, już, teraz, natychmiast. Został jednak na miejscu.

- Kłamiesz - odrzekł Aris, zniżając głos do szeptu, z twarzą o ton bledszą.

- Nie, bynajmniej - odparł Newt. - Tommy ma rację. Musimy pogadać. Zdaje się, że trafiliśmy tu z podobnych miejsc.

- Kim jest ten gość?

Thomas odwrócił się i zobaczył, że Minho wrócił, a za nim, po drugiej stronie drzwi, stoi cała grupa Streferów. Ich twarze wykrywiało obrzydzenie z powodu panującego w świetlicy smrodu, a oczy nadal wypełniało przerażenie wywołane tym, co tam zobaczyli.

- Minho, poznaj Arisa - powiedział Thomas, dając krok pod ścianę i wskazując drugiego chłopca. - Aris, poznaj Minho.

Minho wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, jakby nie mógł się zdecydować, od czego zacząć.

- Słuchajcie - odezwał się Newt. - Zdejmijmy te górne łóżka i rozstawmy je wzdłuż ścian. Wtedy wszyscy będziemy mogli usiąść i zastanowić się, co tu się do purwy nędzy dzieje.

Thomas potrząsnął głową.

- Nie. Najpierw musimy znaleźć Teresę. Ona musi się znajdować w jakimś innym pomieszczeniu.

- Tu nie ma już żadnego miejsca, w którym mogłaby być - odparł Minho.

- Jak to?

- Przed chwilą sprawdziłem cały teren. Jest ta duża świetlica, ta sala, nasze dormitorium oraz purewsko pancerne drzwi prowadzące na zewnątrz - te, przez które tu weszliśmy, kiedy wczoraj wysiedliśmy z autobusu. Zamknięte na głucho i zabezpieczone łańcuchem od wewnątrz. To się nie trzyma kupy, ale nie widzę tu żadnych innych drzwi ani wyjść.

Thomas potrząsnął głową, ogłupiały. Miał wrażenie, że milion pajaków zasnuło mu mózg pajęczynami.

- Ale... jak wyjaśnisz ostatnią noc? Skąd się wzięło jedzenie? Czy nikt nie zauważył tu innych pomieszczeń, kuchni, czegokolwiek? - Rozejrzał się z nadzieją, że usłyszy odpowiedź, ale nikt nie odezwał się ani słowem.

- Może gdzieś są ukryte drzwi - odezwał się w końcu Newt. - Słuchajcie, nie możemy robić dwóch rzeczy naraz. Musimy...

- Nie! - krzyknął Thomas. - Na to, żeby pogadać z tym całym Arisem, mamy cały dzień. Jeśli wierzyć tabliczce przy drzwiach, Teresa powinna gdzieś tutaj być - musimy ją znaleźć!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi prowadzących do świetlicy, przepychając się między chłopakami, aż wydostał się na zewnątrz. W twarz uderzył mu odór, jakby wylano mu na głowę wiadro ścieków. Spuchnięte, zsiniałe ciała wisiały niczym tusze upolowanych zwierząt, wywieszane przez myśliwych, żeby obeschły. Ich pozbawione życia oczy wydawały się gapić na niego.

Znajomy mdlący strumyczek obrzydzenia wypełnił mu żołądek, wywołując odruch wymiotny. Thomas na sekundę zamknął oczy, siłą woli uspokajając trzewia. Kiedy mdłości wreszcie minęły, zaczął szukać jakiegoś śladu Teresy, ze wszystkich sił koncentrując się na tym, żeby nie patrzeć na trupy.

Lecz nagle uderzyła go okropna myśl. A jeśli ona...

Przebiegł przez całą długość pomieszczenia, zaglądając kolejno w twarze wisielców. Żadna nie była twarzą Teresy. Miejsce chwilowej paniki zajęła ulga i Thomas skupił się na samym pomieszczeniu.

Ściany świetlicy były tak zwyczajne, jak to tylko możliwe; gładki tynk, pomalowany na białą, bez żadnych dekoracji. I, z jakiegoś powodu, żadnych okien. Szybko obszedł całe pomieszczenie naokoło, przesuwając lewą dłońią po ścianie. Dotarł do drzwi prowadzących do dormitorium chłopców, minął je i skierował się do dużego wejścia, przez które dostali się tutaj poprzedniego dnia. Wtedy lał rzęsy deszcz, co teraz wydawało się niemożliwe, zważywszy na jaskrawe słońce, które Thomas widział wcześniej za plecami szaleńca.

Wejście - czy też wyjście - zamykały wielkie, dwuskrzydłowe stalowe drzwi o lśniącej, srebrzystej powierzchni. I, dokładnie tak, jak twierdził Minho, masywny łańcuch - o ogniwach grubości jakichś dwóch i pół centymetra - został przepchnięty przez uchwyty na obu skrzydłach, ściadrzwiach, Teresa powinna gdzieś tutaj być - musimy ją znaleźć!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi prowadzących do świetlicy, przepychając się między chłopakami, aż wydostał się na zewnątrz. W twarz uderzył mu odór, jakby wylano mu na głowę wiadro ścieków. Spuchnięte, zsiniałe ciała wisiały niczym tusze upolowanych zwierząt, wywieszane przez myśliwych, żeby obeschły. Ich pozbawione życia oczy wydawały się gapić na niego.

Znajomy mdlący strumyczek obrzydzenia wypełnił mu żołądek, wywołując odruch wymiotny. Thomas na sekundę zamknął oczy, siłą woli uspokajając trzewia. Kiedy mdłości wreszcie minęły, zaczął szukać jakiegoś śladu Teresy, ze wszystkich sił koncentrując się na

tym, żeby nie patrzeć na trupy.

Lecz nagle uderzyła go okropna myśl. A jeśli ona...

Przebiegł przez całą długość pomieszczenia, zaglądając kolejno w twarze wisielców. Żadna nie była twarzą Teresy. Miejsce chwilowej paniki zajęła ulga i Thomas skupił się na samym pomieszczeniu.

Ściany świetlicy były tak zwyczajne, jak to tylko możliwe; gładki tynk, pomalowany na białą, bez żadnych dekoracji. I, z jakiegoś powodu, żadnych okien. Szybko obszedł całe pomieszczenie naokoło, przesuwając lewą dłoń po ścianie. Dotarł do drzwi prowadzących do dormitorium chłopców, minął je i skierował się do dużego wejścia, przez które dostali się tutaj poprzedniego dnia. Wtedy lał rzęsy deszcz, co teraz wydawało się niemożliwe, zważywszy na jaskrawe słońce, które Thomas widział wcześniej za plecami szaleńca.

Wejście - czy też wyjście - zamykały wielkie, dwuskrzydłowe stalowe drzwi o lśniącej, srebrzystej powierzchni. I, dokładnie tak, jak twierdził Minho, masywny łańcuch - o ogniwach grubości jakichś dwóch i pół centymetra - został przepchnięty przez uchwyty na obu skrzydłach, ściągnięty ciasno, a następnie zabezpieczony dwiema solidnymi kłódkami. Thomas wyciągnął rękę i pociągnął za ten łańcuch, sprawdzając jego wytrzymałość. Metal był chłodny w dotyku, a ogniwa nawet nie drgnęły.

Spodziewał się usłyszeć dobiegające z drugiej strony odgłosy uderzeń, świadczące o tym, że Poparzeńcy starają się dostać do środka, tak jak w przypadku okien dormitorium. Jednak w pomieszczeniu panowała cisza. Jedyne słyszalne dźwięki były stłumione i dobiegały od strony dwóch dormitoriów - odległe okrzyki oraz wrzaski Poparzeńców i pomruki rozmowy toczonej przez Streferów.

Sfrustrowany Thomas kontynuował wędrówkę wzdłuż ścian, aż w końcu dotarł z powrotem do pomieszczenia, gdzie miała przebywać Teresa. Nic, choćby jednej szczeliny czy szpary, która sygnalizowałaby obecność innego wyjścia. Obszerna sala nawet nie była kwadratem, tylko wielkim owalem, zaokrąglona, pozbawiona kątów.

Był całkowicie skonsternowany. Wrócił myślami do poprzedniej nocy, kiedy wszyscy siedzieli tutaj i wygłodniali zjadali pizzę. Przecież musieli zauważyć inne drzwi, kuchnię, cokolwiek. Ale im dłużej się nad tym zastanawiał, im usilniej starał się przywołać z powrotem obraz tego, co widział, tym bardziej wszystko się zamazywało. W jego głowie odezwały się dzwonki alarmowe - już wcześniej grzebano im w mózgach. Czy dokonano tego znowu? Czy ich wspomnienia zostały zmienione lub wymazane?

I co się stało z Teresą?

Zdesperowany pomyślał, że w grę wchodzi jeszcze pełzanie po podłodze w

poszukiwaniu klapy prowadzącej w dół czy jakiejś innej wskazówki dotyczącej tego, co się stało. Ale nie był w stanie spędzić już choćby minuty w towarzystwie gnijących ciał. Cała nadzieja w tym nowym chłopaku. Thomas westchnął i wrócił do małej sali, gdzie znaleźli tamtego. Aris musiał wiedzieć coś, co im pomoże.

Tak jak rozkazał Newt, górne łóżka odczepiono od dolnych i rozstawiono pod ścianami, zapewniając wystarczająco dużo miejsca, żeby dziewiętnastu pozostałych Streferów oraz Aris mogło usiąść w kręgu, tak, żeby wszyscy widzieli się nawzajem.

Kiedy Minhó zobaczył Thomasa, poklepał puste miejsce obok siebie.

- Mówiłem ci, stary. Siadaj i pogadamy. Zaczekaliście na ciebie. Ale najpierw przymknij te pikolone drzwi - tam na zewnątrz śmierdzi gorzej niż zgniłe giry Gally'ego.

Thomas w milczeniu zamknął drzwi, potem podszedł i usiadł. Miał ochotę ukryć twarz w dłoniach, ale tego nie zrobił. Nic nie wskazywało wprost, żeby Teresie groziło jakieś niebezpieczeństwo. Działo się coś dziwnego, ale istniał milion możliwych wytłumaczeń, a w licznych ich wariantach Teresa była cała i zdrowa.

Newt siedział po prawej, jedno łóżko dalej. Przechylił się do przodu tak bardzo, że prawie zsuwał się z materaca.

- Dobra, to opowiedzmy sobie wreszcie, co i jak, żebyśmy mogli się zająć ważniejszą sprawą, to znaczy poszukianiem jakiegoś żarcia.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Thomas poczuł ssanie w żołądku, zaburzało mu w brzuchu. Ten problem nawet nie przyszedł mu jeszcze do głowy. Z wodą nie będzie kłopotu - mieli do dyspozycji łazienki - ale nigdzie nie było ani śladu żywności.

- Ogay - odezwał się Minhó. - Gadaj, Aris. Opowiedz nam o wszystkim.

Nowy chłopiec siedział dokładnie naprzeciwko Thomasa - Streferzy zajmujący miejsca po obu stronach obcego przesunęli się aż na końce łóżka. Aris potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Wy pierwsi.

- Taa? - odparł Minhó. - To co, mamy na zmianę tłuc cię na kwaśne jabłko, smrodasie, aż łaskawie zechcesz mówić?

- Minhó - upomniął go surowo Newt. - Nie ma powodu...

Minhó gniewnie wskazał Arisa.

- Bez jaj, stary. Z tego, co wiemy, ten sztamak równie dobrze może być jednym ze Stwórców. Kimś z DRESZCZu, przysłanym, żeby nas szpiegować. Mógł zabić tych wszystkich ludzi na zewnątrz - jest tu jedyną osobą, której nie znamy, a drzwi i okna są pozamykane naглуcho! Mam już dość tego, że zachowuje się jak bubek, podczas gdy nas jest dwudziestu, a on jeden. On powinien mówić pierwszy.

Thomas jęknął w myślach. Jednego był pewien: chłopak nigdy nie zacznie gadać, jeśli będzie się bał Minho.

Newt westchnął i popatrzył na Arisa.

- On ma trochę racji. Po prostu powiedz nam, co miałeś na myśli mówiąc, że jesteś z cholernego Labiryntu. To stamtąd uciekliśmy, a ciebie nie widzieliśmy nigdy w życiu.

Aris potarł oczy, potem odwzajemnił spojrzenie Newta.

- No dobra, to słuchajcie. Zostałem umieszczony w takim olbrzymim labiryncie z potężnych kamiennych ścian - ale wcześniej wymazano mi pamięć. Nic nie pamiętałem z wcześniejszego życia. Wiedziałem tylko, jak się nazywam. Mieszkałem tam z grupą dziewczyn. Musiało ich być z pięćdziesiąt, a ja byłem jedynym chłopakiem. Kilka dni temu udało nam się uciec - ludzie, którzy nam pomogli, przez kilka dni trzymali nas w dużej sali gimnastycznej, a potem zeszłej nocy przenieśli mnie tutaj - ale nikt niczego nie wyjaśnił. Co to za historia z tym, że wy też byliście w jakimś labiryncie?

Thomas z trudem usłyszał ostatnich kilka wypowiedzianych przez Arisa słów, bo pozostali Streferzy głośno wyrażali swoje zaskoczenie. Miał kompletny mętlik w głowie. Aris opowiedział, przez co przeszedł, tak prosto i szybko, jakby opisywał wypad na plażę. Ale wydawało się to wariactwem. Niewiarygodnie monumentalnym przedsięwzięciem, jeśli to była prawda. Na szczęście ktoś idealnie zwerbalizował to, co Thomas próbował sobie poukładać w myślach.

- Czekaj no - powiedział Newt. - Żyłeś w wielkim labiryncie, na farmie, gdzie mury zamykały się co noc? Tylko ty i kilka tuzinów dziewczyn? A były tam stwory zwane Bóldożercami? Byłeś ostatnią osobą, jaka się tam pojawiła? A potem wszystko zaczęło wariować? Kiedy się zjawiłeś, byłeś w śpiączce? I z kartką, na której pisało, że jesteś ostatni?

- Stop, stop, stop - odezwał się Aris, zanim jeszcze Newt skończył. - Skąd to wszystko wiesz? Skąd...

- Ożesz w mordę, to ten sam eksperyment - stwierdził Minho, a wcześniejsza wojowniczość zupełnie zniknęła z jego głosu. - Albo to samo... cokolwiek. Ale u nich były same dziewczyny i jeden chłopak, a u nas sami chłopcy i jedna dziewczyna. DRESZCZ musiał zbudować dwa labirynty, przeprowadzić dwa różne testy!

Thomas zdążył już wpaść na to samo. Wreszcie udało mu się uspokoić na tyle, żeby móc się odezwać. Popatrzył na Arisa.

- Czy było tak, że to ty zapoczątkowałeś Koniec?

Aris kiwnął głową, ewidentnie równie skonsternowany, co reszta obecnych.

- I czy umiałeś... - Thomas zaczął to mówić, ale zawahał się. Miał wrażenie, że za

każdym razem, kiedy podnosi ten temat, publicznie przyznaje się do bycia wariatem. - Czy umiałeś rozmawiać z jedną z tych dziewczyn w myślach? Wiesz, telepatycznie?

Oczy Arisa rozszerzyły się. Zagapił się na Thomasa tak, jakby rozumiał mroczny sekret, który byli w stanie pojąć tylko ci, którzy również go ukrywali.

- Słyszysz mnie?

Fraza ta pojawiła się w umyśle Thomasa tak wyraźnie, że w pierwszej chwili pomyślał, iż Aris wymówił ją na głos. Ale nie - jego wargi nawet nie drgnęły.

- Słyszysz mniei - powtórzył chłopak.

Thomas zawahał się, przełknął.

- Tak.

- Zabili ją - odpowiedział Aris. - Zabili moją najlepszą przyjaciółką.

Thomasa do Arisa i z powrotem. - Czemu gapicie się na siebie jak zakochani?

- On też to potrafi - odparł Thomas, nie odrywając wzroku od nowego chłopaka, widząc pozostałych jedynie kątem oka. Ostatnie wyznanie Arisa przeraziło go; jeśli grupa zabiła jego partnerkę od telepatii...

- Co potrafi? - spytał Patelniak.

- A jak sądzisz? - odparł Minhó. - Jest takim samym dziwadłem jak Thomas. Umieją ze sobą rozmawiać w myślach.

Teraz Newt wpatrywał się ponuro w Thomasa.

- Serio?

Thomas kiwnął głową i prawie przemówił znowu w myślach do Arisa, ale w ostatniej chwili jednak odezwał się na głos.

- Kto ją zabił? Co się stało?

- Kto zabił kogo? - spytał Minhó. - Purwa, tylko bez tych waszych czarówmarów, kiedy my tu jesteśmy.

Thomas, którego oczy zdążyły już zwilgotnieć, oderwał w końcu wzrok od Arisa i spojrzał w stronę Minhó.

- On miał kogoś, z kim umiał rozmawiać w myślach, tak jak ja umiałem. To znaczy... nadal umiem. Ale powiedział, że została zabita. Chcę wiedzieć, przez kogo.

Aris zwiesił głowę; z miejsca, gdzie siedział Thomas, jego oczy wyglądały na zamknięte.

- Tak naprawdę nie wiem, przez kogo. To zbyt ogłupiające. Nie umiałem odróżnić tych złych od tych dobrych. Ale myślę, że w jakiś sposób sprawiono, że taka jedna dziewczyna, Beth... zadźgała... moją przyjaciółkę. Ona miała na imię Rachel. Zginęła,

chłopie. Nie żyje. - Ukrył twarz w dłoniach.

Thomas poczuł niemal fizycznie bolesne ukłucie ogłupienia. "Wszystko wskazywało na to, że Aris trafił tutaj z innej wersji Labiryntu, zaaranżowanej identycznie, tylko z odwrotną proporcją dziewczyn do chłopaków. Ale w takim razie Aris byłby ich wersją Teresy. A ta cała Beth brzmiała jak ich wersja Gally'ego, który zabił Chucka. Nożem. Czy to oznaczało, że w założeniu Gally miał zabić nie Chucka, tylko Thomasa?

Ale czemu Aris znajdował się teraz tutaj? I gdzie była Teresa? Rzeczy, które prawie zaczynały się już układać w jego umyśle w spójny obraz, znów przestały do siebie pasować.

- No dobra, a skąd się tutaj wziąłeś? - spytał Newt. - Gdzie są te wszystkie dziewczyny, o których mówisz? He z nich zdołało uciec razem z tobą? Czy sprowadzono was tutaj wszystkich, czy tylko ciebie?

Thomasowi mimo woli zrobiło się żal Arisa. Dostać się w krzyżowy ogień tych wszystkich pytań po takim wydarzeniu. Gdyby role zostały zamienione, gdyby to Thomas patrzył, jak Teresa zostaje zamordowana... Wystarczająco strasznie było patrzeć, jak umiera Chuck.

Wystarczająco strasznie? - pomyślał. Czy też patrzeć na śmierć Chucka było jeszcze gorsze? Thomas miał ochotę wrzeszczeć. W tym momencie cały świat wydawał mu się po prostu beznadziejny.

Aris podniósł wreszcie wzrok, wytarł kilka łez, które spłynęły mu po policzkach. Zrobił to bez najmniejszych oznak wstydu, i Thomas nagle uświadomił sobie, że lubi tego gościa.

- Słuchajcie - powiedział chłopiec. - Wiem tyle, co i wy.

Przeżyła nas mniej więcej trzydziestka, zabrali nas do tej sali gimnastycznej, nakarmili, pozwolili się umyć. Potem zeszłej nocy ściągnęli mnie tutaj, mówiąc, że ponieważ jestem chłopakiem, powinienem być osobno. I to wszystko. Potem zjawiała się tu wasza banda patyków.

- Patyków? - powtórzył Minho.

Aris potrząsnął głową.

- Nieważne. Nawet nie wiem, co to znaczy. To po prostu słowo, którego dziewczyny używały, kiedy zjawiałem się w Labiryncie.

Minho wymienił spojrzenia z Thomasem, uśmiechając się nieznacznie. Wyglądało na to, że każda z grup wynalazła swój własny żargon.

- Ej! - zawołał jeden ze Streferów, których Thomas praktycznie nie znał. Opierał się o ścianę za Arisem, wskazując na niego palcem. - Co to takiego na twojej szyi, z boku? Coś

czarnego, tuż pod kołnierzem.

Aris spróbował spojrzeć w dół, ale nie był w stanie tak przekręcić głowy, żeby zobaczyć tę część swojego ciała.

- Co?

Kiedy się poruszał, Thomas dostrzegł ciemną plamę tuż nad kołnierzem jego piżamy, z tyłu. Wyglądało to na grubą linię ciągnącą się od zagłębienia nad jego obojczykiem aż na plecy. I linia ta była przerywana, jakby składała się z liter.

- Czekaj, ja zerknę - zaproponował Newt. Wstał i podszedł, kulejąc bardziej niż zwykle; słabsza noga była pamiątką z przeszłości, o której nigdy Thomasowi nie opowiedział. Wyciągnął rękę i zsunął koszulę Arisa bardziej w dół, żeby móc się lepiej przyjrzeć dziwnym znakom. - To tatuaż - oznajmił, mrużąc oczy, jakby nie wierzył w to, co widzi.

- Co tam jest napisane? - spytał Minho, choć sam też już wstał i podszedł, żeby zobaczyć na własne oczy.

Kiedy Newt nie odpowiedział od razu, ciekawość zmusiła Thomasa do powstania. Po chwili stał tuż obok Minho, pochylając się tak, żeby samemu spojrzeć na tatuaż. Ujrzał napis drukowanymi literami, którego treść sprawiła, że jego serce na moment przestało bić.

Własność DRESZCZu. Grupa B, Obiekt BI. Partner.

- Co to ma niby znaczyć? - zapytał Minho.

- Co tam jest napisane? - spytał Aris, sięgając ręką do tyłu, żeby pomacać skórę na szyi i ramionach, odciągając kołnierz w dół. - Przysięgam, że zeszłej nocy nie miałem żadnego tatuażu!

Newt powtórzył mu treść napisu, a następnie powiedział:

- Własność DRESZCZu? Sądziłem, żeśmy im uciekli. I że ty też im uciekłeś. No dobra, wszystko jedno. - Odwrócił się, wyraźnie sfrustrowany, i skierował się z powrotem na swoje miejsce. Usiadł.

- I dlaczego ten napis określa cię jako Partnera? - spytał Minho, nadal gapiąc się na tatuaż.

Aris potrząsnął głową.

- Nie mam bladego pojęcia. Przysięgam. I nie ma możliwości, żeby ten napis tam był przed ubiegłą nocą. Brałem prysznic, patrzyłem w lustro. Zobaczyłbym go. Poza tym ktoś na pewno zobaczyłby go wcześniej, w Labiryncie.

- Chcesz mi wmówić, że wytatuowali cię w środku nocy? - spytał Minho. - A ty niczego nie zauważyłeś? Weź nie zalewaj, chłopie.

- Przysięgam! - upierał się Aris. Potem wstał i poszedł do łazienki, prawdopodobnie

po to, żeby spróbować samemu obejrzeć wytatuowane słowa.

- Za fuja nie wierzę w ani jedno jego słowo - szepnął Minho do Thomasa, wracając na miejsce. A potem, gdy pochylił się do przodu, żeby usadowić się z powrotem na materacu, jego koszula zsunęła się akurat wystarczająco, żeby odsłonić grubą czarną linię na jego szyi.

- Łoo! - wykrzyknął Thomas. Przez sekundę był zbyt zaskoczony, żeby się poruszyć.

- Co? - spytał Minho, gapiąc się na Thomasa tak, jakby temu ostatniemu właśnie wyrosło na czole trzecie ucho.

- Twoja... twoja szyja - zdołał w końcu wyjąkać Thomas. - Ty też masz na szyi napis!

- O czym ty, purwa, gadasz? - spytał Minho. Szarpnął koszulę i skrzywił się, ze wszystkich sił próbując zobaczyć coś, czego nie był w stanie dosięgnąć wzrokiem.

Thomas podbiegł do Minho, odtrącił jego ręce, a potem odciągnął kołnierz jego piżamy.

- Do jasnej... Jest! Taki sam napis, tylko...

Własność DRESZCZu. Grupa A, Obiekt A7. Przywódca.

- Co takiego, chłopie?! - wykrzyknął Minho. Większość pozostałych Streferów skupiła się tymczasem ciasno za Thomasem, przepychając się, żeby móc spojrzeć. Thomas szybko przeczytał na głos wytatuowane słowa, zaskoczony, że udało mu się to zrobić bez zająknięcia.

- Robisz mnie w fuja, chłopie - oświadczył Minho, wstając. Przepchnął się przez tłumek chłopców, żeby pójść do łazienki w ślad za Arisem.

A potem zaczęło się gorączkowe przepychanie. Thomas poczuł, że ktoś mu zagląda za kołnierz, sam też zaczął zaglądać za cudze. Wszyscy rozgadali się jeden przez drugiego.

- Wszędzie jest napisane: Grupa A.

- Własność DRESZCZu, tak jak u niego.

- Ty jesteś Obiekt Atrzynaście.

- Obiekt Adziewiętnaście.

- Atrzy.

- Adziesięć.

Thomas powoli obracał się dookoła, patrząc w oszołomieniu, jak poszczególni Streferzy odkrywają tatuaże na szyjach pozostałych. Większość nie miała dodatkowych określeń jak Aris czy Minho, tylko linijkę o byciu własnością DRESZCZu. Newt chodził od chłopca do chłopca z kamienną twarzą, żeby osobiście przeczytać każdy napis, jakby skupiając się na zapamiętywaniu imion i numerów. Potem, zupełnie przypadkowo, nagle znaleźli się z Thomasem oko w oko.

- Co jest napisane u mnie? - spytał Newt.

Thomas odciągnął kołnierz jego koszuli i pochylił się do przodu, żeby odczytać słowa wypisane na skórze kolegi.

- Jesteś Obiektem Apięc i nazwali cię Klej.

Newt rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

- Klej?

Thomas puścił jego koszulę i cofnął się.

- Tak. Pewnie dlatego, że jesteś trochę jak klej, który trzyma nas wszystkich razem. Nie wiem. Przeczytaj mój.

- Już przeczytałem...

Thomas zauważył, że twarz Newta nabrała dziwnego wyrazu. Wahania. Albo strachu. Jakby nie chciał Thomasowi mówić, co głosi jego tatuaż.

- No?

- Jesteś Obiektem Adwa - odrzekł Newt. Potem spuścił wzrok.

- A dalej co? - naciskał Thomas.

Newt zawahał się, potem odpowiedział, nie patrząc na niego.

- Dalej nie ma żadnej nazwy. Píše tu tylko... „Do zabicia przez Grupę B”.

Thomas w zasadzie nie miał czasu, żeby przyswoić to, co powiedział Newt. Zastanawiał się właśnie, czy jest bardziej ogłupiały, czy przestraszony, kiedy pokój wypełniło przeraźliwe dzwonienie. Chłopak odruchowo zakrył dłońmi uszy i rozejrzał się po towarzyszach.

Zauważył ich skonsternowane miny, świadczące, że znają ten dźwięk, a potem olśniło go. To był ten sam sygnał, jaki rozbrzmiał w Labiryncie tuż przed tym, jak Teresa zjawiała się w Pudle. Thomas słyszał go tylko raz, właśnie wtedy, a teraz, gdy byli zamknięci w małym pomieszczeniu, dzwonienie brzmiało inaczej - było głośniejsze, zwielokrotnione przez nakładające się na siebie echa. Mimo to był właściwie pewien, że się nie myli. To był ten alarm, który w Strefie ogłaszał, że zaraz pojawi się Njubi.

I nie milkł; Thomas zaczynał już odczuwać za oczami pierwsze zapowiedzi bólu głowy.

Streferzy krążyli bezładnie po pomieszczeniu, gapiąc się na ściany i sufit, jakby starali się odkryć, skąd dochodzi dźwięk. Niektórzy usiedli na łózkach, zatykając rękami uszy. Thomas również starał się wypatrzeć źródło alarmu, ale bez skutku. Nie widział nigdzie żadnych głośników, w ścianach nie było krat od przewodów wentylacyjnych ani klimatyzacji, nic. Tylko dobiegające zewsząd dzwonienie.

Newt złapał go za ramię i krzyknął wprost do ucha:

- To ten cholerny alarm, co ogłaszał, że jedzie Njubi!

- Wiem!

- Czemu dzwoni?

Thomas wzruszył ramionami, mając nadzieję, że jego twarz nie zdradza, jaki jest zniecierpliwiony. Skąd niby miał wiedzieć, co się dzieje?

Minho i Aris wrócili właśnie z łazienki. Obaj z roztargnieniem pocierali karki, rozglądając się po sali w poszukiwaniu odpowiedzi. Nie trwało długo, nim dotarło do nich, że pozostali też mają podobne tatuaże. Patelniak podszedł do drzwi prowadzących do świetlicy i już miał położyć dłoń w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się klamka.

- Zaczekaj! - zawołał pod wpływem impulsu Thomas. Podbiegł do Patelniaka, wiedząc, że Newt podąża za nim krok w krok.

- Co jest? - spytał Patelniak. Jego dłoń zawisła ledwie kilka centymetrów od drzwi.

- Nie wiem - odparł Thomas, nie mając pewności, czy donośne dzwonięcie nie zagłusza jego głosu. - To alarm. Może dzieje się coś naprawdę złego.

- No! - odkrzyknął Patelniak. - I może powinniśmy się stąd wynieść w cholerę!

Nie czekając, co odpowie Thomas, pchnął drzwi. Ani drgnęły. Pchnął mocniej. Ponieważ nadal nie chciały drgnąć, naparł na nie całym ciężarem.

Bez efektu. Drzwi były zamknięte na głucho, jak zamurowane.

- Purwa! Przecież rozwalileś klamkę! - wrzasnął przeraźliwie Patelniak i wałnął otwartą dłonią w drzwi.

Thomas nie chciał już krzyczeć; był zmęczony i bolało go gardło. Odwrócił się i oparł o ścianę, splatając ręce na piersi. Większość Streferów sprawiała wrażenie równie znużonych i zrezygnowanych jak on; wyraźnie mieli dość prób poszukiwania odpowiedzi albo drogi na zewnątrz. Wszyscy albo siedzieli na łóżkach, albo stali wokół ze skonsternowanymi minami.

Bardziej z desperacji niż z jakiegokolwiek innego powodu Thomas znów spróbował zawołać Teresę. Potem jeszcze kilkakrotnie. Jednak Teresa nie odpowiedziała, a zresztą nie był pewien, czy w tym ogłuszającym zgiełku dałby radę się skupić na tyle, żeby ją usłyszeć. Nadal odczuwał jej nieobecność; to było tak, jak obudzić się pewnego dnia i stwierdzić, że nie ma się w ustach ani jednego zęba. Nie musiałbyś biec do lustra, żeby wiedzieć, że zniknęły.

Potem alarm umilkł.

Cisza nigdy wcześniej nie wydawała się mieć własnego dźwięku. Gwałtownie wypełniła salę niczym bzyczenie roju pszczoł, sprawiając, że Thomas podniósł ręce, żeby podłubać palcami w uszach. Każdy oddech, każde westchnienie w pomieszczeniu było

niczym eksplozja w porównaniu z przedziwną mgiełką braku decybeli.

Newt odezwał się pierwszy.

- Tylko nie mówcie, że tutaj też będą nam podrzucać cholernych Njubich.

- Ciekawe, gdzie w tej fujni jest Pudło? - wymamrotał sarkastycznie Minho.

Ciche skrzypnięcie sprawiło, że Thomas gwałtownie spojrzał w kierunku drzwi do świetlicy. Uchyliły się na kilka centymetrów, ukazując wąski pas ciemności. Ktoś zgasił światła po drugiej stronie. Patelniak cofnął się o krok.

- Coś mi się zdaje, że chcą, abyśmy teraz tam wyszli - odezwał się Minho.

- To czemu nie wyjdiesz pierwszy? - zaproponował Patelniak.

Minho już ruszył do przodu.

- Nie ma problemu. Może dostaniemy nowego małego sztamaczka, któremu będzie można dokuczać i kopać go w tyłek, kiedy nie będziemy mieli nic lepszego do roboty.

- Dotarł do drzwi, zatrzymał się i popatrzył w bok, na Thomasa. Jego głos zaskakująco zmieknął. - Przydałby nam się drugi Chuck.

Thomas wiedział, że nie powinien się złościć. Jeśli już, Minho starał się pokazać - na swój własny dziwny sposób - że tęskni za Chuckiem tak samo, jak wszyscy inni. Ale przypomnienie o przyjacielu w tak nieoczekiwanej chwili rozgniewało Thomasa. Instynkt podpowiedział mu, żeby to zignorować - i tak już wystarczająco ciężko przychodziło mu radzenie sobie z tym, co działo się wokół niego. Musiał się na jakiś czas odciąć od swoich uczuć i po prostu iść do przodu. Krok za krokiem. Rozpracować to wszystko.

- No - odpowiedział w końcu. - Idziesz czy chcesz, żebym ja poszedł pierwszy?

- Co głosił twój tatuaż? - zapytał cicho Minho, ignorując pytanie Thomasa.

- Nieważne. Chodźmy.

Minho kiwnął głową, nadal nie patrząc mu w oczy. Potem uśmiechnął się, a to, co tak dogłębnie go trapiło, ustąpiło miejsca typowej dla niego niefrasobliwej pozie.

- Ogay. Jeśli jakiś zombiak zacznie mi się wgryzać w nogę, ratujcie mnie.

- Masz to jak w banku. - Thomas chciał, żeby przyjaciel się pospieszył. Przeczuiwał, że znajdują się na progu kolejnej wielkiej zmiany w całej tej idiotycznej podróży i nie chciał już odwlekać spraw ani chwili dłużej.

Minho pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Wąski pasek czerni zmienił się w szeroki prostokąt; w świetlicy było teraz równie ciemno, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wyszli ze swojego dormitorium. Minho przekroczył próg, a Thomas podążył za nim.

- Zaczekaj tutaj - szepnął Minho. - Nie ma sensu się znowu obijać o tych truposzy. Pójdę najpierw odszukać pstryczki od światła.

- Dlaczego właściwie je wyłączyli? - zapytał Thomas. - A w ogóle, to kto je wyłączył?

Minho obejrzał się na niego; światło z pokoju Arisa padło na jego twarz, ukazując usta wykrzywione w złośliwym uśmiešku.

- Stary, po co w ogóle próbujesz zadawać pytania? Nic tu się nigdy nie trzymało kupy i pewnie nigdy nie będzie. Teraz wylaksuj i stój spokojnie.

Szybko zniknął w ciemności. Thomas usłyszał jego kroki, wyciszone przez wykładzinę dywanową, oraz szmer dłoni przesuwającej się wzdłuż ściany, gdy szedł.

- Są! - zawołał Minho; jego głos dolatywał z mniej więcej tego miejsca co trzeba.

Rozległo się kilka pstryknięć, po czym sala rozjarzyła się światłami. Przez ułamek sekundy Thomas nie potrafił sobie uświadomić, co się tak radykalnie zmieniło w tej scenerii. Potem dotarło to do niego, i - jakby ta świadomość obudziła również jego pozostałe zmysły - chłopak pojął, że zniknął ohydny odór gnijących zwłok.

I teraz wiedział, dlaczego.

Ciała jakby rozpląły się w powietrzu; nie było żadnych, ale to żadnych śladów świadczących, że kiedykolwiek w ogóle tam były.

Minęło kilka sekund, zanim Thomas uświadomił sobie, że przestał oddychać. Zacerpnął głęboki haust powietrza, gapiąc się na pustą teraz salę. Żadnych opuchniętych trupów o sinej skórze. Żadnego smrodu.

Newt przepchnął się obok niego i wyszedł, nieznacznie utykając, aż na sam środek pokrytej wykładziną dywanową podłogi.

- To niemożliwe - oznajmił, obracając się powoli, spoglądając w górę, na sufit, z którego jeszcze kilka minut wcześniej zwisały się na sznurach zwłoki. - Nie upłynęło dostatecznie dużo czasu, żeby ktoś mógł stąd wynieść te ciała. Poza tym nikt nawet nie wchodził na tę pikoloną salę. Usłyszelibyśmy go!

Thomas dał krok pod ścianę i oparł się o nią, podczas gdy pozostali Streferzy i Aris wysypali się z małego dormitorium. Cała grupa zamilkła z podziwem i trwogą, w miarę jak kolejni jej członkowie zdawali sobie sprawę z tego, że wisielcy zniknęli. Thomas znowu poczuł odrętwienie, jakby był już niezdolny do dziwienia się czemukolwiek.

- Masz rację - zwrócił się Minho do Newta. - Byliśmy obok za zamkniętymi drzwiami przez ile minut, dwadzieścia? Nie ma szans, żeby ktokolwiek tak szybko zdążył usunąć tyle ciał. Poza tym to miejsce jest zamknięte na kłódkę od środka.

- Nie wspominając już o pozbyciu się smrodu - dorzucił Thomas. Minho kiwnął głową.

- Cóż, bardzo sprytne z was sztamaki - rzucił naburmuszonym tonem Patelniak. - Ale

rozejrzyjcie się. Zniknęli. Więc bez względu na to, co o tym sądzicie, jakimś sposobem się ich pozbyto.

Thomas nie miał ochoty się o to kłócić - czy nawet roztrząsać tej kwestii. Trupy zniknęły, no i co z tego? Widzieli już dziwniejsze rzeczy.

- Hej - odezwał się Winston. - Ci wariaci przestali się wydzierać.

Thomas wyprostował się, nasłuchiwał chwilę. Cisza.

- Sądziłem, że po prostu z pokoju Arisa ich nie słychać. Ale masz rację, przestali.

Wkrótce wszyscy biegli do większego dormitorium, położonego po przeciwnej stronie świetlicy. Thomas ruszył w ślad za pozostałymi, gnany ciekawością, chcąc jak najszybciej wyrzeć przez okno i zobaczyć, jak wygląda świat na zewnątrz. Wcześniej, kiedy Poparzeńcy wrzeszczeli i przyciskali twarze do krat, był zbyt przerażony, żeby się uważniej przyjrzeć.

- No nie! - ryknął z przodu Minhó, po czym bez dalszych wyjaśnień zniknął w dormitorium.

Zmierzając w tamtą stronę, Thomas spostrzegł, że wszyscy chłopcy wahają się przez sekundę na progu, z wyrazem osłupienia na twarzach, a potem wchodzi śmiało na salę. Począł, aż wszyscy Streferzy oraz Aris wepchną się do środka, następnie sam poszedł w ich ślady.

Poczuł taki sam szok, jakiego, sądząc po minach, doznali pozostali chłopcy. Pomieszczenie wyglądało z grubsza tak, jak wtedy, kiedy wcześniej zeń wychodzili. Jednakże była jedna olbrzymia różnica: w każdym z okien, bez wyjątku, tuż za żelazną kratą wzniesiona została ściana z cegieł, blokująca każdy centymetr wolnej przestrzeni. Jedyne źródło światła na sali stanowiły teraz panele na suficie.

- Nawet jeśli szybko się uwinęli z tymi ciałami - odezwał się Newt - to jest raczej pewne, że nie mieli czasu zamurować pikolonych okien. Co tu się, kurwa, dzieje?

Thomas patrzył, jak Minhó podchodzi do jednego z okien i wysuwa rękę przez kraty, żeby pomacać czerwone cegły.

- Twarde - powiedział, po czym klepnął w mur.

- W dodatku nie wygląda na świeżo wymurowane - mruknął Thomas, podchodząc, żeby samemu sprawdzić. Cegły były twarde i chłodne. - Zaprawa jest sucha. Jakimś sposobem oszukali nas, to wszystko.

- Oszukali nas? - spytał Patelniak. - Jak?

Thomas wzruszył ramionami. Znów ogarniało go odrętwienie. Nadal desperacko pragnął porozmawiać z Teresą.

- Nie wiem. Pamiętacie Urwisko? Skoczyliśmy w przepaść i wpadliśmy w

niewidzialny otwór. Kto wie, co jeszcze potrafią ci ludzie.

Dalsze pół godziny minęło nie wiedzieć kiedy. Podobnie jak pozostali, Thomas krążył z kąta w kąt, przypatrując się z bliska ceglanym ścianom oraz sprawdzając, co jeszcze się zmieniło. Zmian było kilka, jedna dziwniejsza od drugiej. Wszystkie łóżka w dormitorium Streferów zostały pościelone, nie było też ani śladu złachanych i brudnych ubrań, które chłopcy mieli na sobie, zanim przebrali się w dostarczone im poprzedniej nocy piżamy. Komody poprzesuwno, chociaż różnica była nieznaczna, a część osób upierała się, że wcale jej nie ma. W każdym razie w szufladach umieszczono świeżą odzież i buty, a także po nowym cyfrowym zegarku dla każdego z chłopców.

Ale największą zmianą była ta, którą odkrył Minh. Tabliczka przy drzwiach pokoju, gdzie znaleźli Arisa, nie głosiła już Teresa Agnes, Grupa A, Obiekt A1, Zdrajczyni, tylko Aris Jones, Grupa B, Obiekt B1, Partner.

Przyjrzawszy się nowej tabliczce, wszyscy odchodzili, tylko Thomas uświadomił sobie, że stoi w miejscu i nie jest w stanie oderwać od niej oczu. Miał poczucie, że nowa tabliczka w jakiś sposób oficjalnie potwierdziła stan rzeczy

- Teresa została mu odebrana, na jej miejsce zjawił się Aris. Nic z tego nie trzymało się kupy i nic już go nie obchodziło. Wrócił do dormitorium chłopców, znalazł prycę, na której spał poprzedniej nocy - a w każdym razie przypuszczał, że to ta - i położył się, zakrywając głowę poduszką, jakby to mogło sprawić, że pozostali odejdą.

Co stało się z Teresą? Co stało się z nimi? Gdzie byli? Co mieli zrobić? I te tatuaże...

Odwrócił w bok głowę, potem całe ciało, zacisnął oczy i objął się ramionami, podciągając nogi, aż leżał w pozycji płodu. Potem zdecydowany próbować tak długo, aż uzyska od niej odpowiedź, zawołał w myślach:

- Tereso? - Pauza. - Tereso? - Dłuższa pauza. - Tereso!

- Krzyknął to w umyśle, spinając z wysiłku całe ciało. - Tereso! Gdzie jesteś? Proszę, odpowiedz mi! Dlaczego nie próbujesz się ze mną skontaktować? Ter...

- Wynoś się z mojej głowy!

Słowa eksplodowały w jego umyśle, tak wyraźnie i gwałtownie rozbrzmiewając pod czaszką, że poczuł dżgnięcia bólu za oczami oraz w uszach. Usiadł na łóżku, potem wstał. To była ona. To z całą pewnością była ona.

- Tereso? - Przycisnął kciuki i palce wskazujące obu rąk do skroni. - Tereso?

- Kimkolwiek jesteś, smrodasie, wynoś się z mojej głowy! Thomas zatoczył się do tyłu, aż z powrotem usiadł na łóżku. Zamknął oczy, koncentrując się.

- Tereso, o czym ty mówisz? To ja, Thomas. Gdzie jesteś?

- Zamknij się!- To była ona, nie miał co do tego wątpliwości, ale jej mentalny głos drżał ze strachu i złości. - Po prostu się zamknij! Nie wiem, kim jesteś! Zostaw mnie w spokoju!

- Ale - zaczął Thomas, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć. - Tereso, co się stało?

Zanim odpowiedziała, zawahała się, jakby zbierając myśli, a kiedy wreszcie przemówiła, Thomas wyczuł jej niemal zatrważający spokój.

- Zostaw mnie w spokoju albo cię odnajdę i poderżnę ci gardło. Przysięgam.

A potem przepadła. Mimo ostrzeżenia spróbował raz jeszcze do niej zawołać, ale powróciła ta sama pustka, jaką czuł od rana; jej obecność zniknęła.

Thomas opadł na wznak na łóżko; w jego ciele płonęło coś okropnego. Pospieszenie ukrył twarz w poduszce i rozplakał się po raz pierwszy, odkąd zabito Chucka. Wciąż powracał myślami do napisu na tabliczce przy drzwiach Teresy. Zdrajczynie. Za każdym razem odpychał od siebie to słowo.

Zadziwiające, ale nikt go nie zaczepiał ani nie pytał, co się stało. Jego stłumione szlochanie w końcu przycichło i już tylko od czasu do czasu chwycił głośniejszy oddech. W końcu zasnął. I znowu zaczął śnić.

Tym razem jest troszkę starszy, ma przypuszczalnie około siedmiu czy ośmiu lat. Wściekle jaskrawe światło unosi się nad jego głową, jakby za sprawą czarów.

Ludzie w dziwnych zielonych kombinezonach i śmiesznych okularach przypatrują mu się uparcie, ich głowy raz po raz przesłaniają padający z góry blask. Thomas widzi ich oczy, ale nic poza tym. Ich usta oraz nosy zasłonięte są maskami.

Thomas jakimś sposobem jest jednocześnie sobą w tamtym wieku oraz, tak jak wcześniej, kimś patrzącym z boku. Ale czuje strach chłopca.

Ludzie rozmawiają, ich głosy są stłumione i matowe. Niektóre należą do mężczyzn, inne do kobiet, ale nie potrafi rozróżnić, które są czyje i kto jest kim.

Nie rozumie zbyt wiele z całej rozmowy.

Tylko migawki. Fragmenty konwersacji. Wszystkie go przerażają.

- Będziemy musieli podrażnić głębiej, i w jego przypadku, i w przypadku dziewczyny.

- Czy ich mózgi sobie z tym poradzą?

- To niewiarygodne, wiecie? Pożoga w nim siedzi.

- Może umrzeć.

- Gorzej. Może też przeżyć.

Thomas słyszy jeszcze jedną, ostatnią rzecz; nareszcie coś, co nie przyprawia go o dreszcz odrazy ani strachu.

- Lub też on i pozostali mogą nas ocalić. Ocalić nas wszystkich.

Kiedy się zbudził, miał wrażenie, że ktoś wbił mu młotkiem kilka ostrych odłamków lodu przez uszy do mózgu. Krzywiąc się, chłopak sięgnął do oczu, żeby je przetrzeć, a wtedy uderzyła go fala mdłości, od której cały pokój wydawał się kołysać. Potem przypomniał sobie okropne rzeczy, które powiedziała Teresa, potem to, o czym śnił, i ogarnęło go głębokie przygnębienie. Kim byli ci ludzie? Czy to była prawda? Co mieli na myśli, kiedy mówili te straszne rzeczy o jego mózgu?

- Cieszę się, że nadal potrafisz sobie uciąć drzemkę.

Thomas zaryzykował spojrzenie przez zmrużone powieki i zobaczył, że przy jego łóżku stoi Newt, gapiąc się na niego z góry.

- Ile czasu minęło? - spytał Thomas, siłą woli spychając myśli o Teresie oraz śnie - czy też wspomnieniu? - w ciemny kąt umysłu. Później będzie się tym zadręczał.

Newt spojrział na zegarek.

- Parę godzin. Kiedy ludzie zobaczyli, że się położyłeś, to ich wręcz trochę uspokoiło. Niewiele możemy zrobić poza siedzeniem i czekaniem, aż wydarzy się coś nowego. Z tego miejsca nie ma jak się wydostać.

Z trudem powstrzymując się od jęku, Thomas dźwignął się do pozycji siedzącej, opierając się plecami o ścianę za wezgłowiem łóżka.

- A w ogóle to mamy coś do jedzenia?

- Nie. Ale jestem pewien, że ci ludzie nie zadaliby sobie tyle trudu, żeby nas tutaj sprowadzić, oszukiwać nas czy co tam jeszcze zrobili, tylko po to, żeby nam pozwolić potem zdechnąć z głodu. Coś się wydarzy. To mi trochę przypomina, jak wysłali nas do Strefy na samym początku. Zupełnie pierwszą grupę, mnie, Alby ego, Minho i kilku innych. Pierwszych Streferów. - Ostatnie słowa wyrzekł z dość wyraźną nutą sarkazmu.

Thomas poczuł się zaintrygowany, zaskoczony, że nigdy wcześniej nie próbował drążyć tematu, pytać, jak to wyglądało.

- Dlaczego ta sytuacja przypomina ci tamtą?

Wzrok Newta skupiony był na ceglanym murze za najbliższym oknem.

- Wszyscy obudziliśmy się w środku dnia. Leżeliśmy na ziemi wokół drzwi do Pudła. Były zamknięte. Wszystkim nam wymazano pamięć, tak jak tobie, kiedy do nas przybyłeś. Zdziwiłbyś się, jak szybko zebraliśmy się do kupy i przestaliśmy panikować. Było nas mniej więcej trzydziestu. Oczywiście za cholerę nie wiedzieliśmy, co się stało, skąd się tam wzięliśmy i co mamy robić. I byliśmy przerażeni, dezorientowani. Ale ponieważ wszyscy znaleźliśmy się po uszy w tym samym klumpie, zorganizowaliśmy się i szybko

rozkminiliśmy, co i jak. W ciągu kilku dni rozkręciliśmy farmę, każdy dostał swoją robotę i poszło.

Thomas z ulgą stwierdził, że bolesne wiercenie w czaszce osłabło. Z zaciekawieniem słuchał o początkach Strefy - rozsypane fragmenty układanki sprowadzone przez Przemianę nie wystarczyły, żeby dało się z nich poskładać coś choćby przypominającego spójne wspomnienia.

- Czy wszystko, co przygotowali Stwórcy, było już wtedy na miejscu? Pola uprawne, zwierzęta, wszystko?

Newt kiwnął głową, nadal gapiąc się w zamurowane okno.

- Tak, ale musieliśmy się naharować jak woły, żeby wszystko wreszcie zaczęło funkcjonować jak należy. Mnóstwo kombinowania metodą prób i błędów, zanim udało się nam cokolwiek osiągnąć.

- No więc... dlaczego ta sytuacja przypomina ci tamtą? - zapytał raz jeszcze Thomas.

Newt w końcu popatrzył na niego.

- Wydaje mi się, że wtedy wszyscy mieliśmy poczucie, że musi istnieć jakiś powód, dla którego nas tam wysłano. Gdyby ktoś chciał nas zabić, to czemu po prostu tego nie zrobił? Czemu miałby nas wysyłać na olbrzymią farmę z domem, stodołą i zwierzętami? A ponieważ nie mieliśmy innego wyjścia, zaakceptowaliśmy ten stan rzeczy, zaczęliśmy pracować i eksplorować.

- Ale tutaj już zakończyliśmy eksplorowanie - zauważył Thomas. - Nie ma zwierząt, nie ma jedzenia, nie ma Labiryntu.

- Tak, ale popatrz tylko. To ta sama koncepcja. Jest oczywiste, że znaleźliśmy się tutaj w jakimś cholernym celu. W końcu rozkminimy, co to za cel.

- O ile wcześniej nie umrzemy z głodu.

Newt wskazał łazienkę.

- Mamy mnóstwo wody, więc zanim padniemy trupem, minie przynajmniej kilka dni. Coś się wcześniej wydarzy.

W głębi serca Thomas uważał tak samo, a spierał się z kolegą tylko po to, aby utwierdzić się w tym przekonaniu.

- Ale co z tymi wszystkimi martwymi ludźmi, których widzieliśmy? Może naprawdę nas uratowali, zostali zabici, a teraz mamy przerąbane. Może w założeniu mieliśmy coś zrobić, ale teraz wszystko się rypnęło i zostawiono nas tutaj, żebyśmy wyzdychali.

Newt wybuchnął śmiechem.

- Ależ z ciebie czarnowidz, krótasie. Nie, patrząc na te czarymary ze znikającymi

zwłokami i zamurowanymi oknami, powiedziałbym, że to raczej coś takiego, jak Labirynt. Dziwnego i niemożliwego do wytłumaczenia. Najnowsza i największa zagadka. Może nasz następny test, kto wie. Cokolwiek się tu dzieje, mamy szansę, tak jak w cholernym Labiryncie. Gwarantuję ci to.

- Taa - mruknął Thomas, zastanawiając się, czy powinien opowiedzieć o tym, co mu się przyśniło. Postanowił zachować to na później. Odrzekł tylko: - Mam nadzieję, że masz rację. Jeśli tylko nagle nie pojawią się tu Bóldożercy, jakoś damy sobie radę.

Newt zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Thomas skończył mówić.

- Błagam, chłopie. Cholera jasna, odpukaj w niemalowane. Gotowi nam jeszcze przysłać coś gorszego.

W głowie Thomasa pojawił się obraz Teresy i chłopakowi nagle odechciało się rozmów. Zmusił się jedynie, żeby odpowiedzieć:

- I kto teraz jest optymistą?

- Punkt dla ciebie - odparł Newt, po czym wstał. - Chyba pójde podreżyc kogoś innego, aż coś zacznie się dziać. I lepiej, żeby to było szybko, cholera. Głodny jestem.

- Teraz ty odpukaj w niemalowane.

- Ogay.

Newt odszedł, a Thomas osunął się na wznak, gapiąc się na spód górnego łóżka. Po jakimś czasie zamknął oczy, ale kiedy w mroku swoich myśli ujrzał twarz Teresy, natychmiast znowu je otworzył. Jeżeli miał jakoś przetrwać to wszystko, musiał spróbować na razie o niej zapomnieć.

Głód.

Jest jak uwięzione w tobie zwierzę, myślał Thomas. Po trzech pełnych dniach bez jedzenia zdawało mu się, że rozwścieczone drapieżne zwierzę o tępych pazurach próbuje wydrapać sobie drogę na zewnątrz z jego żołądka. Czuł je w każdej sekundzie każdej minuty każdej godziny. Pił wodę z umywalek w łazience tak często, jak tylko się dało, ale nie pomagało to ani trochę w poskromieniu bestii. Jeśli już, miał wrażenie, że tylko dodaje jej siły, żeby mogła go tym skuteczniej gnębić.

Inni też to czuli, nawet jeśli większość cierpiała w milczeniu. Thomas patrzył, jak chodzą ze zwieszonymi głowami i rozchylonymi ustami, jakby każdy krok wymagał spalenia tysiąca kalorii. Ludzie często oblizywali wargi. Chwyтали się za brzuchy, przyciskali je, jakby starając się uspokoić tę nękającą ich bestię. Jeśli nie szli do toalety albo napić się z umywalki, Streferzy w ogóle się nie poruszali. Podobnie jak Thomas, po prostu leżeli bezwładnie na piętrowych łóżkach. Błdzi, z zapadniętymi oczami.

Thomas odczuwał to wszystko jak wzmagającą się chorobę, a patrzenie na pozostałych tylko pogarszało sprawę, przypominając dobitnie, że to nie jest coś, co można po prostu zignorować. Że wszystko dzieje się naprawdę, a śmierć czeka tuż za rogiem.

Niemrawy sen. Łazienka. Woda. Dowlec się z powrotem do łóżka. Niemrawy sen - już bez żadnych obrazów z przeszłości. Te czynności stały się straszliwym cyklem, przerywanym tylko myślami o Teresie. Ostre słowa, jakie cisnęła mu w twarz, były jedynym, co mu choć trochę osładzało perspektywę śmierci. Teresa stanowiła dla niego jedyne źródło nadziei po Labiryncie i po śmierci Chucka. A teraz zniknęła, nie było żywności i minęły trzy długie dni.

Głód. Cierpienie.

Odechciało mu się już spoglądać na zegarek - sprawiało to tylko, że czas włókł się jeszcze wolniej, i przypominało jego organizmowi o tym, ile czasu minęło, odkąd ostatnio jadł - ale zdawało mu się, że jest mniej więcej środek popołudnia trzeciego dnia, kiedy ze świetlicy nagle zaczęło dobiegać buczenie.

Thomas zagapił się na prowadzące tam drzwi, wiedząc, że powinien wstać i sprawdzić, co się dzieje. Ale jego umysł zaczął już odpływać w jedną z tych mglistych, płytkich drzemek, świat naokoło zamazywał się.

Może tylko sobie wyobraził ten dźwięk. Ale potem usłyszał go znowu.

Nakazał sobie wstać.

Zamiast tego zasnął.

- Thomas.

To był głos Minho. Słaby, ale silniejszy niż wtedy, kiedy Thomas ostatnio go słyszał.

- Thomas. Obudź się, stary.

Thomas otworzył oczy, zaskoczony, że przetrwał kolejną drzemkę i nie umarł. Przez sekundę wszystko wokół było zamazane, i z początku nie mógł uwierzyć, że to, co wydawało się znajdować tylko kilkanaście centymetrów od jego twarzy, istnieje naprawdę. Ale potem kontur tego czegoś wyostrzył się, i okrągły, czerwony kształt z zielonymi plamkami rozsianymi na gładkiej, błyszczącej powierzchni sprawił, że chłopak poczuł się tak, jakby patrzył na raj.

Jabłko.

- Skąd to... - Nie dokończył, już te dwa słowa sprawiły, że opadł z sił.

- Po prostu je zjedz - powiedział Minho, a potem rozległo się soczyste chrupnięcie.

Thomas podniósł wzrok i zobaczył, że przyjaciel gryzie własne jabłko. Zbierając ostatnie resztki energii, jakie był w stanie jeszcze z siebie wykrzesać, uniósł się na łokciu i

chwycił owoc leżący na łóżku. Podniósł go do ust i nadgryzł. Eksplozja smaku i soku była cudownym doznaniem.

Z jękiem zaatakował resztę jabłka i pożarł je, zostawiając tylko ogryzek, zanim jeszcze Minhó zdążył skończyć swoje - mimo że to on zaczął jeść pierwszy.

- Wylaksuj, chłopie, nie szarżuj - powiedział Minhó. - Jak będziesz tak żarł, to zaraz wszystko z powrotem wyrzucasz. Tu masz drugie, tym razem spróbuj jeść wolniej.

Podał Thomasowi drugie jabłko. Ten wziął je, nie dziękując, i odgryzł wielki kęs. W miarę jak żuł, tym razem nakazując sobie przełknąć, zanim wepchnie do ust kolejny kawałek, uświadomił sobie, że czuje, jak przez jego ciało zaczynają płynąć pierwsze strumyczki energii.

- Jakie to dobre - wymamrotał. - Ja pikolę, jakie to dobre.

- Kiedy próbujesz gadać jak Strefer, nadal brzmisz jak krety - odparł Minhó, po czym odgryzł kolejny kęs swojego jabłka. Thomas zignorował go.

- Skąd one się wzięły?

Minhó przestał na moment żuć, potem zaczął znowu.

- Znaleźliśmy je w świetlicy. A oprócz nich... coś jeszcze. Sztamacy, którzy się na to wszystko natknęli, zaklinają się, że kiedy patrzyli kilka minut wcześniej, nic tam nie było. A niech im będzie, mam to gdzieś.

Thomas przewiesił nogi przez krawędź łóżka i usiadł.

- Co jeszcze znaleźli?

Minhó odgryzł kęs jabłka, po czym skinął głową w stronę drzwi.

- Idź i sam zobacz.

Thomas przewrócił oczami i powoli wstał. Gnębiąca go słabość nie zniknęła; czuł się tak, jakby coś wyssało z niego większość wnętrzości, pozostawiając jedynie szkielet i spajające go ścięgna, dzięki którym mógł się utrzymać na nogach. Jednakże zdołał stanąć prosto, już teraz, po kilku sekundach czując, że jest w lepszym stanie niż wtedy, kiedy ostatnio pokonywał długą i mozolną drogę do łazienki.

Kiedy doszedł do wniosku, że jest w stanie iść nie przewracając się, podszedł do drzwi i wkroczył do świetlicy. Zaledwie trzy dni wcześniej pomieszczenie to było pełne trupów - teraz tłoczyli się tam Streferzy, wybierając różne rzeczy z wielkiej sterty jedzenia, która najwyraźniej została wysypana bez ładu i składu. Owoce, warzywa, małe opakowania.

Thomas zaledwie zdążył to zarejestrować, kiedy jego uwagę przykuł jeszcze dziwniejszy widok po drugiej stronie pomieszczenia. Chłopak wyciągnął rękę, żeby się oprzeć o ścianę, którą miał za plecami.

Naprzeciw drzwi do drugiego dormitorium ustawiono duże drewniane biurko.

Za biurkiem siedział na krześle chudy mężczyzna w białym garniturze. Nogi oparł na blacie, krzyżując je w kostkach.

Mężczyzna czytał książkę.

Thomas stał tak dobrą minutę, gapiąc się na człowieka, który siedział sobie za biurkiem jakby nigdy nic i czytał. Jakby zwykł siadywać i czytać w tym właśnie miejscu dzień w dzień przez całe swoje życie. Rzadkie czarne włosy zaczesane tak, żeby ukrywać bladą łysinę; długi nos, nieznacznie przekrzywiony w prawo; wreszcie ruchliwe brązowe oczka, zerkające to tu, to tam w miarę czytania - mężczyzna jakimś sposobem wyglądał na zrelaksowanego i zdenerwowanego równocześnie.

I ten biały garnitur. Spodnie, koszula, krawat, marynarka. Skarpetki. Buty. Wszystko białe.

Co u licha?

Thomas popatrzył na Streferów, którzy chrupali owoce oraz zawartość woreczków wyglądającą jak mieszanka orzechów i nasion. Zdawało się, że kompletnie nie zwracają uwagi na człowieka za biurkiem.

- Kim jest ten gość? - zawołał Thomas, nie kierując tego pytania do nikogo w szczególności.

Jeden z chłopców podniósł wzrok, na sekundę przestając żuć. Potem szybko uporał się z kęsem, który miał w ustach, i przełknął.

- Nie chce nam nic powiedzieć. Powiedział, że mamy czekać, aż będzie gotów. - Chłopiec wzruszył ramionami, jakby mu to nie robiło większej różnicy, i ugryzł kolejny kęs obranej pomarańczy.

Thomas znów popatrzył na nieznajomego. Ten wciąż siedział na tym samym miejscu, nadal pogrążony w lekturze. Z szelestem przewrócił stronę i dalej wodził wzrokiem po zdaniach.

Zdumiony i z burczącym żołądkiem, domagającym się większej ilości jedzenia, Thomas mimo wszystko nie mógł się powstrzymać i ruszył w kierunku nieznajomego, żeby zbadać sprawę. Ze wszystkich dziwnych rzeczy, jakie można odkryć po przebudzeniu...

- Uważaj! - zawołał jeden ze Streferów, ale było za późno.

Zaledwie trzy metry od biurka Thomas zderzył się z niewidzialną ścianą. Najpierw rąbnął nosem w to coś, co przypominało zimną taflę szkła. Potem również reszta jego ciała odbiła się od tego niewidocznego muru, sprawiając, że chłopak zatoczył się do tyłu. Instynktownie podniósł rękę, żeby pomasować nos, mrużąc oczy, by sprawdzić, jakim cudem

nie zauważył szklanej bariery.

Jednakże bez względu na to, jak uważnie się wpatrywał, nie był w stanie niczego zobaczyć. Nawet najlżejszego odbłasku czy odbicia, nigdzie najmniejszej smużki. Widział tylko powietrze. Przez ten czas mężczyzna nie raczył się choćby poruszyć czy dać w jakikolwiek sposób do zrozumienia, że coś zauważył.

Thomas ponownie spróbował się zbliżyć do biurka, tym razem wolniej, wyciągając ręce przed siebie. Wkrótce natrafił na tę ścianę z całkowicie niewidzialnego... czego? Przypominało to szkło - gładkie, twarde i chłodne w dotyku. Ale nie widział zupełnie nic, co wskazywałoby, że znajduje się tam jakaś substancja stała.

Sfrustrowany Thomas podszedł kawałek w lewo, potem w prawo, cały czas przesuwając dłońmi wzdłuż niewidocznej, lecz twardej ściany. Rozciągała się przez całą szerokość pomieszczenia - nie było żadnego sposobu, żeby podejść do nieznanego siedzącego przy biurku. Thomas w końcu zaczął w nią walić pięściami, ale seria głuchych uderzeń też nie przyniosła żadnego efektu. Niektórzy ze znajdujących się za nim Streferów, w tym Aris, oznajmili, że już tego próbowali.

Dziwnie ubrany jegomość znajdujący się zaledwie niecałe cztery metry od niego westchnął teatralnie, zdjął skrzyżowane nogi z blatu biurka i pozwolił im opaść na ziemię. Przycisnął stronę palcem, żeby zaznaczyć sobie, do którego miejsca doczytał, i podniósł wzrok na Thomasa, nie kryjąc rozdrażnienia.

- Ile razy muszę to powtarzać? - przemówił; jego nosowy głos idealnie pasował do bladej skóry, rzadkich włosów oraz chudego ciała. I do tego garnituru. Tego głupiego białego garnituru. Co dziwne, bariera w ogóle nie tłumiała jego głosu. - Mamy jeszcze czterdzieści siedem minut, zanim uzyskam autoryzację, żeby wdrożyć Fazę Drugą Prób. Proszę, okażcie cierpliwość i zostawcie mnie w spokoju. Czas ten został wam dany, żebyście mogli się najeść i odzyskać siły, i stanowczo sugeruję, abyś go odpowiednio wykorzystał, młody człowieku. A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Nie czekając na odpowiedź, odchylił się do tyłu na krześle i z powrotem oparł stopy o blat. Potem, otworzywszy książkę w zaznaczonym miejscu, powrócił do lektury.

Thomasowi zupełnie odebrało mowę. Odwrócił się od mężczyzny za biurkiem i oparł się o niewidzialną ścianę, przyciskając plecy do twardej powierzchni. Co się właśnie stało? Z pewnością wciąż jeszcze spał i śnił. Z jakiegoś powodu odniósł wrażenie, że sama ta myśl zwielokrotniła jego głód, i spojrzał tęsknie w stronę sterty pożywienia. Potem zauważył, że Minho stoi przy drzwiach dormitorium z założonymi rękami, opierając się o framugę.

Thomas wskazał kciukiem przez ramię i uniósł brwi.

- Co, spotkałeś naszego nowego przyjaciela? - odparł Minho, a jego twarz przeciął złośliwy uśmieszek. - Niezły agent z tego gościa. Purwa, muszę sobie sprawić taki gajerek. Ciuszki pierwsza klasa.

- Czy ja śnię? - spytał Thomas.

- Nie śnisz. Teraz jedz, wyglądasz okropnie. Prawie równie źle, co ten tam Szczurowaty ze swoją książeczką.

Thomas był zaskoczony tym, jak szybko udało mu się przejść do porządku dziennego nad dziwnością typu w białym garniturze, który pojawił się znikąd, oraz niewidzialnej ściany. Znowu to odrętwienie, jakże znajome. Po pierwszym szoku już nic nie wydawało się dziwne. Wszystko mogło się stać normalne. Odpychając to wszystko, powlókł się w stronę żywności i zaczął jeść. Jeszcze jedno jabłko. Pomarańcza. Woreczek mieszanych orzechów, potem lepący się do zębów baton ze słodkiego muesli i rodzynek. Jego ciało błagało o wodę, ale na razie nie mógł się zmusić do tego, żeby pójść się napić.

- Powinieneś spasować, stary - odezwał się za nim Minho.

- Mnóstwo sztamaków już rzyga, bo za dużo zjedli. Chyba starczy tego dobrego.

Thomas wstał, rozkoszując się uczuciem pełnego żołądka. Wcale nie tęskniąc za tą drapieżną bestią, która tak długo mieszkała w jego wnętrzu. Wiedział, że Minho ma rację

- musiał spasować. Skinął przyjacielowi głową, po czym minął go, żeby pójść się napić, cały czas zastanawiając się, co takiego może ich czekać, gdy człowiek w białym garniturze będzie już gotów do wdrożenia „Fazy Drugiej Próby”.

Cokolwiek to znaczyło.

Pół godziny później Thomas siedział na podłodze wraz z resztą Streferów. Po prawej miał Minho, po lewej Newt. Wszyscy usadowili się twarzami do niewidzialnej ściany oraz łasicowatego człowieczka siedzącego przy biurku za nią. Stopy nadal miał oparte o blat, a jego wzrok wędrował po stronach książki. Thomas czuł wzbierającą w ciele cudowną falę powracającej energii i sił.

Nowy dzieciak, Aris, posłał mu wcześniej dziwne spojrzenie w łazience, jakby miał ochotę się z nim skomunikować telepatycznie, ale bał się to zrobić. Thomas zignorował go, szybko podszedł do umywalki i łapczywie wypił tyle wody, ile mógł jeszcze zmieścić w pełnym żołądku. Kiedy skończył i otarł usta rękawem, Arisa już nie było. Teraz siedział pod ścianą, wpatrując się w podłogę. Thomasowi zrobiło się go żal - bez względu na to, w jak złej sytuacji znaleźli się Streferzy, Aris miał gorzej. Zwłaszcza jeśli był tak blisko związany z tą zamordowaną dziewczyną, o której wspomniał, jak Thomas z Teresą.

Minho pierwszy przerwał milczenie.

- Myślę, że wszystkim nam odwaliło tak, jak tym... jak oni na siebie mówią? Poparzeńcom. Tym Poparzeńcom na zewnątrz. Siedzimy tu wszyscy, czekając na wykład Szczurowatego, jakby było to zupełnie normalne. Jakbyśmy byli w jakiejś szkole. Powiem wam jedno - gdyby miał do powiedzenia coś dobrego, nie musiałby się chować za pikoloną magiczną ścianą, co nie?

- Po prostu wylaksuj i słuchaj - odrzekł Newt. - Może okaże się, że to już koniec wszystkich kłopotów.

- Taa, jasne - odparł Minho. - A Patelniak dochowa się dzieciaczków, Winston pozbędzie się tych masakrycznych krost na pysku, zaś obecny tu Thomas po raz pierwszy w życiu się uśmiechnie.

Thomas odwrócił się do Minho i posłał mu przerysowany, teatralny uśmiech.

- Masz, zadowolony?

- Stary - odparł tamten - brzydki jesteś jak fuj.

- Zawrzyjcie te cholerne japy - szepnął Newt. - Zdaje się, że już czas.

Thomas podniósł wzrok i zobaczył, że obcy - Szczurowaty, jak nieźycżliwie ochrzcił go Minho - zestawiał stopy na podłogę i odłożył książkę na biurko. Odsunął krzesło do tyłu, żeby mieć lepszy widok na jedną z szuflad, po czym wyciągnął ją i zaczął grzebać w niewidocznej dla Thomasa zawartości. W końcu wyciągnął szary tekturowy folder, ciasno wypchany papierami, z których wiele miało pozaginane rogi i wystawało pod dziwnym kątem.

- O proszę, jest - powiedział Szczurowaty swoim nosowym głosem; następnie zaś położył folder na biurku, otworzył go i popatrzył na siedzących przed nim chłopców. - Dziękuję, że byliście uprzejmi się tutaj zgromadzić, żebym mógł wam przekazać to, co... zgodnie z instrukcjami mam wam przekazać. Słuchajcie uważnie, proszę.

- Po co ci ta ściana?! - wykrzyknął Minho.

Newt wyciągnął rękę, omijając Thomasa, i uderzył bezczelnego kolegę pięścią w ramię.

- Zamknij się!

Szczurowaty kontynuował, jakby niczego nie usłyszał.

- Wciąż jeszcze tu jesteście dzięki, między innymi, niezwyklej woli przetrwania wbrew wszelkim przeciwnościom. Do Strefy zesłano około sześćdziesięciu osób. No, ściślej mówiąc, do waszej Strefy. Plus drugie sześćdziesiąt w Grupie B, ale zapomnijmy o nich póki co.

Spojrzenie mężczyzny na chwilę pobiegło ku Arisowi, potem wznowiło powolną

wędrówkę wzdłuż zebranych. ThoThomas odwrócił się do Minho i posłał mu przerysowany, teatralny uśmiech.

- Masz, zadowolony?

- Stary - odparł tamten - brzydki jesteś jak fuj.

- Zawrzyjcie te cholerne japy - szepnął Newt. - Zdaje się, że już czas.

Thomas podniósł wzrok i zobaczył, że obcy - Szczurowaty, jak niezyczliwie ochrzcił go Minho - zestawiał stopy na podłogę i odłożył książkę na biurko. Odsunął krzesło do tyłu, żeby mieć lepszy widok na jedną z szuflad, po czym wyciągnął ją i zaczął grzebać w niewidocznej dla Thomasa zawartości. W końcu wyciągnął szary tekturowy folder, ciasno wypchany papierami, z których wiele miało pozaginane rogi i wystawało pod dziwnym kątem.

- O proszę, jest - powiedział Szczurowaty swoim nosowym głosem; następnie zaś położył folder na biurku, otworzył go i popatrzył na siedzących przed nim chłopców. - Dziękuję, że byliście uprzejmi się tutaj zgromadzić, żebym mógł wam przekazać to, co... zgodnie z instrukcjami mam wam przekazać. Słuchajcie uważnie, proszę.

- Po co ci ta ściana?! - wykrzyknął Minho.

Newt wyciągnął rękę, omijając Thomasa, i uderzył bezczelnego kolegę pięścią w ramię.

- Zamknij się!

Szczurowaty kontynuował, jakby niczego nie usłyszał.

- Wciąż jeszcze tu jesteście dzięki, między innymi, niezwyklej woli przetrwania wbrew wszelkim przeciwnościom. Do Strefy zesłano około sześćdziesięciu osób. No, ściślej mówiąc, do waszej Strefy. Plus drugie sześćdziesiąt w Grupie B, ale zapomnijmy o nich póki co.

Spojrzenie mężczyzny na chwilę pobiegło ku Arisowi, potem wznowiło powolną wędrówkę wzdłuż zebranych. Thomas nie wiedział, czy ktoś jeszcze to dostrzegł, ale on sam był przekonany, że w tym szybkim zerknięciu kryła się nutka poufałości. Co oznaczała...?

- Spośród wszystkich tych osób jedynie pewien ułamek przeżył i znajduje się teraz tutaj. Zakładam, że do tej pory sami zdążyliście się już tego domyślić, ale wiele z tych rzeczy, które was spotykają, mają na celu wyłącznie ocenę oraz analizę waszych reakcji. Jednakże jest to nie tyle eksperyment, co próba skonstruowania... mapy. Stymulacja strefy zagłady i gromadzenie powstających w efekcie wzorów, aby poskładać je następnie w całość, uzyskując największy przełom w historii nauki oraz medycyny.

- Te sytuacje, w obliczu których jesteście stawiani; noszą nazwę Zmiennych i każda z

nich została starannie przemyślana. Wkrótce wyjaśnię to obszerniej. A chociaż w obecnej chwili nie mogę wam powiedzieć wszystkiego, koniecznie musicie wiedzieć jedno: próby, którym jesteście poddawani, mają bardzo ważny cel. Reagujcie dalej tak samo dobrze na Zmienne, przeżywajcie, a waszą nagrodą będzie świadomość, że przyczyniliście się do ocalenia całej ludzkości. Oraz, ma się rozumieć, siebie samych.

Szczurowaty zrobił pauzę, najwyraźniej dla podkreślenia wagi swoich słów. Thomas spojrzał na Minho, unosząc brwi.

- Ten gościu to się chyba z fujem na głowy zamienił - szepnął Minho. - W jaki sposób mielibyśmy ocalić ludzkość, uciekając z pikolonego labiryntu?

- Reprezentuję grupę o nazwie DRESZCZ - kontynuował Szczurowaty. - Wiem, że ta nazwa brzmi groźnie, ale to skrót od Departament Rozwoju Eksperymentów, Strefa Zamknięta: Czas Zakłady. Wbrew temu, co być może sądzicie, DRESZCZ nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Przyświeca nam jeden i tylko jeden cel: uratować świat od zagłady. Wy, obecni tutaj w tym pomieszczeniu, jesteście kluczową częścią tego, co planujemy zrobić. Dysponujemy zasobami, jakich nie posiadała nigdy żadna inna grupa w całej historii cywilizacji. Niemal nieograniczone możliwości finansowe, kapitał ludzki oraz technologia tak zaawansowana, że przekracza potrzeby i życzenia nawet najbardziej inteligentnego człowieka.

- W miarę pokonywania kolejnych etapów Prób widzieliście i będziecie widzieć przykłady osiągnięć tej technologii oraz zasobów, które za nią stoją. Jeśli mogę wam coś dzisiaj powiedzieć, to żebyście nigdy, przenigdy nie wierzyli własnym oczom. Ani własnemu umysłowi, skoro już o tym mowa. Dlatego właśnie przeprowadziliśmy tę demonstrację z wiszącymi ciałami oraz zamurowanymi oknami. Jedyne, co wam powiem, to że czasem to, co widzicie, nie jest prawdziwe, a czasem prawdziwe jest to, czego nie widzicie. Umiemy manipulować waszymi mózgami oraz narządami zmysłów, gdy jest to konieczne. Wiem, że wszystko to brzmi ogłupiająco i być może troszkę przerażająco.

Thomas pomyślał, że mężczyzna nie mógłby tego już ująć bardziej eufemistycznie. W dodatku w jego umyśle wciąż kołatała fraza: strefa zagłady. Jego ledwo wskrzeszone wspomnienia nie były w stanie mu powiedzieć, co to dokładnie znaczy, ale po raz pierwszy widział te słowa na metalowej tabliczce w Labiryncie, tej, na której widniało rozwinięcie akronimu DRESZCZ.

Mężczyzna wolno powiódł spojrzeniem po wszystkich zebranych w pomieszczeniu Streferach. Jego górna warga błyszczała od potu.

- Labirynt był częścią Prób. Wszystkie Zmienne, jakim was poddano, co do jednej,

były potrzebne do tego, żebyśmy mogli gromadzić wzory strefy zagłady. Wasza ucieczka była częścią Prób. Wasza bitwa z Bóldożercami. Zamordowanie małego Chucka. Rzekome wyratowanie i późniejsza podróż autobusem. To wszystko było częścią Prób.

Na wzmiankę o Chucku Thomas poczuł wzbierający gniew. Zanim się zorientował, co go naszło, już wstawał na nogi; Newt ściągnął go z powrotem na podłogę.

Jakby pobudziło go to do działania, Szczurowaty szybko wstał z krzesła, odsuwając je pod ścianę. Oparł ręce o biurko i pochylił się w stronę Streferów.

- Wszystko to było częścią Prób, rozumiecie? Dokładniej, ich Fazą Pierwszą. I nadal jesteśmy niebezpiecznie daleko od tego, czego potrzebujemy. W związku z tym zmuszeni byliśmy podnieść stawkę, i teraz nadszedł czas na Fazę Drugą. Czas, żeby zrobiło się naprawdę ciężko.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Thomas wiedział, że absurdalna sugestia, jakoby do tej pory mieli łatwo, powinna go wytrącić z równowagi. Taki pomysł powinien go przerazić. Nie wspominając już o gadaniu na temat manipulowania ich mózgami. Jednakże zamiast przerażenia czuł przemożną ciekawość - tak bardzo pragnął usłyszeć, co ten człowiek powie im za chwilę, że jego umysł zaledwie zarejestrował słowa, które padły do tej pory.

Szczurowaty czekał przez całą wieczność, potem powoli usiadł i z powrotem przysunął krzesło tak, żeby zająć miejsce za biurkiem.

- Możecie sądzić, lub też może wam się wydawać, że testujemy tylko waszą zdolność przeżycia. Ktoś patrzący z zewnątrz, powierzchownie, mógłby tak sklasyfikować Labirynt. Myliłby się jednak. Zapewniam was - w Próbach nie chodzi tylko o przetrwanie oraz wolę życia. Są one tylko częścią tego eksperymentu. Pełen obraz to coś, czego nie będzie wam dane zrozumieć aż do samego końca.

- Rozbłyśki słoneczne spustoszyły olbrzymie połacie Ziemi. Zarazem ludzkość dziesiątkowana jest przez chorobę niepodobną do czegokolwiek, co człowiek wcześniej znał - nazywamy ją Pożogą. Po raz pierwszy w historii rządy wszystkich krajów - tych, które przetrwały - działają razem. Połączyły siły, żeby utworzyć DRESZCZ: grupę mającą stawić czoła nowym problemom tego świata. Jesteście znaczącą częścią tej walki. I będziecie mieli bardzo silną motywację, żeby z nami współpracować, bo, jak z przykrością muszę wam oznajmić, każdy z was już zaraził się wirusem.

Szybko uniósł ręce, żeby uciszyć wzbierające na sali pomruki.

- Spokojnie! Nie ma potrzeby się bać - zanim Pożoga się rozwinie i pojawią się objawy, musi upłynąć trochę czasu. Jednakże na zakończenie Prób waszą nagrodą będzie wyleczenie, i nigdy nie doświadczycie... destrukcyjnych skutków tej choroby. Musicie

wiedzieć, że niewiele osób stać na wyleczenie z niej.

Dłoń Thomasa odruchowo powędrowała do gardła, jak gdyby pobołowanie tej części ciała było pierwszą oznaką zarażenia Pożogą. Aż za dobrze pamiętał, co powiedziała kobieta w autobusie misji ratunkowej po tym, jak opuścili Labirynt. Że Pożoga niszczy twój mózg, powoli doprowadzając cię do szaleństwa i odbierając zdolność odczuwania podstawowych ludzkich emocji, takich jak współczucie czy empatia. Że zmienia cię w coś gorszego niż zwierzę.

Pomyślał o Poparzeńcach, których widział przez okna dormitorium, i nagle zapragnął pobiec do łazienki, żeby wyszorować do czysta ręce oraz usta. Facet miał rację - wszyscy zostali skutecznie zmotywowani do tego, żeby chcieć zaliczyć tę fazę.

- Ale starczy tej lekcji historii i marnowania czasu - kontynuował Szczurowaty. - Już was znamy. Wszystkich. Nieważne, co wam powiem i co stoi za misją DRESZCZu. Wszyscy zrobicie, co tylko będzie trzeba. Nie mamy w tej kwestii żadnych wątpliwości. A robiąc to, czego od was zażądamy, ocalicie też samych siebie, zdobywając ten lek, którego desperacko pragnie tylu ludzi.

Thomas usłyszał obok siebie jęk Minho i wystraszył się, że kolega zaraz rzuci kolejną bezczelną odzywkę. Uciszył go syknięciem.

Szczurowaty popatrzył w dół, na niechlujną stertę papierów piętrzących się w otwartym folderze. Podniósł luźną kartkę i odwrócił, zaledwie przelotnie zerknąwszy na jej zawartość. Odchrząknął.

- Faza Druga. Próby Ognia. Oficjalnie zaczyna się jutro o szóstej rano. Wejdziecie do tego pomieszczenia i na ścianie za mną ujrzyście Płaski Przenoś. Dla waszych oczu Płaski Przenoś będzie wyglądał jak migocząca ściana szarości. Każdy z was musi przezeń przejść w ciągu pięciu minut. Powtarzam, przejście otworzy się o szóstej i zamknie się pięć minut później. Rozumiecie?

Thomas gapił się na Szczurowatego jak sparaliżowany. Czuł się prawie tak, jakby oglądał nagranie - jakby mężczyzny w rzeczywistości tam nie było. Pozostali Streferzy musieli się czuć podobnie, bo nikt nie odpowiedział na proste pytanie. Czym w ogóle był ten cały Płaski Przenoś?

- Jestem całkiem pewien, że mnie wszyscy słyszycie - powiedział Szczurowaty. - Czy... mnie... rozu... miecie?

Thomas kiwnął głową; kilku chłopców wokół niego wymamrotało ciche „mhm” oraz „tak”.

- To dobrze. - Szczurowaty z roztargnieniem podniósł następną karteczkę i odwrócił

ją. - Gdy znajdziecie się po drugiej stronie, Próby Ognia będą już w toku. Zasady są bardzo proste. Wydostańcie się na otwarty teren, potem przewedrujcie sto sześćdziesiąt kilometrów w prostej linii na północ. Jeśli dotrzecie do bezpiecznej przystani w ciągu dwóch tygodni, zaliczycie Fazę Drugą. Wtedy, i tylko wtedy, zostaniecie wyleczeni z Pożogi. Macie dokładnie dwa tygodnie - poczynając od sekundy, kiedy znajdziecie się po drugiej stronie Przejścia. Jeśli nie dacie rady dotrzeć do celu, prędzej czy później umrzecie.

W tym momencie sala powinna się wypełnić okrzykami, pytaniami, paniką. Ale nikt nie powiedział ani słowa. Thomas czuł się tak, jakby język mu usechł, zmieniając się w stary, zaskorupiały korzeń.

Szczurowaty szybko zatrzasnął teczkę, gniotąc jej zawartość jeszcze bardziej niż przedtem, po czym odłożył ją do tej samej szuflady, z której ją wyjął. Wstał, dał krok w bok i przysunął krzesło do biurka. Wreszcie splótł ręce przed sobą i ponownie spojrzał na Streferów.

- Tak naprawdę to proste - oznajmił tak rzeczowym tonem, jakby właśnie udzielił im instrukcji, jak odkręcać wodę pod prysznicami w łazience. - Nie ma żadnych zasad. Nie ma żadnych wytycznych. Macie niewiele zapasów i nie ma nic, co mogłoby wam pomóc po drodze. Przejdźcie przez Płaski Przenoś we wskazanym czasie. Znajdźcie otwartą przestrzeń. Przewedrujcie sto sześćdziesiąt kilometrów dokładnie na północ, do bezpiecznej przystani. Kto nie dotrze do celu, zginie.

Zdawało się, że ostatnie słowo wreszcie wyrwało wszystkich z osłupienia. Wszyscy zaczęli gadać jednocześnie.

- Co to takiego, ten Płaski Przenoś?

- Jak zaraziliśmy się Pożogą?

- Ile czasu minie, zanim pojawią się objawy?

- Jak już przejdziemy tych sto sześćdziesiąt kilometrów, to co znajdziemy?

- Co się stało z wisielcami?

Pytanie za pytaniem, cały chór pytań, zlewających się w jeden ogłuszający zgielk. Thomas nie uznał za stosowne się odezwać. Obcy nie zamierzał im udzielić żadnych wyjaśnień. Nie widzieli tego?

Szczurowaty czekał cierpliwie, ignorując ich. Jego ciemne oczka prześlizgiwały się od jednego Strefera do drugiego, podczas gdy harmider nie milkł. W końcu spojrzenie mężczyzny zatrzymało się na Thomasie, który siedział w milczeniu, odwzajemniając jego wzrok, nienawidząc go. Nienawidząc DRESZCZu. Nienawidząc świata.

- Ej, ślamajdy, zamknijcie japy! - krzyknął w końcu Minho. Pytania natychmiast

ucichły. - Ten smrodas wam nie odpowie, więc przestańcie marnować czas!

Szczurowaty skinął głową w stronę Minho, jakby mu dziękując. Może chwalać jego rozsądek.

- Sto sześćdziesiąt kilometrów. Na północ. Mam nadzieję, że wam się uda. Pamiętajcie - wszyscy jesteście teraz chorzy na Pożogę. Zaraziliśmy was wirusem, żeby dostarczyć motywacji, której być może mogłoby wam brakować. A dotarcie do celu oznacza, że otrzymacie lek. - Odwrócił się i podszedł do ściany, jakby zamierzał przez nią przejść. Nagle jednak zatrzymał się i ponownie zwrócił ku nim.

- Ach, jeszcze jedna, ostatnia rzecz - powiedział. - Nie myślcie czasem, że unikniecie Prób Ognia, jeśli postanowicie nie wkroczyć w Płaski Przenoś jutro rano między szóstą a szóstą pięć. Ci, którzy tam nie wejdą, zostaną natychmiast zabici w bardzo... nieprzyjemny sposób. Lepiej będzie dla was, jeśli stawicie czoła światu na zewnątrz. Życzę wam wszystkim powodzenia.

Z tymi słowami odwrócił się i raz jeszcze, nie wiedząc czemu, ruszył w stronę ściany.

Zanim jednak Thomas mógł zobaczyć, co się stało, rozdzielająca ich niewidzialna ściana zaczęła mętnieć, aż zbieleła, zupełnie tracąc przezroczystość. A potem zniknęła, raz jeszcze odsłaniając przeciwległy koniec świetlicy.

Tyle że teraz nie było już śladu biurka oraz krzesła. I ani śladu Szczurowatego.

- Ja pikolę - szepnął Minho obok Thomasa.

Salę raz jeszcze wypełniły pytania oraz gniewne okrzyki Streferów, ale Thomas wyszedł. Potrzebował trochę przestrzeni i wiedział, że łazienka jest teraz jedynym miejscem, gdzie mógłby się schować. Zamiast skierować się do dormitorium chłopców, poszedł więc do tej łazienki, z której korzystała Teresa, a potem Aris. Oparł się o umywalkę, splatając ramiona na piersi, i zagapił się na podłogę. Na szczęście nikt nie wszedł tam w ślad za nim.

Nie wiedział, od czego zacząć roztrząsanie tych wszystkich informacji. Trupy zwieszające się z sufitu, cuchnące śmiercią i zgnilizną, które znikają bez śladu w ciągu kilku minut. Nieznajomy - razem ze swoim biurkiem! - pojawia się znikąd, wraz z niewidoczną ścianą, która go chroni. A potem również znika.

A to były doprawdy najmniejsze z ich zmartwień. Stało się jasne, że ekspedycja ratunkowa, która ocaliła ich z Labiryntu, została upozorowana. Ale kim były pionki, których DRESZCZ użył, żeby wyciągnąć Streferów z budynku Stwórców, wsadzić ich do autobusu i przywieźć tutaj? Czy ci ludzie wiedzieli, że zostaną zabici? Czy w ogóle zostali zabici? Szczurowaty powiedział, żeby nie ufali swoim oczom ani mózgom. Jak w ogóle mogli jeszcze w cokolwiek wierzyć?

A najgorsze było to, co powiedział o Pożodze - że wszyscy zostali zarażeni tą chorobą, zaś Próby są ich jedyną szansą na otrzymanie leku...

Thomas zacisnął powieki i potarł czoło. Teresa została mu odebrana. Żadne z nich nie miało rodziny. Nazajutrz rano miał się rozpocząć jakiś idiotyzm zwany Fazą Drugą, która sądząc z tego, co im powiedziano, zapowiadała się na coś jeszcze gorszego niż Labirynt. Wszyscy ci wariaci tam na zewnątrz - Poparzeńcy. Jak grupa miała sobie z nimi poradzić? Nagle pomyślał o Chucku, o tym, co Chuck by powiedział, gdyby był tu z nimi.

Pewnie coś prostego. Coś w rodzaju: Beznadzieja.

Miałbyś rację, Chuck, pomyślał Thomas. Cały ten świat jest beznadziejny.

Minęło zaledwie kilka dni, odkąd przyjaciel został zadźgany nożem na jego oczach; biedny Chuck zmarł Thomasowi na rękach. A teraz Thomas nie mógł się powstrzymać od myśli, że - jakkolwiek brzmiało to okropnie - może to było najlepsze, co mogło Chucka spotkać. Może śmierć była lepsza niż to, co ich czekało. Jego myśli znów pobiegły ku tatuażowi na szyi...

- Stary, ile czasu trzeba, żeby postawić klocka? - To był Minho.

Thomas podniósł głowę i zobaczył, że przyjaciel stoi w drzwiach do łazienki.

- Nie mogę wytrzymać tam na zewnątrz. Wszyscy przekrzykują wszystkich, jak w przedszkolu. Niech sobie gadają, co chcą, i tak wszyscy wiemy, co zrobimy.

Minho podszedł do niego i oparł się ramieniem o ścianę.

- Wesoły dziś jesteś, co? Słuchaj, chłopie, ta banda sztamaków jest tak samo dzielna jak ty. Wszyscy, co do jednego, przejdziemy jutro rano przez to... jak on tam to nazwał... jutro rano. Kogo obchodzi, że towarzystwo koniecznie chce sobie zedrzeć gardła, nawijając o tym?

Thomas przewrócił oczami.

- Nawet słowem nie pisałem o tym, że jestem dzielniejszy niż ktokolwiek inny. Po prostu nie chce mi się już słuchać, jak ludzie gadają. W tym ty.

Minho zachichotał.

- Krótasie, kiedy starasz się być wredny, można się złać w portki ze śmiechu.

- Dzięki. - Thomas zamilkł na chwilę. - Płaski Przenoś.

- Że co?

- Ten sztamak w białym garniturze tak nazwał to coś, przez co musimy przejść. Płaski Przenoś.

- A tak. To musi być coś w rodzaju drzwi.

Thomas podniósł na niego wzrok.

- Też tak sędzę. Coś podobnego, jak Urwisko. Jest płaskie i przenosi cię dokąś.

Płaski Przenoś.

- Purwa, prawdziwy geniusz z ciebie.

W tym momencie wszedł Newt.

- Ej, wy dwaj, czemu się tu chowacie?

Minho wyciągnął rękę i klepnął Thomasa w ramię.

- Nie chowamy się. Thomas po prostu jęczy, że życie jest straszne i że chce z powrotem do mamusi.

- Tommy - odezwał się Newt, którego ten żart nie rozbawił - ty przeżyłeś Przemianę, dostałeś z powrotem część swoich wspomnień. Ile z tego jeszcze pamiętasz?

Thomas wcześniej sporo rozmyślał na ten temat. Duża część wspomnień, które powróciły pod wpływem uządleń Bóldożerców, zdążyła już się zamazać.

- Nie wiem. Nie za bardzo umiem sobie zobrazować, jak naprawdę wygląda świat na zewnątrz albo jak wyglądała współpraca z tymi ludźmi, którym pomagałem zaprojektować Labirynt. Większość z tego albo się z powrotem zatarła, albo przepadła. Miałem parę dziwnych snów, ale nic, co mogłoby pomóc.

Wdali się następnie w dyskusję o niektórych rzeczach, jakie powiedział dziwny przybysz. O rozbłyskach słonecznych, chorobie i o tym, co może wyglądać inaczej teraz, kiedy już wiedzą, że są obiektem testów czy eksperymentów. Rozmawiali na różne tematy, na które nie było odpowiedzi - a całą rozmowę przenikał cień tego, o czym nikt nie wspominał na głos, to znaczy strachu przed wirusem, którym ponoć zostali zarażeni. W końcu zapadła cisza.

- No cóż, musimy rozkminić to i owo - stwierdził Newt. - A ja potrzebuję kogoś, kto mi pomoże zagwarantować, że całe cholerne żarcie nie zniknie, zanim jutro wyruszymy. Coś mi mówi, że będziemy go potrzebować.

Thomas nawet o tym nie pomyślał.

- Masz rację. Czy ludzie tam na zewnątrz jeszcze się opychają?

Newt potrząsnął głową.

- Nie, Patelniak przejął kontrolę nad zapasami. Dla tego sztamaka żarcie jest prawie religią - myślę, że się ucieszył, że znowu ma czym zarządzać. Ale boję się, że ludzie mogą spanikować i próbować je mimo wszystko wyjeść.

- E tam, daj spokój - powiedział Minho. - Ci z nas, którzy dotarli aż tutaj, nie przeżyli bez powodu. Wszyscy idioci wyginęli wcześniej. - Zerknął spod oka na Thomasa, jakby w obawie, że Thomas może pomyśleć, iż do idiotów zaliczony został również Chuck. A może nawet Teresa.

- Może i tak - odparł Newt. - Mam nadzieję. W każdym razie pomyślałem sobie, że powinniśmy się zorganizować, zebrać z powrotem do kupy. Znowu zachowywać się tak, jak w cholernej Strefie. Te ostatnie dni były żalosne, wszyscy tylko jęczeli i narzekali, żadnej struktury, żadnego planu. Do szału mnie to doprowadza.

- A czego się spodziewałeś? - spytał Minho. - Mielśmy się ustawić w szeregu i robić pompki? Jesteśmy zamknięci w durnym więzieniu z trzech sal.

Newt machnął ręką w powietrzu, jakby słowa Minho były komarami.

- Nie wiem. Tak tylko mówię, że jutro wszystko się zmieni i lepiej, żebyśmy byli gotowi stawić temu czoła.

Mimo wszystkich słów, jakie padły, Thomas miał wrażenie, że Newtowi nie udaje się ująć w nich sedna sprawy.

- Do czego zmierzasz?

Newt zrobił pauzę. Popatrzył na Thomasa, potem na Minho.

- Musimy zadbać o to, żeby jutro mieć solidnego przywódcę. Nie ma żadnej wątpliwości, kto tu dowodzi.

- To najbardziej fujowa bzdura, jaką kiedykolwiek wyszczekałeś - odparł Minho. - Ty jesteś przywódcą i dobrze o tym wiesz. Wszyscy o tym wiemy.

Newt kategorycznie potrząsnął głową.

- Czy przez to całe głodowanie zapomniałeś o cholernych tatuażach? Myślisz, że są tylko dla ozdoby?

- Och, daj spokój - odwarknął Minho. - Naprawdę sądzisz, że to coś znaczy? Po prostu próbują nam namieszać w głowach!

Zamiast odpowiedzieć, Newt podszedł bliżej do Minho i odciągnął jego koszulę, odsłaniając tatuaż. Thomas nie musiał patrzeć - pamiętał. Napis określał Minho mianem Przywódcy.

Minho strząsnął z siebie rękę Newta i zaczął swoim zwyczajem rzucać sarkastyczne odzywki, ale Thomas już przestał go słuchać; jego serce przyspieszyło, tłukąc się niemal boleśnie. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, to słowa wytatuowane na jego własnej szyi.

Ze ma zostać zabity.

Thomas czuł, że robi się późno i wiedział, że powinni się tej nocy wyspać, aby przygotować się na to, co nastąpi rano. Tak więc on oraz reszta Streferów spędzili resztę wieczoru, przygotowując prymitywne pakunki z prześcieradeł, żeby nieść w nich jedzenie oraz zapasowe ubrania, które pojawiły się w komodach. Część jedzenia zjawiała się w plastikowych workach; po opróżnieniu napełniono je teraz wodą i zawiązano paskami

materiału oderwanymi od zasłon. Nikt nie spodziewał się, że te marne namiastki bukłaków przetrwają długo bez przeciekania, ale był to najlepszy pomysł, na jaki ktokolwiek zdołał wpaść.

Newtowi w końcu udało się przekonać Minho, aby ten objął dowodzenie. Thomas wiedział równie dobrze jak wszyscy inni, że potrzebują kogoś, kto pokieruje grupą, więc poczuł ulgę, kiedy Minho niechętnie się zgodził.

Około dziewiątej wieczorem Thomas znalazł się pod kołdrą. Znowu gapił się na górne łóżko. Na sali było dziwnie cicho, mimo że chłopak wiedział, iż nikt jeszcze nie zasnął. Z pewnością wszyscy odczuwali ten sam ściskający za gardło strach, co on. Przeżyli Labirynt i jego okropności. Widzieli z bliska, do czego zdolny jest DRESZCZ. Jeśli Szczurowaty mówił prawdę i wszystko, co się dotąd wydarzyło, było częścią jakiegoś wielkiego planu, to ci ludzie zmusili Gally'ego, żeby zabił Chucka, postrzelili z bliska kobietę, wynajęli ludzi do misji ratunkowej tylko po to, żeby po jej przeprowadzeniu ich zabić... lista ciągnęła się i ciągnęła.

A co najgorsze, zarazili ich wszystkich straszliwą chorobą, oferując wyleczenie jako wabik mający ich zmotywować do dalszej współpracy. Kto w ogóle wiedział, co tu jest prawdą, a co kłamstwem? Zaś wszystko, co się dotąd wydarzyło, wydawało się sugerować, że z jakichś względów traktują Thomasa inaczej niż pozostałych. Zasmuciła go ta myśl - Chuck był tym, który stracił życie. Teresa zniknęła. Ale odebranie mu tych dwojga...

Jego życie wydawało się czarną dziurą. Nie miał pojęcia, jak ma przywołać dość silnej woli, żeby rano ruszyć w drogę. Stawić czoła temu, co DRESZCZ postanowił im zafundować. Ale robi to - i bynajmniej nie tylko po to, żeby uzyskać wyleczenie. Nic go nie powstrzyma, zwłaszcza teraz. Nie po tym, co zrobiono jemu i jego przyjaciołom. Jeśli jedyną drogą zemsty było przejście wszystkich testów i prób, przeżycie, to niech tak będzie.

Niech tak będzie.

Myśli o zemście wręcz dodały mu otuchy w jakiś chory, pokręcony sposób, i w końcu zapadł w sen.

Wszyscy Streferzy poustawiali budziki w swoich cyfrowych zegarkach na piątą rano. Thomas zbudził się dużo wcześniej i nie mógł już zasnąć ponownie. Kiedy salę w końcu zaczęło wypełniać pikanie, opuścił nogi na podłogę i przetarł oczy. Ktoś zapalił światło i żółty blask zalał jego pole widzenia. Mrużąc oczy, chłopak wstał i skierował się w stronę pryszniców. Kto wie, kiedy znowu będzie mógł się umyć.

Dziesięć minut przed czasem wyznaczonym przez Szczurowatego wszyscy Streferzy siedzieli w niecierpliwym wyczekiwaniu. Większość trzymała w rękach plastikowe worki z wodą, a przy boku mieli pakunki z prześcieradeł. Tak jak pozostali, Thomas zdecydował się

nieść zapas wody w ręku, żeby mieć pewność, że jej nie rozleje albo nie przedziurawi worka. Nocą w świetlicy znowu pojawiła się niewidzialna, niemożliwa do przekroczenia bariera, a teraz Streferzy usadowili się tuż przy niej od strony dormitorium chłopców, patrząc w stronę miejsca, gdzie według słów nieznajomego w białym garniturze miał się pojawić Płaski Przenoś.

Aris, siedzący tuż obok Thomasa, odezwał się po raz pierwszy od... no cóż, Thomas nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszał głos tego chłopca.

- Czy sądziłeś, że zwariowałeś? - zapytał nowy. - Kiedy po raz pierwszy usłyszałeś ją we własnej głowie?

Thomas spojrzał na niego, zawahał się. Z jakiegoś powodu dotąd nie miał ochoty rozmawiać z tym gościem. Jednak teraz to uczucie nagle minęło. To nie Aris sprawił, że Teresa zniknęła.

- No. Potem, kiedy to się powtarzało, przyzwyczaiłem się - tylko zacząłem się martwić, że inni ludzie zaczną mnie brać za czubka. Więc długo nie mówiliśmy o tym nikomu.

- Dla mnie to było dziwne - odparł Aris, wpatrując się w podłogę. Wydawał się głęboko zamyślony. - Kilka dni spędziłem w sypialni, a kiedy się zbudziłem, rozmawianie z Rachel wydawało się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Gdyby tego nie zaakceptowała i nie odpowiedziała... no cóż, myślę, że bym zwariował. Inne dziewczyny w grupie nienawidziły mnie - niektóre chciały, żeby mnie zabić. Rachel była jedyną, która...

Zamilkł w pół zdania, a zanim zdążył podjąć przerwana wypowiedź, Minhó wstał, żeby przemówić do wszystkich. Thomas przyjął to z ulgą, bo słuchanie o dziwacznej alternatywnej wersji tego, przez co sam przeszedł, sprawiało, że od razu zaczynał myśleć o Teresie, a to za bardzo bolało. Nie chciał już o niej myśleć. Na razie musiał się skupić na tym, żeby przeżyć.

- Mamy jeszcze trzy minuty - oznajmił Minhó i tym razem miał najzupełniej poważną minę. - Czy wszyscy nadal są pewni, że chcą iść?

Thomas kiwnął głową. Zauważył, że inni robią to samo.

- Nikt nie zmienił zdania przez noc? - zapytał Minhó. - Odezwyjcie się teraz albo wcale. Kiedy już wyruszymy w drogę, to jeśli jakiś sztamak uzna, że jest beksą i spróbuje zawrócić, zadbam o to, żeby wracał ze złamanym nosem i zmiażdżonymi jajami do kompletu.

Thomas popatrzył na Newta, który schował głowę w dłoniach i głośno jęknął.

- Newt, masz jakiś problem? - spytał Minhó zaskakująco surowym tonem. Zaszokowany Thomas czekał na reakcję Newta.

Starszy chłopak wydawał się równie zaskoczony.

- Ee... nie. Podziwiam tylko twoje zdolności przywódcze.

Minho odchylił koszulę przy szyi i stanął tak, żeby pokazać wszystkim swój tatuaż.

- Co tutaj pisze, krótasie?

Newt spojrział w lewo i w prawo, czerwieniąc się.

- Wiemy, że jesteś szefem, Minho. Wylaksuj.

- Nie, ty wylaksuj - odparł ostro Minho, wskazując Newta. - Nie mamy czasu na takie pikolenie. Więc zawrzyj twarzostan.

Thomasowi pozostało mieć nadzieję, że Minho jedynie zgrywa twardziela, żeby utwierdzić ich w decyzji, którą podjęli, aby to on dowodził, i że Newt to rozumie. Chociaż jeśli Minho rzeczywiście tylko grał, wychodziło mu to nadzwyczaj przekonująco.

- Jest szósta! - krzyknął jeden ze Streferów.

I, jakby jego okrzyk był bodźcem inicjującym, niewidzialna bariera ponownie straciła przezroczystość, mętniejąc do niejednolitej bieli. Ułamek sekundy później zniknęła. Thomas natychmiast dostrzegł różnicę, jaka zaszła w ścianie naprzeciwko nich - jej obszerny fragment przemienił się w drgającą płaszczyznę mrocznej, rozmazanej szarości.

- Dalej! - wykrzyknął Minho, zarzucając swój pakunek na ramię. W drugiej ręce ścisnął worek z wodą. - Nie guzdrać się, mamy tylko pięć minut na przejście. Ja pójdę pierwszy. - Wskazał Thomasa. - Ty idź ostatni. Zanim przejdiesz, upewnij się, że wszyscy poszli za mną.

Thomas kiwnął głową, starając się walczyć z ogniem, który płonął w jego żyłach; otarł ręką pot z czoła.

Minho podszedł do ściany szarości i zatrzymał się tuż przed nią. Płaski Przenoś wydawał się Thomasowi całkowicie niestabilny; nie sposób było skupić na nim wzroku. Na jego powierzchni tańczyły cienie oraz ciemniejsze i jaśniejsze wiry. Całość pulsowała i rozmazywała się, jakby mogła zniknąć w każdej chwili.

Minho odwrócił się, żeby spojrzeć na nich.

- Do zobaczenia po drugiej stronie, ślamajdy.

Potem wkroczył w szarość, a ona pochłonęła go w całości.

Nikt nie protestował, kiedy Thomas zaganiał pozostałych w ślad za Minho. Nikt nawet się nie odezwał, wymieniali tylko pospieszne, przestraszone spojrzenia, podchodząc do Płaskiego Przenosu i wkraczając weń. Wszyscy Streferzy, co do jednego, zawahali się na sekundę, zanim uczynili ostatni krok, zanurzając się w mroczną głębię szarego kwadratu. Thomas obserwował ich wszystkich, żegnając każdego klepieniem w plecy.

Po dwóch minutach obok Thomasa stali już tylko Aris i Newt.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytał go w myślach Aris.

Thomas zakrztusił się kaszlnięciem, zaskoczony przepływem słów przez swoją świadomość - tą nie całkiem słyszalną, a jednak słyszalną mową. Wcześniej sądził - i miał nadzieję - że Aris spostrzegł i zaakceptował jego niechęć do komunikowania się w ten sposób. To było coś zarezerwowanego dla Teresy, nie dla kogokolwiek innego.

- Pospiesz się - wymamrotał Thomas na głos, nie zamierzając odpowiadać telepatycznie. - Musimy się pośpieszyć.

Aris wkroczył w przejście z urażoną miną. Newt podążył tuż za nim, i nagle Thomas znalazł się w świetlicy zupełnie sam.

Rozejrzał się ostatni raz, przypominając sobie martwe, spuchnięte ciała, które wisiały tam jeszcze kilka dni wcześniej. Pomyślał o Labiryncie i o wszystkim, przez co do tej pory przeszli. Wzdychając najgłośniejszym jak mógł, z nadzieją, że ktoś gdzieś to usłyszy, ścisnął w rękę swój worek z wodą oraz wypełniony jedzeniem pakunek z prześcieradła i wkroczył w Płaski Przenoś.

Po jego skórze od przodu do tyłu przepłynęła wyraźna linia zimna, jak gdyby ściana szarości była pionową płaszczyzną lodowatej wody. W ostatniej chwili przed wejściem w nią zamknął oczy, a teraz otworzył je i ujrzał jedynie nieprzebitą ciemność. Ale usłyszał głosy.

- Hej! - zawołał, ignorując nagły wybuch paniki we własnym głosie. - Chłopaki...!

Zanim skończył, potknął się o coś i przewrócił, lądując ciężko na czymś wijącym się ciele.

- Au! - wrzasnął ten ktoś, spychając z siebie Thomasa. Chłopak z wielkim trudem zdołał utrzymać w ręku worek z wodą.

- Wszyscy stać spokojnie i zamknąć się! - To był Minho, a ulga, która ogarnęła Thomasa, omal nie kazała mu krzyknąć z radości. - Thomas, to ty? Jesteś tutaj?

- Tak! - Thomas stanął z powrotem na nogi, macając na oślep wokół siebie, żeby się upewnić, że znów na kogoś nie wpadnie. Nie wymacał niczego prócz powietrza, nie widział niczego prócz czerni. - Przeszedłem jako ostatni. Czy wszyscy dotarli?

- Właśnie ustawiliśmy się w szeregu i odliczaliśmy, kiedy wpadłeś na nas jak naćpany byk - odparł Minho. - Odliczmy jeszcze raz. Jeden!

Kiedy nikt się nie odezwał, Thomas krzyknął:

- Dwa!

Po nim reszta Streferów odliczała kolejno, aż Aris jako ostatni zawołał:

- Dwadzieścia!

- Ogay - stwierdził Minh. - Wszyscy tu jesteśmy, gdziekolwiek to jest. Nic nie widać.

Thomas stał nieruchomo, wyczuwając pozostałych chłopców, słysząc ich oddechy, ale bojąc się poruszyć.

- Szkoda, że nie mamy latarki.

- Dzięki za stwierdzenie rzeczy oczywistej, panie Thomasie - odrzekł Minh. - Dobra, słuchajcie. Jesteśmy w jakimś korytarzu - wyczuwam ściany po obu stronach, i o ile jestem w stanie stwierdzić, większość z was stoi na prawo ode mnie. Thomas, tam, gdzie ty stoisz, jest to miejsce, gdzie wyszliśmy. Lepiej, żebyśmy nie ryzykowali, że przypadkowo wleziemy z powrotem w ten cały Płaski Przenoś czy jak go zwał, więc wszyscy skierujcie się w stronę mojego głosu i chodźcie tutaj. Nie mamy innego wyboru, jak tylko pójść w tym kierunku i zobaczyć, co znajdziemy.

Wypowiadając kilka ostatnich słów, zaczął się oddalać od Thomasa. Ciche szuranie stóp oraz szelest pakunków ocierających się o ubrania świadczyły, że pozostali podążyli za nim. Kiedy Thomas wyczuł, że jest ostatnim, który jeszcze nie zaczął iść, i że teraz na nikogo już nie wpadnie, ruszył powoli w lewo, wyciągając rękę, aż wymacał twardą, chłodną ścianę. Poszedł w ślad za grupą, przesuując dłoń wzdłuż muru, żeby zachować wyczucie kierunku.

Nikt się nie odezwał, gdy tak szli naprzód. Thomasa okropnie drażniło to, że jego oczy w ogóle nie przyzwyczajały się do ciemności - nie było nawet najbardziej nikłego śladu światła. Powietrze, choć chłodne, pachniało starą skórą i kurzem. Kilka razy wpadł na osobę idącą przed nim; nie wiedział nawet, kto to jest, bo chłopiec nie odezwał się ani razu, kiedy się zderzali.

Szli i szli. Tunel ciągnął się naprzód, nie skręcając ani w lewo, ani w prawo. Tylko dotykająca ściany dłoń Thomasa oraz podłoże pod jego stopami kotwiczyły go jeszcze do rzeczywistości oraz dawały mu poczucie, że posuwa się do przodu. Gdyby ich nie czuł, miałby wrażenie, że unosi się w pustej przestrzeni, w ogóle się nie przemieszczając.

Jedynymi odgłosami były szuranie butów o twardą betonową posadzkę oraz słyszalne od czasu do czasu urywki szeptów między Streferami. Thomas czuł każde uderzenie swojego serca, kiedy tak maszerowali niekończącym się tunelem mroku. Mimo woli przypomniawsobie Pudło, ten pozbawiony światła sześcian wypełniony zatęchłym powietrzem, który dostarczył go do Labiryntu; tamta podróż bardzo przypominała to, co działo się obecnie. Przynajmniej teraz miał jakieś konkretne wspomnienia, miał przyjaciół i wiedział, kim są. Przynajmniej teraz rozumiał stawkę - że potrzebowali wyleczenia i prawdopodobnie będą musieli przetrwać różne okropieństwa, żeby je uzyskać.

Tunel nagle na krótką chwilę ożył głośnym szeptaniem, które wydawało się dobiegać z góry. Thomas zatrzymał się jak wryty. Jednego był pewien - to nie szeptał nikt ze Streferów.

Z przodu Minhó krzyknął, żeby pozostali przystanęli. Potem zapytał:

- Słyszeliście to?

Kiedy kilku Streferów zamamrotało twierdząco i zaczęło zadawać pytania, Thomas skierował ucho w stronę sufitu i wyteżył słuch, próbując uchwycić coś jeszcze poza ich głosami. Tamten wybuch szeptu był krótki, zaledwie kilka słów, brzmiących tak, jakby wypowiadał je ktoś bardzo stary i bardzo chory. Ale przekazu w żaden sposób nie dało się zrozumieć.

Minho znowu uciszył wszystkich, polecając im nasłuchiwać.

Chociaż wokół panowała całkowita ciemność, a więc zamykanie oczu było pozbawione sensu, Thomas i tak je zamknął, skupiając się na swoim zmyśle słuchu. Chciał usłyszeć, co powie ten szept, jeśli odezwie się raz jeszcze.

Nie minęła minuta, gdy ten sam starożytny głos znów zaszeptał szorstko. Słowa odbiły się echem w powietrzu, jakby pod sufitem zainstalowane były potężne głośniki. Thomas usłyszał, jak kilka osób gwałtownie wciąga oddech, jakby tym razem zrozumieli, co zostało powiedziane, i doznali szoku. Jednak on sam również i teraz nie zdołał rozróżnić nawet jednego czy dwóch słów. Otworzył oczy, ale nic przed nim się nie zmieniło. Zupełna ciemność. Czerń.

- Czy ktoś usłyszał, co to mówiło? - zawołał Newt.

- Parę słów - odparł Winston. - W środku zdania brzmiało to jak „zawróćcie”.

- Tak, też to słyszałem - potwierdził ktoś inny.

Thomas ponownie przywołał z pamięci to, co usłyszał. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, rzeczywiście miał wrażenie, że w którymś momencie padło to słowo. Zawróćcie.

- Wszyscy wylaksować. Tym razem słuchajcie naprawdę uważnie - rozkazał Minhó. W ciemnym korytarzu zapadła cisza.

Kiedy głos znowu się odezwał, tym razem Thomas zrozumiał wszystko aż do ostatniej sylaby.

-To wasza jedyna szansa. Zawróćcie w tej chwili, nie zostaniecie pokrojeni.

Sądząc po reakcjach osób znajdujących się przed nim, tym razem pozostali też zrozumieli każde słowo.

- Nie zostaniemy pokrojeni?

- Co to ma znaczyć?

- Powiedział, że możemy zawrócić!

- Nie możemy ufać jakiemuś obcemu sztamakowi, co szeptuje w ciemności.

Thomas starał się nie myśleć o tym, jak złowrogo zabrzmiały trzy ostatnie słowa. Nie zostaniecie pokrojeni. To zdecydowanie nie brzmiało dobrze. A niemożność zobaczenia czegokolwiek pogarszała sprawę. Doprowadzała go do obłądu.

- Po prostu idźmy naprzód! - krzyknął do Minho. - Nie wytrzymam tutaj dużo dłużej. Po prostu chodźmy!

- Chwila, moment. - To był głos Patelniaka. - Ten ktoś powiedział, że to nasza jedyna szansa. Musimy się nad tym przynajmniej zastanowić.

- No - dorzucił ktoś. - Może powinniśmy zawrócić.

Thomas potrząsnął głową, choć wiedział, że nikt nie jest w stanie tego zobaczyć.

- Nie ma mowy. Pamiętajcie, co powiedział ten gość od biurka? Że jeśli zawrócimy, wszyscy zginiemy paskudną śmiercią.

- I co z tego? - naciskał Patelniak. - Niby czemu miałby być bardziej wiarygodny od tego szeptającego gościa? Skąd mamy wiedzieć, kogo słuchać, a kogo zignorować?

Thomas wiedział, że to dobre pytanie, ale zawrócenie po prostu nie wydawało się słusznym wyborem.

- Założę się, że ten głos to tylko test. Musimy iść dalej.

- On ma rację. - To był Minho, gdzieś z przodu. - Chodźcie, idziemy.

Zaledwie wypowiedział ostatnie słowo, świszczący szept znowu przeciął powietrze, tym razem przepełniony niemal dziecinną nienawiścią.

- Wszyscy jesteście martwi. Wszyscy zostaniecie pokrojeni. Zabici i pokrojeni.

Wszystkie włoski na karku Thomasa zjeżyły się, a po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Chłopak spodziewał się usłyszeć dalsze nawoływania, aby zawrócić, ale Streferzy znowu go zaskoczyli. Nikt nie odezwał się nawet słowem, i wkrótce wszyscy znowu posuwali się naprzód. Minho miał rację, kiedy powiedział, że wszystkie beksy zostały wyeliminowane dawno temu. Wanie nie brzmiało dobrze. A niemożność zobaczenia czegokolwiek pogarszała sprawę. Doprowadzała go do obłądu.

- Po prostu idźmy naprzód! - krzyknął do Minho. - Nie wytrzymam tutaj dużo dłużej. Po prostu chodźmy!

- Chwila, moment. - To był głos Patelniaka. - Ten ktoś powiedział, że to nasza jedyna szansa. Musimy się nad tym przynajmniej zastanowić.

- No - dorzucił ktoś. - Może powinniśmy zawrócić.

Thomas potrząsnął głową, choć wiedział, że nikt nie jest w stanie tego zobaczyć.

- Nie ma mowy. Pamiętajcie, co powiedział ten gość od biurka? Że jeśli zawrócimy,

wszyscy zginiemy paskudną śmiercią.

- I co z tego? - naciskał Patelniak. - Niby czemu miałby być bardziej wiarygodny od tego szepczącego gościa? Skąd mamy wiedzieć, kogo słuchać, a kogo zignorować?

Thomas wiedział, że to dobre pytanie, ale zawrótce po prostu nie wydawało się słusznym wyborem.

- Założę się, że ten głos to tylko test. Musimy iść dalej.

- On ma rację. - To był Minhó, gdzieś z przodu. - Chodźcie, idziemy.

Zaledwie wypowiedział ostatnie słowo, świszczący szept znowu przeciął powietrze, tym razem przepełniony niemal dzieciinną nienawiścią.

- Wszyscy jesteście martwi. Wszyscy zostaniecie pokrojeni. Zabici i pokrojeni.

Wszystkie włoski na karku Thomasa zjeżyły się, a po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Chłopak spodziewał się usłyszeć dalsze nawoływania, aby zawrócić, ale Streferzy znowu go zaskoczyli. Nikt nie odezwał się nawet słowem, i wkrótce wszyscy znowu posuwali się naprzód. Minhó miał rację, kiedy powiedział, że wszystkie beksy zostały wyeliminowane dawno temu.

Zagłębiali się coraz dalej w ciemność. Powietrze stało się nieco cieplejsze, wydawało się gęstnieć od kurzu. Thomas zakaszał kilkakrotnie. Usychał z pragnienia, ale nie chciał ryzykować rozwiązywania na oślep swojego worka z wodą. Jeszcze tego brakowało, żeby rozlał wszystko na posadzkę.

Do przodu.

Coraz cieplej.

Pragnienie.

Ciemność.

Wędrownia. Czas włókł się tak niemożliwie wolno.

Thomas nie miał pojęcia, jak to w ogóle możliwe, by korytarz był tak długi. Musieli przebyć przynajmniej dwie lub trzy mile, odkąd ostatnio słyszeli tamten przyprawiający o gęsią skórę ostrzegawczy szept. Gdzie w ogóle byli? Pod ziemią? W jakimś olbrzymim budynku? Szczurowaty powiedział, że muszą się wydostać na otwartą przestrzeń. Jak...

Kilkanaście metrów przed nim któryś z chłopaków zaczął wrzeszczeć.

Najpierw był to nagły okrzyk, jakby wywołany po prostu zdumieniem, lecz szybko przerodził się we wrzask najczystszej paniki. Thomas nie wiedział, kto to, ale teraz dzieciak zdierał sobie gardło, wyjąc i kwicząc niczym jedno ze zwierząt zarzynanych w Mordowni. Chłopak usłyszał odgłosy, jakie wydaje ciało miotające się po ziemi.

Instynktownie rzucił się naprzód, przepychając się obok kilku Streferów, którzy

wydawali się zmrozeni strachem, kierując się w stronę źródła tych nieludzkich dźwięków. Nie wiedział, czemu sądził, że jest w stanie pomóc skuteczniej niż inni, ale nie wahał się, nie zwracając nawet uwagi na to, gdzie stawia nogi, biegnąc na oślep w ciemnościach. Po długim szaleństwie wędrowania na oślep było tak, jakby jego ciało zatęskniło za działaniem.

Dotarł do celu. Słyszał, że tamten leży teraz tuż przed nim, tłukąc rękami i nogami o posadzkę w daremnej szamotaninie z nie wiedzieć czym. Thomas ostrożnie odstawił swój worek z wodą oraz pakunek daleko z boku, po czym niepewnie wyciągnął przed siebie ręce, chcąc chwycić powalonego za którąś z kończyn. Wyczuł, że pozostali Streferzy tłoczą się za nim - głośny, chaotyczny tłum, rzucający okrzyki i pytania. Zmusił się, by je zignorować.

- Hej! - krzyknął do wijącego się chłopca. - Co ci jest? - Jego palce otarły się o dzinsy tamtego, potem o jego koszulę, ale ciało powalonego miało się w konwulsjach, niemożliwe do pochwycenia, a jego wrzaski dalej rozrywały powietrze.

W końcu Thomas postawił wszystko na jedną kartę. Zanurkował do przodu, padając całym ciężarem na miotającego się dzieciaka. Wstrząs lądowania pozbawił go tchu. Chłopak namacał wijący się tors; łokieć dźgnął go w żebra, potem ręka walnęła go w twarz, a kolano prawie trafiło go prosto w krocze.

- Przestań! - krzyknął Thomas. - Co z tobą?

Krzyki przeszły w charkot i ucichły, prawie jakby dzieciak został wciągnięty pod wodę. Ale konwulsje bynajmniej nie ustały.

Thomas oparł łokieć i przedramię na piersi Strefera, żeby się podeprzeć, potem sięgnął w górę, żeby pochwycić jego włosy albo twarz. Kiedy jednak jego dłonie prześliznęły się po tym, co było wyżej, kompletnie zgłupiał.

Nie było głowy. Żadnych włosów ani twarzy. Nawet szyi. Żadnej z tych rzeczy, które powinny tam być.

W zamian Thomas wymacał dużą i idealnie gładką kulę zimnego metalu.

Następne sekundy przyniosły totalny szok. Gdy tylko dłoń Thomasa dotknęła dziwnej metalowej kuli, zaatakowany chłopiec przestał się poruszać. Jego ręce i nogi znieruchomiały, a sztywne mięśnie drgającego torsu w okamgnieniu się rozluźniły. Thomas wyczuł na twardej kuli gęstą wilgoć, sączącą się z miejsca, gdzie powinna znajdować się szyja chłopaka. Wiedział, że to krew, w nozdrza uderzył mu jej zapach, podobny do zapachu miedzi.

Potem kula wysliznęła się spod palców Thomasa i potoczyła w ciemność z głuchym, zgrzytliwym odgłosem, aż uderzyła o najbliższą ścianę i zatrzymała się. Chłopiec leżący pod nim nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku. Pozostali Streferzy dalej wykrzykiwali w mroku pytania, ale Thomas zignorował ich.

Gdy wyobraził sobie, jak musi wyglądać powalony, ogarnęła go zgroza. Nic tutaj nie trzymało się kupy, lecz było oczywiste, że dzieciak nie żyje, jego głowa jakimś cudem została odcięta. Albo... zmieniona w metal? Co u diabła się stało? Thomasowi zakręciło się w głowie i upłynęła chwila, nim zdał sobie sprawę, że ciepła ciecz spływa po dłoni, którą przycisnął do podłoża, kiedy kula wysliznęła mu się i odtoczyła. Stracił panowanie nad sobą.

Pospieszenie odsuwając się na czworakach od ciała, wycierając rękę o spodnie, zaczął krzyczeć, ale nie był w stanie sformułować słów. Kilku Streferów złapało go od tyłu i pomogło stanąć na nogi. Odepchnął ich, zatoczył się na ścianę. Ktoś złapał go za koszulę na ramieniu, przyciągnął bliżej.

- Thomas! - Głos Minho. - Thomas! Co się stało?

Thomas próbował się uspokoić i opanować. Jego żołądek wywijał koziołki, a oddech z trudem wyrывał się z piersi.

- Ja... nie wiem. Kto to był? Kto to leżał i krzyczał?

Winston odpowiedział trzęsącym się głosem:

- Wydaje mi się, że Frankie. Był tuż koło mnie, akurat zażartował, a potem jakby coś go złapało i odciągnęło. Tak, to był on. Z całą pewnością on.

- Co się stało?! - powtórzył Minho.

Thomas uświadomił sobie, że nadal wyciera dłonie o spodnie.

- Słuchajcie - powiedział, po czym wziął głęboki oddech. Tłumaczenie tego wszystkiego w ciemności doprowadzało go do szału. - Usłyszałem, jak wrzeszczy i podbiegłem tutaj, żeby pomóc. Skoczyłem na niego, próbowałem unieruchomić jego ręce, sprawdzić, co się stało. Potem sięgnąłem do jego głowy, żeby złapać go za policzki - nawet nie wiem, czemu - i wymacałem tylko...

Nie był w stanie tego powiedzieć na głos. Nic nie mogło zabrzmieć bardziej absurdalnie niż prawda.

- Co?! - krzyknął Minho.

Thomas jęknął, a potem powiedział to.

- Jego głowa nie była głową. Była jak... wielka... metalowa kula. Nie wiem, chłopie, to właśnie wyczułem. Jakby jego pikolona głowa została połknięta przez... przez wielką metalową kulę!

- Co ty wygadujesz? - spytał Minho.

Thomas nie wiedział, jak ma go przekonać. Czy kogokolwiek innego.

- Nie słyszeliście, jak się odtoczyła zaraz po tym, jak przestał wrzeszczeć? Wiem, że...

- Jest! O, tutaj! - krzyknął ktoś. Newt. Thomas znów usłyszał zgrzyt czegoś ciężkiego,

potem Newt stęknął z wysiłku. - Usłyszałem, że tu się potoczyła. Jest cała mokra i śliska - sądząc z dotyku, to krew.

- Co, do fuja... - na wpół szepnął Minho. - Jak duża jest?

Inni Streferzy dołączyli do chóru pytań.

- Wylaksujcie wszyscy! - wrzasnął Newt. Kiedy przycichli, powiedział krótko: - Nie wiem. - Thomas usłyszał, jak kolega ostrożnie obmacuje kulę, żeby się zorientować w jej rozmiarach. - Na pewno większa od cholernej głowy. Jest idealnie okrągła - idealnie kulista.

Thomas był ogłupiały i pełen odrazy, ale jego myśli zaprzętało przede wszystkim to, żeby się wydostać z tego miejsca. Wydostać z ciemności.

- Musimy wiać - powiedział. - Musimy się ruszyć. Teraz.

- Może jednak powinniśmy zawrócić. - Thomas nie rozpoznał głosu tego, kto to powiedział. - Czymkolwiek jest to kuliste coś, odcięło Frankiemu głowę, tak, jak nas ostrzegał ten stary sztamak.

- Nie ma mowy - odrzekł gniewnie Minho. - Nigdy w życiu. Thomas ma rację. Tu nie ma co dłużej chrzanić babci w bambus. Rozsuńcie się tak, żeby mieć z półtora metra odstepu od siebie nawzajem, a potem ruszamy biegiem. Zgarbcie się, a jeśli coś się pojawi w pobliżu waszej głowy, tłuczcie w to draństwo pięściami, ile sił.

Nikt nie próbował się klócić. Thomas szybko odnalazł swój zapas jedzenia oraz wody; zaraz potem grupę ogarnęło jakieś milczące porozumienie i ruszyli biegiem, zachowując wystarczająco duże odstepy od kolegów, żeby nie wpadać na siebie nawzajem. Thomas nie był już na samym końcu, nie chcąc marnować czasu na powrót do poprzedniego szyku. Biegł, biegł w tak ostrym tempie, że nie pamiętał, by jako

Zwiadowca w Labiryncie kiedykolwiek biegał szybciej.

Czuł zapach potu. Wciągał w nozdrza kurz i ciepłe powietrze. Jego ubrudzone krwią ręce stały się lepkie, pokryte kleistą warstwą. Ciemność, nadal nieprzebita.

Biegł, nie zatrzymując się.

Kula śmierci dosięgła jeszcze jedną osobę. Tym razem stało się to jeszcze bliżej Thomasa - ofiarą padł dzieciak, z którym nigdy nie zamienił nawet słowa. Thomas usłyszał wyraźny odgłos metalu przesuwającego się wzdłuż metalu, kilka twardych szczęknięć. Potem wrzaski zagłuszyły wszystko inne.

Nikt się nie zatrzymał. Może to straszne. Prawdopodobnie. Ale nikt się nie zatrzymał.

Kiedy wrzaski w końcu przeszły w charkot, a ten gwałtownie ucichł, Thomas usłyszał głośny brzęk, gdy metalowa kula rąbnęła o twarde podłoże. Usłyszał, jak się potoczyła, usłyszał, jak z kolejnym brzęknięciem odbiła się od ściany i potoczyła jeszcze kawałek.

Biegł dalej. Nawet nie zwolnił.

Serce tłukło mu się w piersi; płuca bolały od szybkich, urywanych oddechów, gdy desperacko wciągał przesycone kurzem powietrze. Stracił rachubę czasu, nie potrafił oszacować, jaką pokonali odległość. Ale kiedy Minhó nakazał wszystkim się zatrzymać, Thomasa niemal przytłoczyła ulga. Wyczerpanie wreszcie wygrało w nim z przeraźliwym strachem przed rzeczą, która zabiła dwóch ludzi.

Ciasną przestrzeń wypełniły odgłosy dyszenia i smród nieświeżych oddechów. Patelniak jako pierwszy wrócił do siebie na tyle, żeby się odezwać.

- Cemu się zatrzymaliśmy?

- Bo mało tu sobie piszczele o coś nie połamałem! - odkrzyknął Minhó. - Zdaje mi się, że to schody.

Thomasa ogarnęła fala optymizmu, ale natychmiast ją stłumił. Nadzieja była czymś, czego poprzysiągł sobie nie odczuwać. W każdym razie do czasu, aż to wszystko się skończy.

- No to włączmy po nich na górę! - rzucił Patelniak, o wiele za entuzjastycznie.

- Tak myślisz? - odparł Minhó. - Co byśmy bez ciebie zrobili, Patelniak? Poważnie.

Thomas usłyszał ciężkie kroki przywódcy, gdy ten wbiegał po schodach - towarzyszyło temu donośne dzwonięcie, jak gdyby stopnie zrobione były z cienkiej blachy. Nie minęło kilka sekund, gdy dołączyli do niego inni, i wkrótce wszyscy szli w ślad za Minhó.

Kiedy Thomas dotarł do pierwszego stopnia, potknął się i upadł, rozbijając kolano o drugi stopień. Podparł się rękami, żeby odzyskać równowagę - omal nie rozdarł przy tym swojego worka z wodą - po czym zerwał się z powrotem i ruszył do góry, co chwila przeskakując po dwa stopnie. Nie sposób było przewidzieć, kiedy może ich zaatakować kolejny metalowy obiekt, a poza tym - niezależnie od nadziei czy jej braku - chłopak był bardziej niż gotów przenieść się wreszcie w miejsce, gdzie nie panowałaby nieprzebita czerń.

Z góry dobiegło głuche uderzenie, niższe niż odgłosy kroków, ale również brzmiające tak, jakby coś walnęło o metal.

- Au! - wrzasnął Minhó. Potem zabrzmiało trochę stęknęć i pomruków, bo Streferzy wpadali na siebie, zanim zdążyli się zatrzymać.

- Żyjesz? - spytał Newt.

- Z czym... się zderzyłeś? - zawołał Thomas między ciężkimi oddechami.

Sądząc po głosie, Minhó był zirytowany.

- Z pikolonym sufitem, ot co. Dotarliśmy do sklepienia i nie ma żadnego innego miejsca, gdzie... - Umilkł w pół słowa, a Thomas usłyszał, że kolega przesuwając teraz dłońmi

wzdłuż ścian oraz sufitu, poszukując. - Czekajcie! Zdaje się, że mam...

Przerwało mu wyraźne szcęknięcie, a w następnej chwili świat wokół Thomasa, zdawałoby się, wybuchł żywym ogniem. Chłopak krzyknął cicho, zasłaniając dłońmi oczy - z góry padało oślepiające, palące światło. Już wcześniej upuścił swój worek z wodą, ale nie był w stanie nic na to poradzić. Po tak długim czasie spędzonym w zupełnej ciemności, nagłe pojawienie się światła przytłoczyło go, nawet zza osłony dłoni. Jaskrawy pomarańcz przebił się przez jego palce i powieki, a z góry spłynęła fala skwaru - jak gorący wiatr.

Thomas usłyszał zgrzyt czegoś ciężkiego, potem brzęk, i ciemność powróciła. Ostrożnie opuścił ręce i zmrużył oczy; w jego polu widzenia tańczyły plamy.

- Ja pikolę - powiedział Minho. - Wygląda na to, że znaleźliśmy wyjście, ale jesteśmy, purwa, na Słońcu! Ludzie, ale tam jasno. I gorąco.

- Otwórzmy tę klapę tylko odrobinę i pozwólmy, żeby oczy się nam przyzwyczaiły do światła - zaproponował Newt. Potem Thomas usłyszał, jak ten wchodzi po schodach, żeby stanąć obok Minho. - Masz tu koszulę, wetknij ją w szparę. Wszyscy zamknąć oczy!

Thomas spełnił polecenie i ponownie zasłonił twarz dłońmi. Pomarańczowa poświata wróciła i zaczął się proces adaptacji. Mniej więcej po minucie chłopak opuścił ręce i powoli otworzył oczy. Musiał je mrużyć, i nadal miał wrażenie, że w twarz świeci mu milion latarek, ale już dawało się to wytrzymać. Jeszcze parę minut i wokół było jasno, ale w porządku.

Teraz widział, że stoi jakieś dwadzieścia stopni poniżej miejsca, gdzie znajdowali się Minho i Newt, przykucnięci tuż pod klapą w suficie. Trzy jaśniejące linie wyznaczały jej krawędzie. W prawym rogu widniała ciemna plama - koszula, którą tam wepchnęli, żeby zablokować klapę w pozycji uchylonej. Wszystko wokół - ściany, schody, sama klapa - było z matowego szarego metalu. Thomas odwrócił się, żeby spojrzeć z powrotem w kierunku, z którego przyszli, i zobaczył, że schody nikną w ciemności daleko pod nimi. Wspięli się dużo wyżej niż sądził.

- Czy jest ktoś, kto jeszcze nie odzyskał wzroku? - spytał Minho. - Czuję się tak, jakby moje gałki oczne usmażyły się na skwarki.

Thomas również miał takie wrażenie. Oczy piekły go, swędziały i nie przestawały łzawić. Wszyscy Streferzy wokół niego też co chwila przecierali oczy.

- To co jest tam na zewnątrz? - zapytał ktoś.

Minho wzruszył ramionami, zerkając przez szparę. Przesłonił sobie dłonią część pola widzenia.

- W sumie trudno powiedzieć. Widzę tylko mnóstwo jaskrawego światła - może naprawdę jesteśmy na pikolonym słońcu. Ale nie wydaje mi się, żeby byli tam jacyś ludzie. -

Zrobił pauzę. - Albo Poparzeńcy.

- No to wynośmy się stąd - powiedział Winston; stał dwa stopnie poniżej Thomasa. - Wolę się spiec na słońcu niż żeby jakaś stalowa kula rzuciła się na moją głowę. Chodźmy już!

- Dobra, Winston - odparł Minho. - Wyluzuj poślady. Chciałem tylko, żeby wpierw przyzwyczaiły się nam oczy. Otworzę klapę na całą szerokość, żeby się upewnić, że to wytrzymamy. Przygotujcie się. - Wszedł stopień wyżej, żeby móc oprzeć się prawym ramieniem o stalową płytę. - Raz. Dwa. Trzy!

Ze stęknięciem wyprostował nogi i pchnął klapę do góry. Otworzyła się z okropnym zgrzytem i piskiem metalu, a na klatkę schodową buchnęły światło i gorąco. Thomas szybko wbił wzrok w podłogę i zmrużył oczy. Jasność wydawała się nie do zniesienia - mimo że wcześniej godzinami wędrowali w zupełnej ciemności.

Usłyszał nad sobą jakieś szuranie oraz przepychanki, więc popatrzył w górę. Zobaczył, że Newt i Minho pospieszenie usuwają się poza zasięg oślepiającego światła słonecznego wpadającego przez otwartą klapę. Cała klatka schodowa już zaczynała się nagrzewać jak piec.

- O rany! - powiedział Minho, krzywiąc się. - Coś tu nie gra, chłopaki. Mam wrażenie, że to słońce już mnie zdążyło poparzyć!

- On ma rację - potwierdził Newt, pocierając kark. - Nie wiem, czy powinniśmy tam wychodzić. Możliwe, że będziemy musieli poczekać, aż słońce zajdzie.

Zabrzmiały jęki protestu ze strony Streferów, ale zagłuszył je nagły okrzyk Winstona.

- Ej! Uwaga! Uwaga!

Thomas odwrócił się, żeby popatrzeć na stojącego niżej na schodach kolegę. Winston wycofał się kilka stopni wyżej, wskazując na coś bezpośrednio nad sobą. Na suficie, zaledwie jakieś półtora metra nad ich głowami, rósł duży, amebowaty kształt z płynnego srebra, wysączał się z metalu i formując jakby w olbrzymią łzę. Podczas gdy Thomas gapił się na to coś, ono stawało się coraz większe i większe, aż w ciągu kilku sekund przybrało postać drżącej, falującej powoli kuli jakiegoś ciekłego świństwa. Potem, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odcepilo się od sufitu i spadło.

Ale zamiast rozbryznąć się na schodach u ich stóp, srebrna kula wbrew prawu ciężenia pofrunęła w poprzek, prosto w twarz Winstona. Jego mrozące krew w żyłach wrzaski wypełniły powietrze, gdy runął i zaczął spadać na łeb, na szyję po schodach.

Thomasowi przemknęła przez głowę upiorna myśl, gdy przepychał się między kolegami, biegnąc za Winstonem. Nie wiedział, czy robi to, bo chce pomóc koledze, czy też dlatego, że nie jest w stanie powściągnąć swojej ciekawości na temat tego srebrnego,

kulistego potwora.

W końcu staczający się bezwładnie Winston łomotnął plecami o kolejny stopień i legł na nim; nadal nie byli nawet w pobliżu dna. Jaskrawy blask padający z góry, od strony otwartej klapy, oświeślał wszystko bardzo wyraźnie. Winston miał obie ręce przy twarzy, szarpał nimi srebrną masę - kula ciekłego metalu już oblała całą górną część jego głowy, zakrywając wszystko, co znajdowało się powyżej uszu. Teraz jej krawędzie pełzły w dół niczym gęsty syrop, powoli zsuwając się na uszy i zasłaniając brwi.

Thomas przeskoczył przez ciało chłopaka i obrócił się prędko, żeby uklęknąć na stopniu bezpośrednio pod nim, podczas gdy Winston szarpał i popychał srebrną masę, żeby nie pozwolić jej na zakrycie oczu. Zdziwiał się, ale wydawało się, że to działa. Jednak chłopak dał się ile sił w płucach, miotając się na wszystkie strony, jego stopy kopały w ścianę.

- Ściągnijcie to ze mnie! - zawył; głos miał tak zduszony, że Thomas prawie dał za wygraną i uciekł. Jeśli to coś bolało tak potwornie...

Wyglądało jak bardzo gęsty srebrny żel. Wytrwały i uparty - zupełnie jak żywa istota. Ilekroć Winstonowi udawało się odepchnąć jego fragment do góry, dalej od oczu, żel zsuwał się w dół obok jego palców, z boku, i próbował dalej. W czasie tej walki Thomasowi kilka razy mignęła skóra na twarzy ofiary. Nie wyglądała ładnie. Czerwona i pokrywająca się pęcherzami.

Winston zakrzyczał niezrozumiale - jego umęczone wrzaski równie dobrze mogłyby być w obcym języku. Thomas wiedział, że musi coś zrobić. Nie było czasu.

Zerwał pakunek z ramienia i wyrzucił z niego zawartość; owoce oraz paczuszki rozsypały się i potoczyły po schodach. Wziął prześcieradło i owinał nim ręce dla ochrony, a potem ruszył do ataku. Kiedy Winston znowu zamachnął się na płynne srebro tuż nad swoimi oczami, Thomas złapał jego boczne krawędzie, które właśnie nasunęły się na uszy chłopaka. Przez tkaninę poczuł gorąco, wystraszył się, że prześcieradło się zapali. Zaparł się mocno nogami, zacisnął palce na świństwie tak mocno, jak tylko mógł, i szarpnął.

Z budzącym dreszcz przeciągłym cmoknięciem boki atakującego metalu uniosły się o kilkanaście centymetrów, po czym wysliznęły mu się z rąk i z powrotem przywarły do uszu Winstona. Choć wcześniej wydawało się to niemożliwe, chłopak wrzasnął jeszcze głośniejsze. Paru innych Streferów próbowało podejść, żeby pomóc, ale Thomas zawołał, żeby się cofnęli, bo uznał, że będą tylko zawadzać.

- Musimy to zrobić razem! - krzyknął do Winstona, zdecydowany tym razem chwycić mocniej. - Posłuchaj mnie, Winston! Musimy to zrobić razem! Spróbuj to mocno złapać,

podnieść i zdjąć z głowy!

Tamten nie dał żadnego sygnału, że zrozumiał. Jego całe ciało wilo się w konwulsjach, gdy tak się szamotał. Gdyby Thomas nie znajdował się stopień niżej, do tej pory na pewno już by poleciał na dół.

- Na trzy! - krzyknął. - Winston! Liczę do trzech!

Nadal żadnego znaku, że tamten usłyszał. Wrzaski. Miotanina. Kopanie. Walenie rękami w srebrną masę.

Thomasowi łzy napłynęły do oczu, a może to pot ściekał mu z czoła. Cokolwiek to było, mocno piekło. I miał wrażenie, że powietrze rozgrzało się do miliona stopni. Jego mięśnie napięły się; przez nogi przebiegły iskry bólu i skurcze.

- Po prostu to zrób! - ryknął, ignorując wszystko i pochylając się, żeby spróbować ponownie. - Raz! Dwa! Teraz!

Ścisnął palcami boki rozciągającego się srebra, znów wyczuwając dziwaczne połączenie miękkości z twardością, potem raz jeszcze szarpnął paskudztwo do góry, jak najdalej od głowy Winstona. Winston musiał usłyszeć, a może była to tylko kwestia szczęścia, ale w tym samym momencie popchnął masę nasadami dłoni, jakby próbując sobie zedrzeć skórę z czoła. Cała srebrna ohyda odzepiła się - drgająca, gruba i ciężka płachta nieznanej substancji. Thomas nie zawahał się; wyrzuciwszy ręce w górę, cisnął to coś ponad swoją głową w dół schodów, po czym odwrócił się gwałtownie, żeby zobaczyć, co się stało.

Lecąc w powietrzu, srebro szybko uformowało się z powrotem w kulę; jego powierzchnia falowała przez moment, potem się zestaliła. Zatrzymało się ledwie kilka stopni pod nimi, zawisło na sekundę, jakby omiatając ofiarę długim, przeciągłym spojrzeniem, może zastanawiając się, co poszło nie tak. Potem śmignęło precz, frunąc w dół klatki schodowej, aż rozplynęło się w mroku daleko pod nimi.

Zniknęło. Z jakiegoś powodu nie spróbowało zaatakować po raz drugi.

Thomas chwycił powietrze głębokimi haustami; zdawało się, że każdy centymetr jego ciała ocieka potem. Oparł się ramieniem o ścianę, bojąc się spojrzeć na Winstona, który pojękiwał za nim. Przynajmniej wrzaski ustały.

Thomas w końcu odwrócił się i popatrzył na kolegę.

Dzieciak był w strasznym stanie. Zwinął się w kłębek, dygocząc. Włosy zniknęły z jego głowy, pozostała tylko pozdzierana do żywego mięsa skóra, z której gdzieniegdzie sączyła się krew. Jego uszy były pocięte, wystrzępione, ale ocalały. Szlochał, na pewno z bólu, a może również z powodu traumy, jakiej doznał. Trądzik na jego twarzy wyglądał ładnie i zdrowo w porównaniu ze świeżymi ranami na całej głowie.

- Wszystko w porządku, chłopie? - spytał Thomas, świadom, że jest to chyba najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek zadał na głos.

Winston krótko potrząsnął głową, jeden jedyny raz; jego ciałem nadal wstrząsały dreszcze.

Thomas podniósł wzrok i zobaczył, że Minho, Newt, Aris oraz wszyscy pozostali Streferzy stoją zaledwie kilka stopni wyżej, gapiąc się na dół w kompletnym szoku. Padające z góry jaskrawe światło sprawiało, że ich twarze niknęły w cieniu, ale mimo to widział ich oczy - rozszerzone, jak u kotów zaskoczonych przez blask reflektora.

- Co to, kurwa, było? - wyszeptał Minho.

Thomas nie mógł się zmusić do tego, żeby przemówić, po prostu potrząsnął ze znudzeniem głową.

Tym, który odpowiedział, był Newt.

- To była czarodziejska glaja, która zjada ludziom głowy, ot co.

- Na pewno jakaś nowa technologia. - To przemówił Aris; Thomas po raz pierwszy usłyszał go biorącego udział w dyskusji. Nowy rozejrzał się, ewidentnie zauważając zaskoczone twarze, po czym wzruszył ramionami, jakby z zawstydzeniem, i kontynuował. - Wróciło do mnie trochę fragmentów wspomnień. Wiem, że na świecie są dosyć zaawansowane techniczne cuda - ale nie przypominam sobie niczego, co przypominałoby latający ciekły metal, który próbuje obcinać ludziom różne części ciała.

Thomas pomyślał o pozostałościach swoich własnych wspomnień. Rzeczywiście, jemu też nic podobnego nie przychodziło do głowy.

Minho z roztargnieniem wskazał palcem w dół klatki schodowej, za Thomasem.

- To fujostwo widocznie zestala się wokół twojej twarzy, a potem wżera się w szyję, póki jej nie przetnie. Milutkie. Naprawdę milutkie.

- Widzieliście? Ta rzecz wylazła wprost z sufitu! - powiedział Patelniak. - Lepiej się stąd wynośmy. Ale to już.

- Zgadzam się z nim tak bardzo, że już bardziej nie można - przytaknął Newt.

Minho posłał Winstonowi pełne odrazy spojrzenie, a Thomas powędrował za jego wzrokiem. Dzieciak przestał się już trząść, a jego szlochy przycichły do stłumionego pojękiwania. Ale wyglądał okropnie, a blizny z pewnością zostaną mu na całe życie. Jego głowa była teraz jedną wielką, czerwoną, sączącą się raną. Thomas nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek odrosną na niej włosy.

- Patelniak, Jack! - zawołał Minho. - Postawcie Winstona na nogi, będziecie mu pomagali iść. Aris, ty pozbieraj klamoty, które upuścił, niech paru naszych pomoże ci je

nieść. Zwijamy się stąd. Nie obchodzi mnie, jak jasne i brutalne jest światło tam na górze - nikt nie będzie dzisiaj przerabiał mojej głowy na kulę do kręgli.

Odwrócił się na pięcie, nie sprawdzając, czy jego polecenia zostaną wykonane. Posunięcie to z jakiegoś względu kazało Thomasowi pomyśleć, że z przyjaciela jednak będzie dobry przywódca.

- Thomas i Newt, chodźcie - zawołał przez ramię. - My trzej wychodzimy pierwsi.

Thomas wymienił spojrzenia z Newtem, który popatrzył na niego w odpowiedzi z odrobiną lęku, ale przede wszystkim z ciekawością. W oczach miał pragnienie podążenia dalej. Thomas czuł to samo, ale też bardzo niechętnie musiał się przyznać sam przed sobą, że wszystko wydawało się lepsze od sprzątania następstw tego, co spotkało Winstona.

- Chodźmy - powiedział Newt, unosząc lekko głos, jakby dawał do zrozumienia, że nie mają innego wyboru i muszą robić, co im kazano. Jednak jego twarz zdradzała prawdę; podobnie jak Thomas, on także chciał się znaleźć jak najdalej od biednego Winstona.

Thomas kiwnął głową i ostrożnie przeszedł nad Winstonem, starając się już nie patrzeć na zmasakrowaną skórę na jego głowie. Ten widok przyprawiał go o mdłości. Przesunął się w bok, przepuszczając Patelniaka, Jacka i Arisa, żeby mogli wypełnić rozkazy, po czym ruszył w górę schodów, przeskakując po dwa stopnie. W ślad za Newtem i Minho, aż pod samą klapę, gdzie - jak się zdawało - zaraz na zewnątrz czekało samo słońce.

Pozostali Streferzy usunęli się im z drogi, ewidentnie więcej niż szczęśliwi, że mogą pozostawić ich trójce sprawdzenie, co znajduje się na zewnątrz. Gdy zbliżyli się do klapy, Thomas najpierw zmrużył oczy, potem osłonił je dłonią. Coraz trudniej przychodziło mu uwierzyć, że mogą wyjść na zewnątrz, w ten straszliwy blask, i przeżyć.

Minho zatrzymał się na ostatnim stopniu, tuż poza zasięgiem padającego z góry światła. Powoli wyciągnął dłoń, aż znalazła się w kwadracie jasności. Mimo oliwkowej cery chłopca, Thomas miał wrażenie, że skóra Minho rozbłysła jak biały ogień.

Po zaledwie kilku sekundach Minho cofnął dłoń i potrząsnął nią, jakby walnął się młotkiem w kciuk.

- Tam jest naprawdę gorąco. Naprawdę gorąco. - Odwrócił się, żeby popatrzeć na Thomasa oraz Newta. - Jeśli mamy to zrobić, lepiej, żebyśmy się czymś owinęli, inaczej po pięciu minutach będziemy mieć poparzenia słoneczne drugiego stopnia.

- Opróżnijmy nasze pakunki - powiedział Newt, już zsuwając z ramienia swój. - Owińmy się tymi cholernymi prześcieradłami jak pelerynami i idźmy na wstępny zwiad. Jeśli to zadziała, będziemy mogli upchnąć jedzenie i wodę w połowę prześcieradeł, a drugą połowę wykorzystać w charakterze osłon.

Thomas już wcześniej rozwinął swoje prześcieradło, żeby pomóc Winstonowi.

- Będziemy wyglądać jak duchy - odstraszemy wszelkich zbirów, jeśli jacyś się tam czają.

Minho nie był tak ostrożny, jak Newt; po prostu odwrócił swój pakunek do góry nogami i wytrząsnął z niego zawartość. Stojący najbliżej Streferzy rzucili się instynktownie, żeby łapać to wszystko, zanim potoczy się w dół po schodach.

- Żartowniś z tego Thomasa. Miejmy tylko nadzieję, że nie czeka na nas komitet powitalny złożony z Poparzeńców - powiedział, zabierając się do rozwiązywania węzłów w prześcieradle. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał tak po prostu sobie łązić w tym upale. Oby się okazało, że na zewnątrz są drzewa albo jakieś inne schronienie.

- Nie wiem - odparł Newt. - Może się okazać, że dranie siedzą w ukryciu, czekając, żeby nas dorwać.

Thomas nie mógł się doczekać, żeby sprawdzić, co jest na zewnątrz. Już nie zgadywać, tylko przekonać się na własne oczy, z czym będą musieli się zmierzyć.

- Nie dowiemy się, póki nie sprawdzimy. Chodźmy. - Rozpostarł swoje prześcieradło, po czym zarzucił je na siebie i owinął ciasno wokół twarzy, jakby był starą kobietą w chuście.
- Jak wyglądam?

- Jak najbrzydsza sztamaczka, jaką kiedykolwiek widziałem - odparł Minho. - Lepiej dziękuj bogom, że urodziłeś się facetem.

- Dzięki.

Minho i Newt zrobili tak, jak Thomas, chociaż obaj bardziej się starali chwytać prześcieradło od spodu, żeby ich dłonie pozostały całkowicie osłonięte. Ułożyli też materiał tak, aby ocieniał im twarze. Thomas poszedł w ich ślady.

- Gotowi jesteście, ślamajdy? - zapytał Minho, spoglądając na Newta, potem na Thomasa.

- Ba, nawet podekscytowani - odparł Newt.

Thomas nie wiedział, czy słowo „podekscytowani” dobrze oddaje stan rzeczy, ale czuł tę samą chęć działania.

- Ja też. Ruszajmy.

Pozostałe stopnie nad nimi wiodły aż do samej góry, jak wyjście ze starej piwnicy. Kilka ostatnich lśniło, odbijając blask słońca. Minho zawahał się, ale potem wbiegł po nich, nie zatrzymując się, póki nie zniknął, jakby wchłonięty przez światło.

- Leć! - wrzasnął Newt i klepnął Thomasa w plecy.

Thomas poczuł przypływ adrenaliny. Wypuścił głęboki oddech i ruszył w ślad za

Minho; tuż za sobą słyszał Newta.

Gdy tylko wyszedł na słońce, zorientował się, że równie dobrze mogliby być otuleni przezroczystą folią. Prześcieradło w ogóle nie chroniło przed lejącym się z góry oślepiającym blaskiem oraz palącym żarem. Otworzył usta, żeby przemówić, i podmuch suchego gorąca wdarł mu się do gardła, unicestwiając - zdawałoby się - całe zawarte tam powietrze oraz wilgoć. Chłopak desperacko starał się zaczerpnąć tlenu, ale zamiast tego miał wrażenie, że w piersi ktoś rozpałił mu ognisko.

Chociaż jego wspomnienia były nieliczne i rozproszone, bynajmniej nie wynikało z nich, że świat powinien wyglądać właśnie tak.

Z zaciśniętymi powiekami, żeby nie patrzeć w białą jasność, Thomas wpadł na Minho i omal się nie przewrócił. Odzyskawszy równowagę zgiął kolana, przykucnął, kryjąc całe ciało pod prześcieradłem jak pod namiotem, i dalej walczył o oddech. W końcu udało mu się go złapać, głęboko wciągając powietrze i szybko je wydmuchując. Próbował się uspokoić. Ta pierwsza chwila po wyjściu na otwartą przestrzeń przyprawiła go o prawdziwy atak paniki. Dwaj pozostali Streferzy też oddychali ciężko.

- Wszystko w porządku, chłopaki? - zapytał w końcu Minho.

Thomas mruknął potwierdzająco, a Newt powiedział:

- Cholera, wygląda na to, że znaleźliśmy się w piekle. Zawsze przypuszczałem, że ty tam trafisz, Minho, ale nie sądziłem, że ja też.

- Ogay - odparł Minho. - Bołą mnie gałki oczne, ale wydaje mi się, że wreszcie zaczynam się z grubsza przyzwyczajać do tego światła.

Thomas otworzył oczy, mrużąc je, i popatrzył na ziemię znajdującą się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jego oczu. Sucha gleba i kurz. Trochę szarobrazowych kamieni. Prześcieradło spowijało go całkowicie, ale tak jaśniało przeświecającym przez nie blaskiem, że wyglądało niczym jakiś dziwny przykład futurystycznej technologii świetlnej.

- Przed kim się chowasz? - spytał Minho. - Wstawaj, ślamajdo, nikogo tu nie widzę.

Thomasowi zrobiło się wstyd, że wzięli jego zachowanie za kulenie się ze strachu - musiał wyglądać jak małe dziecko popłakujące pod kołdrą, usiłujące się schować. Wstał i bardzo powoli uniósł prześcieradło, żeby móc ostrożnie zerknąć na otoczenie.

Zobaczył pustkowie.

Płasczyzna suchej, pozbawionej życia ziemi rozciągała się przed nim tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Ani jednego drzewa. Nawet krzaczka. Żadnych wzgórz czy dolin. Tylko pomarańczowożółte morze pyłu i kamieni; rozedrgane prądy rozgrzanego powietrza kłębiły się na horyzoncie, wznosząc się jak para, jakby jedyne życie, jakie gdzieś tam istniało,

umykało i roztopiało się w bezchmurnym, bladym błękitnie nieba.

Thomas rozejrzał się dookoła, nie dostrzegając w krajobrazie żadnych różnic, dopóki nie popatrzył w dokładnie przeciwnym kierunku niż na początku. Daleko w oddali majaczył łańcuch poszarpanych, jałowych gór. Może w połowie drogi między tymi górami a miejscem, gdzie teraz się znajdowali, tkwiło skupisko budynków, sterczących blisko siebie niczym sterta porzuconych pudeł. Musiało to być miasto, ale z tej odległości nie dało się oszacować, jak duże. Wokół niego drgało rozgrzane powietrze, zamazując wszystko w pobliżu ziemi.

Rozpalone do białości słońce w górze już znajdowało się daleko po lewej Thomasa i wydawało się zniżać w stronę tamtej części horyzontu, co oznaczało, że tam jest zachód. A to znaczyło, że miasto z przodu oraz wznosząca się za nim linia czarnoczerwonych masywów skalnych musiały się znajdować dokładnie w kierunku północnym. Czyli tam, dokąd mieli się kierować. Zaskoczyło go posiadane wyczucie kierunku, zupełnie jakby kawałek jego przeszłości powstał z popiołów.

- Na wasze wyczucie, jak daleko od nas są te budynki? - zapytał Newt. Po tym, jak każde wypowiedziane przez nich słowo odbijało się głuchym echem w długim mrocznym tunelu oraz na schodach, teraz jego głos wydawał się matowym szeptem.

- Czy to może być sto sześćdziesiąt kilometrów? - spytał Thomas, nie kierując pytania do nikogo w szczególności.

- Tam jest na pewno północ. Czy mamy iść właśnie do tego miasta?

Minho potrzęsnał przecząco głową pod kapturem z prześcieradła.

- Na pewno nie, stary. To znaczy, owszem, mamy iść w tamtym kierunku, ale odległość nie jest nawet zbliżona do stu sześćdziesięciu kilometrów. Najwyżej pięćdziesiąt. Od gór może nas dzielić sto czy sto kilkanaście.

- Nie wiedziałem, że potrafisz tak precyzyjnie mierzyć dystans, nie mając do dyspozycji nic prócz swoich cholernych ślepi - powiedział Newt.

- Jestem Zwiadowcą, smrodasie. W Labiryncie człowiek nabierał wyczucia odległości, nawet jeśli tam skala była dużo mniejsza.

- Szczurowaty nie kłamał na temat tych rozbłysków słonecznych - stwierdził Thomas, starając się nie pozwolić, żeby ogarnęło go zbyt wielkie zniechęcenie. - Ten krajobraz wygląda jak po zagładzie nuklearnej. Ciekawe, czy tak jest teraz na całym świecie.

- Miejmy nadzieję, że nie - odparł Minho. - Ucieszyłby mnie teraz widok choćby jednego drzewa. Może jeszcze strumyczka.

- Mnie wystarczyłoby trochę trawy - dorzucił z westchnieniem Newt.

Im dłużej Thomas patrzył w stronę miasta, tym mniejsza wydawała się ta odległość.

Mówiąc o pięćdziesięciu kilometrach, Minhó mógł wręcz przeceniać dystans. Chłopak w końcu oderwał wzrok od budynków i odwrócił się do towarzyszy.

- Czy ta sytuacja mogłaby się jeszcze bardziej różnić od tego, z czym mieliśmy do czynienia w Labiryncie? Tam byliśmy uwięzieni za murami, mając do dyspozycji wszystko, czego potrzebowaliśmy, żeby przeżyć. Teraz nic nas nie więzi, ale nie mamy innego sposobu na przeżycie, niż tylko pójść tam, gdzie każą nam iść. To się czasem nie nazywa ironia, czy jakoś tak?

- Jakoś tak - zgodził się Minhó. - Istny z ciebie, purwa, filozof. - Skinął głową w stronę wyjścia z podziemi. - Chodźcie. Wyprowadźmy tutaj tych sztamaków i ruszajmy. Nie ma sensu czekać, aż słońeczko wysie z nas całą wilgoć.

- Może powinniśmy poczekać, aż zajdzie - zasugerował Newt.

- I siedzieć w towarzystwie tych pikolonych kul z metalu? Nie ma mowy.

Thomas też był zdania, że powinni ruszać.

- Myślę, że jakoś przetrwamy. Wygląda na to, że tylko kilka godzin dzieli nas od zachodu słońca. Możemy być twardzi przez jakiś czas, zrobić sobie przerwę, a potem spróbować pokonać jak największą odległość w nocy. Nie wytrzymam kolejnej minuty tam na dole.

Minhó stanowczo kiwnął głową.

- Brzmi sensownie - ocenił Newt. - Na razie spróbujmy po prostu dotrzeć do tej zakurzonej miejsciny i mieć nadzieję, że nie roi się tam od naszych ulubieńców Poparzeńców.

Ten komentarz sprawił, że Thomasowi serce na chwilę zamarło.

Minhó podszedł z powrotem do otworu w ziemi i pochylił się nad nim.

- Hej tam, wy tchórzliwe ciaptaki! Zgarnijcie całe żarcie i chodźcie tutaj, na górę!

Ani jeden Strefer nie wyraził niezadowolenia wobec planu.

Thomas patrzył, jak wszyscy po kolei zachowują się tak samo, jak on, kiedy po raz pierwszy wyszedł na zewnątrz. Rozpaczliwe łapanie powietrza, mrużenie oczu, zrezygnowane spojrzenia. Mógł się założyć, że wszyscy mieli nadzieję, iż Szczurowaty kłamał. Ze najgorsze, to znaczy Labirynt, mają już za sobą. Ale był raczej pewien, że po tym, jak zaatakowały ich te wariackie srebrne pożeracze głów oraz po ujrzeniu pustkowia nikogo już nie będą nawiedzać takie optymistyczne myśli.

Przygotowując się do drogi, musieli dokonać pewnych modyfikacji - żywność oraz worki z wodą zostały upchnięte ciasniej w połowie pakunków, a następnie wolnych prześcieradeł użyto, żeby się osłonić podczas wędrówki, jedno prześcieradło na dwie osoby. Ogólnie rzecz biorąc okazało się to całkiem dobrym patentem - nawet w przypadku Jacka

oraz biednego Winstona - i wkrótce wszyscy maszerowali już po twardym, usianym kamieniami gruncie. Thomas dzielił prześcieradło z Arisem, choć nie był pewien, jak do tego doszło. Może po prostu odmawiał przyjęcia do wiadomości, że chciał znajdować się w pobliżu tego chłopca, bo Aris może być jedynym dostępnym źródłem informacji pozwalających uzyskać odpowiedź na pytanie, co się stało z Teresą.

Thomas podtrzymywał jeden koniec prześcieradła lewą ręką, a przez prawe ramię przewiesił pakunek, teraz dużo cięższy. Umówili się, że będą go nieść, zmieniając się co trzydzieści minut. Aris szedł z prawej. Krok za krokiem, wzbijając pył, zmierzali w kierunku miasta, a upał wydawał się wysysać jeden dzień ich życia co sto metrów.

Długo nic nie mówili, ale Thomas w końcu przerwał milczenie.

- Więc nigdy wcześniej nie słyszałeś imienia Teresa?

Aris spojrzał na niego bacznie, i Thomas uświadomił sobie, że prawdopodobnie zawarł w głosie niezbyt subtelną nutę oskarżenia. Ale nie wycofał się.

- No? Tak czy nie?

Aris odwzajemnił jego spojrzenie bez drgnienia, ale w jego minie było coś podejrzanego.

- Nie. Nigdy. Nie wiem, kim ona jest ani dokąd trafiła. Ale przynajmniej nie patrzyłeś, jak umiera na twoich oczach.

To było jak cios pięścią w brzuch, ale z jakiegoś powodu sprawiło, że Thomas nabrał do Arisa nieco więcej sympatii.

- Wiem, przepraszam. - Zastanawiał się przez sekundę, zanim zadał kolejne pytania. - Jak blisko byliście ze sobą, ty i...? Przypomnij mi jeszcze raz, jak ona miała na imię?

- Rachel. - Aris zrobił pauzę i Thomas przez moment sądził, że może to już koniec rozmowy, ale potem nowy kontynuował. - Byliśmy ze sobą więcej niż blisko. Wydarzyły się różne rzeczy. Wróciły do nas wspomnienia. Postaraliśmy się też o nowe.

Thomas wiedział, że Minho śmiałyby się do rozpuku z ostatniego stwierdzenia, ale jemu te słowa wydały się najsmutniejszymi, jakie kiedykolwiek słyszał. Odniósł wrażenie, że powinien coś na to odrzec - powiedzieć coś od siebie.

- No tak. Ale ja też patrzyłem, jak umiera naprawdę bliski przyjaciel. Ilekroć myślę o Chucku, znowu się wkurzam. Jeśli zrobili to samo Teresie, nie będą w stanie mnie powstrzymać. Nic mnie nie powstrzyma. Wszyscy zginą.

Thomas stanął - zmuszając Arisa, by zrobił to samo - zaszokowany, że te słowa właśnie padły z jego ust. Było tak, jakby coś przejęło nad nim kontrolę i wypowiedziało je. Ale rzeczywiście tak uważał. Z pełnym przekonaniem.

- Jak sądzisz...

Ale zanim skończył wypowiedź, Patelniak zaczął krzyczeć. Wskazywał na coś palcem.

Uświadomienie sobie, co tak podekscytowało kucharza, zajęło Thomasowi tylko sekundę.

Z oddali, od strony miasta, biegła ku nim dwójka ludzi; ich ciała były jak widmowe ciemne kształty w rozedrganym upałem powietrzu. Spod ich stóp wznosiły się obłoczki pyłu.

Thomas zagapił się na biegnących. Wyczuł, że otaczający go Streferzy również się zatrzymali, jakby w odpowiedzi na komendę, która nie padła głośno. Choć zdawało się to niemożliwe w panującym upale, Thomas zadrżał. Nie wiedział, czemu poczuł na plecach zimny strumyczek strachu - Streferzy byli niemal dziesięciokrotnie liczniejsi niż zbliżający się obcy - ale tego uczucia nie dało się pomylić z niczym innym.

- Wszyscy zebrać się ciasniej - polecił Minho. -1 przygotujcie się, żeby walczyć z tymi sztamakami na pierwszy znak, że coś jest nie halo.

Drganie powietrza zamazywało kontury zbliżających się postaci, póki biegnący nie znaleźli się w odległości jakichś dziewięćdziesięciu metrów. Gdy ich sylwetki uległy wyostrzeniu, wszystkie mięśnie Thomasa się spięły. Aż za dobrze pamiętał to, co widział przez zakratowane okno zaledwie kilka poranków wcześniej. Poparzeńcy. Ale ci ludzie tutaj przerażali go w inny sposób.

Zatrzymali się zaledwie kilkadziesiąt metrów od Streferów. Jeden z obcych był mężczyzną, drugi kobietą, choć Thomas rozpoznał to tylko po nieznacznym zaokrągleniu jej sylwetki. Poza tym oboje byli podobnej budowy - wysocy i wychudli. Głowy oraz twarze mieli niemal całkowicie owinięte obszarpaną beżową tkaniną, w której widniały jedynie wąskie, strzępiące się rozcięcia pozwalające patrzeć i oddychać.

Ich koszule oraz spodnie stanowiły konglomerat zszytych razem brudnych fragmentów odzieży, miejscami pozwiązywany wytartymi paskami dzinsu. Tylko ich dłonie pozostawały wystawione na bezpośrednie działanie słońca. Były czerwone, popękane i pokryte strupami.

Oboje stali tam i dyszeli, łapiąc oddech, niczym chore psy.

- Kim jesteście? - zawołał Minho.

Obcy nie odpowiedzieli, nie poruszyli się. Ich klatki piersiowe wznosiły się i opadały. Thomas obserwował ich spod zaimprovizowanego kaptura - nie mógł sobie wyobrazić, jak ktokolwiek był w stanie przebiec taką odległość i nie umrzeć na udar cieplny.

- Kim wy jesteście? - powtórzył Minho.

Zamiast odpowiedzieć, nieznajomi rozdzielili się i zaczęli iść w dwie różne strony, zataczając szeroki krąg wokół zbitych w ciasną grupę Streferów. Ich oczy, ukryte w rozcięciach tych dziwnych chust przypominających bandażę mumii, pozostawały wpatrzone w chłopców, gdy tak szli po łuku, jakby szykując się do ataku. Thomas poczuł, że wzbiera w nim napięcie; do szału doprowadzało go, że nie jest w stanie jednocześnie śledzić wzrokiem ich obojga. Odwrócił się i patrzył, jak spotykają się ponownie z tyłu za grupą. Znowu stanęli przodem do Streferów i znieruchomieli.

- Nas jest o wiele więcej niż was - powiedział Minhó tonem zdradzającym jego frustrację. Przejdźcie tak szybko do grózb wydawało się objawem zdesperowania. - Zaczynajcie gadać. Powiedzcie, kim jesteście.

- Jesteśmy Poparzeńcami.

Dwa słowa padły z ust kobiety - krótki wybuch gardłowego rozdrażnienia. Bez żadnego zauważalnego powodu wskazała kierunek za Streferami, tam, gdzie znajdowało się miasto, od strony którego przybiegli.

- Poparzeńcami? - powtórzył Minhó; przepchnął się przez grupę, żeby znowu stać najbliżej nieznajomych. - Takimi jak ci, którzy parę dni temu próbowali się włamać do naszego budynku?

Thomas wzdrygnął się z zażenowania - ci ludzie nie mieli szans zrozumieć, o czym Minhó mówi. Jakimś sposobem Streferzy przebyli daleką drogę od tamtego miejsca, gdziekolwiek się ono znajdowało - przez Płaski Przenoś.

- Jesteśmy Poparzeńcami. - Tym razem odezwał się mężczyzna; jego głos, o dziwo, był łagodniejszy, mniej szorstki niż głos kobiety. Ale pozbawiony wszelkich śladów życzliwości. - Przyszliśmy sprawdzić, czy wy też nimi jesteście. Czy chorujecie na Pożogę.

Minhó spojrzał do tyłu, na Thomasa, a potem na kilku innych, unosząc brwi. Nikt nie powiedział. Ich przywódca odwrócił się z powrotem.

- Taa, taki jeden gość powiedział nam, że jesteście zarażeni Pożogą, tak. Co możecie nam o niej powiedzieć?

- Nieważne - odparł mężczyzna; paski materiału owinięte wokół jego twarzy podrygiwały przy każdym słowie. - Jeśli jesteście na nią chorzy, wkrótce się o tym dowiecie.

- No a czego, do cholery, od nas chcecie? - spytał Newt, podchodząc, żeby stanąć obok Minhó. - Co was obchodzi, czy jesteście Poparzeńcami, czy nie?

Tym razem odpowiedziała kobieta, zachowując się tak, jakby nie usłyszała jego pytań.

- Skąd się wzięliście na Pogorzelsku? Skąd pochodzicie? Jak tu trafiliście?

Thomasa zaskoczyła... inteligencja, o jakiej świadczyły jej słowa. Poparzeńcy za

oknami dormitorium wydawali się całkowicie szaleni, bezrozumni jak zwierzęta. Ci ludzie tutaj byli na tyle przytomni, żeby się zorientować, że obca grupa pojawiła się jak z powietrza. W kierunku przeciwnym do miasta nie było niczego.

Minho pochylił się, żeby skonsultować coś z Newtem, potem zwrócił się w stronę Thomasa.

- Co powiemy tym ludziom?

Thomas nie miał pojęcia.

- Nie wiem. Prawdę? To nam raczej nie zaszkodzi.

- Prawdę? - powtórzył sarkastycznie Minho. - Co za pomysł, Thomas. Purwa, istny geniusz z ciebie, jak zawsze. - Odwrócił się z powrotem do Poparzeńców. - Zostaliśmy tu wysłani przez DRESZCZ. Zaledwie chwilę temu wyszliśmy z dziury w ziemi znajdującej się o, w tamtym kierunku, z tunelu. Zgodnie z poleceniem mamy przejść sto sześćdziesiąt kilometrów na północ przez Pogorzelisko. Czy cokolwiek z tego coś wam mówi?

Znowu wyglądało to tak, jakby nie usłyszeli ani słowa z tego, co powiedział.

- Nie wszyscy Poparzeńcy już doszczętnie oszaleli. Nie wszyscy przekroczyli Granicę. - Ostatnie słowo wypowiedział w taki sposób, że zabrzmiało jak nazwa miejsca. - Różni chorzy znajdują się w różnych stadiach Pożogi. Lepiej, żebyście się nauczyli, z kim się zaprzyjaźniać, a kogo unikać. Albo zabijać. Lepiej się tego nauczcie i to szybko, jeśli zmierzacie w naszą stronę.

- Która to jest wasza strona? - spytał Minho. - Jesteście z tamtego miasta, tak? Czy to tam mieszkają wszyscy Poparzeńcy? Czy jest tam jedzenie i woda?

Thomas czuł to samo pragnienie, co Minho - żeby zadać milion pytań. Miał wręcz ochotę zasugerować, aby pojмали tych dwoje Poparzeńców i zmusili ich do mówienia. Jednak para obcych chwilowo nie zdradzała chęci współpracy. Ponownie się rozdzielili i obeszlili Streferów łukiem, by stanąć między grupą a miastem.

Gdy spotkali się w miejscu, skąd przemówili pierwszy raz - odległe miasto wydawało się niemal unosić między nimi - kobieta powiedziała jeszcze jedną, ostatnią rzecz.

- Jeśli jeszcze nie jesteście na nią chorzy, to wkrótce będziecie. To samo dotyczy drugiej grupy. Tej, która ma zabijać członków waszej.

Potem dwoje obcych odwróciło się i pobiegło z powrotem w kierunku mającego na horyzoncie skupiska budynków, pozostawiając Streferów w osłupiałym milczeniu. Wkrótce sylwetki oddalających się Poparzeńców zniknęły, zamazując się wśród drgającego powietrza i kurzu.

- Drugiej grupy? - powtórzył ktoś. Może Patelniak. Thomas był zbyt pochłonięty

gapieniem się w ślad za niewidocznymi już Poparzeńcami i martwieniem się kwestią Pożogi, żeby to stwierdzić.

- Ciekawe, czy mieli na myśli moją grupę. - To był na pewno Aris. Thomas zmusił się wreszcie, żeby odwrócić wzrok od pustkowia.

- Grupę B? - zapytał. - Myślisz, że już dotarli do miasta?

- Hej! - warknął Minho. - A kogo to obchodzi? Powinno was raczej zainteresować ten fragment, że mają nas niby zabijać. I może jeszcze to, co gadali o Pożodze?

Thomas pomyślał o tatuażu na swoim karku. O tych prostych słowach, które go przerażały.

- Może kiedy powiedziała „członków”, wcale nie miała na myśli więcej niż jednej osoby. - Kciukiem wskazał groźny napis na swojej szyi. - Może chodziło jej o mnie. Nie dało się poznać, na kogo dokładnie patrzyła.

- A skąd miałyby wiedzieć, kim jesteś? - odpalił Minho.

- Poza tym to bez znaczenia. Jeśli ktoś spróbuje zabić ciebie, albo mnie, albo kogokolwiek innego, równie dobrze mogą próbować dorwać nas wszystkich. Rozumiemy się?

- Słodki jesteś - prychnął Patelniak. - Śmiało, umieraj razem z Thomasem. Ja wolę uciec po kryjomu i żyć później z wyrzutami sumienia. - Posłał im swoje szczególne spojrzenie, mające oznaczać, że tylko żartuje, ale Thomas nie był pewien, czy gdzieś głęboko w tej wypowiedzi nie kryje się ziarnko prawdy.

- No to co teraz robimy? - zapytał Jack. Winston obejmował go ramieniem, ale zdawało się, że były Opiekun Mordowni odzyskał już nieco sił. Na szczęście prześcieradło zakrywało ohydne partie jego głowy.

- A jak sądzisz? - spytał Newt, ale potem skinął głową w kierunku Minho. Ten przewrócił oczami.

- Idziemy dalej, ot co. Słuchajcie, nie mamy wyboru. Jeśli nie pójdziemy do tego miasta, umrzemy tutaj na udar słoneczny albo z głodu. Jeśli pójdziemy, na jakiś czas zyskamy schronienie, może nawet zdobędziemy żywność. Idziemy do miasta, bez względu na to, czy są tam Poparzeńcy, czy nie.

- A co z Grupą B? - spytał Thomas. Zerknął na Arisa.

- Czy też kimkolwiek, o kim tamci mówili. Co jeśli oni naprawdę zechcą nas zabić? Nie mamy żadnej broni, możemy walczyć tylko gołymi rękami.

Minho napiął biceps prawej ręki.

- Jeśli ta grupa to naprawdę te dziewczyny, z którymi mieszkał Aris, pokażę im te moje pistolety, a wtedy zwieją w podskokach.

- A jeśli te dziewczyny mają broń? - naciskał dalej Thomas.

- Albo umieją walczyć? Albo jeśli to wcale nie one, tylko banda trzymetrowych stworów, które lubią ludzkie mięso? Albo tysiąc Poparzeńców?

- Thomas... Nie, wszyscy. - Minhó westchnął tonem kogoś doprowadzonego do ostateczności. - Czy wszyscy będą łaskawi po prostu zawrzeć twarzostany i wylaksować? Żadnych więcej pytań. Jeśli nie macie żadnego pomysłu, który nie równa się stuprocentowo pewnej śmierci, przestańcie pikolić i postawmy na jedyną szansę, jaką mamy. Łapiecie?

Thomas uśmiechnął się, choć nie wiedział, co go do tego skłoniło. Jakimś sposobem Minhó tymi kilkoma zdaniem zdołał go rozweselić, a w każdym razie dać mu promyczek nadziei. Po prostu musieli iść, ruszać się, działać. I tyle.

- Tak już lepiej - oznajmił Minhó, kiwając z zadowoleniem głową. - Ktoś jeszcze ma ochotę zsikać się w majtki i płakać za mamusią?

Kilka osób zachichotało, ale nikt nic nie powiedział.

- Dobra. Newt, tym razem ty prowadzisz, z tą twoją nogą. Thomas, ty idziesz z tyłu. Jack, niech ktoś inny teraz przejmie Winstona, żebyś mógł odpocząć. Idziemy.

Ruszyli. Tym razem Aris niósł pakunek, a uwolniony od ciężaru Thomas miał niemal wrażenie, że płynie nad ziemią, tak mu ulżyło. Jedynym utrudnieniem była konieczność podtrzymywania prześcieradła; jego ramię osłabło i zaczęło drżeć. Ale wytrwale podążali naprzód, raz normalnym tempem, raz wolnym truchtem.

Szczęśliwie słońce wydawało się stawać coraz cięższe i opadać tym szybciej, im bliżej horyzontu się znajdowało. Zgodnie z zegarkiem Thomasa, od zniknięcia Poparzeńców upłynęła zaledwie godzina, gdy niebo stało się pomarańczowe z odcieniem fioletu, a jaskrawy blask słońca osłabł do przyjemniejszej ciepłej poświaty. Wkrótce potem skryło się ono za horyzontem, naciągając noc i gwiazdy na niebo jak kurtynę.

Streferzy szli dalej, kierując się ku widocznym w oddali słabym światełkom miasta. Thomasowi niemal zaczynała się podobać ta wędrówka, teraz, kiedy już nie niósł pakunku i zdjęli z siebie prześcieradło.

W końcu, gdy już zniknęły ostatnie ślady zmierzchu, nieprzebita ciemność spowiła krajobraz niczym czarna mgła.

W pierwszej chwili nie wiedział, co to za dźwięki, nie miał też pewności, czy nie są wytworem jego wyobraźni. Ciężko było to poznać, gdy wokół rozbrzmiewały głuche odgłosy stóp uderzających o suche podłoże, szelesty pakunków i szeptane rozmowy przerywane ciężkimi oddechami. Ale to, co z początku było niemalże tylko brzęczeniem na granicy słyszalności, wkrótce przybrało postać niemożliwą do pomylenia z czymkolwiek innym.

Gdzieś przed nimi, może aż w mieście, ale prędzej gdzieś bliżej, ciemność rozdzierały dziewczęce krzyki.

Pozostali ewidentnie też to usłyszeli, i wkrótce Streferzy zwolnili kroku. Gdy już wszyscy złapali oddech, niepokojący dźwięk wydawał się dużo wyraźniejszy.

To było prawie jak głos kota. Rannego, zawodzącego kota. Jeden z tych odgłosów, które sprawiają, że po skórze pełzają ci mrówki, zatykasz dłońmi uszy i modlisz się, żeby to ucichło. Było w nim coś nienaturalnego, coś, co przejmowało Thomasa mrozem do szpiku kości. Ciemność tylko potęgowała upiorny charakter tych dźwięków. Gdziekolwiek znajdowała się krzycząca kobieta, nie było to bardzo blisko, ale jej przenikliwe wrzaski niosły się przez noc niczym żywe echa, tłukące swymi nieludzkimi dźwiękami o ziemię, póki te nie przestały istnieć.

- Wiecie, co mi to przypomina? - spytał szeptem Minho; w jego głosie dało się słyszeć strach.

Thomas wiedział.

- Bena, Alby ego. Pewnie też mnie? Jak wrzeszczeliśmy po uządleniu przez Bóldożerców?

- Bingo.

- Nie, nie, nie - jęknął Patelniak. - Nie mówcie mi, że tutaj też będą łązić te paskudztwa. Tego nie przeżyję!

Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów na lewo od Thomasa i Arisa odezwał się Newt:

- Wątpię. Pamiętacie, jak wilgotna i lepka była ich skóra? Szybko zmieniłyby się w wielkie kule kurzu, gdyby się tutaj spróbowały toczyć po ziemi.

- No cóż - powiedział Thomas - jeśli DRESZCZ może tworzyć Bóldożerców, mogą też tworzyć różne inne, jeszcze gorsze potwory. Przykro mi to mówić, ale ten szczeropodobny gość ostrzegał, że teraz wreszcie zrobi się naprawdę ciężko.

- I oto Thomas znowu próbuje nas radośnie podnieść na duchu - oznajmił Patelniak; starał się nadać głosowi jowialny ton, ale wyszło to bardziej jak złośliwy przytyk.

- Mówię tylko, jak jest.

Patelniak nadął się, obrażony.

- Wiem. A jest beznadziejnie.

- Co teraz? - zapytał Thomas.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak zrobimy przerwę - powiedział Minho. - Napełnimy brzuchy i napijemy się. Potem powinniśmy maszerować naprzód tak długo, jak będziemy w stanie, dopóki nie ma słońca. Może nad ranem prześpiemy się parę godzin.

- A ta psycholka, która się tam wydziera? - spytał Patelniak.

- Zdaje się, że ma wystarczająco dużo własnych kłopotów.

Z jakiegoś powodu to stwierdzenie przeraziło Thomasa.

Może pozostałych też, bo nikt nie powiedział ani słowa. W milczeniu zsunęli pakunki z ramion, usiedli i zaczęli jeść.

- Ludzie, chciałbym, żeby się wreszcie zamknęła. - Aris powiedział to chyba po raz piąty, gdy znów biegli przed siebie w smolistej ciemności. Biedna dziewczyna gdzieś tam przed nimi, coraz bliżej, wciąż wydawała piskliwe, niespokojne krzyki.

Ich posiłek upłynął w ponurej atmosferze. Ciche rozmowy krążyły wokół tego, co Szczurowaty powiedział o Zmiennych i o tym, że liczą się tylko reakcje badanych na nie. O tworzeniu „mapy”, o gromadzeniu wzorów „strefy zagłady”. Oczywiście nikt nie znał żadnych odpowiedzi, do dyspozycji mieli jedynie pozbawione znaczenia spekulacje. Zdaniem Thomasa to było dziwne. Teraz wiedzieli już, że są obiektem jakichś testów, poddawani próbom przez DRESZCZ. Wydawało się, że pod niektórymi względami powinni się przez to zachowywać inaczej, ale oni po prostu szli naprzód, walczyli, starali się przetrwać do czasu, aż zgodnie z obietnicą zostaną wyleczeni. I będą to robić dalej; Thomas był tego pewien.

Gdy Minhó kazał wszystkim ruszyć w dalszą drogę, upłynęło trochę czasu, zanim Thomasowi udało się ponownie przyzwyczaić nogi i stawy do ruchu. Księżyc w górze był jedynie wąskim sierpem, dostarczającym niewiele więcej światła niż gwiazdy. Ale nie potrzebowali dużo widzieć, żeby dało się biec przez płaski, jałowy teren. Poza tym, jeśli nie była to tylko jego wyobraźnia, zaczęli się już zbliżać do świateł miasta. Teraz widział, że drgają, co oznaczało, że przypuszczalnie są to ogniska. Logiczne - prawdopodobieństwo, by na tym pustkowiu dysponowano elektrycznością, musiało być zbliżone do zera.

Nie miał pewności, kiedy nastąpiła ta zmiana, ale skupisko budynków, w stronę którego biegli, wydawało się teraz leżeć znacznie bliżej. I budynków tych było dużo więcej, niż sądził on sam czy ktokolwiek inny. Były też wyższe. Szersze. Liczne i wznoszące się w zorganizowany sposób, w równych rzędach. Kto wie, może to miejsce było kiedyś metropolią i uległo spustoszeniu w wyniku katastrofy, która dotknęła całą okolicę? Czy rozbłyski słoneczne naprawdę mogły spowodować takie zniszczenia? Czy też sprawiły to inne czynniki, później?

Thomas zaczął dochodzić do wniosku, że następnego dnia mają szansę dotrzeć do pierwszych budynków.

Choć nie potrzebowali teraz osłony prześcieradła, Aris nadal truchtał tuż obok niego, a Thomas miał ochotę porozmawiać.

- Opowiedz mi coś więcej o twojej przygodzie z Labiryntem.

Aris oddychał równo; wyglądało na to, że kondycję ma równie świetną jak Thomas.

- O mojej przygodzie z Labiryntem? Co to niby ma znaczyć?

- W sumie nigdy nie opowiedziałeś nam szczegółów. Jak to wyglądało w twoim przypadku? Ile czasu tam spędziłeś? Jak się wydostałeś?

Odpowiedzi Arisa towarzyszyło jednostajne, ciche chrup, chrup, chrup ich kroków na pustynnej ziemi.

- Rozmawiałem z paroma twoimi kolegami i zdaje się, że mnóstwo z tego, przez co przeszliśmy, wyglądało dokładnie tak samo. Tylko... dziewczyny zamiast chłopaków. Część z nich mieszkała tam od dwóch lat, inne pojawiały się po jednej, raz w miesiącu. Potem zjawiała się Rachel, a nazajutrz po niej ja, w sypialni. Prawie nic nie pamiętam, tylko tych kilka ostatnich szalonych dni po tym, jak się w końcu zbudziłem.

Opowiadał dalej o tym, co się wydarzyło, i tyle szczegółów pokrywało się z przejściami, jakie miał za sobą Thomas oraz pozostali Streferzy, że było to wprost dziwaczne. Niemal nie do uwierzenia. Aris wybudził się ze sypialni, powiedział coś o Końcu, ściany przestały się zamykać w nocy, Pudło przestało się pojawiać, odgadli, że Labirynt przekazuje kod, i tak dalej, i tak dalej, aż do ucieczki. Ta ostatnia przebiegła niemal identycznie, jak przerażające doświadczenie Streferów, tyle że mniej dziewcząt straciło życie - jeśli wszystkie były równie twarde, jak Teresa, nie dziwiło to Thomasa w najmniejszym stopniu.

W końcu, gdy Aris i jego grupa znajdowali się już w ostatniej sali, dziewczyna imieniem Beth - która zniknęła kilka dni wcześniej, dokładnie tak, jak Gally - zabiła Rachel, tuż przed tym, jak pojawili się ratownicy i wywieźli ich do miejsca z salą gimnastyczną, o którym Aris wspominał już wcześniej. Potem zaś zabrali go tam, gdzie ostatecznie znaleźli go Streferzy - do pokoju, który wcześniej był pokojem Teresy.

Jeśli to naprawdę było to, co się wydarzyło. Kto mógł wiedzieć, jak teraz funkcjonowały różne rzeczy, jeśli wziąć pod uwagę Urwisko oraz Płaski Przenoś, który ich zabrał do tunelu. Nie wspominając o zamurowanych oknach oraz zamienionej tabliczce przy drzwiach Arisa.

Wszystko to przyprawiało Thomasa o solidny ból głowy.

Kiedy próbował myśleć o Grupie B i wyobrażać sobie ich role - że Aris i on są zasadniczo zamienieni, że Aris faktycznie jest odpowiednikiem Teresy - kompletnie go to ogłupiało. Fakt, że na koniec zamiast Thomasa zabity został Chuck... to była jedyna znacząca różnica, jaka rzucała się w oczy, gdy się porównywało obie historie. Czy zaaranżowane sytuacje miały powodować określone konflikty, czy też prowokować reakcje badane

następnie przez DRESZCZ?

- Trochę pokręcone to wszystko, nie? - zagadnął Aris, pozwalając wcześniej Thomasowi przetrwać całą historię przez jakiś czas.

- Nie wiem, jak należałoby to określić. Ale jestem w szoku, że dwie grupy zostały równolegle poddane temu porażanemu eksperymentowi. Czy też testowi, próbie, czy co to tam było. Znaczący, jeśli testują nasze reakcje, to pewnie ma sens, że nas wystawiono na te same warunki. Ale i tak to dziwne.

Akurat w momencie, gdy Thomas przestał mówić, dziewczyna w oddali wydała wrzask jeszcze głośniejszy niż jej rozbrzmiewające teraz w regularnych odstępach czasu krzyki bólu. Chłopak poczuł świeżą falę zgrozy.

- Myślę, że wiem - odezwał się Aris, tak cicho, że Thomas nie był pewien, czy dobrze go usłyszał.

- Co?

- Myślę, że wiem, czemu były dwie grupy. Czemu są dwie grupy. Thomas popatrzył na niego. W mroku z trudem był w stanie dostrzec malujący się na twarzy Arisa zaskakujący spokój.

- Wiesz? Więc czemu?

Aris nadal nie wydawał się szczególnie zdyszany.

- No cóż, tak naprawdę to mam dwie hipotezy. Jedna to że ci ludzie - DRESZCZ, kimkolwiek są - starają się wyselekcjonować najlepszy materiał z obu grup, żeby nas potem do czegoś wykorzystać. Może nawet nas rozmnożyć albo coś w tym stylu.

- Co? - Thomas był tak zaskoczony, że prawie zapomniał o wrzeszczącej kobiecie. Nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek mógłby wpaść na tak chory pomysł. - Rozmnożyć nas? Daj spokój.

- Po przejściu przez Labirynt oraz po tym, co niedawno widzieliśmy w tamtym tunelu, sądzisz, że rozmnażanie jest nieprawdopodobne? Zlituj się.

- Ogay. - Thomas musiał przyznać, że dzieciak ma trochę racji. - Dobra, a jaka jest twoja druga teoria? - Pytając, poczuł, że ogarnia go zmęczenie wywołane długim biegiem; miał wrażenie, że ktoś wsypał mu do gardła szklankę piasku.

- Mniej więcej odwrotna - odparł Aris. - Że zamiast wziąć z obu grup te osoby, które przeżyją, DRESZCZ chce, żeby do końca dożyła tylko jedna grupa. Czyli albo odrzucają osoby z obu grup, i chłopaków, i dziewczyn, albo chcą odrzucić całą jedną grupę. W każdym razie to są jedyne wytłumaczenia, jakie mi przychodzą do głowy.

Thomas dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, zanim w końcu

odpowiedział.

- Ale jak wyjaśnisz to, o czym mówił Szczurowaty?" Że testują nasze reakcje, sporządzają coś w rodzaju mapy? Może to eksperyment. Może zgodnie z ich planem nikt z nas nie ma przeżyć. Może badają nasze mózgi, nasze reakcje, nasze geny i wszystko inne. Kiedy to się skończy, my będziemy martwi, a oni będą mieli mnóstwo sprawozdań do przeczytania.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu Aris. - Możliwe. Cały czas się zastanawiam, dlaczego w każdej z grup mieli po jednej osobie odmiennej płci.

- Może po to, żeby zobaczyć, jakie to wywoła klótnie i problemy. Badać reakcje ludzi. To w końcu dość unikalna sytuacja. - Thomas niemal miał ochotę się roześmiać. - Strasznie mi się podoba, jak o tym rozmawiamy, prawie jakbyśmy się zastanawiali, kiedy stanąć i walnąć klumpa.

Aris, o dziwo, parsknął suchym stłumionym chichotem, który sprawił, że Thomas poczuł się lepiej - wręcz polubił nowego jeszcze bardziej.

- Weź nic nie mów. Chce mi się srać przynajmniej od godziny.

Teraz to Thomas zachichotał, i w tym samym momencie, jakby w odpowiedzi na prośbę Arisa, Minhó krzyknął, żeby wszyscy się zatrzymali.

- Przerwa na kupkę - powiedział z rękami na biodrach, łapiąc oddech. - Zagrzebcie swoje klumpy i nie załatwiajcie się za blisko. Odpocznijmy kwadransik, potem będziemy szli jakiś czas. Wiem, że wy, ślamajdy, nie dotrzymacie na dłuższą metę kroku Zwiadowcom, takim jak ja czy Thomas.

Thomas przestał słuchać - nie potrzebował instrukcji, jak się załatwić - i odwrócił się, żeby zobaczyć, gdzie się zatrzymali. Zacerpnął głęboko tchu, a kiedy się rozluźnił, jego oczy wypatrzyły coś. Bryłę cienia paręset metrów przed nimi, ale nie dokładnie na ich trasie. Ciemny kwadrat na tle słabej poświaty miasta daleko przed nimi. Rysował się tak wyraźnie, że Thomas nie mógł uwierzyć, iż nie zauważył go do tej pory.

- Hej! - krzyknął, wskazując to coś palcem. - To wygląda jak mały budynek, tylko kilka minut drogi od nas, trochę w prawo. Widzicie?

- Taa, widzę - odparł Minhó, podchodząc, żeby stanąć koło niego. - Ciekawe, co to takiego.

Zanim Thomas zdążył odpowiedzieć, dwie rzeczy wydarzyły się niemal równocześnie.

Najpierw upiorne wrzaski tajemniczej dziewczyny ucichły jak ucięte, jakby ktoś zamknął drzwi do pomieszczenia, w którym się znajdowała. Potem zza majaczącego przed

nimi budynku wyłoniła się kobieca postać. Długie włosy spływały z jej skrytej w mroku głowy niczym czarny jedwab.

Thomas nie mógł się powstrzymać. Jego pierwszą, instynktowną reakcją była nadzieja, że to ona. I pragnienie, żeby ją zawołać. Mieć nadzieję, że wbrew wszystkiemu to ona tam jest, zaledwie paręset metrów od niego, że na niego czeka.

- Tereso i

Nic.

- Tereso? Tereso!

Nic. Wrzód, który pozostawiło jej zniknięcie, nadal tkwił w jego głowie - niczym pusta nisza. Ale... to mogła być ona. Tak, niewykluczone, że to ona. Może coś się stało z ich zdolnością komunikowania się w myślach.

Po tym, jak dziewczyna wyszła zza budynku, lub - co było bardziej prawdopodobne - z wnętrza budynku, po prostu stała w miejscu. Choć całkowicie skrywał ją mrok, coś w jej postawie świadczyło, że stoi twarzą do nich, wpatruje się w nich z założonymi rękami.

- Myślisz, że to Teresa? - zapytał Newt, jakby czytając Thomasowi w myślach.

Thomas kiwnął głową, zanim się zorientował, co robi. Rozejrzał się szybko, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek to zauważył. Doszedł do wniosku, że nie.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział w końcu.

- Myślicie, że to ona tak wrzeszczała? - spytał Patelniak. - Wrzaski urwały się dokładnie w momencie, kiedy wyszła na zewnątrz.

- Prędzej to ona kogoś torturowała - mruknął Minho. - Pewnie litościwie zabiła ofiarę, kiedy zobaczyła, że się zbliżamy. - Potem z jakiegoś powodu klasnął w ręce, jeden jedyny raz. - No dobra, to kto chce iść się spotkać z tą sympatyczną młodą damą?

Thomasa nieodmiennie dziwiło, jak Minho jest w stanie tak niefrasobliwie sobie żartować w takich chwilach.

- Ja to zrobię - powiedział o wiele za głośno. Nie chciał, aby było oczywiste, że ma nadzieję, iż to rzeczywiście Teresa.

- Tylko żartowałem, smrodasie - odparł Minho. - Chodźmy tam wszyscy. W tej budzie może się kryć cała armia szalonych morderczyń ninja.

- Szalonych morderczyń ninja? - powtórzył Newt głosem świadczącym, że jest zaskoczony, wręcz zirytowany postawą Minho.

- No. Chodźmy. - Minho ruszył naprzód.

Thomas zadziałał zgodnie z nagłym i zaskakującym impulsem.

- Nie! - Zniżył głos. - Nie. Wy tu zostańcie, a ja pójde się z nią rozmówić. Może to

pułapka czy coś. Bylibyśmy idiotami, żeby pójść tam wszyscy i się wpakować w kłopoty.

- A ty nie jesteś idiotą, pakując się tam samopas? - spytał Minho.

- No cóż, nie możemy po prostu pójść dalej, nie sprawdziliśmy, co jest grane. Ja pójdę. Jeśli wydarzy się coś złego albo sprawy zaczną wyglądać podejrzanie, będę krzyczeć o pomoc.

Minho wahał się długą chwilę.

- Dobra. Idź. Nasz dzielny mały sztamaczku. - Klepnął Thomasa w plecy otwartą dłonią, aż zapiekło.

- To jest głupie jak cholera - wtrącił Newt, wysuwając się do przodu. - Pójdę razem z nim.

- Nie! - warknął Thomas. - Po prostu... pozwólcie mi to zrobić. Coś mi mówi, że powinniśmy być ostrożni. Jeśli będę się dał jak niemowlak, ruszcie mi na ratunek. -1, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, chłopak ruszył szybkim krokiem w stronę dziewczyny oraz budynku.

Prędko zmniejszył dzielący ich dystans. Jego buty chrzęściły w ciszy o piaszczystą ziemię i kamyki. Czuł surowe zapachy pustyni przemieszane z odległą wonią dymu, i wpatrując się w sylwetkę dziewczyny stojącej obok budynku, nagle zyskał pewność. Może sprawił to zarys jej głowy lub ciała. Może pozycja, w jakiej stała, sposób, w jaki przechyliła splecione ręce w bok, lekko wysuwając biodro w drugą stronę. Ale Thomas już wiedział.

To była ona.

To była Teresa.

Kiedy znalazł się zaledwie parę metrów od niej, tuż przed tym, zanim słabe światło w końcu ukazałoby jej twarz, dziewczyna odwróciła się i przeszła przez otwarte drzwi, znikając w małym budynku. Był on prostokątny, z nieznacznie nachylonym, dwuspadowym dachem biegnącym wzdłuż dłuższego boku, i - na ile Thomas mógł stwierdzić - pozbawiony okien. Z rogów zwieszały się duże czarne sześciiany - może głośniki. Może wrzaski były stąd transmitowane, były fałszywką. To by tłumaczyło, czemu słyszeli je z tak daleka.

Drzwi, wielka drewniana płyta, stały otwarte na oścież, oparte o ścianę. W środku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz.

Thomas poruszył się. Przeszedł przez drzwi, uświadamiając sobie w tym samym momencie, jak bardzo może to być nierozsądne i głupie. Ale tam była ona. Bez względu na to, co się stało, bez względu na wytłumaczenie, jakie kryło się za jej zniknięciem oraz odmową komunikowania się z nim w myślach, wiedział, że ona go nie skrzywdzi. Nigdy w życiu.

Wewnątrz powietrze było w wyczuwalnym stopniu chłodniejsze, niemal wilgotne. Cudownie było odczuć je na skórze. Trzy kroki za progiem Thomas zatrzymał się i nasłuchiwał w kompletnej ciemności. Słyszał, jak dziewczyna oddycha.

- Tereso? - zapytał na głos, odpychając pokusę, żeby znów odezwać się do niej w myślach. - Tereso, co się dzieje?

Nie odpowiedziała, ale usłyszał, jak zaczerpnęła tchu, potem z wahaniem pociągnęła nosem, jakby płakała, ale chciała to przed nim ukryć.

- Tereso, proszę. Nie wiem, co się stało ani co oni ci zrobili, ale teraz jestem tutaj. To wariactwo. Po prostu odezwij się do...

Urwał, gdy zapłonęło światło - szybki rozbłysk, który równie prędko przygasł, stając się małym płomykiem. Jego oczy, rzecz jasna, natychmiast powędrowały w tamtą stronę, ku dłoni trzymającej zapalkę. Patrzył, jak dłoń zostaje opuszczona, powoli, ostrożnie, żeby zapalić świeczkę stojącą na stoliku. Kiedy knot zapłonął, a dłoń zamachała zapalką, aż ta zgasła, Thomas w końcu podniósł wzrok i zobaczył dziewczynę. Zobaczył, że jednak miał rację. Ale krótki, niemal obezwładniający dreszcz radości wywołany ujrzeniem Teresy szybko znikł, zastąpiony zamętem w głowie i bólem.

Była czysta, od stóp do głów. Thomas spodziewał się, że będzie brudna, tak, jak on musiał być brudny po tylu godzinach na pylistej pustyni. Przypuszczał, że jej ubranie będzie złachane i podarte. Spodziewał się zobaczyć pozlepiane włosy oraz umazaną kurzem i spaloną słońcem twarz. Zamiast tego Teresa miała na sobie świeże ubranie, a czyste włosy spływały jej na ramiona. Na bladej skórze jej twarzy i rąk nie było widać najmniejszej skazy. Była piękniejsza niż kiedykolwiek w Labiryncie, niż którekolwiek ze wspomnień, jakie mógł wywlec z mrocznego chaosu odzyskanego w wyniku Przemiany.

Ale jej oczy lśniły od łez; jej dolna warga drżała ze strachu; jej opuszczone wzdłuż boków ręce dygotały. Jej spojrzenie świadczyło, że rozpoznała Thomasa, że nie zapomniała ponownie, ale patrzyła na niego z czystym i absolutnym przerażeniem.

- Tereso - szepnęła, spinając się cały w środku. - Co się stało?

Nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie umknęło w bok, po czym znów wróciło do niego. Z jej oczu pociekło kilka łez, spływając po policzkach, by skapnąć na podłogę. Jej wargi zadrżały jeszcze mocniej, a pierś zafalowała w czymś, co mogło być tylko tłumionym szlochem.

Thomas dał krok do przodu, wyciągnął ku niej rękę..

- Nie! - wrzasnęła. - Odsuń się ode mnie!

Thomas zamarł - czuł się tak, jakby coś potężnego rąbnęło go w brzuch. Uniósł rękę.

- W porządku, w porządku. Tereso, co... - Nie wiedział, co powiedzieć ani o co pytać. Nie wiedział, co zrobić. Ale to okropne uczucie, że coś w nim wewnątrz pęka, narastało, puchło mu w gardle, grożąc uduszeniem.

Znieruchomiał, bojąc się, że znów ją sprowokuje do krzyku. Jedyne, co mógł zrobić, to popatrzeć jej w oczy, próbując zakomunikować, jak się czuje, i błagać, żeby coś mu powiedziała. Cokolwiek.

Bardzo długa chwila upłynęła w milczeniu. To, jak Teresa się trzęsła, to, jak niemalże starała się walczyć z czymś niewidzialnym... to mu przypominało...

To mu przypominało zachowanie Gally'ego tuż po tym, jak uciekli z Labiryntu, a ich były kolega wkroczył do pomieszczenia razem z kobietą w białej koszuli. Tuż zanim zaczął się oblęd. Tuż zanim Gally zabił Chucka.

Thomas musiał przemówić, żeby nie oszaleć.

- Tereso, myślałem o tobie w każdej sekundzie, odkąd cię zabrali. Ty...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Rzuciła się naprzód i w dwóch długich krokach znalazła się przy nim, już wyciągała ręce, chwytając go za ramiona, przyciągając do siebie. Zaszokowany Thomas otoczył ją ramionami i przytulił tak mocno, że nagle przestraszył się, iż nie będzie mogła oddychać. Jej dłonie odnalazły tył jego głowy, potem policzki, zmuszając go do popatrzenia na nią.

A w następnej chwili się całowali. Coś eksplodowało w jego piersi, spalając całe napięcie, zamęt w głowie i strach. Spalając urazę, którą czuł jeszcze przed kilkoma sekundami. Przez moment było tak, jakby wszystko przestało się liczyć. Jakby nic już nigdy nie miało się liczyć.

Ale potem ona się odsunęła. Zatoczyła się do tyłu, aż uderzyła o ścianę. Na jej twarzy powróciło przerażenie, zawładnęło nią jak demon. A potem przemówiła, szeptem, lecz nagle.

- Uciekaj ode mnie, Tom - powiedziała. - Wszyscy musicie... ode mnie... uciekać. Nie kłóć się. Po prostu uciekaj stąd. Biegnij. - Jej szyja napięła się z wysiłku, jakiego wymagało wypowiedzenie tych ostatnich kilku słów.

Thomas jeszcze nigdy nie czuł tyle bólu. Ale zaszokowało go to, co zrobił potem.

Teraz ją znał, pamiętał ją. I wiedział, że mówiła prawdę - coś tu było nie tak. Coś było okropnie nie tak - było dużo gorzej, niż z początku przypuszczał. Zostać, spierać się z nią, próbować ją zmusić, żeby z nim wróciła - to byłoby jak cios w twarz dla olbrzymiej siły woli, jakiej musiało od Teresy wymagać uwolnienie się na chwilę, żeby go ostrzec. Musiał postąpić tak, jak kazała.

- Tereso - powiedział. - Znajdę cię. - Odwrócił się i, też ze łzami w oczach, wybiegł z budynku.

Wrócił do Streferów i odmówił odpowiedzi na ich pytania. Powiedział, że muszą ruszać, biec, uciekać jak najdalej. Ze wyjaśni później. Ze wszystkim im grozi śmierć.

Nie czekał na nich. Nie zaofiarował się, że weźmie od Arisa pakunek. Po prostu pognął sprintem w kierunku miasta i pędził tak, aż w końcu musiał zwolnić do dającego się utrzymać tempa, odcinając się od pozostałych, odcinając się od całego świata. Nie miał wątpliwości, że ucieczka od Teresy była najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił. Pojawienie się w Labiryncie z wymazaną pamięcią, zaadaptowanie się do życia tam, uwięzienie w Labiryncie, walka z Bóldożercami, patrzenie, jak Chuck umiera - żadne z tych doświadczeń nie było nawet zbliżone do tego, co przeżywał teraz.

Była tam. Trzymał ją w ramionach. Znowu byli razem.

Pocałowali się i poczuł coś, o czym wcześniej sądziłby, że jest niemożliwe.

A teraz uciekał. Zostawiwszy ją tam.

Z gardła wyrwał mu się zdławiony szloch. Thomas jęknął, usłyszał, że jego żaloszny głos się załamuje. W sercu czuł ból, który prawie kazał mu się zatrzymać, paść na ziemię i dać za wygraną. Gryzł go przeraźliwy smutek i chłopak więcej niż raz czuł pokusę, żeby zawrócić. Ale jakimś sposobem zdołał skupić się na tym, co kazała mu zrobić, i uczepił się obietnicy, którą złożył - że ją odnajdzie.

Przynajmniej jest żywa. Przynajmniej jest żywa.

Powtarzał to sobie. Te słowa dawały mu siłę, by biec dalej.

Teresa żyła.

Istniały granice tego, co jego ciało mogło znieść. W którymś momencie, może dwie godziny po tym, jak się z nią rozstał, może trzy, zatrzymał się, pewien, że jeśli spróbuje dać jeszcze jeden krok, serce wyskoczy mu z piersi. Odwrócił się i zobaczył poruszające się w oddali cienie - pozostałych Streferów, daleko z tyłu. Łapiąc olbrzymie hausty suchego powietrza, Thomas ukląkł, opierając przedramiona o kolano, po czym zamknął oczy, żeby odpocząć do czasu, aż koledzy go dogonią.

Minho dotarł do niego pierwszy, i - jako przywódca - nie wyglądał na zadowolonego. Nawet w słabym świetle - świt dopiero zaczynał rozjaśniać niebo na wschodzie - widać było, że aż gotuje się ze złości. Trzy razy obszedł Thomasa naokoło, zanim w końcu się odezwał.

- Co... Dlaczego... Co z ciebie, purwa, za idiota, Thomas?

Thomas nie miał ochoty o tym rozmawiać. Ani w ogóle o niczym.

Kiedy nie odpowiedział, Minho ukląkł obok niego.

- Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś tak po prostu stamtąd wyjść i ruszyć biegiem? Niczego nie wyjaśniając? Od kiedy tak postępujemy? Ty krótasie. - Westchnął głośno i usiadł na ziemi, kręcąc głową.

- Przepraszam - wymamrotał w końcu Thomas. - To było ciut traumatyzujące.

Inni Streferzy zdążyli już do nich dołączyć. Połowa, zgięta wpół, starała się złapać oddech; druga połowa tłoczyła się wokół, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają Thomas i Minhó. Newt stał tuż obok, ale wyglądał na zadowolonego, że może całe wypytywanie o to, co zaszło, pozostawić przywódcy.

- Traumatyzujące? - powtórzył Minhó. - Kogo tam zobaczyłeś? Co powiedzieli?

Thomas zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru - ta sprawa nie była czymś, co mógłby albo powinien zataić przed pozostałymi.

- To była... to była Teresa.

Spodziewał się gwałtownych wdechów, okrzyków zaskoczenia, oskarżeń, że kłamie. Ale w ciszy, jaka zapadła, można było usłyszeć, jak podmuchy porannego wiatru gnają przez pylisty krajobraz wokół nich.

- Co takiego? - odezwał się wreszcie Minhó. - Poważnie?

Thomas tylko kiwnął głową, gapiąc się na leżący przed nim trójkątny kamień. Tylko w ciągu ostatnich kilku minut wokół zrobiło się dużo jaśniej.

Minhó był, co zrozumiałe, wstrząśnięty.

- I zostawiłeś ją tam? Stary, lepiej otwórz jadaczkę i opowiedz nam, co tam się stało.

Choć go to bolało, choć wspomnienie tego spotkania szarpało go za serce, Thomas opowiedział całą historię. O tym, jak zobaczył dziewczynę, że drżała i płakała, że zachowywała się jak Gally, tuż zanim zabił Chucka - niemalże jak owładnięta przez jakąś obcą siłę, o ostrzeżeniu, które przekazała. Opowiedział o wszystkim; pominął jedynie pocałunek.

- O ja cię - powiedział zmęczonym tonem Minhó, tym prostym stwierdzeniem niejako podsumowując całość.

Minęło kilka minut. Suchy wiatr drapał ziemię, wypełniając powietrze pyłem, podczas gdy jaskrawopomarańczowa kula słońca wyłoniła się zza horyzontu, oficjalnie rozpoczynając dzień. Nikt się nie odzywał. Thomas słyszał oddechy, pociągnięcia nosem i kilka kaszlnięć. Odgłosy picia wody z worków. Zdawało się, że miasto urosło przez noc; jego budynki sięgały wysoko w górę, w bezchmurne, fioletowoniebieskie niebo. Dotarcie tam zajmie zaledwie jeszcze dzień czy dwa.

- To była jakaś pułapka - powiedział wreszcie Thomas.

- Nie wiem, co by się stało i ilu z nas by zginęło. Może wszyscy. Ale widziałem po jej oczach, że nie miała żadnych wątpliwości, kiedy wyłamała się spod władzy tego czegoś, co ją trzymało. Ocaliła nas, i założę się, że każą jej... - Przełknął.

- Założę się, że każą jej za to zapłacić.

Minho wyciągnął rękę i ścisnął jego ramię.

- Stary, gdyby ci pikoleni goście z DRESZCZu chcieli jej śmierci, to już by gniła pod wielką stertą kamieni. Jest tak samo twarda jak każdy z nas, może twardsza. Przeżyje.

Thomas głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je. Poczuł się lepiej. Niewiarygodne, ale poczuł się lepiej. Minho miał rację.

- Wiem. Jakimś sposobem to wiem.

Minho wstał.

- Powinniśmy byli się zatrzymać parę godzin temu, żeby się trochę przespać. Ale dzięki obecnemu tutaj panu Pustynnemu Biegaczowi - lekko klepnął Thomasa w głowę - gnaliśmy przed siebie jak głupi, aż cholerne słońce weszło z powrotem. Nadal sądzę, że powinniśmy teraz trochę odpocząć. Spijcie pod prześcieradłami, czy wszystko jedno jak, ale spróbujmy.

Thomas nie miał z tym najmniejszego problemu. Choć świecące coraz jaśniej słońce sprawiało, że nawet przez zamknięte powieki widział rozmazany karmin z plamami czerni, zasnął natychmiast, z głową w całości schowaną pod prześcieradłem dla ochrony przed oparzeniem słonecznym

- i przed dręczącymi go zmartwieniami.

Minho pozwolił im spać prawie cztery godziny. Mało kogo musiał zresztą budzić. Wznoszące się coraz wyżej i świecące coraz intensywniej słońce zalewało ziemię żarem, który szybko stał się nieznośny, niemożliwy do zignorowania. Kiedy Thomas kończył pakować prowiant po śniadaniu, ubranie miał już doszczętnie przesiąknięte potem. Smród potu wisiał nad nimi wszystkimi jak cuchnąca mgiełka, i chłopak miał tylko nadzieję, że nie on śmierdzi najgorzej z całego towarzystwa. Prysznice w dormitorium wydawały się teraz szczytem luksusu.

Streferzy przygotowywali się do dalszej drogi w ponurym milczeniu. Im dłużej Thomas o tym myślał, tym bardziej sobie uświadamiał, że nie mieli zbyt wielu powodów do radości. Jednak dwie rzeczy powstrzymywały go od poddania się, i miał nadzieję, że z pozostałymi jest podobnie. Przede wszystkim przemożna ciekawość, co jest w tym głupim mieście - im bardziej się doń zbliżali, tym bardziej wyglądało na metropolię. A po drugie - nadzieja, że Teresa jest cała i zdrowa. Może przeszła przez jeden z tych całych Płaskich

Przenosów. Może była teraz przed nimi. Może nawet w mieście. Thomas poczuł falę otuchy.

- Chodźmy - powiedział Minho, gdy już wszyscy byli gotowi. I ruszyli.

Szli przez suchą, pylistą krainę. Nikt nie musiał tego mówić na głos, Thomas i tak wiedział, że wszyscy myślą to samo - nie mieli już siły biec, gdy słońce było w górze. A nawet gdyby, to nie mieli dość wody, żeby móc przeżyć szybsze tempo.

Szli więc, trzymając nad głowami prześcieradła. W miarę jak kurczyły się ich zapasy jedzenia i wody, dysponowali coraz większą liczbą wolnych prześcieradeł, których można było użyć jako osłony przed słońcem, więc coraz mniej Streferów musiało iść parami. Thomas był jednym z pierwszych, którzy zostali sami, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie chciał z nim rozmawiać po usłyszeniu historii o Teresie. Z pewnością nie zamierzał narzekać - samotność była chwilowo balsamem dla jego obolałej duszy.

Wędrówka. Postoje, żeby coś zjeść i się napić. Wędrówka. Skwar, niczym suchy ocean, przez który musieli płynąć. Ten wiatr, teraz dmuchający silniej, niosący więcej pyłu i piachu niż ulgi od gorąca. Szarpał prześcieradła, utrudniał trzymanie ich nad głową. Thomas wciąż kaszlał i wycierał z kącików oczu gromadzący się tam brud. Zdawało mu się, że każdy łyk wody tylko nasila pragnienie, ale jej zapasy osiągnęły niebezpiecznie niski stan. Jeśli po dotarciu do miasta okaże się, że nie ma tam wody pitnej...

Tej myśli nie dawało się zakończyć żadną pozytywną konkluzją.

Szli dalej. Każdy krok stawał się teraz odrobinę bardziej męczący, i zapadło milczenie. Nikt się nie odzywał. Thomas miał wrażenie, że nawet wypowiedzenie kilku słów pochłania zbyt dużo energii. Wszystko, co był w stanie zrobić, to stawiać jedną nogę za drugą, raz za razem, raz za razem, gapiąc się martwo na ich cel - przybliżające się z każdą chwilą miasto.

Zdawało się, że budynki są żywe i rosną w oczach, w miarę jak chłopcy zbliżali się do nich. Wkrótce Thomas widział już mury zrobione z czegoś, co musiało być kamieniem, i migoczące w słońcu szyby okien. Niektóre wyglądały na rozbite, ale dużo mniej niż połowa. Z miejsca, skąd patrzył, ulice wydawały się puste. Za dnia nie płonęły tam żadne ogniska. Na ile był w stanie stwierdzić, nie rosło tam ani jedno drzewo ani żadna inna roślina. Jak zresztą mogłoby, w tym klimacie? Jakim cudem ludziom udawało się tam przetrwać? Jak mieliby uprawiać ziemię, żeby uzyskać pożywienie? Co Streferzy tam zastaną?

Dowiedzą się jutro. Przebycie drogi trwało dłużej niż sądził, ale Thomas nie miał wątpliwości, że nazajutrz dotrą do miasta. I choć prawdopodobnie byłoby dla nich lepiej, żeby mogli je obejść, nie mieli wyboru. Musieli uzupełnić zapasy.

Wędrówka. Postoje. Skwar.

Gdy w końcu zapadł zmierzch, po tym, jak słońce w nieznośnie wolnym tempie skryło się wreszcie za zachodnim horyzontem, wiatr jeszcze się nasilił i tym razem przyniósł nieznaczne ochłodzenie. Thomas powitał je z radością, wdzięczny za jakąkolwiek ulgę od upału.

Jednakże do północy, kiedy Minhó w końcu kazał im się zatrzymać i znów złapać trochę snu, a miasto i jego ogniska przybliżyły się jeszcze bardziej, wiatr przerodził się w wichurę. Dął i chłostał z wzrastającą siłą.

Wkrótce po tym, jak stanęli, Thomas leżał na wznak, otulony prześcieradłem, podciągnąwszy je aż pod brodę. Popatrzył w niebo. Podmuchy wiatru działały niemal kojąco, kołysały go do snu. Jego umysł zamglił się z wyczerpania, gwiazdy wydawały się gasnąć, i zaśnięcie przyniosło mu kolejną wizję.

Siedzi na krześle. Ma dziesięć lub jedenaście lat. Teresa - wygląda zupełnie inaczej, jest dużo młodsza, ale nadal łatwo poznać, że to ona - siedzi naprzeciwko niego, a między nimi znajduje się stół. Dziewczynka jest mniej więcej jego rówieśniczką. W pokoju nie ma nikogo prócz nich. Jest ciemno, pali się tylko jedno światło - mdły kwadrat żółci na suficie, bezpośrednio nad ich głowami.

- Tom, musisz się bardziej postarać - mówi Teresa. Ręce splotła na piersi i nawet w tym młodszym wcieleniu jej poza nie zaskakuje chłopaka. Wygląda bardzo znajomo. Jakby znał ją już od dawna.

- Przecież próbuję. - Znowu to on mówi, ale tak naprawdę nie on. Ciężko to pojąć.

- Prawdopodobnie nas zabiją, jeśli się tego nie nauczymy.

- Wiem.

- Więc spróbuj!

- Próbuję!

- Dobra - odpowiada Teresa. - Wiesz co? Od teraz nie odzywam się do ciebie na głos. Już nigdy więcej, póki się nie nauczysz.

- Ale...

- I w myślach też nie. - Mówi w jego głowie. Ta sztuczka nadal go przeraża, a on wciąż jeszcze nie umie odpowiedzieć w ten sam sposób. - Zaczynając od teraz.

- Tereso, daj mi jeszcze tylko kilka dni. Nauczę się.

Nie odpowiada.

- Dobra, tylko jeden dzień.

Patrzy na niego w milczeniu. A potem rezygnuje nawet z tego. Wbija spojrzenie w stół, wyciąga rękę i zaczyna skrobać paznokciem płamę na drewnie.

- Nie ma takich cudów, żebyś przestała ze mną rozmawiać.

Żadnej odpowiedzi. A Thomas ją zna, mimo tego, co właśnie powiedział. Oj tak, zna ją.

- Dobra - mówi. Zamyka oczy, robi to, co kazał mu zrobić instruktor. Wyobraża sobie morze czarnej nicości, a na jego tle tylko jeden jedyny obraz - twarz Teresy. Potem, zbierając całą siłę woli, na jaką go stać, formułuje słowa i ciska nimi w nią.

- Śmierdzisz jak worek kupy.

Teresa uśmiecha się, potem odpowiada w jego umyśle.

- Ty też.

Thomas zbudził się i odkrył, że wiatr chłoszcze jego twarz, szarpie włosy i odzież. Zupełnie jakby niewidzialne ręce próbowały ją zedrzeć. Nadal było ciemno. I zimno - dygotał na całym ciele. Uniósł się na łokciach i rozejrzał, zaledwie mogąc rozróżnić skulone kształty śpiących w pobliżu kolegów, ciasno owiniętych prześcieradłami.

Prześcieradłami.

Aż krzyknął z frustracji, po czym skoczył na równe nogi - gdy spał, w którymś momencie jego własne prześcieradło rozwinęło się i porwał je wiatr. Do tej pory mogło być już dwadzieścia kilometrów dalej.

- Purwa - szepnął; wycie wichru zagłuszyło to słowo, zanim zdążył je usłyszeć. Wróciła do niego ujrzana we śnie wizja - a może wspomnienie? Tak, to musiało być wspomnienie. Krótkie spojrzenie wstecz na czasy, kiedy on i Teresa byli młodszy i uczyli się swojej sztuczki z telepatią. Na chwilę ogarnęła go rezygnacja. Tęsknił za nią, czuł się winny, otrzymawszy kolejny dowód, że zanim pojawił się w Labiryncie, był częścią DRESZCZU. Otrząsnął się, nie chcąc o tym myśleć. Będzie w stanie wyprzeć to wszystko z pamięci, jeśli wystarczająco się postara.

Spojrzał w górę, na czarne niebo, po czym zaczerpnął gwałtownie tchu, gdy nagle wróciło doń wspomnienie słońca, które zniknęło z Labiryntu. To był początek końca. Początek horroru.

Ale zdrowy rozsądek wkrótce sprawił, że jego serce przestało bić tak gorączkowo. Wiatr. Chłodne powietrze. Burza. Widać po prostu zbliżała się burza.

Chmury.

Zawstydzony usiadł z powrotem, potem położył się na boku i zwinął w kłębek, otaczając się ramionami. Chłód nie był nie do wytrzymania, stanowił po prostu olbrzymią zmianę po strasliwym upale, który dręczył ich przez dwa ostatnie dni. Thomas pogrążył się w myślach. Łamał sobie głowę nad wspomnieniami, które odzyskał ostatnio. Czy mogły to

być utrzymujące się jeszcze pozostałości po Przemianie? Czy też wracała mu pamięć?

Ta myśl wywoływała w nim mieszane uczucia. Chciał, aby blokada, jaką nałożono na jego pamięć, wreszcie pękła na dobre - chciał wiedzieć, kim jest i skąd pochodzi. Zarazem jednak czuł strach przed tym, co mogłby odkryć na swój temat. Na temat własnej roli w wydarzeniach, które doprowadziły go tu, gdzie się teraz znajdował, które zrobiły to jego przyjaciółom.

Rozpaczliwie potrzebował snu. Mając w uszach nieustający ryk wichury, w końcu odpłynął, tym razem w nicość.

Obudziło go światło. Thomas ujrzał mętny, szary świt, który nareszcie ukazał grubą warstwę chmur zakrywających niebo. Sprawiał też, że rozciągający się wokół bezmiar pustyni wyglądał jeszcze posępniej. Miasto znajdowało się teraz tak blisko, zaledwie kilka godzin drogi od nich. Budynki naprawdę były wysokie; jeden nawet niknął od góry w wiszącej nisko mgie. A szkło we wszystkich tych rozbitych oknach przypominało ostre zęby w paszczękach rozwartych, żeby chwytać jedzenie, które mogłoby frunąć razem z burzliwym wiatrem.

Gwałtowne podmuchy nadal chłostały Thomasa, a jego twarz pokryta była grubą warstwą pyłu, który, zdawałoby się, przyrósł do niej już na stałe. Chłopak potarł głowę i stwierdził, że włosy ma sztywne od zaschniętego na wietrze brudu.

Większość pozostałych Streferów była już na nogach. Kontemplowali nieoczekiwaną zmianę pogody, pogrążeni w rozmowach, których Thomas nie słyszał przez nieustający ryk w uszach.

Wkrótce po tym, jak się zbudził, Minho zauważył to i podszedł; idąc pod wiatr, pochylał się, a ubranie łopotало wokół niego.

- No, wreszcie się obudziłeś! Najwyższa pora! - wykrzyczał.

Thomas przetarł zalepione oczy i dźwignął się na nogi.

- Skąd się to wszystko wzięło?! - odrzyknął. - Sądziłem, że jesteśmy na pustyni!

Minho popatrzył w górę, na kotłującą się szarą masę chmur, a potem znowu na Thomasa. Pochylił się niżej, żeby móc mówić prosto do jego ucha.

- No cóż, przypuszczam, że nawet na pustyni kiedyś musi padać. Pospiesz się i jedz, musimy się zbierać. Może uda nam się dotrzeć do miasta i znaleźć jakieś schronienie, zanim burza nas przemoczy.

- A co, jeśli tam dotrzemy i banda Poparzeńców spróbuje nas pozabijać?

- To będziemy z nimi walczyć! - Minho zmarszczył brwi, jakby zawiedziony, że Thomas zadał tak głupie pytanie. - A co innego chciałbyś zrobić? Prawie nie mamy już żarcia ani wody.

Thomas wiedział, że przyjaciel ma rację. Poza tym, jeśli ich grupa była w stanie podjąć walkę z tuzinami Bóldożerców, to banda na wpół szalonych, zagłodzonych chorych nie powinna być aż takim problemem.

- Dobra, więc ruszajmy. Zjem jeden z tych owsianych batonów w trakcie marszu.

Kilka minut później znów podążali w kierunku miasta, a szare, nabrzmiałe niebo nad nimi wydawało się gotowe w każdej chwili pęknąć i krwawić wodą.

Już tylko parę mil dzieliło ich od najbliższych budynków, gdy natrafili na starego człowieka, który leżał na wznak na piasku, owinięty kilkoma kocami. To Jack zobaczył go pierwszy, i wkrótce Thomas oraz pozostali utworzyli ciasny krąg wokół nieznajomego, gapiąc się nań.

Patrząc na tego człowieka, Thomas poczuł mdłości, ale nie potrafił oderwać od niego wzroku. Obcy musiał sobie liczyć ze sto lat, choć na dobrą sprawę ciężko było to ocenić - może tylko długa ekspozycja na działanie słońca nadała mu taki wygląd. Pomarszczona, głęboko pobrużdżona twarz. Strupy i wrzody tam, gdzie powinny być włosy. Ciemna, ciemna skóra.

Żył, oddychał ciężko, ale wpatrywał się w niebo pustymi oczami. Zupełnie jakby czekał, aż jakieś bóstwo zstąpi z góry i go zabierze, zakończy jego żalosne życie. Nie dał żadnego znaku świadczącego o tym, że zauważył zbliżających się Streferów.

- Hej! Dziadku! - krzyknął Minhó, taktowny jak zawsze. - Co tu robisz?

Thomas z trudem wychwycił te słowa, zagłuszane przez wycie wichury; nie mógł sobie wyobrazić, aby zgrzybiały staruszek zdołał je usłyszeć. Ale czy był też ślepy? Może i tak.

Thomas odsunął Minhó na bok i ukląkł tuż obok twarzy nieznajomego. Malująca się na niej melancholia sprawiała, że serce się krajało. Wyciągnął dłoń i pomachał nią tuż nad oczami starca.

Nic. Ani mrugnięcia, ani poruszenia. Dopiero gdy Thomas cofnął rękę, powieki mężczyzny powoli opadły, a potem znów się uniosły. Jeden jedyny raz.

- Halo? - zapytał Thomas. - Proszę pana? - Te słowa wydały mu się dziwne, przywołane z powrotem z jego zamazanych wspomnień, z przeszłości. Z całą pewnością nie używał ich, odkąd go wysłano do Strefy i Labiryntu. - Słyszysz mnie pan? Może pan mówić?

Mężczyzna znów powoli mrugnął, ale nic nie powiedział.

Newt ukląkł obok Thomasa i odezwał się głośno, przekrzykując wiatr:

- Ten gość będzie jak cholerna kopalnia złota, jeśli go namówimy, żeby nam opowiedział o mieście. Wygląda nieszkodliwie, a prawdopodobnie wie, czego należy się

spodziewać, gdy już tam trafimy.

Thomas westchnął.

- Tak, ale zdaje się, że nawet nie jest w stanie nas usłyszeć, nie mówiąc o prowadzeniu długich rozmów.

- Próbuje dalej - odezwał się za ich plecami Minho. - Jesteś teraz naszym oficjalnym zagranicznym ambasadorem, Thomas. Zachęć tego gościa, żeby otworzył paszczkę i opowiedział nam o starych dobrych czasach.

Z jakiegoś powodu Thomas chciał odpowiedzieć żartobliwie, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Jeśli w poprzednim życiu umiał żartować, to jego poczucie humoru zostało doszczętnie skasowane, kiedy wymazano mu pamięć.

- Dobra - odpowiedział.

Podsunał się tak blisko głowy mężczyzny, jak tylko mógł, po czym usadowił się tak, żeby patrzyli sobie w oczy z odległości zaledwie metra.

- Proszę pana? Naprawdę potrzebujemy pana pomocy! - Nie był zadowolony z tego, że musi krzyczeć; martwił się, że stary człowiek może to źle odczytać, ale nie miał wyboru. Wicher dął coraz mocniej i mocniej. - Niech pan nam powie, czy można bezpiecznie wejść do miasta! Możemy pana tam zanieść, jeśli potrzebuje pan pomocy. Proszę pana? Proszę pana!

Ciemne oczy mężczyzny dotąd spoglądały obok Thomasa, w górę, na niebo, ale teraz obróciły się powoli i skupiły na chłopaku. Z wolna wypełniła je świadomość, niczym czarna ciecz wlewana pomału do szklanki. Jego usta rozchyliły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk poza cichym kaszlnięciem.

Chłopak poczuł przypływ nadziei.

- Nazywam się Thomas. To są moi przyjaciele. Trzeci dzień maszerujemy przez pustynię, potrzebujemy więcej wody i jedzenia. Czy może pan...

Zamilkł, bo starzec nagle rozejrzał się jakby w panice.

- Proszę się nie bać, nie skrzywdzimy pana - powiedział pośpiesznie Thomas. - My... my jesteśmy ci dobrzy. Ale bylibyśmy naprawdę wdzięczni, gdyby...

Lewa ręka mężczyzny wystrzeliła spod koców, którymi był opatulony, i chwyciła chłopaka za nadgarstek, zaciskając się z dużo większą siłą, niż można byłoby przypuszczać. Thomas krzyknął zaskoczony i instynktownie spróbował się wyrwać, lecz nie mógł. Zaszokowała go siła starca. Ledwie był w stanie poruszyć ramieniem, tak mocno trzymała go ta dłoń - niczym żelazne kajdany.

- Hej! - zawołał. - Proszę mnie puścić!

Mężczyzna potrząsnął głową. Jego ciemne oczy pełne były raczej strachu niż

wrogości. Znow rozchylił usta, z których wydobył się szorstki, niezrozumiały szept. Nie zwolnił uścisku.

Thomas porzucił próby uwolnienia ręki; zamiast tego rozluźnił się i pochylił do przodu, zbliżając ucho do ust obcego.

- Co pan powiedział?! - wykrzyknął.

Mężczyzna przemówił raz jeszcze. Jego suche chrypienie wytrącało z równowagi, budziło dreszcze. Thomas wychwycił słowa burza i okropieństw i źli ludzie. Nic z tego nie brzmiało szczególnie budząco.

- Jeszcze raz! - wrzasnął, nadal pochylony, z głową przekrzywioną tak, że jego ucho znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od twarzy starca.

Tym razem Thomasowi udało się zrozumieć prawie wszystko, umknęło mu tylko kilka słów.

- Nadchodzi burza... pełna okropieństw... wywołuje... trzymajcie się z dala... źli ludzie.

Mężczyzna usiadł gwałtownie; oczy miał szeroko otwarte, wokół tęczówek widać było białka.

- Burza! Burza! Burza! - Nie milkł, powtarzając to słowo raz po raz; z jego dolnej wargi w końcu zwisło pasmo gęstej jak śluz śliny, kołysząc się tam i z powrotem niczym wahadełko hipnotyzera.

Puścił rękę Thomasa, a ten w pośpiechu odsunął się od starca, szorując tyłkiem po ziemi. W tym samym momencie wiatr błyskawicznie przybrał na sile, przeszedł z gwałtownych podmuchów w straszliwy huragan, dokładnie tak, jak zapowiedział starzec. Cały świat wypełnił się wyciem i rykiem pędzącego powietrza. Thomas miał wrażenie, że jego włosy i ubranie lada chwila zostaną porwane. Prawie wszystkie prześcieradła Streferów pofrunęły, łopocząc nad ziemią i wznosząc się w powietrze niczym armia duchów. Resztki zapasów żywności pomknęły we wszystkich kierunkach.

Thomas dźwignął się na nogi, co było teraz niemal niemożliwym zadaniem, bo wichura bardzo starała się go przewrócić. Chłopak, zataczając się, przeszedł kilka kroków, aż w końcu przechylił się pod wiatr; podtrzymały go niewidzialne ramiona.

Minho stał w pobliżu i rozpaczliwie wymachiwał rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę pozostałych. Większość zauważyła to i zgromadziła się wokół niego, w tym Thomas, walczący z paniką, która rozpełzała się po jego wnętrznościach. To była tylko burza. O wiele mniej straszna niż Bóldożercy czy Poparzeńcy z nożami. Albo ze sznurami.

Stary człowiek stracił swoje koce, które odfrunęły z wiatrem. Kulił się teraz w pozycji

płodu, przyciskając chude nogi do klatki piersiowej, oczy miał zamknięte. Thomas pomyślał przelotnie, że powinni go zanieść w jakieś bezpieczne miejsce, uratować go za to, że przynajmniej próbował ich ostrzec przed burzą. Ale coś powiedziało mu, że mężczyzna będzie się bronił ze wszystkich sił, gdyby spróbowali go dotknąć albo podnieść.

Streferzy skupili się teraz w ciasną grupkę. Minh wskazał miasto. Najbliższy budynek znajdował się jakieś pół godziny drogi od nich, gdyby pobiegli w miarę szybko. Szarpiąca ich wichura, chmury, które gęstniały w górze i kłębiły się, ciemniejąc do głębokiego fioletu, wpadającego niemal w czerń, pył i śmieci frunące w powietrzu - wszystko to wskazywało, że dotarcie do tego budynku jest jedynym sensownym wyjściem.

Minho zaczął biec. Pozostali ruszyli za nim, a Thomas zaczekał, żeby zamknąć pochód, bo wiedział, że tego właśnie oczekuje od niego przywódca. W końcu i on ruszył żwawym truchtem, zadowolony, że nie biegną bezpośrednio pod wiatr. Dopiero wtedy w jego umyśle pojawiło się kilka słów wypowiedzianych przez starego człowieka. Sprawily, że chłopak oblał się potem, który szybko parował, pozostawiając na skórze zaschniętą warstewkę soli.

Trzymajcie się z dala. Zli ludzie.

W miarę jak zbliżali się do miasta, Thomas widział je coraz słabiej. Kurz w powietrzu zgęstniał w brązową mgłę i chłopak czuł go przy każdym oddechu. Drobinki pyłu wpadały mu do oczu, powodując łzawienie i zmieniając się w maź, którą wciąż musiał ocierać. Wielki budynek, w stronę którego zmierzali, stał się cieniem majaczącym wśród kurzawy, wznoszącym się coraz wyżej i wyżej, niczym rosnący olbrzym.

Wiatr nabral brutalności, ciskając w nich piachem i żwirem, aż do bólu. Od czasu do czasu obok przelatywał jakiś większy obiekt, za każdym razem przyprawiając Thomasa o moment śmiertelnego strachu. Gałąź. Coś, co wyglądało jak mała mysz. Kawalek dachówki. Oraz niezliczone strzępy papieru. Wszystkie wirowały w powietrzu niczym płatki śniegu.

Potem pojawiły się błyskawice.

Przebyli już połowę odległości dzielącej ich od budynku - może więcej - kiedy znikąd pomknęły ku nim rozjarzone zygzyki, i świat wokół Thomasa wybuchł blaskiem oraz grzmotami.

Pioruny runęły z nieba poszarpanymi smugami białego światła, zderzając się z gruntem i wyrzucając w powietrze olbrzymie ilości osmalonej ziemi. Ryk gromów był nie do zniesienia i Thomas zaczął tracić czucie w uszach - potworne natężenie dźwięku osłabło do odległego pomruku, aż w końcu postradał słuch.

Biegł dalej, teraz prawie ślepy, nic nie słysząc, ledwie widząc budynek przed sobą.

Ludzie upadali i podnosili się. Thomas potknął się, ale odzyskał równowagę. Pomógł Newtonowi dźwignąć się z powrotem na nogi, potem Patelniakowi. W biegu popchnął ich naprzód. Było tylko kwestią czasu, zanim błyskawice wbijają się w kogoś jak potężne sztylety i usmażają ofiarę na czarny węgiel. Włosy chłopaka zjeżyły się na sztorc mimo chłoszczącego wichru; ładunki elektryczne w powietrzu szalały, kłując go niczym latające igły.

Thomas chciał wrzeszczeć, chciał usłyszeć swój własny głos, nawet jako tępe vibracje wewnątrz czaszki. Wiedział jednak, że pełne pyłu powietrze natychmiast zacznie go dławić; już i tak wystarczająco trudno było łapać krótkie, szybkie wdechy przez nos. Zwłaszcza teraz, gdy o ziemię wokół nich tłukła ulewa błyskawic, osmalając powietrze, sprawiając, że wszystko pachniało miedzią i popiołem.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej, kurzawa zgęstniała; Thomas uświadomił sobie, że już nie jest w stanie dostrzec wszystkich członków grupy. Tylko tych kilku, którzy znajdowali się bezpośrednio przed nim. Pioruny oświeślały ich na króciutkie ułamki chwil wybuchami wściekle jaskrawej bieli. Wszystko razem oślepiło Thomasa jeszcze bardziej. Musieli dotrzeć do tego budynku. Musieli się tam dostać, inaczej nie pożyją dużo dłużej.

I gdzie jest deszcz? - zastanawiał się chłopak. Gdzie był deszcz? Co to za burza bez deszczu?

Pocisk najczystszej bieli runął zygzakiem z nieba i eksplodował tuż przed nim. Thomas wrzasnął, lecz nie usłyszał sam siebie, zaciskając powieki, gdy coś - wybuch energii lub fala uderzeniowa - odrzuciło go na bok. Wylądował na wznak, pozbawiony tchu, a z góry posypał się nań deszcz ziemi i kamyków. Plując, ocierając twarz, chłopak gorączkowo usiłował chwycić oddech, gramoląc się na czworakach, aż udało mu się stanąć na nogi. Powietrze w końcu napłynęło i wciągnął je głęboko do płuc.

Teraz usłyszał dzwonienie, jednostajny, wysoki, bzyczący odgłos, wierzący w uszach jak gwóźdź. Wichura próbowała pożreć jego ubranie, niesiona podmuchami ziemia wbijała mu się w skórę, ciemność wirowała wokół niego jak ożywiona noc, rozjaśniana jedynie przez błyskawice. Potem ujrzał to - straszliwy obraz, który stroboskopowe błyski światła czyniły jeszcze bardziej upiornym.

To był Jack. Leżał na ziemi wewnątrz niedużego krateru, wijąc się, oburącz ściskając kolano. Niżej nie było nic - łydka, kostka i stopa zostały unicestwione przez potężne wyładowanie elektryczne z nieba. Z ohydnej rany ciekła krew podobna do czarnej smoły, mieszała się z ziemią, tworząc okropną maź. Jego ubranie spłonęło, pozostawiając go nagiego, poparzonego od stóp do głów. Nie miał włosów. I wyglądało na to, że jego gałki oczne...

Thomas obrócił się gwałtownie, kaszląc padł na kolana i zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Nie mogli nic zrobić dla Jacka. W życiu. Nic. Ale on wciąż żył. Choć Thomasowi wstyd było za tę myśl, cieszył się, że nie słyszy wrzasków. Nie wiedział, czy zdobędzie się na to, żeby choćby raz jeszcze spojrzeć na rannego.

Potem ktoś go złapał, zmusił do stanięcia na nogi. Minhó. Powiedział coś, i Thomas skupił się na tyle, żeby odczytać słowa z ruchu warg. Musimy biec. Nic mu nie pomożemy.

Jack, pomyślał Thomas. O rany. Jack.

Potyając się, z mięśniami brzucha obolałymi od torsji, z boleśnie dzwoniącymi uszami, wciąż jeszcze w szoku po ujrzeniu tego okropieństwa, w które piorun przemienił Jacka, pognął w ślad za Minhó. Z lewej i prawej strony widział ruchome cienie - innych Streferów - ale tylko kilku. Było zbyt ciemno, żeby sięgnąć wzrokiem w dal, a błyskawice zapalały się i gasły zbyt szybko, by dało się wiele zobaczyć w ich świetle. Tylko kurz, fruwające śmieci i ten majaczący przed nimi zarys budynku, do którego prawie już dotarli. Stracili wszelki pozór bycia zorganizowaną grupą i wszelką nadzieję na pozostanie razem. Teraz każdy Strefer dbał tylko o siebie - mogli jedynie mieć nadzieję, że wszystkim uda się dobiec do celu.

Wicher. Eksplozje jasności. Wicher. Dławiący pył. Wicher. Dzwonienie w uszach, ból. Wicher. Thomas parł naprzód, ze wzrokiem utkwionym w Minhó, który biegł zaledwie kilka kroków przed nim. Nie czuł w ogóle żalu z powodu Jacka. Nie obchodziło go, czy trwale ogłuchł. Już nie obchodził go los pozostałych. Zdawało się, że otaczający Thomasa chaos wyssał zeń człowieczeństwo, przemienił go w zwierzę. Jedyne, czego chłopak jeszcze pragnął, to przeżyć, dotrzeć do tego budynku, dostać się do środka. Przeżyć. Zyskać kolejny dzień.

Palące białe światło eksplodowało przed nim, znów wyrzucając go w powietrze. Lecąc w tył wrzasnął, starając się stanąć z powrotem na nogi - detonacja nastąpiła dokładnie tam, gdzie biegł Minhó. Minhó! Thomas wylądował z głuchym łomotem. Odniósł wrażenie, że wszystkie kości w jego ciele zostały wybite ze stawów, a potem wróciły na miejsce. Zignorował ból, zerwał się, pobiegł naprzód, widząc tylko mrok, w którym pływały rozmazane powidoki, ameby z purpurowego światła. Potem ujrzał płomienie.

Zorientowanie się, na co patrzy, zajęło jego mózgowi dobrą sekundę. Ogniste krechy tańczące jakby za sprawą czarów, rozżarzone macki szarpane wiatrem w prawo. Potem wszystko to runęło na ziemię - miotająca się kupa płomieni. Thomas dobiegł doń i zrozumiał.

To był Minhó. Jego ubranie płonęło.

Z wrzaskiem, który przeszył jego mózg ostrzami bólu, Thomas padł na kolana obok

przyjaciela. Zaczął oburącz zgarniać ziemię - na szczęście zrytą przez piorun, który rąbnął w tym miejscu - i ciskać ją na Minho gorączkowymi ruchami. Celował w miejsca, gdzie ogień palił się najjaśniej, i szybko ujrzał efekty swoich działań. Minho pomagał mu, tarzając się po gruncie i bijąc się po torsie obiema rękami.

W ciągu kilku sekund ogień zgasł, pozostawiając zwęgloną odzież i niezliczone paskudnie wyglądające rany. Thomas cieszył się, że nie słyszy rozdzierających jęków, które - jak się zdawało - wyrwały się z gardła Minho. Wiedział, że nie mają czasu, żeby się zatrzymać, więc chwycił przywódcę na ramiona i siłą dźwignął go na nogi.

- Chodź! - krzyknął, choć sam wyczuł to słowo tylko jako bezgłośnie uderzenie w mózgu.

Minho zakaszłał, znów skrzywił się z bólu, ale kiwnął głową i otoczył ramieniem szyję Thomasa. Razem ruszyli w stronę budynku, tak szybko, jak byli w stanie, przy czym Thomas praktycznie włókł przyjaciela.

Wokół nich błyskawice padały nadal, niczym strzały z białego ognia. Thomas czuł bezgłośnie fale uderzeniowe towarzyszące wyładowaniom, a każda z nich wstrząsała jego czaszką, trzęsła kośćmi. Rozbłyśki światła wszędzie wokół. Za budynkiem, do którego z takim wysiłkiem zdążali, potykając się, w kilku dalszych miejscach rozjarzył się ogień; chłopak dwa lub trzy razy ujrzał, jak błyskawica trafia prosto w wyższe piętra którejs z budowli, posyłając na ulicę deszcz cegieł i szkła.

Ciemność nabrała innego odcienia, była teraz bardziej szara niż brązowa, i Thomas uświadomił sobie, że chmury burzowe musiały radykalnie zgęstnieć oraz spłynąć ku ziemi, spychając kurzawę dalej. Wiatr nieco osłabł, lecz pioruny biły teraz częściej niż kiedykolwiek.

Streferzy znajdowali się po lewej i po prawej, a wszyscy zmierzali w tym samym kierunku. Zdawało się, że jest ich mniej niż przedtem, ale Thomas nadal nie widział dostatecznie wyraźnie, aby zyskać pewność. Udało mu się dostrzec Newta, potem Patelniaka. I Arisa. Na ich twarzach malowało się to samo przerażenie, które on czuł. Biegli wpatrzeni w cel, który znajdował się już tak blisko.

Minho stracił równowagę i upadł, wyslizgując się z uścisku Thomasa. Ten zatrzymał się, obrócił, dźwignął poparzonego przywódcę z powrotem na nogi, znów zarzucił sobie jego rękę na ramiona. Teraz już oburącz obejmując jego tors, na wpół niósł go, na wpół ciągnął za sobą. Oślepiający łuk błyskawicy przebiegł nad ich głowami, rąbnął w ziemię za nimi; Thomas nie odwracał się, parł do przodu. Któryś Strefer upadł po jego lewej; nie dało się poznać, kto, nie dało się usłyszeć krzyku, który musiał zabrzmieć. Inny chłopak przewrócił

się po prawej, wstał. Błysk pioruna, trochę z przodu i w prawo. Kolejny z lewej. I jeszcze jeden na wprost. Thomas musiał na chwilę przystanąć, mrugając gwałtownie, aż wrócił mu wzrok. Ruszył znowu, wlokąc Minho za sobą.

A potem dotarli. Do pierwszego z budynków miasta.

W gęstym mroku burzy budowla wydawała się jednolicie szara. Masywne kamienne bloki, łuk z mniejszych cegieł, szyby, z których połowa była wybita. Aris, który pierwszy dotarł do drzwi, nie bawił się w ich otwieranie. Były zrobione ze szkła, które w większości leżało już na ziemi, więc ostrożnie wybił łokciem pozostałe we framudze odłamki. Machnął ręką, zaganiając kilku Streferów do środka, potem wszedł sam, niknąc w ciemnym wnętrzu.

Thomas dotarł do drzwi w tym samym momencie, co i Newt, i gestem dał znać, że potrzebuje pomocy. Newt i jeszcze jeden chłopak przejęli od niego Minho, ostrożnie wciągnęli go tyłem do środka - wleczony uderzył tylko stopami o próg.

A potem Thomas, wciąż jeszcze zaszokowany samą siłą rażenia piorunów, podążył w ślad za przyjaciółmi, wkraczając w głębszy mrok.

Obrócił się, spoglądając wstecz w samą porę, by ujrzeć, jak na zewnątrz zaczyna padać deszcz, zupełnie jakby burza postanowiła zapłakać, targana wyrzutami sumienia za to, co im zrobiła. gnęli go tyłem do środka - wleczony uderzył tylko stopami o próg.

A potem Thomas, wciąż jeszcze zaszokowany samą siłą rażenia piorunów, podążył w ślad za przyjaciółmi, wkraczając w głębszy mrok.

Obrócił się, spoglądając wstecz w samą porę, by ujrzeć, jak na zewnątrz zaczyna padać deszcz, zupełnie jakby burza postanowiła zapłakać, targana wyrzutami sumienia za to, co im zrobiła.

Lało jak z cebra, zupełnie jakby Bóg wessał w siebie ocean, a teraz w furii wypływał go im na głowy.

Thomas siedział dokładnie w tym samym miejscu od co najmniej dwóch godzin, obserwując deszcz. Kulił się przy ścianie, wyczerpany i obolały, próbując siłą woli sprawić, żeby wrócił mu słuch. Zdawało się, że te wysiłki przynoszą efekt - tam, gdzie dotąd było tylko pulsowanie kompletnej ciszy, teraz nacisk na bębenki zelżał, a dzwonienie minęło. Kiedy chłopak kaszłał, miał wrażenie, że odbiera coś więcej niż tylko wibracje. Słyszał ślad dźwięku. A w oddali, jakby z drugiej strony snu, dobiegało miarowe bębnienie deszczu. Może jednak nie ogłuchł permanentnie.

Mętne szare światło sączące się przez okna nie było w stanie rozgonić zimnego mroku, jaki panował wewnątrz budynku. Pozostali Streferzy siedzieli zgarbieni albo leżeli pod ścianami pomieszczenia. Minho zwinął się w kłębek u stóp Thomasa i prawie się nie

poruszał; wyglądało na to, że każde drgnienie poraża jego nerwy falą palącego bólu. Newt również znajdował się w pobliżu, podobnie jak Patelniak. Nikt jednak nie próbował się odzywać ani zaprowadzać porządku. Nikt nie zabrał się do liczenia Streferów ani nie podjął się stwierdzenia, kogo brakuje. Wszyscy siedzieli albo leżeli równie nieruchomo jak Thomas, prawdopodobnie głowiąc się nad tym samym co on - jak popaprany musi być świat, żeby zrodzić taką burzę?

Ciche bębnienie deszczu przybrało na sile i Thomas nie miał już wątpliwości - słyszał je. Dźwięk ten działał kojąco, wbrew wszystkiemu, i chłopak w końcu zapadł w sen.

* * *

Gdy się zbudził, z ciałem tak zeszytywniałym, jakby w jego żyłach i mięśniach zasechł klej, cała maszyneria w jego uszach i głowie odzyskała już pełną funkcjonalność. Słyszał ciężkie oddechy śpiących Streferów, urywane jęki Minhó, rześistą ulewę, która teraz dudniła o chodnik na zewnątrz.

Ale wokół panowały ciemności. Nieprzebite. W którymś momencie zapadła noc.

Ignorując dyskomfort, pozwalając, aby wyczerpanie wzięło górę, przewracał się tak długo, aż legł plackiem, z głową opartą o czyjąś nogę - a potem znów zasnął.

Dwie rzeczy sprawiły, że zbudził się na dobre: poświata wschodzącego słońca i nagła cisza. Burza się skończyła, a on przespał całą noc. Ale zanim zdążył zarejestrować zeszytywnienie i obolałość, których się spodziewał, dotarło do niego jeszcze bardziej nieznosne uczucie. Głód.

Światło wpadało przez rozbite okna i pstrzyło podłogę wokół. Chłopak podniósł wzrok i ujrzał ruinę budynku - w stropie każdej z kondygnacji, aż po dach znajdujący się tuziny pięter wyżej, wybite były potężne dziury; zdawało się, że już tylko stalowa konstrukcja zapobiega runięciu całości. Nie mógł sobie wyobrazić, co mogło spowodować takie zniszczenia. Ale wyglądało na to, że w górze pojawiły się skrawki jaskrawego błękitu - widok, który wydawał się niemożliwy, kiedy Thomas ostatnio był na zewnątrz. Bez względu na grozę burzy, bez względu na to, jakie wybryki klimatu mogły ją spowodować, wszystko wskazywało, że naprawdę już minęła.

Ostre bóle dźgnęły jego żołądek, który zaburczał żałośnie, domagając się jedzenia. Thomas rozejrzał się i ujrzał, że większość pozostałych Streferów jeszcze śpi. Tylko Newt leżał oparty plecami o ścianę, gapiąc się smutno w puste miejsce pośrodku pomieszczenia.

- Hej, wszystko w porządku? - spytał Thomas. Nawet zuchwę miał sztywną.

Newt powoli odwrócił się ku niemu; spojrzenie miał zamglone, ale w końcu wyrwał się z zamyślenia i skupił na Thomasie.

- W porządku? Taa, przypuszczam, że tak. Żyjemy; tylko to się, cholera, jeszcze liczy, jak sądzę. - Gorycz w jego głosie nie mogłaby być bardziej dojmująca.

- Czasem się zastanawiam... - wymruczał Thomas.

- Zastanawiasz się nad czym?

- Czy to, że żyjemy, ma znaczenie. Czy nie łatwiej byłoby, gdybyśmy byli martwi.

- Przestań. Nawet na sekundę nie uwierzę, że naprawdę tak myślisz.

Wygłaszając swe ponure stwierdzenie, Thomas spuścił wzrok, a słysząc ostrą odpowiedź Newta, gwałtownie podniósł głowę. Potem się uśmiechnął, i było to przyjemne uczucie.

- Masz rację. Staram się tylko brzmieć równie żałośnie jak ty. - Prawie był w stanie przekonać samego siebie, że to prawda. Że nie uważa, iż śmierć byłaby łatwym wyjściem z sytuacji.

Newt zmęczonym gestem wskazał Minho.

- A temu co się, purwa, stało?

- Błyskawica jakimś cudem zapaliła na nim ciuchy. Jak to się stało, że nie usmażyła mu mózgu, nie mam pojęcia. Ale myślę, że udało nam się to zgasić, zanim zdążył poważnie ucierpieć.

- Zanim zdążył poważnie ucierpieć? Nie chciałbym się przekonać, co to twoim zdaniem znaczy ucierpieć poważnie.

Thomas na sekundę zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

- Hej, tak jak powiedziałeś: żyje, co nie? I nadal ma na sobie ubranie, co oznacza, że ogień nie mógł go poparzyć w zbyt wielu miejscach. Przetrwa.

- Taa, ogay. - Newt zaśmiał się krótko, sarkastycznie. - Weź mi, cholera jasna, przypomnij, żebym cię w najbliższym czasie nie angażował jako mojego lekarza.

- Ooooch. - Ten odgłos wydał z siebie Minho: długi, przeciągły jęk. Zamrugał i otworzył oczy, potem zmrużył je, napotykając spojrzenie Thomasa. - O ludzie. O purwa. Niech mnie ktoś dobije.

- Bardzo źle się czujesz? - zapytał Newt.

Zamiast odpowiedzieć, Minho bardzo powoli dźwignął się do pozycji siedzącej, stękając i krzywiąc się przy każdym, najdrobniejszym nawet ruchu. W końcu udało mu się usiąść po turecku. Jego osmalona odzież wisiała w strzępach, miejscami odsłaniając skórę, na której tu i ówdzie widniały wściekle zaczerwienienia i pęcherze niczym ślepie kosmitów. Chociaż jednak Thomas nie był lekarzem i w ogóle się nie znał na takich rzeczach, instynkt podpowiedział mu, że te oparzenia nie zagrażają życiu i wkrótce się zagoją. Większa część

twarży Minho była nietknięta, ocalała też jego czupryna, co prawda strasznie brudna.

- Nie może być zbyt tragicznie, jeśli nadal jesteś w stanie to zrobić - powiedział Thomas z chytrym uśmieszkiem.

- Pikolić to - odparł Minho. - Jestem twardszy niż stal. Nawet gdyby mnie bolało dwa razy bardziej, nadal byłbym w stanie ci skopać tyłek, boża krówko.

- Skoro już o krówkach mowa, chętnie bym jedną zjadł.

- Thomas wzruszył ramionami. - Niekoniecznie bożą.

- W brzuchu burczało mu coraz głośniejsze.

- Czy to był żart? - spytał Minho. - Czy Thomas, ten nudny krótkas, naprawdę zdobył się na to, żeby zażartować?

- Zdaje mi się, że owszem - odparł Newt.

- Zartowniś ze mnie. - Thomas wzruszył ramionami.

- Taa, jak cholera. - Ale Minho ewidentnie stracił już zainteresowanie pogawędką. Odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się reszcie Streferów, którzy w większości albo spali, albo leżeli nieruchomo z obojętnym wyrazem twarzy. - Ilu?

Thomas policzył ich. Jedenastu. Po wszystkim, przez co przeszli, zostało ich tylko jedenastu. I to wliczając tego nowego, Arisa. Gdy Thomas po raz pierwszy pojawił się w Strefie, zaledwie kilka tygodni wcześniej, żyło tam czterdziestu lub pięćdziesięciu chłopców. A teraz zostało jedenastu.

Jedenastu.

Nie był w stanie się zmusić, by cokolwiek powiedzieć, kiedy to do niego dotarło, a chwila wesołości sekundy wcześniej nagle wydała mu się czystym bluźnierstwem. Czymś wstrętnym.

Jak mogłem być częścią DRESZCZu? - zastanawiał się. - Jak mogłem brać udział w czymś takim? Wiedział, że powinien opowiedzieć towarzyszom o swoich wspomnieniach, ale nie był w stanie.

- Jest nas już tylko jedenastu - powiedział w końcu Newt. No. Wreszcie padło to głośno.

- To ilu zginęło w czasie burzy? Sześciu? Siedmiu? - Minho zadał to pytanie najzupełniej obojętnym tonem, jakby liczył, ile jabłek stracili, kiedy wiatr porwał ich pakunki.

- Siedmiu - warknął Newt, okazując swą dezaprobatę wobec tak niefrasobliwego podejścia. Potem ciszej dodał: - Siedmiu. Chyba że pobiegli do innego budynku.

- Stary - odezwał się Minho. - Jak mamy się żywi wydostać z tego miasta, gdy jest nas tylko jedenastu? Z tego co wiemy, mogą tu się czaić setki Poparzeńców. Tysiące. I nie mamy

zielonego pojęcia, czego się po nich spodziewać!

Newt gwałtownie wypuścił z płuc powietrze.

- Jasna cholera, i ty się martwisz tylko tym? A co z ludźmi, którzy zginęli, Minho? Jacka nie ma. Winstona też: biedak nie miał żadnych szans. I - rozejrzał się - nie widzę też Stana ani Tima. Co z nimi?

- Stop, stop, stop. - Minho uniósł ręce, otwartymi dłońmi w stronę Newta. - Wylaksuj, braciszku. Nie prosiłem się o to, żeby zostać pikolonym przywódcą. Chcesz cały dzień płakać nad tym, co się wydarzyło, w porządku. Ale to nie jest zadanie przywódcy. Przywódca zastanawia się, dokąd pójść i co zrobić po tym, jak już skończymy się mazać.

- Cóż, pewnie to dlatego ty dostałeś tę robotę - powiedział Newt. Ale zaraz potem na jego twarzy odmalowała się skrucha. - Nieważne. Serio, przepraszam. Ja tylko...

- Taa. Ja też przepraszam. - Minho przewrócił oczami, a Thomas pozwolił sobie żywić nadzieję, że Newt tego nie zauważył, bo znów wpatrywał się w podłogę.

Na szczęście przysunął się do nich Aris. Thomas chciał, żeby konwersacja została skierowana na inny tor.

- Widzieliście kiedyś coś takiego jak ta burza z błyskawicami? - zapytał nowy.

Thomas potrząsnął głową, bo Aris patrzył na niego.

- To się nie wydawało naturalne. Nawet patrząc na moje klumpiane wspomnienia, jestem raczej pewien, że takie rzeczy się normalnie nie zdarzają.

- Ale przypomnijcie sobie, co mówili Szczurowaty i tamta kobieta w autobusie - wtrącił Minho. - Rozbłyśki słoneczne, i że cały świat się zmienił w gorące piekło. To by spokojnie mogło rozpić klimat na tyle, żeby zaczęły się pojawiać takie wyrąbane w kosmos burze. Coś mi mówi, że mamy szczęście, bo mogło być jeszcze gorzej.

- Nie jestem pewien, czy akurat szczęście to pierwsze słowo, o którym bym pomyślał - zauważył Aris.

- Taa, no cóż.

Newt wskazał rozbite szklane drzwi, za którymi poświata wschodzącego słońca już rozjarzyła się w tę samą oślepiająco białą jasność, do której przywykli w ciągu pierwszych dwóch dni spędzonych na Pogorzelisku.

- Przynajmniej mamy to już za sobą. Lepiej zacznijmy się zastanawiać, co teraz.

- Widzisz - powiedział Minho. - Jesteś tak samo bez serca jak ja. I słusznie.

Thomas przypomniał sobie Poparzeńców za oknami dormitorium. Przypominali postaci z ucieleśnionego koszmaru, brakowało im tylko aktu zgonu, aby można było ich oficjalnie uznać za zombie.

- Taa, lepiej wszystko przemyślny, zanim zjawi się tu banda tych świrów. Ale mówię wam, najpierw musimy coś zjeść. Musimy znaleźć jedzenie. - Ostatnie słowo niemal sprawiło mu ból, tak bardzo był wygłodniały.

- Jedzenie?

Zdumiony Thomas stłumił gwałtowny wdech; głos doleciał z góry. Chłopak podniósł wzrok w tym samym momencie, co koledzy. Z rozwalonych pozostałości trzeciego piętra spoglądała na nich twarz młodego Latynosa. Jego spojrzenie było nieco dzikie i Thomas poczuł, że wnętrzości ściska mu napięcie.

- A ty coś za jeden? - wykrzyknął Minho.

Wtedy, ku całkowitemu szokowi Thomasa, mężczyzna skoczył w głąb poszarpanej dziury w sklepieniu, lecąc ku nim. W ostatniej sekundzie zwinął się w ludzką piłkę i przeturlał trzykrotnie, po czym wyskoczył do góry i wylądował na nogach.

- Nazywam się Jorge - oznajmił, rozkładając szeroko ręce, jakby spodziewał się oklasków za swój popis akrobacji. - I jestem Poparzeńcem, który tutaj rządzi.

Thomas przez sekundę miał trudności z uwierzeniem, że facet, który właśnie do nich wpadł - dosłownie - naprawdę istnieje. Zjawił się tak niespodziewanie, a w dodatku w tym, co powiedział i jak to powiedział, pobrzmiwała jakaś dziwaczna nuta błazeństwa. Ale nie, jak najbardziej tam był. W dodatku, nawet jeśli nie wydawał się choćby w przybliżeniu tak szalony jak niektórzy z tych ludzi, których Streferzy mieli okazję dotąd widzieć, to sam już oznajmił, że jest Poparzeńcem.

- Co, chłopcy, zapomnieliście języka w gębie? - zapytał tymczasem Jorge, a uśmiech na jego twarzy wydawał się kompletnie nie na miejscu w tym zrujnowanym budynku. - Czy tylko boicie się Poparzeńców? Boicie się, że was powalimy na ziemię i wydłubiemy wam oczy? Mniemam, pyszności. Uwielbiam porządną gałkę oczną, gdy zaczyna brakować żarcia. Smakuje jak jajko na miękko.

Minho postanowił odpowiedzieć za wszystkich, nadzwyczaj skutecznie ukrywając to, jak bardzo bolało go oparzenia.

- Przyznajesz, że jesteś Poparzeńcem? Ze masz kuku na muniu?

- Powiedział tylko, że smakują mu gałki oczne - odezwał się Patelniak. - Myślę, że to się kwalifikuje jako kuku na muniu.

Jorge zaśmiał się, a w tym śmiechu pobrzmiwała wyraźna nuta groźby.

- No, no, moi nowi przyjaciele. Zjadłbym wasze oczy tylko, gdybyście byli trupami. Oczywiście mogę wam pomóc się nimi stać, jeśli zajdzie taka konieczność. Rozumiemy się? - Z jego twarzy znikła cała wesołość. Zastąpiło ją ponure, ostrzegawcze spojrzenie, prawie

jakby sprawdzał, czy ośmielił się zaryzykować konfrontację.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Potem Newt zapytał:

- Ilu was tu jest?

Jorge gwałtownie skierował na niego wzrok.

- Ilu? Ilu Poparzeńców? Wszyscy jesteście tutaj Poparzeńcami, hermano.

- Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz - odparł beznamiętnie Newt.

Latynos zaczął przemierzać pomieszczenie tam i z powrotem, przestępując nad niektórymi Streferami, innych obchodząc naokoło, uważnie przyglądając się wszystkim. Nie zatrzymując się, przemówił:

- Musicie się mnóstwa rzeczy nauczyć o tym, jak wszystko funkcjonuje w tym mieście. O Poparzeńcach i DRESZCZu, o rządzie, o tym, dlaczego nas tutaj zostawiono, żebyśmy zgnili w chorobie, pozabijali się nawzajem, kompletnie i do reszty oszaleli. O tym, że są różne stadia Pożogi. O tym, że dla was jest już za późno - jeśli choroba jeszcze was nie dopadła, to dopadnie na pewno.

Thomas śledził obcego wzrokiem, gdy ten obchodził pomieszczenie naokoło, wypowiadając te okropne zdania. Pożoga. Sądził już, że przyzwyczał się do strachu, jaki budziła w nim świadomość, że jest zarażony tą chorobą, ale teraz, mając tuż przed sobą tego Poparzeńca, bał się bardziej niż kiedykolwiek. I nie był w stanie na to nic poradzić.

Jorge zatrzymał się w pobliżu niego oraz jego przyjaciół, niemal dotykając stopami Minho. Kontynuował swą tyradę.

- Ale nie ma tak dobrze, comprende? Ci, którzy są w gorszej sytuacji, mówią pierwsi. Chcę o was wszystko wiedzieć. Skąd się tu wzięliście, czemu tu jesteście i jaki, na Boga, macie cel. Chcę wiedzieć teraz.

Minho zachichotał z cicha, tonem zwiastującym kłopoty.

- To my niby jesteśmy w gorszej sytuacji? - Drwiąco zatoczył głową krąg. - Jeśli błyskawice nie usmażyły mi w nocy siatkówek, zaryzykuję stwierdzenie, że nas jest jedenastu, a ty jeden. Może to ty powinieneś zacząć gadać.

Thomas szczerze pożałował, że Minho to powiedział. Było to głupie, aroganckie i łatwo mogło ich kosztować życie. Obcy ewidentnie nie zjawiał się tu sam. W rozwalonych pozostałościach górnych pięter mogło się kryć i stu Poparzeńców, obserwujących sytuację z góry, czających się z cholera wie jaką straszną bronią w pogotowiu. Lub jeszcze gorzej mając do dyspozycji tylko własne drapieżne ręce, zęby i szaleństwo.

Jorge wpatrywał się w Minho przez długą chwilę, z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Nie powiedziałeś tego do mnie, co? Proszę, powiedz, że dopiero co nie odezwałeś się

do mnie jak do psa. Masz dziesięć sekund na to, żeby przeprosić.

Minho spojrzał na Thomasa ze złośliwym uśmieszkiem.

- Raz - powiedział Jorge. - Dwa. Trzy. Cztery.

Thomas spróbował posłać Minho ostrzegawcze spojrzenie, skinął na niego głową. Zrób to.

- Pięć. Sześć.

- Zrób to. - Thomas w końcu wypowiedział to na głos.

- Siedem. Osiem.

Głos Latynosa z każdą liczbą stawał się coraz wyższy. Thomas odniósł wrażenie, że gdzieś wyżej mignął mu ruch, zaledwie przemykająca smuga cienia. Może Minho też to zauważył, bo wszelka arogancja nagle zniknęła z jego twarzy.

- Dziewięć.

- Przepraszam - wyrzucił z siebie Minho, ale bez przekonania.

- Nie wydaje mi się, żebyś to powiedział szczerze - oświadczył Jorge. Następnie kopnął Minho w nogę.

Dłonie Thomasa zacisnęły się w pięści, gdy jego przyjaciel krzyknął z bólu; Latynos musiał go trafić dokładnie w oparzone miejsce.

- Powiedz to z przekonaniem, hermano.

Thomas z nienawiścią popatrzył w górę, na Poparzeńca. Przez jego głowę zaczęły przebiegać irracjonalne myśli - chciał skoczyć na równe nogi i zaatakować, pobić tamtego tak, jak pobił Gally'ego po ucieczce z Labiryntu.

Jorge wziął zamach i kopnął Minho ponownie w to samo miejsce, ale dwa razy mocniej.

- Powiedz to z przekonaniem). - Wykrzyczał ostatnie słowo z zawziętością, w której pobrzmiwało szaleństwo.

Minho zajęczał, przyciskając obie ręce do rany.

- Prze... praszam - wykrztusił, z trudem chwytając oddech. Głos miał wysilony, pełen cierpienia. Ale gdy tylko Jorge uśmiechnął się i odprężył, usatysfakcjonowany tym, że upokorzył adwersarza, Minho zamachnął się, zadając Poparzeńcowi cios ręką prosto w piszczel. Mężczyzna podskoczył na drugiej nodze, po czym runął jak długi i rąbnął o ziemię z krzykiem, w którym rozbrzmiewały na równi zaskoczenie i ból.

W następnej chwili Minho już siedział na nim, wyrzaskując przekleństwa, jakich Thomas nigdy jeszcze nie słyszał z jego ust. Zacisnął uda, żeby Jorge nie mógł się wyrwać, po czym zaczął go tłuc pięściami.

- Minho! - krzyknął Thomas. - Przestań! - Zerwał się na równe nogi, ignorując sztywność stawów i ból mięśni. Pospieszenie zerknął w górę, kierując się w stronę Minho z zamiarem odciągnięcia go od Latynosa. W kilku miejscach dostrzegł ruch. Potem ujrzał ludzi spoglądających w dół, ludzi szykujących się do skoku. Pojawiły się liny, zwisły w głąb wybitych w sklepieniu dziur.

Skoczył na Minho, spychając go z Jorge; obaj upadli z hukiem. Thomas obrócił się szybko, by pochwycić przyjaciela, otoczył ramionami jego klatkę piersiową i zacieśnił uścisk, trzymając mocno, choć tamten próbował się wyrwać.

- Tam w górze jest ich więcej! - wrzasnął kumpłowi do ucha. - Przestań! Zabiją cię! Zabiją nas wszystkich!

Jorge zdążył już dźwignąć się chwiejnie na nogi, powoli ocierając strużkę krwi, która spłynęła mu z kącika ust. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by w serce Thomasa wbił się oścień strachu. Nie sposób było przewidzieć, co facet teraz robi.

- Zaczekaj! - krzyknął Thomas. - Błagam, zaczekaj!

Dokładnie w chwili, gdy Latynos skrzyżował z nim spojrzenia, kilku dalszych Poparzeńców zeskoczyło z wyższych pięter. Niektórzy skoczyli i przeturlali się po posadzce tak, jak zrobił to Jorge; inni zjechali po linach, lądując zgrabnie na nogach. Wszyscy, a było ich mniej więcej piętnascioro, prędko zebrali się za plecami herszta. Mężczyźni i kobiety, w tym kilkoro nastolatków. Wszyscy okropnie brudni, w obszarpanych ubraniach. W większości chudzi, sprawiający wrażenie słabowitych.

Minho przestał się szamotać i Thomas rozluźnił w końcu uścisk. Wyglądało na to, że ma do dyspozycji zaledwie kilka sekund, nim napięta sytuacja zamieni się w rzeźnię. Jedną ręką znacząco przycisnął plecy Minho, drugą wyciągnął ku Latynosowi w pojednawczym geście.

- Proszę, daj mi minutę na wyjaśnienia - powiedział, zmuszając swoje serce i głos, aby się uspokoiły. - Nic wam nie przyjdzie z tego, że nam... zrobicie krzywdę.

- Nic nam z tego nie przyjdzie? - powtórzył Poparzeniec i obficie splunął czerwienią. - Mnie przyjdzie bardzo dużo. Mogę cię o tym zapewnić, hermano. - Zaciśnął pięści.

Potem nieznacznie przekrzywił głowę, niemal niedostrzegalnie. Gdy tylko to zrobił, zgromadzeni za jego plecami Poparzeńcy wyciągnęli z zakamarków swej złachmanionej odzieży najrozmaitsze paskudne przedmioty. Noże. Zardzewiałe maczety. Czarne szpikulce, które gdzieś, kiedyś być może stanowiły element torów kolejowych. Odłamki szkła z rdzawymi smugami na ostrych jak brzytwy czubkach. Jedna dziewczynka, nie mogąca mieć więcej niż trzynaście lat, trzymała ułamaną łopatę, której metalowa część kończyła się

nierówną zębatą krawędzią, podobną do ostrza piły.

Thomas nagle zyskał absolutną pewność, że od tego, co teraz powie, zależy zarówno jego własne życie, jak i życie przyjaciół. Streferzy nie mieli szans na wygraną w walce z tymi ludźmi. Nigdy w życiu. Wprawdzie nie byli to Bóldożercy, ale też nie istniał żaden magiczny kod pozwalający ich wyłączyć.

- Słuchajcie - powiedział, powoli dźwigając się na nogi, mając nadzieję, że Minho nie spróbuje zrobić niczego głupiego. - Musicie wiedzieć o nas jedną rzecz. Nie jesteśmy takimi sobie zwykłymi sztamakami, którzy zawędrowali pod wasze drzwi. Jesteśmy cenni. Żywi, nie martwi.

Gniew malujący się na twarzy Latynosa minimalnie zelżał. Na jego miejscu pojawiła się, być może, iskierka ciekawości. Ale na głos Jorge powiedział jedynie:

- Co to takiego sztamak?

Thomas prawie - prawie - się roześmiał. Irracjonalna reakcja, która z jakiegoś powodu wydawała się odpowiednia.

- Ja i ty. Dziesięć minut. W cztery oczy. To wszystko, o co proszę. Weź wszelką broń, jakiej potrzebujesz.

Teraz to Jorge się roześmiał, co zabrzmiało bardziej jak ochryple parsknięcie.

- Przykro mi, że muszę rozwiązać twoje złudzenia, dzieciaku, ale nie sądzę, żebym potrzebował jakiegokolwiek broni.

Zamilkł, i zdawało się, że kolejne sekundy rozciągają się w pełną godzinę.

- Dziesięć minut - oznajmił w końcu Poparzeniec. - Reszta z was zostaje tutaj. Popilnujcie tych smarkaczy. Jeśli dam rozkaz, urządzicie im igrzyska śmierci. - Wyciągnął rękę, wskazując ciemny korytarz, który zaczynał się za pokojem znajdującym się w bok od rozbitych drzwi. - Dziesięć minut - powtórzył.

Thomas kiwnął głową. Ponieważ Jorge nawet nie drgnął, chłopak ruszył pierwszy, zmierzając na miejsce rozmowy, która mogła się okazać najważniejszą dyskusją w jego życiu.

I być może ostatnią.

Zanurzając się w mrok korytarza, Thomas czuł, że Jorge idzie tuż za nim. Zalatywało tu pleśnią i zgnilizną; z sufitu kapłała woda i dźwięk ten odzywał się budzącymi dreszczami, które z jakiegoś okropnego powodu skojarzyły się chłopakowi z krwią.

- Po prostu idź - odezwał się Latynos za jego plecami. - Na końcu tego korytarza jest pokój, a w nim krzesła. Jeśli choćby spróbujesz na mnie podnieść rękę, zginiecie wszyscy.

Thomas miał ochotę się odwrócić i wrzasnąć na niego, ale opanował się i szedł dalej.

- Nie jestem idiotą. Możesz już sobie odpuścić granie twardziela.

Poparzeniec tylko zachichotał w odpowiedzi.

Po kilku minutach ciszy Thomas w końcu zbliżył się do drewnianych drzwi, wyposażonych w okrągłą srebrną klamkę. Wyciągnął rękę i otworzył je bez wahania, chcąc pokazać Latynosowi, że w jakimś stopniu wciąż jeszcze zachował godność. Znalazłszy się w środku, nie miał jednak pojęcia, co dalej. Wewnątrz panowały egipskie ciemności.

Wyczuł, że Jorge przechodzi obok niego; następnie rozległo się głośnie flump, jakby gruba tkanina załopotala w powietrzu. Pojawiło się gorące, oślepiające światło i Thomas musiał zasłonić oczy przedramionami. W pierwszej chwili był w stanie patrzeć tylko przez zmrużone powieki, ale w końcu opuścił ręce i teraz widział już wyraźnie. Zorientował się, że Poparzeniec ściągnął dużą brezentową płachtę zasłaniającą okno. Na zewnątrz były tylko blask słońca i beton.

- Usiądź - powiedział Jorge mniej szorstko, niż Thomas się spodziewał. Chłopak miał nadzieję, że Poparzeniec nareszcie przyjął do wiadomości, iż jego gość zamierza podejść do sytuacji spokojnie i racjonalnie. Że może ta dyskusja naprawdę ma szansę przynieść jakieś korzyści aktualnym mieszkańcom zniszczonego budynku. Rzecz jasna, facet był Poparzeńcem, więc Thomas nie miał pojęcia, jakiej reakcji należy się po nim spodziewać.

W pokoju nie było żadnych mebli oprócz dwóch małych drewnianych krzeseł i znajdującego się pomiędzy nimi stołu. Thomas sięgnął po to krzesło, które znajdowało się bliżej niego, i usiadł. Jorge zajął miejsce po drugiej stronie, po czym przechylił się w przód i oparł łokcie na blacie, splatając dłonie. Twarz miał pozbawioną wyrazu, oczy utkwione w chłopaku.

- Mów.

Thomas chętnie poświęciłby sekundę na poukładanie sobie wszystkich pomysłów, jakie przebiegły mu przez głowę wcześniej, w większym pomieszczeniu, ale wiedział, że nie ma na to czasu.

- Dobrze. - Zawahał się. Jedno słowo. Jak dotąd, nie najlepiej. Zacerpnął tchu. - Słuchaj, tam wcześniej wspomniałeś o DRESZCZu. Bardzo dobrze znamy tych gości. Naprawdę mnie ciekawi, co ty miałbyś o nich do powiedzenia.

Jorge ani drgnął; wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Nie ja teraz mówię. Mówisz ty.

- Tak, wiem. - Thomas przysunął swoje krzesło nieco bliżej stołu. Potem odsunął je i położył stopę na kolanie. Musiał się uspokoić i po prostu pozwolić słowom płynąć. - No cóż, to dla mnie trochę trudne, bo nie wiem, ile wiesz. Więc chyba po prostu założę, że jesteś w tej sprawie kompletnym ignorantem.

- Stanowczo radziłbym, abyś nigdy więcej nie używał w stosunku do mnie słowa ignorant.

Thomas zmusił się do przełknięcia śliny; gardło miał ściśnięte strachem.

- Tak mi się tylko powiedziało.

- Kontynuuj.

Thomas wziął kolejny głęboki oddech.

- Jeszcze niedawno była nas grupa jakichś pięćdziesięciu chłopaków. I... jedna dziewczyna. - Przy tych słowach poczuł ukłucie bólu. - Teraz zostało nas już tylko jedenastu. Nie znam wszystkich szczegółów, ale DRESZCZ to organizacja, która z jakichś względów robi z nami różne paskudne rzeczy. Najpierw mieszkaliśmy w miejscu zwanym Strefą, wewnątrz kamiennego labiryntu, gdzie żyły istoty zwane Bóldożercami.

Czekał, szukając na twarzy Jorge jakiegokolwiek reakcji na te dziwaczne informacje. Ale Poparzeniec ani nie okazał konsternacji, ani nie dał sygnału, że podane nazwy coś mu mówią. Zupełnie nic.

Thomas opowiedział mu więc o wszystkim. Jak było w Labiryncie, jak stamtąd uciekli, jak sądzili, że są już bezpieczni, jak okazało się, że to tylko kolejny etap planów DRESZCZu. Opowiedział o Szczurowatym i o rozkazach, które od niego dostali: przeżyć wystarczająco długo, żeby przemieścić się sto sześćdziesiąt kilometrów na północ, do miejsca, które zostało określone jako bezpieczna przystań. Zrelacjonował, jak wędrowali długim tunelem, jak zostali zaatakowani przez fruującą srebrną glaję, opisał też pierwsze mile ich marszu przez pustynię.

Opowiedział Latynosowi o wszystkim. A im dłużej mówił, tym bardziej szalona wydawała się decyzja, żeby się podzielić tą historią. Mimo to kontynuował opowieść, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Zdecydował się ją opowiedzieć, bo miał nadzieję, że DRESZCZ jest dla Poparzeńców takim samym wrogiem, jak i dla Streferów.

Nie wspomniał jednak o Teresie - dziewczyna była jedyną rzeczą, jaką zataił.

- Więc musi w nas być coś szczególnego - zakończył, starając się wszystko podsumować. - Niemożliwe, aby robili nam tyle paskudnych rzeczy tylko po to, żeby nam dokuczyć. Jaki byłby tego cel?

- Skoro mowa o celach - odezwał się Jorge; były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od przynajmniej dziesięciu minut, umówiony czas już minął. - Do czego zmierzasz?

Thomas zawahał się. Teraz. Jego jedyna szansa.

- No? - naciskał Jorge.

Thomas postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

- Jeśli nam... pomożecie... To znaczy, jeśli wszyscy, albo może tylko kilkoro z was, pójdziecie z nami i pomożecie nam dotrzeć do bezpiecznej przystani...

- No?

- Wtedy może i dla was będzie to oznaczać ratunek... - To właśnie Thomas planował od początku - stopniowo przygotowywał grunt, by na koniec odwołać się do nadziei, którą dał im Szczurowaty. - Powiedzieli nam, że jesteśmy chorzy na Pożogę. I że jeśli dotrzemy do bezpiecznej przystani, wszyscy zostaniemy wyleczeni. Powiedzieli, że mają lek. Jeśli pomożecie nam tam dotrzeć, może też go dostaniecie. - Zamilkł i popatrzył poważnie na Jorge.

Coś zmieniło się - nieznacznie - w twarzy Poparzeńca, gdy chłopak wypowiadał ostatnie zdanie, i Thomas uświadomił sobie, że wygrał. Było to tylko krótkie spojrzenie, ale z całą pewnością pojawiła się w nim nadzieja, która szybko na powrót ustąpiła miejsca nieprzeniknionej obojętności. Ale Thomas wiedział, co zobaczył.

- Lek - powtórzył Poparzeniec.

- Lek. - Chłopak zdecydowany był od tego momentu mówić najmniej, jak tylko się da; zrobił, co mógł.

Jorge odchylił się do tyłu na krześle, które zaskrzypiało, jakby miało się zaraz rozlecieć, i splótł ramiona na piersi. Zmarszczył w zadumie brwi.

- Jak masz na imię?

Pytanie zaskoczyło Thomasa. Był pewien, że już się przedstawił. A w każdym razie zdawało mu się, że powinien być się w którymś momencie przedstawić. No cóż, cała ta sytuacja nie całkiem przypominała typowe zawieranie znajomości.

- Jak masz na imię? - powtórzył Jorge. - Zakładam, że jakoś się nazywasz, hermano.

- Oj. Tak. Przepraszam. Thomas.

Znów przebłysk emocji na twarzy Latynosa - tym razem coś jakby... znak, że imię to zabrzmiało dlań znajomo. I zaskoczenie.

- Thomas, co? Nie mówią na ciebie Tommy? Albo może Tom?

To ostatnie zdrobienie zabolало, bo sprawiło, że chłopak wrócił myślami do snu o Teresie.

- Nie - odparł, prawdopodobnie nieco zbyt szybko. - Po prostu... Thomas.

- Dobra, Thomas. Pozwól, że o coś cię zapytam. Czy w tym swoim mózdzku masz choćby blade pojęcie o tym, co robi z ludźmi Pożoga? Czy wyglądam ci na kogoś, kto cierpi na straszliwą chorobę?

Zdawało się, że nie sposób tak odpowiedzieć na to pytanie, żeby w odpowiedzi nie oberwać pięścią w twarz, ale Thomas zaryzykował odpowiedź, która wydała mu się najbezpieczniejsza.

- Nie.

- Nie? Nie na oba pytania?

- Tak. To znaczy, nie. To znaczy... tak, odpowiedź na oba pytania brzmi nie.

Jorge uśmiechnął się - ściślej mówiąc, prawy kącik jego ust nieznacznie się uniół i to wszystko - a Thomas pomyślał, że Poparzeńca chyba bawi każda sekunda tej rozmowy.

- Pożoga postępuje stopniowo, muchacho. Cierpi na nią każdy mieszkaniec tego miasta, i wcale nie jestem zaskoczony informacją, że ty oraz twoi ciotowaci przyjaciele też. Ktoś taki jak ja, na samym początku, jest Poparzeńcem tylko z nazwy. Złapałem ją zaledwie parę tygodni temu, w punkcie kontrolnym kwarantanny wyszedł mi pozytywny wynik testu - rząd robi co może, żeby oddzielać chorych od zdrowych. Nie wychodzi im. Cały mój świat na moich oczach poleciał prosto do sracza. Zesłano mnie tutaj. Razem z bandą innych nowicjuszy stoczyliśmy walkę o ten budynek.

Na wzmiankę o nowicjuszach Thomasowi oddech utknął w gardle niczym kłębek kurzu. To słowo przywoływało z powrotem zbyt wiele wspomnień ze Strefy.

- Moi uzbrojeni przyjaciele tam na zewnątrz jadą na tym samym wózku co ja. Ale wybierz się na spacer po mieście, a przekonasz się, co się dzieje z biegiem czasu. Zobaczysz kolejne stadia choroby, zobaczysz, jak to jest przekroczyć Granicę, choć może nie pożyjesz na tyle długo, żeby móc to wspominać. W dodatku nawet nie mamy tutaj środka otępiającego. Nirwany. Ani kropli.

- Kto was tutaj zesłał? - spytał Thomas, zachowując swoją ciekawość na temat środka otępiającego na później.

- DRESZCZ, tak, jak i was. Tylko, w przeciwieństwie do was, my nie zasłużyliśmy na specjalne traktowanie. DRESZCZ został powołany przez rządy ocalałych państw, żeby walczyć z chorobą, i twierdzą, że to miasto ma z tym coś wspólnego. Niewiele więcej wiem. i

Thomas poczuł mieszaninę zaskoczenia i konsternacji, a potem nadzieję, że pozna odpowiedzi na swoje pytania.

- Kto stoi za DRESZCZem? Czym jest DRESZCZ?

Jorge wyglądał na mniej więcej równie skonsternowanego, jak Thomas się czuł.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Czemu właściwie mnie o to pytasz? Sądziłem, że cały dowcip w tym, że jesteście dla nich kimś szczególnym, że to oni stoją za tą całą historią, którą mi opowiedziałeś.

- Słuchaj, wszystko, co ci opowiedziałem, to szczerą prawdą. Obiecano nam różne rzeczy, ale nadal niewiele o nich wiemy. Nie podają nam szczegółów. Zupełnie jakby sprawdzali, czy będziemy w stanie wyleźć z tego klumpa, chociaż nie mamy pojęcia, co jest grane.

- A czemu sądzisz, że dysponują lekiem?

Teraz Thomas musiał zapanować nad drżeniem głosu, przypomnieć sobie dokładnie to, co usłyszał z ust Szczurowatego.

- Ten gość w białym garniturze, o którym wspomniałem. To on nam powiedział, czemu musimy dotrzeć do bezpiecznej przystani.

- Mmmhmm. - Jorge wydał jeden z tych pomruków, które brzmią jak potwierdzenie, ale tak naprawdę znaczą coś dokładnie przeciwnego. - A niby z jakiej racji sądzisz, że pozwolą nam tak po prostu dołączyć do was i też dostać lek?

Thomas wiedział, że musi spokojnie i z wyczuciem kontynuować grę.

- Oczywiście, że nie mam pojęcia, czy pozwolą. Ale czemu nie mielibyście przynajmniej spróbować? Jeśli pomożecie nam tam dotrzeć, daję wam to przynajmniej niewielką szansę. Jeśli nas zabijecie, macie zero szans. Tylko kompletnie ześwirowany Poparzeniec wybrałby tę drugą opcję.

Jorge znów skrzywił usta w namiastce uśmiechu, a potem krótko się zaśmiał, co zabrzmiało prawie jak szczeknięcie.

- Ty coś w sobie masz, Thomas. Kilka minut temu miałem ochotę wyłupić twemu kumpłowi oczy, a potem zrobić to samo wam wszystkim. Ale niech mnie diabli, jeśli prawie mnie nie przekonałeś.

Thomas wzruszył ramionami, starając się zachować spokojny wyraz twarzy.

- Jedyne, co mnie obchodzi, to jak przetrwać jeszcze jeden dzień. Jedyne, czego chcę, to przejść przez to miasto, a potem będę się martwił, co dalej. I wiesz, co jeszcze ci powiem?

- Zebrał się w sobie, żeby pokazać stanowczość, którą nie do końca czuł.

Jorge uniósł brwi.

- No, co?

- Gdyby wyłupienie tobie oczu miało mi zagwarantować, że przeżyję do jutra, zrobiłbym to w tej chwili. Ale potrzebuję cię. Wszyscy potrzebujemy. - Wypowiadając pierwsze zdanie, Thomas zastanawiał się, czy naprawdę mogłby kiedykolwiek komuś zrobić coś takiego.

Ale zadziało.

Poparzeniec przyglądał się chłopakowi przez dłużej niż w nieskończoność chwilę,

następnie zaś wyciągnął ku niemu dłoń przez stół.

- Zdaje się, żeśmy właśnie zawarli układ, hermano. Z wielu powodów.

Thomas również wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Latynosa. I choć przepełniała go ulga, ze wszystkich sił powstrzymał się od jej okazania.

Lecz zaraz potem Jorge z hukiem zburzył jego nadzieje.

- Ale pod jednym warunkiem. Ten szczurek, który mnie powalił na ziemię? Zdaje się, że wołacie na niego Minho?

- Tak? - spytał słabo Thomas; serce znów mu łomotało.

- On musi umrzeć.

Thomas powiedział to z całą stanowczością i zdecydowaniem, na jakie był w stanie się zdobyć.

- Nie? - powtórzył z zaskoczoną miną Jorge. - Oferuję wam szansę na przebycie w jednym kawałku miasta pełnego krwiożerczych Poparzeńców, a ty na moją jedną malutką, tycią prośbę odpowiadasz, że nie? Nie podoba mi się to.

- Zabicie go nie byłoby mądre - odparł Thomas. Nie miał pojęcia, jakim cudem jest w stanie zachować pozory spokoju, skąd bierze się jego odwaga. Ale coś mówiło mu, że tylko tak ma szansę wyjść cało z rozmowy z tym Poparzeńcem.

Jorge znów pochylił się do przodu, oparł łokcie o stół. Ale tym razem nie splótł dłoni; zamiast tego zacisnął pięści, aż zatrzeszczały knykcie.

- Czy twoim głównym celem w życiu jest wkurzanie mnie tak długo, aż zacznę ci rozcinać tętnice, jedną po drugiej?

- Widziałeś, co on ci zrobił - odparował Thomas. - Wiesz, jakiej to wymagało odwagi. Jeśli go zabijesz, stracimy jego umiejętności. Walczy najlepiej z nas wszystkich i niczego się boi. Może i jest narwany, ale potrzebujemy go.

Starał się, żeby to, co mówił, brzmiało rozsądnie. Pragmatycznie. Ale jeśli na całej Ziemi istniał ktoś jeszcze poza Teresą, kogo Thomas mógł naprawdę nazwać przyjacielem, to tym kimś był Minho. I gdyby miał utracić również jego, nie udźwignąłby tego ciężaru.

- Ale on mnie rozgniewał - powiedział twardo Jorge; jego pięści nie rozluźniły się ani trochę. - Sprawił, że wyszedłem przed moimi ludźmi na ciotę. A to nie jest... akceptowalne.

Thomas wzruszył ramionami, tak jakby ta sprawa go nie obchodziła, jakby była to drobna, pozbawiona znaczenia kwestia.

- Więc go ukarż. Spraw, żeby to on wyszedł na ciotę. Ale zabicie go nam nie pomoże. Im więcej mamy do dyspozycji rąk, które potrafią walczyć, tym większe mamy szanse. Kurczę, no, ty przecież tu mieszkasz. Czy naprawdę musisz ci to mówić?

W końcu, w końcu Jorge rozluźnił pięści, których knykcie zbieleły od zaciskania. Wypuścił też oddech - Thomas nie miał świadomości, że rozmówca go wstrzymywał.

- W porządku - oświadczył Poparzeniec. - W porządku. Ale to nie ma nic wspólnego z twoją żalosną próbą przekonania mnie. Oszczędzę go, bo właśnie podjąłem pewną decyzję. A właściwie to z dwóch powodów. Na jeden z nich sam powinieneś być wpaść.

- Co to za powód? - Thomas już nie przejmował się tym, czy widać po nim ulgę; ukrywanie takich rzeczy było zbyt wyczerpujące. Poza tym za bardzo go teraz intrygowało, co Jorge ma do powiedzenia.

- Więc po pierwsze, tak naprawdę nie znacie szczegółów tego testu, eksperymentu czy co to tam jest, w co wpakował was DRESZCZ. Może im więcej was zdoła dotrzeć do tej całej bezpiecznej przystani, tym większe macie szanse na otrzymanie leku. Przyszło wam kiedyś do głowy, że ta grupa B, o której wspomniałeś, prawdopodobnie z wami współzawodniczy? Myślę, że w moim najlepiej pojętym interesie leży zatroszczenie się o to, żeby cała wasza jedenastka bezpiecznie tam dotarła.

Thomas skinął głową, ale nic nie powiedział. Nie chciał podjąć najmniejszego ryzyka, że zniweczy swoje zwycięstwo: Jorge uwierzył w to, co usłyszał na temat Szczurowatego oraz leku.

- A z tym się wiąże mój drugi powód - kontynuował Latynos. - Ta kwestia, co do której podjąłem decyzję.

- To znaczy? - zapytał chłopak.

- Nie zabiorę ze sobą... a raczej z nami... tych wszystkich Poparzeńców, którzy czekają na zewnątrz.

- Hę? Dlaczego? Sądziłem, że cały dowcip w tym, że możecie nam pomóc w wywalczeniu sobie drogi przez miasto.

Jorge stanowczo potrząsnął głową, znów odchylając się do tyłu na krześle i przybierając dużo mniej groźną pozę, z rękami założonymi na piersi.

- Nie. Jeśli naprawdę chcemy to zrobić, o wiele lepiej będzie działać chyłkiem niż siłą. Ja i moi towarzysze skradamy się po tej piekielnej dziurze, odkąd się tu zjawiliśmy, i myślę, że nasze szanse przetrwania - oraz zdobycia jedzenia i innych potrzebnych rzeczy - będą o wiele większe, jeśli wykorzystamy to, czegośmy się nauczyli. Przekradniemy się obok tych Poparzeńców, którym dawno odbiła szajba, zamiast szarżować na nich jak banda niewydarzonych wojowników.

- Ciężko cię rozgryźć - zauważył Thomas. - Nie chciałbym być niegrzeczny, ale doprawdy można odnieść wrażenie, że chcecie być właśnie wojownikami. Wiesz, wszystkie

te paskudne stroje i ostre przedmioty.

Na długą chwilę zapadło milczenie, i chłopak zaczynał już się bać, że popełnił błąd, kiedy Jorge nagle wybuchnął śmiechem.

- Och, muchacho, nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że cię polubiłem. Nie jestem pewien, czemu, ale polubiłem. Inaczej już bym cię trzy razy zabił.

- A można to zrobić? - spytał Thomas.

- Że co?

- Zabić kogoś trzy razy.

- Wynalazłbym jakiś sposób, nie martw się.

- Skoro tak, spróbuję być grzeczniejszy.

Jorge klepnął dłonią w stół i wstał.

- W porządku. Oto moja propozycja. Musimy was wszystkich, całą jedenastkę smarkaczy, doprowadzić do waszej bezpiecznej przystani. Żeby to zrobić, zabieram tylko jedną osobę. Nazywa się Brenda i jest geniuszem. Potrzebujemy jej umysłu. A jeśli uda nam się dotrzeć na miejsce, i okaże się, że nie ma dla nas leku... no cóż, nie sądzę, żebym musiał ci mówić, jakie będą konsekwencje.

- Daj spokój - powiedział sarkastycznie Thomas. - Sądziłem, że teraz jesteśmy przyjaciółmi.

- Cśśś. Nie jesteśmy przyjaciółmi, hermano. Jesteśmy partnerami. Dostarczę was tam, gdzie chce DRESZCZ. Ty mi zorganizujesz lek. Oto nasz układ, inaczej poleje się mnóstwo krwi.

Thomas również wstał, odsuwając krzesło, które zaskrzypiało o podłogę.

- Już osiągnęliśmy porozumienie w tej kwestii, czyż nie?

- Taa. Owszem, osiągnęliśmy. A teraz słuchaj, kiedy wrócimy do reszty, nie waz się pisać nawet słówka. Wymknienie się tym pozostałym Poparzeńcom będzie... cokolwiek trudne.

- Jaki mamy plan?

Jorge zastanawiał się przez chwilę, nie odrywając oczu od Thomasa. W końcu przerwał milczenie.

- Po prostu trzymaj gębę zamkniętą na kłódkę i pozwól mi to rozegrać po mojemu. - Skierował się w stronę drzwi prowadzących na korytarz, ale nagle się zatrzymał. - Aha, nie sądzę, żeby twojemu compadre Minho spodobало się to, co powiem.

Gdy szli korytarzem, by dołączyć do reszty, Thomas uświadomił sobie, jak boleśnie jest głodny. Skurcze w żołądku rozszerzyły się na resztę ciała, jakby jego organy wewnętrzne

oraz mięśnie zaczynały się nawzajem zjadać.

- Dobra, słuchajcie wszyscy! - obwieścił Jorge, gdy weszli z powrotem do obszernego, zrujnowanego pomieszczenia. - Udało mi się dojść do porozumienia z tym paszczurem.

Paszczurem? - pomyślał Thomas.

Poparzeńcy nadal stali na baczność, ściskając w rękach swe rozliczne śmiercionośne narzędzia, świdrując gniewnym wzrokiem Streferów, którzy siedzieli pod ścianami pomieszczenia, oparci plecami o mur. Światło słońca wlewało się przez roztrzaskane okna i znajdujące się wyżej dziury.

Jorge zatrzymał się pośrodku pomieszczenia i obrócił się powoli, żeby zmierzyć wzrokiem wszystkich, do których zamierzał przemówić. Thomas pomyślał, że Latynos wygląda idiotycznie - jakby zbyt usilnie się starał.

- Przede wszystkim musimy tych ludzi nakarmić. Wiem, że z trudem zdobyliśmy to żarcie i dzielenie się nim z bandą obcych wydaje się szaleństwem, ale sądzę, że przyda nam się ich pomoc. Damy im mięso z fasolą, i tak mam już dość tego końskiego gówna. - Jeden z Poparzeńców, chuderlawy dzieciak o rozbieganych oczkach, zachichotał. - Po drugie, jako że jestem dżentelmenem o anielskiej cierpliwości i wielkim sercu, postanowiłem nie zabijać smarkacza, który mnie zaatakował. ‘

Thomas usłyszał kilka jęków rozczerowania, które kazały mu zadać sobie pytanie, w którym właściwie stadium choroby znajdują się niektórzy spośród tych ludzi. Jednak jedna dziewczyna, ładna nastolatka o długich, o dziwo czystych włosach, przewróciła oczami i potrząsnęła głową, jakby uważała, że te hałasy są idiotyczne. Thomas przyłapał się na tym, że ma nadzieję, iż to ona jest tą Brendą, o której wspomniał Jorge.

Latynos wskazał Minho, który - co nie zaskoczyło Thomasa - uśmiechnął się i pomachał zebranym.

- Zadowolony jesteś, co? - mruknął Jorge. - Dobrze wiedzieć. Liczę, że w takim razie spokojnie przyjmiesz to, co zaraz powiem.

- Co takiego? - zapytał ostro Minho.

Thomas zerknął na Jorge, zastanawiając się, jakie słowa zaraz padną z ust tego człowieka.

Herszt Poparzeńców przemówił rzeczowym tonem:

- Jak już was nakarmimy, łązęgi, żebyście nam nie pozdychali z głodu, zostaniesz ukarany za to, żeś mnie zaatakował.

- O, doprawdy? - Jeżeli Minho się przestraszył, to nie okazał tego w żaden sposób. - A jak to się stanie?

Jorge tylko wpatrywał się w Minho. Twarz Latynosa zastygła w niepokojąco wypraną z wszelkich uczuć maskę.

- Zaatakowałeś mnie obiema pięściami. Więc obetniemy ci po jednym palcu z każdej dłoni.

Thomas nie mógł pojąć, w jaki sposób groźenie obcięciem palców Minho miałooby przygotować grunt pod ich ucieczkę od reszty Poparzeńców. I z pewnością nie był na tyle głupi, żeby zaufać Latynosowi tylko po jednej krótkiej rozmowie. Zaczął się panicznie bać, że sprawy zaraz przybiorą fatalny obrót.

Ale potem Jorge spojrział na niego, w tym samym momencie, gdy pozostali Poparzeńcy zaczęli pohukiwać i krzyczeć z radości, i w jego oczach było coś, co uspokoiło Thomasa.

Natomiast Minho - o, to była odrębna para kaloszy. Zerwał się, gdy tylko Jorge ogłosił, jaka ma być kara, i zaatakowałby go, gdyby nie to, że ładna dziewczyna szybko doń podeszła i przystawiła mu ostrze do szyi. Pojawiła się kropelka krwi, jaskrawoczerwona w świetle słońca, które wlewało się przez rozwalone drzwi. Minho nie mógł pisnąć choćby słówka, nie ryzykując poważnych uszkodzeń ciała.

- Oto plan - oznajmił spokojnie Jorge. - Brenda i ja odeskortujemy tych głodomorów do spiżarni, pozwolimy im się najeść. Potem spotkamy się wszyscy na Wieży, powiedzmy, za godzinę od teraz. - Popatrzył na zegarek. - Niech będzie, że punktualnie w południe. Przyniesiemy też obiad dla was.

- Czemu tylko ty i Brenda? - zapytał ktoś. Thomas w pierwszej chwili nie zobaczył, kto. Potem zorientował się, że słowa te padły z ust mężczyzny - prawdopodobnie najstarszej osoby w pomieszczeniu. - A co, jeśli was zaatakują? Ich jest jedenastu, a was dwoje.

Jorge zmrużył oczy z szyderczą miną.

- Dzięki za lekcję matematyki, Barkley. Następnym razem, gdy zapomnę, ile mam palców u nóg, przyjdę do ciebie na korepetycje z rachunków. Póki co przestań kłapać dziobem i zaprowadź wszystkich na Wieżę. Jeśli ci smarkacze spróbują się stawiać, Brenda potnie pana Minho na maciupkie kawałki, a ja stłukę pozostałych na kwaśne jabłko. Są tak słabi, że ledwo się trzymają na nogach. A teraz ruszcie tyłki!

Gwałtowna ulga ogarnęła Thomasa. Gdy tylko oddzielił się od pozostałych, Jorge z pewnością zamierza uciekać. Z pewnością nie zamierzał zrealizować swej groźby, gdy chodzi o wymierzenie kary.

Mężczyzna nazwany Barkleyem był stary, ale wyglądał na twardziela; pod rękawami jego koszuli przeżyły się żyłaste mięśnie. W jednej ręce trzymał paskudnie wyglądający

sztylet, w drugiej zaś - duży młotek.

- Dobra - oznajmił po dłuższej walce na spojrzenia z hersztem. - Ale jeśli jednak się na was rzucą i poderzną wam gardła, doskonale sobie poradzimy i bez was.

- Dzięki za dobre słowo, herma.no. A teraz ruszajcie, inaczej na Wieży będziemy mieć dwa razy więcej zabawy.

Barkley zaśmiał się, jakby chcąc zachować nieco godności, po czym wkroczył w ten korytarz, którym wcześniej szli Thomas i Jorge. Machnął ręką w geście „za mną” i wkrótce wszyscy Poparzeńcy wyszli za nim, szurając butami. Zostali jedynie Jorge oraz ta ładna dziewczyna z długimi brązowymi włosami. Nadal trzymała nóż na gardle Minho, ale dobrą wieścią było to, że musiała być Brenda.

Gdy główna grupa zarażonych Pożogą opuściła już pomieszczenie, Jorge wymienił z Thomasem spojrzenie, w którym mignęła ulga; potem nieznacznie potrząsnął głową, jakby sygnalizując, że pozostali nadal mogą ich usłyszeć.

Uwagę Thomasa przykuło poruszenie się Brendy. Spojrzawszy w jej stronę zobaczył, że dziewczyna opuszcza nóż i cofa się od Minho, mimochodem wycierając drobny ślad krwi na ostrzu o spodnie.

- Wiesz, naprawdę bym cię zabiła - oznajmiła nieco schrypniętym głosem. Niemal ochrypłym. - Jeszcze raz spróbuj zaatakować Jorge, a przetnę ci tętnicę.

Minho potarł kciukiem skaleczenie na szyi, po czym spojrzał na jaskrawoczerwoną smużkę.

- To się nazywa ostry nóż. Sprawia, że jeszcze bardziej cię lubię.

Newt i Patelniak jęknęli równocześnie.

- Wygląda na to, że nie jestem tutaj jedynym Poparzeńcem - odparowała Brenda. - Jesteś jeszcze większym świrem niż ja.

- Nikt z nas jeszcze nie oszalał - dorzucił Jorge, podchodząc i stając obok niej. - Ale ten stan rzeczy nie utrzyma się długo. Chodźcie. Musimy się przejść do spiżarni i zaserwować wam trochę paszy. Wyglądacie jak banda zagłodzonych zombie.

Minho nie powitał tego pomysłu z entuzjazmem.

- Myślisz, że pobiegnę w podskokach, żeby sobie posiedzieć z wami psycholami, a potem pozwolę, żebyście mi obcięli palce?

- Po prostu weź się raz zamknij - warknął Thomas, starając się przekazać wzrokiem co innego. - Chodźmy jeść. Nie obchodzi mnie, co się później stanie z twoimi ślicznymi łapkami.

Minho zmrużył oczy, zbity z tropu, ale najwyraźniej pojął, że coś się nie zgadza.

- Nieważne. Idziemy.

Brenda nieoczekiwanie stanęła przed Thomasem; jej twarz znalazła się tylko kilkanaście centymetrów od jego twarzy.

Miała tak ciemne oczy, że białka wydawały się lśnić jasnym światłem.

- Ty nimi dowodzisz?

Thomas potrząsnął głową.

- Nie ja. Ten gość, którego przed chwilą skaleczyłaś nożem.

Brenda spojrzała na Minhó, a potem z powrotem na Thomasa. Uśmiechnęła się szeroko.

- Ej, ale to głupie. Wiem, że jestem o włos od stania się wariatką, ale ja bym wybrała ciebie. Wydajesz się typem przywódcy

- Hm, dzięki. - Thomas poczuł falę zawstydenia, a potem przypomniał sobie tatuaż Minhó. Przypomniał też sobie własny, z informacją, że ma zostać zabity. Pospieszenie zaczął szukać odpowiedzi, która pozwoliłaby mu ukryć nagłą zmianę nastroju. - Ja, ee, też wybrałbym ciebie, a nie tego całego Jorge.

Dziewczyna nachyliła się do przodu i pocałowała Thomasa w policzek.

- Jesteś słodki. Mam szczerą nadzieję, że przynajmniej ciebie nie będziemy musieli zabić.

- Dobra. - Jorge już zaganiał wszystkich w stronę rozwalonych drzwi prowadzących na zewnątrz. - Starczy tego miłosnego gruchania. Brenda, mamy dużo do obgadania, kiedy już dotrzemy do spiżarni. Chodźcie, idziemy.

Brenda nie odrywała wzroku od Thomasa. On z kolei wciąż jeszcze czuł echo dreszczu, który przeszył jego całe ciało, kiedy musnęła go ustami.

- Podobasz mi się - oznajmiła.

Thomas przełknął, nie umiejąc wymyślić żadnej riposty. Brenda dotknęła językiem kącika ust i znów uśmiechnęła się szeroko, po czym wreszcie odwróciła się od niego i podeszła do drzwi, wsuwając nóż do kieszeni spodni.

- Idziemy! - krzyknęła, nie odwracając się.

Thomas wiedział, że wszyscy Streferzy gapią się na niego, ale nie odwzajemnił niczyjego spojrzenia. Zamiast tego podciągnął koszulę i ruszył naprzód, nie przejmując się tym, że na wargach igra mu uśmieszek. Pozostali szybko poszli w jego ślady, i cała grupa opuściła budynek, wkraczając w biały żar słońca lejący się na zniszczony chodnik.

Brenda szła pierwsza, zaś Jorge zamykał pochód. Thomas miał problemy z zaadaptowaniem się do jaskrawego światła; osłaniał oczy i mrużył je, kiedy posuwali się

naprzód, trzymając się blisko muru, żeby chronił ich wąski pas cienia. Otaczające ich budynki i ulice wydawały się jaśnieć nieziemskim blaskiem, niczym zbudowane z jakichś czarodziejskich kamieni.

Brenda przemieszczała się wzdłuż ścian budowli, którą dopiero co opuścili, aż dotarli - jak ocenił Thomas - na tyły gmachu. Znajdowały się tam schody wiodące w dół, poniżej poziomu chodnika, które przypomniały mu coś z jego minionego życia. Może wejście do jakiegoś systemu podziemnej kolei.

Dziewczyna nie zawahała się. Nie czekając, żeby się upewnić, iż wszyscy podążają za nią, długimi krokami zbiegła po schodach. Jednakże Thomas zauważył, że w jej prawej dłoni znów pojawił się nóż; trzymała go mocno, kilkanaście centymetrów od ciała. Ukradkowa próba przygotowania się do tego, żeby móc zaatakować - lub bronić się - w jednej chwili.

Poszedł w jej ślady. Chciał się jak najszybciej skryć przed słońcem oraz, przede wszystkim, dotrzeć do pożywienia. Jego wewnętrzności z każdym krokiem boleśniej domagały się pokarmu.

W końcu ogarnęła ich ciemność, pożądana, bo chłodna. Thomas podążał śladem kroków Brendy, aż dotarli do niewielkich otwartych drzwi, zza których sączyła się pomarańczowa poświata. Dziewczyna weszła do środka, a Thomas zawahał się na progu. Pomieszczenie było nieduże i zawilgocone, pełne pudeł i puszek, oświetlone pojedynczą żarówką zwieszającą się ze środka sufitu. Zdecydowanie zbyt ciasne, aby cała ich grupa mogła się pomieścić wewnątrz.

Brenda musiała wyczuć, o czym pomyślał.

- Ty i pozostali możecie zostać tam na zewnątrz, w korytarzu. Znajdźcie sobie miejsce pod ścianą i usiądźcie. Za sekundkę zacznę wam przynosić smakołyki.

Thomas kiwnął głową, choć na niego nie patrzyła, i chwiejnie wrócił na korytarz. Usiadł ciężko pod ścianą kawałek od pozostałych Streferów, głębiej w mroku korytarza. I wiedział z całą pewnością, że już nie wstanie, póki czegoś nie zje.

„Smakołyki” okazały się puszkami z fasolą i jakąś odmianą kielbasy - jeśli wierzyć Brendzie, napisy na etykietach były po hiszpańsku. Musieli zjeść zawartość na zimno, ale zdaniem Thomasa smakowała jak najwspanialszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadł, i łączywie łykał każdy kęs. Nauczyli się już, że niezbyt rozsądnie jest najeść się szybko po tak długim poście, ale nie obchodziło go to. Jeśli wszystko zwymiotuje, po prostu z przyjemnością naje się drugi raz. Oby świeżą porcją.

Kiedy Brenda obdzieliła już wygłodzonych Streferów jedzeniem, podeszła i usiadła obok Thomasa. Łagodna poświata sącząca się z magazynku podświetlała pojedyncze cienie

pasma w kaskadzie jej ciemnych włosów. Obok siebie dziewczyna postawiła dwa plecaki, wypełnione dalszymi puszkami.

- Jeden z nich jest dla was - powiedziała.

- Dzięki. - Thomas zabrał się już za drugą połowę puszki, wygarniając z niej jedną łyżkę za drugą. W korytarzu za nimi nikt się nie odzywał; słysząc było wyłącznie siorbanie i przełykanie.

- Smakuje? - zapytała, zabierając się za własną porcję.

- Weź nic nie mów. Zepchnąłbym ze schodów własną matkę, żeby się dostać do tego żarcia. O ile jeszcze mam matkę. - Mimo woli pomyślał znów o swoim śnie, o tej krótkiej migawce, gdzie pojawiła się jego mama, ale zrobił wszystko, żeby wypchnąć to wspomnienie z pamięci; było zbyt ponure.

- Szybko ma się go dość - odrzekła Brenda, wyrывая go z rozmyślań. Thomas zauważył, w jakiej pozycji usiadła, z prawym kolaniem przyciśniętym do jego piersi, i przez głowę przebiegła mu idiotyczna myśl, że dziewczyna umyślnie tak przysunęła nogę. - Mamy tylko cztery czy pięć opcji do wyboru.

Thomas skupił się na tym, żeby oczyścić umysł, z powrotem skupić się na teraźniejszości.

- Skąd macie to jedzenie? I ile go zostało?

- Zanim rozbliski słoneczne wypaliły te tereny, w tym mieście działało kilka zakładów przetwórstwa spożywczego oraz mnóstwo magazynów, gdzie przechowywano żywność. Czasem myślę sobie, że to dlatego DRESZCZ zsyła tutaj Poparzeńców. Mogą sobie przynajmniej powiedzieć, że nie wyzdychamy z głodu w czasie, gdy powoli wariujemy i zabijamy się nawzajem.

Thomas wskrobał z dna puszki ostatnią resztkę sosu i wylizał łyżkę do czysta.

- Jeśli jedzenia jest mnóstwo, czemu macie do wyboru tylko kilka opcji? - Przez głowę przemknęło mu, że może zbyt szybko jej zaufali, że może właśnie zjadają truciznę. Ale dziewczyna jadła to samo, co oni, więc te obawy były prawdopodobnie przesadzone.

Brenda wskazała kciukiem na sufit.

- Przetrzęsaliśmy tylko najbliższe magazyny. Należały do jakiejś firmy, która się specjalizowała w kilku produktach, nie ma tam za wiele do wyboru. zabiłabym twoją matkę za coś świeżego z ogródka. Jakąś smaczną surówkę.

- To moja mama pewnie nie ma szans, jeśli kiedykolwiek znajdzie się między nami a sklepem spożywczym.

- Pewnie nie.

Uśmiechnęła się, chociaż większą część jej twarzy skrywał cień. Uśmiech był widoczny mimo to, a Thomas uświadomił sobie, że zaczyna lubić tę dziewczynę. Dopiero co zraniła jego najlepszego przyjaciela do krwi, ale polubił ją mimo to. Może, w jakiejś drobnej części, właśnie dlatego.

- Czy na świecie istnieją jeszcze sklepy spożywcze? - zapytał. - To znaczy, jak wszystko wygląda tam na zewnątrz po tym, jak wybuchła ta cała chryja z Pożogą? Z upałem i biegającymi wokół wariatami?

- Nie. A w zasadzie to nie wiem. Rozbłyski słoneczne zabiły mnóstwo ludzi, zanim udało im się uciec na północ lub na południe. Moja rodzina żyła w północnej Kanadzie. Moi rodzice byli wśród tych, którym jako pierwszym udało się dotrzeć do obozów, jakie zorganizowała koalicja zawiązana przez rządy. Ci ludzie, którzy później utworzyli DRESZCZ.

Thomas gapił się na nią przez sekundę z szeroko otwartymi ustami. W tych kilku zdaniach właśnie ujawniła mu więcej na temat stanu świata, niż cokolwiek, co usłyszał, odkąd wymazano mu pamięć.

- Zaczekaj... Zaczekaj moment - poprosił. - Muszę posłuchać o tym wszystkim. Możesz zacząć od początku?

Brenda wzruszyła ramionami.

- Nie ma za wiele do opowiadania - wszystko wydarzyło się dawno temu. Rozbłyski słoneczne były kompletnie nieprzewidziane i nieprzewidywalne, i zanim naukowcy spróbowali kogokolwiek ostrzec, było o wiele za późno. Spustoszyły pół planety, zniszczyły wszelkie życie w strefie międzyzwrotnikowej. Na wszystkich pozostałych obszarach pozmieniały klimat. Ludzie, którzy przeżyli, zgromadzili się razem, część rządów postanowiła się połączyć. Wkrótce odkryli, że paskudny wirus wydostał się z jakiegoś ośrodka badań nad chorobami. Od samego początku nazywano go Pożogą.

- O rany - wymamrotał Thomas. Spojrzał w dół korytarza, na pozostałych Streferów, zastanawiając się, czy usłyszeli coś z tej rozmowy, ale zdawało się, że nikt z nich nie słucha, wszyscy skupieni byli na jedzeniu. Zresztą prawdopodobnie i tak znajdowali się zbyt daleko. - Kiedy...

Uciszyła go, unosząc dłoń.

- Czekaj - powiedziała. - Coś jest nie tak. Zdaje się, że mamy gości.

Thomas nic nie usłyszał, pozostali Streferzy też najwyraźniej nie zauważyli niczego niepokojącego. Jednak Jorge już znalazł się przy boku Brendy, szepcząc jej coś do ucha. Przymierzała się właśnie do wstania, kiedy w korytarzu eksplodował huk. Dobiegł od strony

schodów, którymi niedawno zeszli do spiżarni. Był to potwornie głośny dźwięk rozpadającej się konstrukcji - pękający beton, rozdierany metal. W ich stronę popęzła wielka chmura pyłu, zasłaniając światło sączące się ze spiżarni.

Thomas tylko siedział i się gapił, sparaliżowany strachem. Zdążył zobaczyć, jak Minh, Newt i pozostali biegną z powrotem w stronę zniszczonych schodów, potem skręcają w odgałęzienie korytarza, którego wcześniej nie zauważył. Brenda chwyciła go za koszulę i szarpnięciem zmusiła do wstania.

- Biegnij! - wrzasnęła i zaczęła go odciągać od zniszczeń, w głąb podziemi.

Thomas otrząsnął się z osłupienia i trzepnął ją w rękę, ale nie puszczała.

- Nie! Musimy iść za moimi przy...

Zanim zdążył dokończyć, na posadzkę przed nim runął wielki fragment sklepienia - betonowe bloki z grzmiącym łoskotem łądowały jedne na drugich. Zawalisko odcięło Thomasa od drogi, którą podążyli jego przyjaciele. Nad sobą usłyszał rumor pękających skał i pojął, że nie ma już ani wyboru, ani czasu.

Odwrócił się niechętnie i pobiegł sprintem w ciemność wraz z Brendą, nadal kurczowo uczeploną jego koszuli.

Thomas nie zauważył, że łomocze mu serce, nie miał też czasu zastanawiać się, co spowodowało eksplozję. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, to pozostali Streferzy, z którymi został rozdzielony. Ślepy, biegł za Brendą - zmuszony bez reszty jej zawierzyć.

- Tutaj! - krzyknęła. Skręcili ostro w prawo; potknął się i omal nie upadł, ale pomogła mu się utrzymać na nogach. Gdy odzyskał równowagę, puściła wreszcie jego koszulę. - Trzymaj się blisko mnie.

Odgłosy destrukcji za nimi przycichły, w miarę jak biegli, a w głowie Thomasa zapłonęła panika.

- Co z moimi przyjaciółmi? A jeśli...

- Po prostu biegnij! Tak czy owak lepiej, żebyśmy wszyscy się rozdzielili.

W miarę jak zagłębiali się w długi korytarz, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Ciemność zgęstniała. Thomas czuł, że powoli wracają mu siły, i wkrótce chwycił oddech. Odgłosy za nimi niemal ucichły. Martwił się o pozostałych Streferów, ale instynkt podpowiedział mu, że może bez wyrzutów sumienia pozostać z Brendą - że jego przyjaciele będą w stanie o siebie zadbać, jeśli bezpiecznie się wydostali ze strefy zagrożenia. Ale co jeśli część z nich została pojmana przez tego, kto spowodował wybuch? Albo jeśli zginęli? I kto ich zaatakował? Gdy tak biegli, Thomas miał wrażenie, że strach o przyjaciół wysysa z jego serca całą krew.

Brenda skręcała jeszcze trzykrotnie; Thomas nie miał pojęcia, jakim cudem wiedziała, dokąd się kierować. Właśnie miał o to spytać, kiedy stanęła i położyła dłoń na jego klatce piersiowej, żeby go zatrzymać.

- Słyszysz coś? - zapytała, dysząc.

Thomas nasłuchiwał, ale jedynym, co usłyszał, były ich własne oddechy. Wszędzie wokół panowały cisza i ciemność.

- Nie - odparł. - Gdzie jesteśmy?

- Budynki po tej stronie miasta są połączone mnóstwem tuneli i tajemnych przejść. Może tak samo jest w całym mieście, nie wiem - nie zapuściliśmy się jeszcze tak daleko. Nazywają to Piwnicami.

Thomas nie widział jej twarzy, ale Brenda znajdowała się na tyle blisko, że czuł jej oddech. Nie cuchnęło jej z ust, co było miłą niespodzianką, zważywszy na warunki, w jakich żyła. Jej oddech w zasadzie nie miał zapachu i jakimś sposobem było to przyjemne.

- Piwnice? - powtórzył. - Ależ to głupio brzmi.

- No cóż, nie ja wymyśliłam tę nazwę.

- A jaką część tych tuneli udało się wam spenetrować? - Nie podobała mu się wizja, że mieliby biegać po tych podziemiach, nie wiedząc, dokąd zmierzają.

- Niewielką. Zazwyczaj wpadamy tu na Poparzeńców. Tych naprawdę paskudnych. Takich, co dawno przekroczyli Granicę.

Te słowa sprawiły, że Thomas obrócił się dookoła, przepatrując ciemność w poszukiwaniu sam nie wiedział czego. Jego całe ciało spięło się ze strachu, jakby wskoczył do lodowatej wody.

- No... a czy teraz jesteśmy bezpieczni? Co to w ogóle była za eksplozja? Powinniśmy wrócić i odszukać moich przyjaciół.

- A co z Jorge?

- Że co?

- Czy nie powinniśmy też odszukać Jorge?

Thomas nie chciał jej urazić nieprzemyślaną wypowiedzią chwilę wcześniej.

- Tak, Jorge, moich przyjaciół, wszystkich tych sztukaków. Nie możemy ich zostawić.

- Co to takiego sztukak?

- Nieważne. Po prostu... Jak sądzisz, co się właściwie stało tam za nami?

Westchnęła i stanęła jeszcze bliżej niego, przyciskając pierś do jego piersi. Gdy przemówiła, poczuł, jak jej usta muskają go w ucho.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał. - Powiedziała to bardzo cicho, prawie szeptem.

Thomasa od stóp do głów zmroziły dreszcze.

- Ee... Co takiego?

Nie cofnęła się, tylko dalej mówiła wprost do jego ucha.

- Bez względu na to, co się stanie, nawet jeśli będziemy musieli iść dalej sami, zabierzesz mnie z powrotem. Do DRESZCZu, do tego leku, który obiecałeś Jorge - opowiedział mi o tym w magazynku. Nie mogę tutaj zostać i powoli zwariować. Nie jestem w stanie. Wolałabym umrzeć.

Chwyciła obie jego dłonie w swoje, ścisnęła mocno. Potem oparła mu głowę o ramię, wtulając nos w jego szyję - musiała stać teraz na czubkach palców. Każdy jej oddech sprawiał, że po skórze Thomasa pełzła nowa fala dreszczy.

Było mu przyjemnie, że dziewczyna znajduje się tak blisko, choć zarazem wydawało się to kompletnie dziwaczne i nieoczekiwane. Potem uderzyły go wyrzuty sumienia, bo pomyślał o Teresie. Cała sytuacja nagle wydała mu się idiotyczna. Był w trakcie brutalnej, bezlitosnej próby zawędrowania do celu przez pustkowia, na szali leżało jego życie, jego przyjaciele być może zginęli. Może nawet Teresa już nie żyła. Tkwienie tutaj i mizianki w ciemnościach z jakąś obcą dziewczyną były więc najbardziej absurdalną rzeczą, jaką umiał sobie wyobrazić.

- Hej - powiedział. Oswobodził ręce z jej uścisku i chwycił ją za ramiona, odsuwając od siebie. Nadal nic nie widział, ale wyobraził ją sobie stojącą tam, spoglądającą na niego. - Nie sądzisz, że powinniśmy przemyśleć to i owo?

- Jeszcze mi nie obiecałeś - odparła.

Thomas miał ochotę krzyczeć. Nie mógł uwierzyć w to, jak dziwnie dziewczyna się zachowuje.

- W porządku, obiecuję. Czy Jorge powiedział ci o wszystkim?

- Myślę, że mniej więcej tak. Chociaż sama odgadłam, co jest grane, gdy tylko rozkazał, żeby nasza grupa ruszyła bez reszty i spotkała się z nimi na Wieży.

- Co odgadłaś?

- Ze mamy ci pomóc przedostać się przez miasto w zamian za to, że nas zabierzesz z powrotem do cywilizacji.

Jej słowa zaniepokoiły Thomasa.

- Jeśli ty tak szybko na to wpadłaś, nie sądzisz, że niektórzy z waszych towarzyszy też mogli?

- No właśnie.

- Co masz na myśli, mówiąc: no właśnie? To brzmi tak, jakbyś znalazła odpowiedź na jakieś pytanie.

Wyciągnęła ręce i położyła dłonie na jego klatce piersiowej.

- Myślę, że to właśnie się stało. Z początku bałam się, że to grupa bardziej ześwirowanych Poparzeńców, ale ponieważ nikt nas nie gonił, sądzę, że to Barkley i paru jego kumpli zaaranżowali wybuch przy zejściu do podziemi, próbując nas zabić. Wiedzą, że mogą zdobyć mnóstwo żywności gdzie indziej i że można się tutaj dostać różnymi drogami.

Thomas nadal nie rozumiał, dlaczego tak do niego Ignęła.

- To się nie trzyma kupy. Znaczący, nie pojmuję, czemu mieliby chcieć nas zabić? Czy nie zależałoby im na tym, żeby też nas wykorzystać? Pójść z nami?

- Nie, nie, nie. Barkley i pozostali są tutaj szczęśliwi. Myślę, że są w troszeczkę bardziej zaawansowanym stadium choroby niż my, zaczynają już tracić zdolność racjonalnego myślenia. Wątpię, czy taki pomysł w ogóle przyszedł im do głowy. Założę się, że po prostu pomyśleli, iż zamierzamy się wszyscy zmówić i... wyeliminować ich. Ze knujemy tu na dole plany.

Thomas puścił ją i oparł tył głowy o ścianę. Brenda znów przysunęła się do niego i objęła go w pasie.

- Ee... Brenda? - odezwał się. Coś było nie tak z tą dziewczyną.

- Aha? - wymamrotała z twarzą wciśniętą w jego pierś.

- Co ty robisz?

- Co masz na myśli?

- Nie wydaje ci się, że zachowujesz się trochę dziwnie?

Roześmiała się; ten dźwięk był tak nieoczekiwany, że Thomas przez sekundę myślał, iż Pożoga bez reszty opanowała jej umysł, zmieniając ją w kompletnie szalonego Poparzeńca, lub coś w tym guście. Odsunęła się, nadal rozbawiona.

- Co? - spytał.

- Nic - odparła, chichocząc jak uczennica. - Zdaje się, że po prostu pochodzimy z odmiennych miejsc, to wszystko. Przepraszam.

- Co masz na myśli? - Nagle uświadomił sobie, że pragnie, aby go znowu objęła.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała, a jej wesołość jego kosztem wreszcie przygasła.

- Przepraszam, że byłam tak bezpośrednia. Po prostu... tam, skąd pochodzę, jest to dość normalne zachowanie.

- Nie... wszystko w porządku. To... to znaczy, ogay. Wszystko jest dobrze. - Cieszył się, że Brenda nie może zobaczyć jego twarzy, bo niewątpliwie spiekł takiego raka, że znowu

zaczęłyby się śmiać.

I wtedy pomyślał o Teresie. Pomyślał o Minho oraz pozostałych. Musiał przejąć kontrolę. Natychmiast.

- Słuchaj, sama to powiedziałaś - oświadczył, starając się nadać głosowi pewny siebie ton. - Nikt nas nie gonił. Musimy wrócić.

- Jesteś pewien? - Jej głos zabrzmiał podejrzliwie.

- Co masz na myśli?

- Mogłabym cię bezpiecznie przeprowadzić przez miasto. Znaleźć wystarczająco dużo żywności, żebyśmy mogli zabrać zapasy. Czemu nie mielibyśmy zostawić tutaj pozostałych? Dotrzeć do tej całej bezpiecznej przystani na własną rękę?

Thomas nie zamierzał kontynuować tej rozmowy.

- Jeśli nie zamierzasz ze mną wracać, w porządku. Ja w każdym razie wracam. - Oparł dłoń o ścianę, żeby nie zmylić stron, i ruszył z powrotem w kierunku, z którego przybiegł.

- Zaczekaj! - zawołała, a potem podbiegła. Chwyciła jego dłoń i splotła palce z jego palcami, idąc teraz obok niego, ręka w rękę, jakby byli parą zakochanych. - Przepraszam. Naprawdę. Po prostu... Sądzę, że łatwiej byłoby przejść przez miasto w mniejszej grupie. Nie jestem jakoś specjalnie zaprzyjaźniona z którymkolwiek z tych Poparzeńców. Nie tak, jak ty i twoi... Streferzy.

Czy wypowiedział to słowo w jej obecności? Nie potrafił sobie przypomnieć, ale każdy mógł to w którymś momencie zrobić, gdy Thomas nie słuchał.

- Naprawdę sądzą, że do bezpiecznej przystani musi nas dotrzeć tyłu, ile to możliwe. Nawet jeśli uda nam się wydostać z miasta, kto wie, co nas czeka potem. Może tam dalej przyda nam się każdy człowiek.

Zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. Czy rzeczywiście zależało mu tylko na tym, żeby dotrzeć do celu z większą liczbą ludzi, bo to zwiększało ich szanse na wyjście cało z tej chryi? Czy naprawdę podchodził do sprawy tak beznamiętnie?

- W porządku - to była cała odpowiedź dziewczyny. Coś w Brendzie uległo zmianie. Wydawała się teraz mniej pewna siebie. Mniej władcza.

Thomas uwolnił rękę z jej uścisku, a dla zapewnienia sobie alibi kaszlnął w pięść. Nie sięgnął już ponownie po dłoń Brendy.

Przez następnych kilka minut oboje milczeli. Thomas szedł za Brendą, wyczuwając ją, chociaż nadal nic nie widział. Po paru zakrętach z przodu pojawiło się światło, szybko zyskujące na jasności w miarę, jak się zbliżali.

Okazało się, że to blask słońca, wlewający się przez wybite w sklepieniu dziury o

nieregularnych brzegach - pokłósie eksplozji. Drogę do miejsca, gdzie przedtem znajdowały się schody, zagradzały olbrzymie skalne bryły, powykręcane kawały stali i rozwalone rury - i wyglądało na to, że próba wspięcia się na rumowisko może się źle skończyć. Wszystko spowijała mgiełka kurzu, sprawiając, że promienie słońca wydawały się żyć własnym życiem, pełne pyłków, wirujących niczym chmary muszek. W powietrzu wisiał zapach pokruszonego tynku oraz spalenizny.

Byli odcięci również od spiżarni, a więc od zapasów, ale Brenda odszukała dwa plecaki, które wcześniej wyniosła na korytarz.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie ma - oznajmiła. - Nie wrócili. Jorge i twoi przyjaciele mogli nawet jakimś sposobem wspiąć się na górę i wydostać na zewnątrz. miasta, kto wie, co nas czeka potem. Może tam dalej przyda nam się każdy człowiek.

Zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. Czy rzeczywiście zależało mu tylko na tym, żeby dotrzeć do celu z większą liczbą ludzi, bo to zwiększało ich szanse na wyjście cało z tej chryi? Czy naprawdę podchodził do sprawy tak beznamiętnie?

- W porządku - to była cała odpowiedź dziewczyny. Coś w Brendzie uległo zmianie. Wydawała się teraz mniej pewna siebie. Mniej władcza.

Thomas uwolnił rękę z jej uścisku, a dla zapewnienia sobie alibi kaszlnął w pięść. Nie sięgnął już ponownie po dłoń Brendy.

Przez następnych kilka minut oboje milczeli. Thomas szedł za Brendą, wyczuwając ją, chociaż nadal nic nie widział. Po paru zakrętach z przodu pojawiło się światło, szybko zyskujące na jasności w miarę, jak się zbliżali.

Okazało się, że to blask słońca, wlewający się przez wybite w sklepieniu dziury o nieregularnych brzegach - pokłósie eksplozji. Drogę do miejsca, gdzie przedtem znajdowały się schody, zagradzały olbrzymie skalne bryły, powykręcane kawały stali i rozwalone rury - i wyglądało na to, że próba wspięcia się na rumowisko może się źle skończyć. Wszystko spowijała mgiełka kurzu, sprawiając, że promienie słońca wydawały się żyć własnym życiem, pełne pyłków, wirujących niczym chmary muszek. W powietrzu wisiał zapach pokruszonego tynku oraz spalenizny.

Byli odcięci również od spiżarni, a więc od zapasów, ale Brenda odszukała dwa plecaki, które wcześniej wyniosła na korytarz.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie ma - oznajmiła. - Nie wrócili. Jorge i twoi przyjaciele mogli nawet jakimś sposobem wspiąć się na górę i wydostać na zewnątrz.

Thomas tak naprawdę nie wiedział, co miał nadzieję znaleźć, ale przynajmniej jedna dobra wiadomość wydawała się oczywista.

- Ale nie ma tu żadnych ciał, no nie? Nikt nie zginął w wybuchu?

Brenda wzruszyła ramionami.

- Poparzeńcy mogli odciągnąć ciała. Ale nie przypuszczam, żeby to zrobili. Nic by im z tego nie przyszło.

Thomas kiwnął głową, jakby chcąc potwierdzić jej wypowiedź, uczeplić się tych słów. Nie miał jednak pojęcia, co powinni teraz zrobić. Iść i przetrząsać tunele - Piwnice - szukając pozostałych Streferów? Wyjść na ulicę? Wrócić do budynku, gdzie rozstali się z Barkleyem i resztą? Każdy z tych pomysłów brzmiał strasznie. Chłopak rozejrzał się, jakby miał nadzieję, że odpowiedź pojawi się za sprawą magii.

- Musimy iść przez Piwnice - oznajmiła po dłuższej chwili Brenda; prawdopodobnie rozważała możliwe opcje, tak samo jak Thomas. - Jeśli pozostali wyszli na powierzchnię, to dawno już nie ma ich w pobliżu. Poza tym wszelkie zainteresowanie ściągają na siebie, a nie na nas.

- A jeśli są tu na dole, znajdziemy ich, no nie? - zapytał Thomas. - Wszystkie te tunele w którymś momencie się zbiegają, zgadza się?

- Zgadza się. W każdym razie jedno jest pewne, Jorge poprowadzi ich w kierunku przeciwległej części miasta, w stronę gór. Po prostu musimy się tam dostać, żeby móc się z nimi spotkać i ruszyć dalej.

Thomas popatrzył na Brendę, zastanawiając się. Lub może tylko udając, że się zastanawia, bo tak naprawdę nie miał wyboru, musiał zostać z nią. Była jego największą - może jedyną - szansą osiągnięcia czegokolwiek innego aniżeli rychła i straszna śmierć z rąk kompletnie szalonych Poparzeńców. Co innego mógł zrobić?

- Dobra - powiedział. - Ruszajmy.

Uśmiechnęła się. Był to miły uśmiech, który rozjaśnił jej ubrudzoną twarz, i Thomas nieoczekiwanie zatęsknił za tamtą chwilą, kiedy obejmowali się w ciemnościach. Jednak ta myśl umknęła prawie równie szybko, jak się pojawiła. Brenda podała mu jeden z plecaków, po czym wyciągnęła ze swojego latarkę i pstryknęła włącznikiem. Promień światła przeciął kurz, gdy dziewczyna poświeciła najpierw w jedną stronę, potem w drugą, by w końcu skierować latarkę w głąb długiego tunelu, który pokonali już dwukrotnie.

- Idziemy? - spytała.

- Idziemy - wymamrotał Thomas. Strach o przyjaciół nadal ścisnął go za gardło, i chłopak głowił się, czy postępuje słusznie, zostając z Brendą.

Ale kiedy zaczęła iść, ruszył za nią.

Piwnice były zatęchłym, ponurym miejscem. Thomas niemal wołał całkowitą

ciemność od możliwości oglądania tego, co go otaczało. Ściany oraz posadzka były matowoszare - pomalowany beton i nic poza tym. Tu i ówdzie ściekały strużki wody. Co kilkanaście metrów mijali drzwi, ale w większości, jak przekonał się chłopak, pozamykane na klucz. Warstwa kurzu pokrywała wygasłe od dawna lampy na suficie, z których co najmniej połowa była rozbita - ocalały tylko ostre odłamki szkła trzymające się jeszcze w zardzewiałych obejmach.

Całość tchnęła atmosferą nawiedzanego przez duchy grobowca. Piwnice były równie dobrą nazwą, jak każda inna. Thomas zachodził w głowę, po co w ogóle wydrążono te podziemne korytarze. Miały być przejściami i biurami dla pracowników Bóg wie jakich instytucji? Umożliwiać przemieszczanie się między budynkami w deszczowe dni? Stanowią trasy ewakuacyjne? Być drogą ucieczki na wypadek takich okoliczności, jak potężne rozbłyski słoneczne oraz ataki szaleńców?

Prawie nie rozmawiali, gdy tak szedł za Brendą przez tunel za tunelem, czasem skręcając w lewo na skrzyżowaniach czy rozwidleniach, a czasem w prawo. Jego ciało szybko spaliło całą energię uzyskaną dzięki niedawnemu obfitemu posiłkowi. Po, jak się zdawało, kilku godzinach wędrowania udało mu się wreszcie przekonać dziewczynę, że powinni się zatrzymać i ponownie coś zjeść.

- Zakładam, że wiesz, dokąd idziemy - powiedział, kiedy ruszyli znowu. Dla niego wszystko, co mijali, wyglądało identycznie. Ponure i tonące w mroku. Zakurzone w miejscach, gdzie nie było mokro. W tunelach panowała cisza, przerywana jedynie kapaniem wody w oddali oraz szelestem ich ubrań, gdy szli. Ich kroki na betonie brzmiały głucho.

Nagle Brenda zatrzymała się i gwałtownie odwróciła, podświetlając latarką własną twarz od spodu.

- Łuu - szepnęła.

Thomas podskoczył, po czym odepchnął ją.

- Przestań się wydurniać! - krzyknął. Czuł się jak idiota - serce omal nie wyskoczyło mu z piersi ze strachu. - Wyglądasz teraz jak...

Opuściła rękę z latarką, ale nie odrywała od niego oczu.

- Wyglądam jak kto?

- Nieważne.

- Jak Poparzeniec?

Słowo to ukuło Thomasa w samo serce. Nie chciał myśleć o niej w ten sposób.

- No... taak - wymamrotał. - Przepraszam.

Odwróciła się do niego plecami i wznowiła marsz, świecąc latarką w przód.

- Ja jestem Poparzeńcem, Thomas. Mam Pożogę, jestem Poparzeńcem. Ty też.

Musiał podbiec kilka kroków, żeby się z nią zrównać.

- Tak, ale jeszcze całkiem nie oszalałaś. I... ja też, prawda? Zanim zdążymy ześwirować, dostaniemy lek.

Lepiej, żeby słowa Szczurowatego okazały się prawdą.

- Nie mogę się doczekać. A tak swoją drogą, owszem, wiem, dokąd idziemy. Dzięki, że się upewniłeś.

Szli dalej, zakręt za zakrętem, przez jeden długi tunel za drugim. Powolny, lecz ciągły ruch sprawił, że Thomas przestał myśleć o Brendzie i poczuł się lepiej, niż przez ostatnich kilka dni. Odpłynął myślami bardzo daleko, wspominając Labirynt, strzępy swojej przeszłości i Teresę. Przede wszystkim Teresę.

W końcu weszli do przestronnego pomieszczenia, skąd brała początek całkiem spora liczba odgałęzień wiodących w lewo oraz w prawo. Było ich więcej, niż gdziekolwiek wcześniej. Wyglądało to niemal tak, jakby zbiegały się tutaj tunele prowadzące od wszystkich budynków w mieście.

- Tutaj jest środek miasta, czy jak? - zapytał.

Brenda zatrzymała się, żeby odpocząć. Usiadła na posadzce, opierając się plecami o ścianę. Thomas siadł obok niej.

- Mniej więcej - odparła. - Widzisz? Jesteśmy już w połowie drogi na drugi koniec miasta.

Brzmiało to całkiem optymistycznie, ale czuł się okropnie, ilekroć myślał o pozostałych. O Minho, Newcie i całej reszcie Streferów. Gdzie teraz byli? Dręczyły go wyrzuty sumienia, że ich nie szukał, nie próbował sprawdzić, czy nie mają przypadkiem kłopotów. Czy mogli już bezpiecznie wydostać się z miasta?

Z rozmyślań wyrwał go głośny trzask, jakby pękającej żarówki.

Brenda natychmiast poświeciła latarką z powrotem w kierunku, z którego przyszli, ale korytarz niknął w mroku, pusty, jeśli nie liczyć kilku brzydkich zacieków na ścianach, czarnych na tle szarości.

- Co to było? - wyszeptał Thomas.

- Pewnie pękła któraś z tych starych lamp. - W głosie dziewczyny nie było nawet śladu zaniepokojenia. Położyła latarkę na posadzce, tak, że ta oświeślała teraz mur naprzeciwko nich.

- Czemu stara lampa miałaby nagle pęknąć ot, tak?

- Nie wiem. Szczur?

- Nie widziałem tu żadnych szczurów. Poza tym jak szczur miałby przejść po suficie?

Patrzyła na niego z miną wyrażającą tylko i wyłącznie kpinę.

- Racja. To musiał być latający szczur. Powinniśmy się stąd wynosić w cholerę.

Thomas zaśmiał się krótko, nerwowo, zanim zdążył się powstrzymać.

- Bardzo śmieszne.

Kolejny trzask, któremu tym razem zawtórował brzęk szkła sypiącego się na posadzkę. Dźwięk na pewno rozległ się za nimi - teraz Thomas nie miał co do tego wątpliwości. Ktoś musiał ich śledzić. I nie byli to Streferzy - brzmiało to bardziej tak, jakby ktoś próbował ich wytrącić z równowagi. Przestraszyć.

Nawet Brenda nie potrafiła ukryć swojej reakcji. Jej oczy napotkały wzrok Thomasa i były pełne niepokoju.

- Wstawaj - szepnęła.

Wstali oboje, po czym cicho założyli plecaki. Brenda ponownie poświeciła latarką w kierunku, z którego przyszli. Nic.

- Jak sądzisz, powinniśmy to sprawdzić? - spytała. Mówiła szeptem, ale w ciszy, jaka panowała w tunelu, jej głos i tak wydawał się o wiele zbyt donośny. Jeśli ktokolwiek znajdował się w pobliżu, mógł usłyszeć każde słowo, jakie wypowiadali, i ona, i Thomas.

- Sprawdzić? - Thomas uznał, że to najgłupszy pomysł, jaki dane mu było słyszeć od długiego czasu. - Nie, powinniśmy się stąd zwinąć w cholerę, tak, jak powiedziałaś.

- Co, chcesz tak po prostu pozwolić, żeby ten ktoś nas dalej śledził, ktokolwiek to jest? Może niech jeszcze zbierze paru kumpli, żeby zastawić na nas zasadzkę? Lepiej zająć się tym teraz.

Thomas złapał ją za rękę, w której trzymała latarkę, i skierował promień światła w dół. Potem nachylił się bliżej Brendy, żeby móc szeptać jej do ucha.

- To może być pułapka jak nic. Tam na posadzce nie widzieliśmy wcześniej żadnego szkła - musieli sięgnąć w górę i rozbić jedną ze starych lamp. Po co ktoś miałby to robić? Na pewno chce nas tam zwabić z powrotem.

- Jeśli mają wystarczająco dużo ludzi, żeby zaatakować, po co mieliby zastawiać na nas pułapkę? - odbiła piłeczkę Brenda. - To głupie. Dlaczego po prostu nie przyjść tutaj i nie załatwić sprawy od razu?

Thomas zastanowił się nad tym. Miała trochę racji.

- No cóż, jeszcze głupsze jest siedzenie tutaj i nawijanie o tym przez pół dnia. Co robimy?

- Po prostu... - Mówiąc to, zaczęła podnosić latarkę, ale urwała w pół słowa, a jej oczy

rozszerzyły się w przerażeniu.

Thomas gwałtownie odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się stało.

Na samym skraju plamy światła rzucanego przez latarkę Brendy stał mężczyzna.

Przypominał zjawę - miał w sobie coś nierzeczywistego. Stał przechylony w prawo, a jego lewa stopa i noga lekko podrygiwały, jakby z powodu tik. Drżała też jego lewa ręka, a dłoń to zaciskała się w pięść, to znów rozchylała. Miał na sobie ciemny garnitur, niegdyś prawdopodobnie elegancki, choć teraz brudny i postrzępiony. Obie nogawki spodni nasiąkły na kolanach wodą lub czymś paskudniejszym.

Ale Thomas zarejestrował to wszystko w jednej chwili. Jego uwagę przykuła przede wszystkim głowa mężczyzny. Chłopak mimo woli zagapił się na nią jak zahipnotyzowany. Wyglądało na to, że włosy tamtego zostały wydarte wraz z cebulkami, pozostały po nich jedynie krwawe strupy. Jego twarz była śmiertelnie blada i mokra, cała w bliznach oraz wrzodach. Jednego oka brakowało, w jego miejscu znajdowała się tylko kleista czerwona masa. Nie miał też nosa; pod okropnie poharataną skórą Thomas widział otwory przewodów nosowych w jego czaszce.

I jego usta. Wargi cofnięte w grymasie odsłaniającym lśniące białe zęby, zaciśnięte z całej siły. Jego zdrowe oko spoglądało wrogo i w jakiś sposób złośliwie, sądząc po tym, jak przemykał spojrzeniem od Brendy do Thomasa i z powrotem.

Potem przemówił, ochrypłym, bulgotliwym głosem, który przyprawił Thomasa o dreszcz. Wypowiedział tylko kilka słów, ale brzmiały one tak absurdalnie, że cała sytuacja stała się tylko jeszcze bardziej przerażająca.

- Kos leciał na skos i zjadł mi nos.

Cichy okrzyk wyrwał się z głębi piersi Thomasa, który nie wiedział, czy naprawdę wydał słyszalny odgłos, czy tylko wyczuł go w środku, wyobraził sobie. Brenda stała obok niego, oniemiała - może sparaliżowana strachem - nadal kierując promień latarki na ohydneho nieznajomego.

Mężczyzna dał chwiejny krok w ich stronę. Musiał wymachiwać jedną zdrową ręką, żeby utrzymać równowagę na jednej zdrowej nodze.

- Kos leciał na skos i zjadł mi nos - powtórzył, obrzydliwie chrypiąc z powodu nagromadzonej w gardle flegmy. - I to naprawdę coś.

Thomas wstrzymał oddech, czekając, aż Brenda zrobi pierwszy ruch.

- Czaicie? - spytał mężczyzna, bezskutecznie próbując zmienić swój drapieżny grymas w uśmiech. Wyglądał niczym zwierzę, które za moment skoczy na swoją zdobycz. - To naprawdę coś. Mój nos. Zjadł mi go kos, co leciał na skos. - Zaniósł się wilgotnym rechotem,

który kazał Thomasowi poczuć obawę, iż może już nigdy w życiu nie zaśnie spokojnie.

- Taa, czaję - odparła Brenda. - Niezły numer.

Thomas wyczuł ruch i popatrzył na nią. Ukradkiem wyciągnęła z plecaka puszkę i teraz zważyła ją w prawej dłoni. Zanim zdążył się zastanowić, czy to aby na pewno dobry pomysł i czy nie należy spróbować dziewczyny powstrzymać, zamachnęła się i cisnęła puszką w Poparzeńca. Thomas patrzył, jak przedmiot leci i trafia mężczyznę w twarz.

Trafiony wydał okrzyk, który zmroził chłopaka do szpiku kości.

I wtedy pojawili się inni. Dwoje. Potem troje. Potem jeszcze czworo. Mężczyźni i kobiety. Kulejąc wyłaniali się z ciemności, żeby stanąć za pierwszym Poparzeńcem. Wszyscy równie szaleni. Równie ohydni, bez reszty przeżarci Pożogą, kompletnie pozbawieni zdrowych zmysłów i okaleczeni od stóp do głów. I, jak zauważył Thomas, wszystkim brakowało nosów.

- To wcale tak bardzo nie bolało - powiedział Poparzeniec wyglądający na przywódcę.

- Masz ładny nosek. Naprawdę chciałbym znowu mieć nos. - Na moment przestał szczerzyć się w grymasie, żeby oblizać usta, a potem znów pokazał zęby. Jego język był purpurowy, upiornie pobliźniony, jakby mężczyzna żuł go z nudów. - Moi przyjaciele też.

Strach wezbrał w piersi Thomasa niczym toksyczny gaz odrzucony przez żołądek. Teraz chłopak rozumiał lepiej niż kiedykolwiek, co Pożoga robi z ludźmi. Widział to już za oknami dormitorium - ale teraz został z nią skonfrontowany na bardziej osobistym poziomie. Miał jej ofiary tuż przed sobą i tym razem nie chroniły go żadne kraty. Twarze Poparzeńców były prymitywne, zezwierzęcone. Przywódca dał następny chwiejny krok naprzód, potem jeszcze jeden.

Nadszedł czas, żeby uciekać.

Brenda nic nie powiedziała. Nie musiała. Wyciągnęła drugą puszkę i cisnęła w stronę Poparzeńców, a potem oboje z Thomasem odwrócili się na pięcie i pobiegli. Przeraźliwe, psychotyczne wrzaski ścigających wybuchły za ich plecami niczym okrzyki bitewne armii demonów.

Rozchwiany promień światła z latarki Brendy padał to w lewo, to w prawo, podskakując, gdy sprintem mijali skupione na niewielkiej przestrzeni wyloty bocznych korytarzy. Thomas wiedział, że mają przewagę - Poparzeńcy wydawali się na wpół kalecy, cali w ranach. Na pewno nie będą w stanie dogonić dwójki zdrowych młodych ludzi. Ale sama myśl, że tu na dole może się kryć więcej Poparzeńców, może nawet czających się gdzieś z przodu, w oczekiwaniu...

Brenda zwolniła i skręciła w prawo, łapiąc Thomasa za ramię, żeby pociągnąć go za

sobą. Pierwszych kilka kroków przebiegł potykając się, złapał równowagę, przyspieszył z powrotem. Wściekle okrzyki oraz wycia Poparzeńców nieco przycichły.

Wtedy Brenda skręciła w lewo. A potem znowu w prawo. Po tej drugiej zmianie kierunku zgasiła latarkę, ale nie zwolniła kroku.

- Co ty robisz? - spytał Thomas. Wyciągnął przed siebie rękę, pewny, że lada chwila zderzy się ze ścianą.

Jedyną odpowiedzią było syknięcie nakazujące ciszę. Zastanawiał się, jak dalece powinien ufać Brendzie. Jego życie było teraz w jej rękach. Ale nie bardzo widział inne opcje, zwłaszcza w tej chwili.

Po kilku sekundach zwolniła znowu, tym razem stając w miejscu. Oboje stali w ciemności, łapiąc oddech. Poparzeńcy byli daleko, ale ich okrzyki nadal rozbrzmiewały dosyć głośno, przybliżając się powoli.

- Dobra - szepnęła dziewczyna. - Mniej więcej... Tutaj.

- Co takiego? - zapytał.

- Po prostu wejdź za mną do tego pokoju. Jest tutaj idealna kryjówka, kiedyś przypadkiem natrafiłam na nią, eksplorując. Nie ma ludzkiej mocy, żeby tamci ją wypatrzyli. Chodź.

Jej dłoń zacisnęła się na jego ręce, ciągnąc go w prawo. Wyczuł, że przechodzą przez wąskie drzwi; potem Brenda pociągnęła go na podłogę.

- Jest tutaj stary stół - powiedziała. - Czujesz?

Popchnęła jego rękę do przodu, aż namacał twarde, gładkie drewno.

- Tak - odparł.

- Po prostu uważaj na głowę. Wpełzniemy pod niego, a potem przez mały otwór w ścianie do ukrytej przegrody. Bóg jeden wie, do czego miała służyć, ale nie ma możliwości, żeby tamci Poparzeńcy ją znaleźli. Nawet jeśli mają światło, w co wątpię.

Thomas miał ochotę zapytać, jakim cudem szaleńcy mogą się poruszać po podziemiach bez światła, ale zachował to pytanie na później - Brenda już wchodziła do kryjówki i nie chciał jej zgubić. Trzymając się blisko, dotykając jej stopy czubkami palców, wlaź jej śladem na czworakach pod stół i przysunął się do ściany. Potem wpełzli przez mały kwadratowy otwór do długiej, wąskiej przegrody. Thomas zaczął macać wokół siebie, żeby się zorientować mniej więcej, gdzie jest. Sufit przegrody znajdował się zaledwie jakieś sześćdziesiąt centymetrów od podłoża, więc chłopak popęzł w głąb wolnej przestrzeni.

Brenda leżała już, oparta plecami o tylną ścianę kryjówki, kiedy on niezgrabnie ułożył się obok. Nie mieli innego wyboru, jak tylko położyć się płasko, na boku. Było ciasno, ale

Thomas zmieścił się w środku, twarzą w tym samym kierunku co dziewczyna, przyciśnięty do niej plecami. Czuł jej oddech na swojej szyi.

- Całkiem tu wygodnie - szepnął.

- Po prostu bądź cicho.

Thomas podsunął się jeszcze trochę, żeby móc oprzeć głowę o ścianę, po czym rozluźnił się. Pozwolił, żeby opadło z niego napięcie. Oddychając głęboko i powoli, nasłuchiwał, próbując złowić jakiegokolwiek dźwięki świadczące, że zbliżają się Poparzeńcy.

Początkowo cisza była tak absolutna, że aż dzwoniło od niej w uszach. Potem jednak przypłynęły pierwsze odgłosy świadczące, że nadchodzą Poparzeńcy. Pokaszływanie, pojedyncze okrzyki, szaleńcze chichoty. Zbliżały się z każdą sekundą, i Thomas przeżył moment paniki, że postąpili głupio, pakując się w pułapkę. Ale zastanowiwszy się zmienił zdanie. Prawdopodobieństwo, że Poparzeńcy znajdą ukrytą przegrodę, było niewielkie, zwłaszcza w ciemnościach. Powędrują dalej, oby jak najdalej. Może nawet zupełnie zapomną o nim i o Brendzie. To byłoby lepsze od przedłużającej się pogoni.

A gdyby doszło do najgorszego, wejście do kryjówki było tak malutkie, że on i Brenda będą w stanie łatwo się obronić, siedząc w środku. Oby.

Poparzeńcy byli teraz blisko; Thomas musiał walczyć z pokusą wstrzymania oddechu. Ostatnie, czego potrzebowali, to żeby zdradziło ich nagle, odruchowe zaczerpnięcie powietrza. Mimo panującego wokół mroku zamknął oczy, żeby skupić się na nasłuchiowaniu.

Niezgrabne szuranie stopami. Pomruki i sapiące oddechy. Ktoś zaczął walić w ścianę - seria stłumionych uderzeń o beton. Wybuchły kłótnie, przekrzykiwano się bełkotem. Thomas usłyszał „Tutaj!” i „Tamtędy!” Więcej kaszlu. Jeden ze ścigających zakrztusił się, odcharknął i obficie splunął, jakby próbując się pozbyć jednego czy dwóch narządów. Jakaś kobieta wybuchnęła śmiechem, tak pełnym szaleństwa, że Thomas aż się wzdrygnął.

Brenda odszukała jego dłoń, ścisnęła ją mocno. Chłopak znów poczuł idiotyczną falę wyrzutów sumienia, jakby zdradzał Teresę. Nic nie mógł poradzić na to, że ta dziewczyna tak lubi mizianki. I co to w ogóle za głupia myśl w momencie, gdy...

Jeden z Poparzeńców wszedł do pomieszczenia, w którym znajdowała się ich kryjówka. Za nim drugi. Thomas słyszał ich astmatyczne oddechy, odgłosy powłóczenia nogami. Pojawił się kolejny - jego kroki brzmiały: szuurtup, szuurtup. Chłopak pomyślał, że to może być ten pierwszy typ, jakiego ujrzeli, jedyny, który do nich przemówił - ten, którego ręka i noga były rozdygotane i bezużyteczne.

- Chłopczyyyyyyyku - zawołał mężczyzna; drwiący okrzyk przyprowadził o gęsą skórkę. To był na pewno on, Thomas nie był w stanie zapomnieć tego głosu. - Dziewczyyyyyyyenko.

Chodźcie chodźcie ruszcie się ruszcie ruszcie. Chcę dostać wasze noski.

- Tu nic nie ma - oznajmiła kobieta i splunęła. - Nic, tylko stary stół.

Rozległo się skrzypienie mebla przesuwanego po posadzce, po czym urwało się raptownie.

- Może ich noski ukrywają się pod spodem - odparł mężczyzna. - Może nadal są przytwierdzone do ich słodkich, małych, ślicznych buziek.

Thomas cofnął się i przylgnął do Brendy, gdy usłyszał, jak dłoń lub but przesuwają się po podłodze tuż obok wejścia do ich kryjówki. Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od nich.

- Tu nic nie ma! - stwierdziła ponownie kobieta.

Thomas usłyszał, że się odsunęła. Uświadomił sobie, że całe jego ciało stało się niczym pęk napiętych drutów; zmusił się, by się rozluźnić, wciąż starając się kontrolować oddech.

Więcej szurania nogami. Potem budząca dreszcze seria szeptów, jakby cała trójka zebrała się pośrodku pomieszczenia, żeby się naradzić. Thomas zastanawiał się, czy ich umysły są jeszcze wystarczająco sprawne, żeby zrobić coś takiego.

Wyteżył słuch, próbując uchwycić przynajmniej pojedyncze słowa, ale gniewne zbitki zdań były nie do odcyfrowania.

- Nie! - krzyknął jeden z Poparzeńców. Mężczyzna, ale Thomas nie potrafił poznać, czy to ten mężczyzna. - Nie! Nie nie nie nie nie nie nie. - Jego głos ścichł do mamrotanego jąkania.

Kobieta przerwała mu, skandując w taki sam sposób.

- Tak tak tak tak tak tak tak tak.

- Milczeć! - rozkazał przywódca. Zdecydowanie przywódca. - Milczeć milczeć milczeć!

Thomas poczuł w brzuchu zimno, choć na jego skórze perliły się krople potu. Nie wiedział, czy ta wymiana zdań ma jakiegokolwiek znaczenie, czy też stanowi tylko kolejny dowód szaleństwa.

- Odchodzę - oznajmiła kobieta; jej głos załamał się płaczliwie. Brzmiała jak dziecko, któremu odmówiono udziału w zabawie.

- Ja też, ja też. - To był ten drugi mężczyzna.

- Milczeć milczeć milczeć milczeć! - wrzasnął przywódca, tym razem dużo głośniejszym głosem. - Idźcie sobie idźcie sobie idźcie sobie!

To natarczywe powtarzanie słów przyprawiało Thomasa o gęsią skórę. Jakby w ich mózgach przestał działać jakiś obwód kontrolujący mowę.

Brenda ścisnęła jego dłoń tak mocno, że czuł ból. Oddech dziewczyny wydawał się chłodny na jego spoczonej szyi.

Szuranie stóp i szelest ubrań na zewnątrz. Czy tamci odchodzili?

Dźwięki przycichły raptownie, gdy Poparzeńcy wyszli na korytarz, do tunelu czy co to tam było. Reszta ich grupy, jak się zdawało, już zdążyła się oddalić. Wkrótce znowu zapadła cisza. Thomas słyszał jedynie ciche oddechy, własny oraz Brendy.

Czekali w ciemności, leżąc płasko na twardym podłożu, twarzami do małego otworu, ściśnięci w ciasnej przestrzeni, pocąc się. Przedłużająca się cisza przerodziła się z powrotem w dzwonienie w uszach spowodowane brakiem dźwięków. Thomas nasłuchiwał dalej, wiedząc, że muszą mieć absolutną pewność. Nieważne, jak bardzo chciał opuścić tę małą przegrodę, nieważne, jak niewygodnie im tam było, musieli czekać.

Minęło kilka minut. Potem jeszcze kilka. Nic, tylko cisza i ciemność.

- Chyba odeszli - wyszeptała w końcu Brenda. Zapaliła latarkę.

- Dzień dobry, noski! - wrzasnął z pomieszczenia ohydny głos.

Potem zakrwawiona ręka sięgnęła do wnętrza kryjówki i złapała Thomasa za koszulę.

Thomas krzyknął przeraźliwie, zaczął tłuc rękoma poblížnioną i posiniaczoną dłoń. Jego oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do blasku latarki; zmrużył je i zobaczył, że mężczyzna mocno trzyma go za ubranie. Poparzeniec szarpnął, tak że ciało chłopaka rąbnęło o ścianę. Thomas uderzył twarzą o twardy beton i poczuł eksplozję bólu z rozbitego nosa, a potem ciekącą krew.

Mężczyzna popchnął go kilkanaście centymetrów do tyłu, potem znów szarpnął w przód. Popchnął i szarpnął raz jeszcze. I jeszcze, za każdym razem waląc twarzą Thomasa o ścianę. Chłopak nie mógł uwierzyć, że Poparzeniec jest tak silny - wydawało się to niemożliwe, sądząc po tym, jak wyglądał. Słaby i okrutnie okaleczony.

Brenda miała w ręku swój nóż, próbowała przepelznąć nad Thomasem, zająć pozycję, która pozwoliłaby jej zranić napastnika w rękę.

- Uważaj! - wrzasnął Thomas. Ten nóż był okropnie blisko. Chłopak złapał mężczyznę za nadgarstek i targnął nim, próbując rozluźnić ten żelazny uścisk. Daremnie. Mężczyzna dalej na przemian szarpał i pchał, a coraz bardziej poobijane ciało Thomasa raz po raz uderzało o mur.

Brenda wrzasnęła i zaatakowała. Machnęła ręką nad Thomasem i ostrze jej noża błysnęło, gdy wbiła je prosto w przedramię Poparzeńca. Mężczyzna zawył jak demon i puścił koszulę chłopaka. Jego dłoń wysunęła się z kryjówki, pozostawiając na posadzce krwawe ślady. Jego krzyki bólu rozlegały się nadal, donośne i wielokrotnie przez echo.

- Nie możemy pozwolić, żeby uciekł! - krzyknęła Brenda. - Pospiesz się, wyłaż stąd!

Thomas, którego bolało wszystko od stóp do głów, wiedział, że miała rację i już wiercił się rozpaczliwie, żeby przyjąć pozycję umożliwiającą wyjście z kryjówki. Gdyby mężczyzna dotarł do pozostałych Poparzeńców, wszyscy by wrócili. Zresztą mogli usłyszeć zgiełk i może właśnie zawracali.

Chłopakowi w końcu udało się przecisnąć ramiona i głowę przez otwór; potem już poszło łatwiej. Wykorzystał ścianę, żeby się odepchnąć, i wreszcie zdołał wydostać się na zewnątrz, ze wzrokiem wbitym w Poparzeńca, wyczekując kolejnego ataku. Mężczyzna znajdował się zaledwie jakieś półtora metra dalej. Przyciskał zranioną rękę do piersi. Ich oczy spotkały się i Poparzeniec zawarczał niczym ranne zwierzę, kłapnął zębami, kłusując powietrze.

Thomas zaczął wstawać, ale uderzył głową w blat stołu.

- Purwa! - wrzasnął, po czym pospiesznie wyłaż na czworakach spod starego mebla. Brenda była tuż za nim i wkrótce oboje stali już nad Poparzeńcem, który leżał zwinięty w pozycji płodu, jęcząc. Krew kapiąca z jego rany zdążyła już utworzyć małą kałużę na posadzce.

Brenda trzymała latarkę w jednej ręce, nóż zaś w drugiej, celując w Poparzeńca czubkiem ostrza.

- Trzeba było odejść z twoimi świrniętymi kumplami, staruchu. Nie powinienes być z nami zadzierać.

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna nagle okręcił się na łokciu i z zaskakującą prędkością oraz siłą wyrzucił w górę zdrową nogę. Trafił Brendę, która runęła na Thomasa i oboje zwalili się na posadzkę. Thomas usłyszał, jak latarka oraz nóż potoczyły się z brzękiem po betonie. Cienie zatańczyły na ścianach.

Poparzeniec chwiejnie stanął na nogi i pobiegł po nóż, który znalazł się przy drzwiach na korytarz. Odepchnąwszy się rękoma, Thomas zanurkował naprzód, rzucając się od tyłu na kolana mężczyzny i ściągając go skutecznie do parteru. Tamten okręcił się gwałtownie, wymierzając jednocześnie cios łokciem, który trafił chłopaka w szczękę; upadając, Thomas poczuł kolejną eksplozję bólu i odruchowo chwycił się za twarz.

Potem Brenda znalazła się przy nich. Skoczyła na Poparzeńca, dwukrotnie rąbnęła go w twarz, ogłuszając go, jak się zdawało. Wykorzystała ten krótki moment i jakimś sposobem zdołała ponownie okręcić mężczyznę naokoło, tak że teraz leżał na brzuchu, plackiem na posadzce. Złapała go za ramiona i wykręciła ręce do tyłu, ciągnąc je do góry w sposób, który wyglądał na niewiarygodnie bolesny. Poparzeniec szarpał się i miotał, ale Brenda przycisnęła

go również kolanami. Z jego gardła wydarło się straszliwe, przeszywające wycie, pełne czystej paniki.

- Musimy go zabić! - wrzasnęła, przekrzykując go.

Thomas podźwignął się na kolana i patrzył w osłupieniu, niezdolny zrobić ruchu.

- Co? - zapytał, ogłupiały z wyczerpania, zbyt oszołomiony, by przetworzyć jej słowa.

- Łap nóż! Musimy go zabić!

Poparzeniec wył dalej. Ten głos sprawiał, że Thomas miał ochotę uciekać jak najdalej. Był nienaturalny, nieludzki.

- Thomas! - krzyknęła dziewczyna.

Chłopak podpełzł do noża, podniósł go, popatrzył na ciemnoczerwoną maź na ostrzu. Odwrócił się do Brendy.

- Pospiesz się! - rzuciła, a jej oczy rozbłysły gniewem. Coś powiedziało Thomasowi, że gniew ten nie jest już skierowany wyłącznie na Poparzeńca - była też wściekła na niego, że tak się guzdrze.

Ale czy był w stanie to zrobić? Czy potrafił zabić człowieka? Nawet rozszalałego wariata, który chciał go zamordować? Który chciał go pozbawić pikolonego nosa?

Zbliżył się do niej niezgrabnie, dzierżąc nóż tak, jakby ostrze było zatrute. Jakby samo trzymanie broni w ręku mogło sprawić, że zarazi się stoma różnymi chorobami, a potem umrze powolną śmiercią w męczarniach.

Poparzeniec, z rękoma wykręconymi do tyłu, przygwożdżony do podłoża, wył dalej.

Brenda napotkała spojrzenie Thomasa i przemówiła z determinacją:

- Przewrócę drania na bok. Musisz go dźgnąć w samo serce!

Thomas chciał potrząsnąć głową, ale nie zrobił tego. Nie miał wyboru. Musiał to zrobić. Więc przytaknął.

Brenda krzyknęła z wysiłku i opadła na posadzkę po prawej stronie Poparzeńca, wykorzystując własne ciało i uchwyt na jego ramionach, żeby zmusić mężczyznę do przewrócenia się na bok. Choć wcześniej wydawało się to niemożliwe, jego wrzaski stały się jeszcze głośniejsze. Jego pierś była teraz wystawiona na cios, wygięta w łuk i stercząca do góry tuż przed Thomasem, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

- Teraz! - wrzasnęła Brenda.

Thomas mocniej ujął nóż. Potem dla pewności ujął go także drugą ręką, mocno zaciskając wszystkich dziesięć palców na rękojeści, kierując ostrze w dół. Musi to zrobić. Musi to zrobić.

- Teraz! - wrzasnęła ponownie Brenda.

Wycie Poparzeńca.

Pot spływający strugami po twarzy Thomasa.

Jego serce, walące jak młotem, tłukące się, łomoczące rozpaczliwie.

Pot ciekący mu do oczu. Ból w całym ciele. Te straszne, nieludzkie krzyki.

- Teraz!

Thomas zamachnął się i, wkładając w to całą siłę, wbił nóż w pierś Poparzeńca.

Następnych trzydzieści sekund było dla chłopaka jednym wielkim koszmarem..

Poparzeniec szamotał się. Miotał w drgawkach. Krztusił się i pluł. Brenda trzymała go, podczas gdy Thomas przekręcał nóż w ranie. Pchał go głębiej. Życie potrzebowało czasu, żeby wyciec z mężczyzny, podczas gdy blask w jego oszalałych oczach gasł, a stęknienia oraz rozpaczliwe ruchy powoli cichły i zanikały.

W końcu jednak ofiara Pożogi wyzionęła ducha, a Thomas opadł do tyłu. Całe jego ciało przypominało ciasno zwinięty kłęb zardzewiałego drutu. Z trudem łapał oddech, walczył ze wzbierającą w piersi falą mdłości.

Właśnie zabił człowieka. Odebrał życie bliźniemu. Czuł się tak, jakby wnętrzności miał wypełnione trucizną.

- Musimy stąd przyskać - oznajmiła Brenda, skoczywszy na równe nogi. - Cudów nie ma, musieli usłyszeć ten cały zgiełk. Chodź.

Thomas nie mógł uwierzyć, że dziewczyna pozostała tak obojętna, tak szybko przeszła do porządku dziennego nad tym, co zrobili. Z drugiej strony jednak nie bardzo mieli wybór. Nadpłynęły do nich pierwsze krzyki pozostałych Poparzeńców, niosące się echem przez korytarz, niczym odgłosy hien nadchodzących kanionem.

Thomas zmusił się, żeby wstać, odepchnął poczucie winy, gotowe go łąda chwila obezwładnić.

- Dobrze, ale koniec z takim łażeniem. - Najpierw srebrne kuliste pozeracze głów. Teraz walka z Poparzeńcami w mroku.

- Co masz na myśli?

Miał już dosyć długich czarnych tuneli. Dosyć na całe życie.

- Chcę na światło dzienne. Nie obchodzi mnie, czym ryzykujemy. Chcę na światło dzienne, ale już.

Brenda nie próbowała się kłócić. Poprowadziła go przez kilka zakrętów oraz łuków korytarza i wkrótce natrafili na długą stalową drabinę prowadzącą w stronę nieba - wyjście z podziemi. Budzące grozę głosy Poparzeńców nadal rozbrzmiewały w oddali. Śmiechy, okrzyki i chichoty. Od czasu do czasu wrzask.

Przesunięcie pokrywy wjazdu wymagało wytężonego pchania, ale w końcu ustąpiła i mogli już wyjść na powierzchnię. Odkryli, że właśnie zapada szary zmierzch, a wokół ze wszystkich stron wznoszą się potężne wieżowce. Rozbite okna. Śmieci walające się po ulicach. Kilka martwych ciał leżących tu i ówdzie. Woń zgnilizny i kurzu. Upał.

Ale żadnych ludzi. W każdym razie żywych. Thomas przeżył moment paniki, że niektóre spośród trupów mogą być trupami jego przyjaciół, ale okazało się, że nie. Zwłoki należały do starszych mężczyzn oraz kobiet i już się rozkładały.

Brenda powoli obróciła się naokoło, żeby zyskać orientację w terenie.

- Dobra, do gór powinniśmy iść przed siebie tamtą ulicą. - Wskazała ręką kierunek, ale nie można było zweryfikować prawdziwości jej słów, bo nie mieli dobrego widoku, a budynki zasłaniały zachodzące słońce.

- Jesteś pewna? - spytał Thomas.

- Tak, chodź.

Gdy ruszyli długą, pustą ulicą, chłopak wytężył oczy, przepatrując każde rozbite okno, każdy boczny zaułek, każdą kruszącą się bramę. Miał nadzieję, że ujrzy jakikolwiek ślad Minho i reszty Streferów, oraz że nie ujrzy żadnych Poparzeńców.

Szli aż do zapadnięcia zmroku. Udało im się uniknąć spotkania z kimkolwiek. Od czasu do czasu słyszeli jakieś krzyki w oddali lub huk spowodowany zawaleniem się czegoś wewnątrz budynku. Raz Thomas zobaczył, jak grupa ludzi przemyka przez ulicę kilka przecznic dalej, ale wyglądało na to, że nie dostrzegli ani jego, ani Brendy.

Tuż przed tym, zanim słońce definitywnie zaszło, skręcili za róg i ujrzeli przed sobą skraj miasta, leżący jakieś półtora kilometra dalej. Budynki urywały się raptownie, a za nimi wznosiły się góry w całym swoim majestacie. Były o wiele wyższe, niż Thomas początkowo szacował, ujrzawszy je po raz pierwszy kilka dni wcześniej, suche i skaliste. W tej części świata nie należało się spodziewać malowniczych ośnieżonych szczytów, jakie mgliście pamiętał ze swojej przeszłości.

- Idziemy dalej w tamtą stronę? - spytał Thomas.

Brenda rozglądała się za miejscem, gdzie mogliby się ukryć.

- Brzmi kusząco, ale nie. Po pierwsze, włóczenie się tutaj po nocy jest zbyt niebezpieczne. Po drugie, nawet gdybyśmy dotarli tak daleko, tam na zewnątrz nie byłoby już gdzie się schronić, chyba żebyśmy zdołali dojść aż do gór. A nie wydaje mi się, żebyśmy byli w stanie.

Choć Thomas czuł przerażenie na myśl o spędzeniu jeszcze jednej nocy w tym przeklętym mieście, zgodził się. Jednak frustracja oraz niepokój o pozostałych Streferów

gryzły go od środka. Odpowiedział bez przekonania:

- W porządku. To dokąd mamy iść?

- Chodź za mną.

Ostatecznie wylądowali w zaułku, który kończył się wysokim ceglanym murem. Początkowo Thomas uważał, że spanie w miejscu, skąd jest tylko jedna droga ucieczki, to beznadziejny pomysł, ale Brenda przekonała go, że jest inaczej - Poparzeńcy nie mieli powodu, żeby się zagłębiać w ten zaułek, wiedząc, że kończy się on ślepo. Poza tym, jak słusznie zauważyła, stało tam kilka dużych, zardzewiałych ciężarówek, gdzie mogli się ukryć.

W końcu schowali się wewnątrz takiej, która wyglądała, jakby wymontowano z niej wszystko, co mogło stanowić jakąś wartość. Siedzenia były wystrzępione, ale miękkie, a kabina obszerna. Thomas usadowił się za kierownicą i cofnął fotel tak daleko, jak się dało. Ku własnemu zaskoczeniu, gdy już się umościł, odkrył, że jest mu całkiem wygodnie. Po prawej, zaledwie metr od niego, Brenda też się mościła na swoim siedzeniu. Na zewnątrz ciemność zgęstniała do czerni, a przez otwarte okna napłynęły odległe odgłosy aktywnych Poparzeńców.

Thomas był wyczerpany. Poobijany. Obolały. Ubranie miał pokryte zaschniętą krwią. Zdążył już umyć ręce, szorując je tak długo, aż w końcu Brenda skrzyczała go, żeby przestał marnować ich zapas wody. Ale mieć palce i dłonie pokryte krwią tego Poparzeńca... Nie był w stanie tego znieść. Ilekroć o tym myślał, ogarniała go rezygnacja, ale nie mógł już odpychać od siebie strasznej prawdy: jeśli nawet wcześniej nie był zarażony Pożogą - bo istniała wątła nadzieja, że Szczurowaty ich okłamał - to do tej pory już na pewno się nią zaraził.

A teraz, gdy tak siedział w mroku, z głową opartą o drzwi ciężarówki, myśli o tym, co niedawno zrobił, ogarnęły go jak wzburzona fala.

- Zabiłem tego gościa - wyszeptał.

- Owszem, zabiłeś - odparła cicho Brenda. - Inaczej on by zabił ciebie. Mam wrażenie, że to się nazywa postąpić słusznie.

Chciał w to uwierzyć. Tamten człowiek był kompletnie szalony, przeżarty przez Pożogę. Prawdopodobnie i tak by wkrótce zmarł. Poza tym przecież za wszelką cenę starał się im zrobić krzywdę. Zabić ich. Tak, Thomas postąpił słusznie. Ale poczucie winy nadal go gryzło, przepełniało go aż do szpiku kości. Zabił bliźniego. Nie było to łatwe do zaakceptowania.

- Wiem - odpowiedział w końcu. - Ale to było tak... paskudne. Tak brutalne. Szkoda, że nie mogłem go po prostu zastrzelić z daleka czy coś w tym stylu.

- No. Przykro mi, że tak to wyszło.

- Co jeśli teraz, zasypiając, będę co wieczór miał przed oczami jego okropną gębę? Co jeśli będzie mi się ciągle śnił? - Poczul falę irytacji skierowaną w stronę Brendy, za to, że zmusiła go, żeby zadzgał Poparzeńca. Choć może niesłusznie się na nią gniewał, jeśli rozważyć na trzeźwo, jak bardzo oboje byli zdesperowani.

Brenda przesunęła się na siedzeniu, tak, żeby leżeć twarzą do niego. Księżyc oświecał ją akurat na tyle, że Thomas widział jej ciemne oczy, jej umorusaną, ale ładną twarz. Może źle to o nim świadczyło, może był dupkiem. Ale patrzenie na nią sprawiało, że tęsknił za Teresą.

Brenda wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i ścisnęła ją. Nie zaprotestował, ale też nie odwzajemnił uścisku.

- Thomas? - Wypowiedziała jego imię, chociaż patrzył prosto na nią.

- Tak?

- Wiesz, nie uratowałeś tylko własnej skóry. Uratowałeś też moją. Nie wydaje mi się, żebym była w stanie sama załatwić tego Poparzeńca.

Thomas kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Bolało go w środku z tylu różnych powodów. Wszyscy jego przyjaciele zniknęli. Może już nie żyli. Chuck na pewno nie żył. Teresa przepadła. Udało mu się przeżyć dopiero połowę drogi do bezpiecznej przystani, spał w ciężarówce obok dziewczyny, którą prędzej czy później czekało popadnięcie w szaleństwo, a otaczało ich miasto pełne krwiożerczych bestii.

- Spisz z otwartymi oczami? - zagadnęła Brenda.

Thomas spróbował się uśmiechnąć.

- Nie. Po prostu rozmyślam o tym, jak kijowe jest moje życie.

- Moje też. Do dupy i tyle. Ale cieszę się, że jestem z tobą.

To stwierdzenie było tak proste i wzruszające, że kazało Thomasowi zamknąć oczy, zacisnąć powieki. Cały ból w jego sercu przekształcił się w emocje pod adresem Brendy, niemal te same, jakie odczuwał niegdyś względem Chucka. Nienawidził ludzi, którzy jej to zrobili, nienawidził choroby, która była przyczyną tego, co ich spotkało, i pragnął to wszystko naprawić.

W końcu spojrzał na nią ponownie.

- Ja też się cieszę. Samotność byłaby jeszcze gorsza.

- Zabili mojego tatę.

Thomas uniósł wzrok, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Co takiego?

Brenda powoli kiwnęła głową.

- DRESZCZ. Tata próbował ich powstrzymać przed zabranie mnie. Krzyczał jak wariat, kiedy ich zaatakował... wydaje mi się, że drewnianym wałkiem do ciasta. - Zaśmiała się cicho. - Potem strzelili mu w głowę. - W jej oczach rozbłyły łzy, migoczące w słabym świetle.

- Serio?

- Tak. Wszystko widziałam. Nie żył, zanim jeszcze upadł na podłogę.

- O rany. - Thomas szukał właściwych słów. - Naprawdę... naprawdę mi przykro. Ja widziałem, jak kogoś, kto był moim chyba najlepszym przyjacielem, zadźgano nożem. Zmarł mi na rękach. - Znowu zamilkł. - A co z twoją mamą?

- Jej już wtedy nie było od dawna. - Nie kontynuowała tematu, a Thomas nie naciskał. Tak naprawdę nie chciał wiedzieć więcej.

- Tak strasznie boję się obłądu - powiedziała Brenda po dłuższym milczeniu. - Czuję, że to już się zaczyna. Przedmioty dziwnie wyglądają, dźwięki dziwnie brzmią. Ni stąd, ni zowąd zaczynam myśleć o rzeczach, które nie mają sensu. Czasem powietrze wokół mnie wydaje się... twarde. Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale boję się tego. Zaczynam wariować, to pewne. Pożoga zżera mi mózg.

Thomas nie był w stanie znieść wyrazu jej oczu; wbił wzrok w podłogę.

- Nie poddawaj się. Dotrzemy do bezpiecznej przystani, dostaniemy lek.

- Fałszywa nadzieja - odparła. - Cóż, przypuszczam, że to lepsze niż brak nadziei.

Ścisnęła jego dłoń. Tym razem Thomas odwzajemnił uścisk.

A potem jakimś cudem zasnęli.

Thomasa obudził koszmar senny, w którym Minho i Newt zostali osaczeni przez bandę Poparzeńców, którzy przekroczyli Granicę. Poparzeńców z nożami. Rozwścieczonych. Pierwsza przelana krew sprawiła, że Thomas gwałtownie się zbudził.

Rozejrzał się, przestraszony, że krzyknął albo powiedział coś przez sen. Kabina ciężarówki nadal pogrążona była w mroku - ledwo widział Brendę, nie potrafił nawet stwierdzić, czy jej oczy są otwarte. Ale potem przemówiła.

- Zły sen?

Thomas opadł z powrotem na siedzenie, zamknął oczy.

- Tak. Ciągle martwię się o resztę moich przyjaciół. Bardzo męczy mnie to, że zostaliśmy rozdzieleni.

- Przykro mi, że tak się stało. Naprawdę. - Przesunęła się na fotelu. - Ale serio, nie sądzę, żebyś musiał się zamartwiać. Twoi kumple, ci Streferzy, sprawiali wrażenie

niegłupich, ale niezależnie od tego, z Jorge jest kawał twardziela. Bez problemu przeprowadzi ich przez miasto. Nie denerwuj się niepotrzebnie. To o nas powinieneś się martwić.

- Jeśli próbujesz mnie pocieszyć, strasznie kiepsko ci to wychodzi.

Brenda roześmiała się.

- Sorry. Uśmiechałam się, kiedy to powiedziałam, ale pewnie nie mogłeś mnie widzieć.

Thomas spojrzał na podświetlaną tarczę swojego zegarka, po czym powiedział:

- Mamy jeszcze kilka godzin, zanim wszędzie słońce.

Po chwili milczenia odezwał się znowu.

- Opowiedz mi trochę więcej o tym, jak wszystko teraz wygląda. Wymazano nam większość wspomnień; część moich wróciła, ale zawierają luki i nie wiem, czy mogę im ufać. Zresztą nie ma w nich wiele na temat świata na zewnątrz.

Brenda głęboko westchnęła.

- Świat na zewnątrz, co? No cóż, na świecie jest beznadziejnie. Temperatury wreszcie zaczynają się obniżać, ale potrwa wieki, zanim obniży się poziom mórz. Od czasu rozbłysków minęło już mnóstwo czasu, ale tylu ludzi straciło życie, Thomas. Tak strasznie wielu. Właściwie to aż dziwne, że wszyscy, którzy przeżyli, tak szybko doszli do siebie i odbudowali cywilizację. Gdyby nie ta durna Pożoga, myślę, że może na dłuższą metę świat by przetrwał. Ale morze jest szerokie i głębokie... aj, nieważne. Mój ojciec miał takie powiedzonko.

Thomas z trudem był w stanie okiełznać ciekawość, która go teraz ogarnęła.

- A co się właściwie stało? Powstały nowe państwa, czy też istnieje tylko jeden centralny rząd? I jak ma się do tego wszystkiego DRESZCZ? Czy to oni są teraz rządem?

- Nie, nadal istnieją państwa, ale są bardziej... zjednoczone. Kiedy Pożoga zaczęła się szerzyć jak szalona, wszystkie kraje połączyły swoje siły, technologie, zasoby i co tam jeszcze, powołując do życia DRESZCZ. Wdrożyli obłędnie skomplikowany system wczesnego diagnozowania i bardzo się starali wprowadzić kwarantannę na wyznaczonych obszarach. Spowolnili rozprzestrzenianie się Pożogi, ale nie są w stanie jej powstrzymać. Myślę, że jedyne, co może uratować świat, to wynalezienie leku. Mam nadzieję, że rzeczywiście już go wynaleźli, tak jak mówisz, ale jeżeli tak, to z całą pewnością jeszcze nie podzielili się tym odkryciem z ogółem ludzkości.

- Więc gdzie teraz jesteśmy? - zapytał Thomas. - Na czym stoimy w tej chwili?

- Leżymy. W ciężarówce. - Kiedy chłopak się nie roześmiał, kontynuowała: - Sorry, to był żart nie w porę. Sądząc po etykietach konserw, domyślamy się, że jesteśmy w Meksyku.

Czy raczej na terenie, który kiedyś był Meksykiem. Takie wytłumaczenie wydaje się najbardziej sensowne. Teraz ten obszar nazywa się Pogorzeliskiem. W zasadzie wszystkie tereny położone między oboma zwozownikami - Raka i Kozioróżca - są teraz kompletnym pustkowiem. Ameryka Środkowa i Południowa, większa część Afryki, Bliski Wschód i południowa Azja. Mnóstwo wypalonej ziemi, mnóstwo trupów. No więc, witaj na Pogorzelisku. Czyż to nie miłe z ich strony, że nas, uroczych Poparzeńców, wysyłają właśnie tutaj?

- O rany. - W umyśle Thomasa trwała gonitwa myśli, głównie krążących wokół tego, że wiedział, iż jest częścią planów DRESZCZu - ogromnie ważną ich częścią - oraz tego, że Labirynt, Grupa A, Grupa B i wszystkie okropieństwa, przez jakie przechodzili, również stanowią element tych planów. Ale nie był w stanie sobie przypomnieć wystarczająco dużo, żeby dało się to poskładać w jakąkolwiek sensowną całość.

- O rany? - powtórzyła Brenda. - To wszystko, na co cię stać?

- Mam chyba za dużo pytań - nie jestem w stanie wybrać jednego, żeby je zadać.

- Słyszałeś o środku otępiającym?

Thomas popatrzył na nią, żałując, że nie widzi jej twarzy wyraźniej.

- Zdaje się, że Jorge o nim wspomniał. Co to takiego?

- Wiesz, jaki jest świat. Nowa choroba, nowe leki. Wynaleźli takie coś, chociaż tak naprawdę ten środek wcale nie leczy.

- Jak działa? Macie tu choć trochę?

- Ha! - wykrzyknęła z pogardą Brenda. - Myślisz, że daliby go nam? Tylko ważni ludzie, bogaci ludzie są w stanie dorwać to świństwo w swoje łapy. Nazywają je Nirwaną. Tłumi twoje emocje, tłumi procesy w mózgu, spowalnia cię do pijackiego otępienia, żebyś mało co czuł. To hamuje rozwój Pożogi, bo ten wirus rozwija się w mózgu. Zżera go i niszczy. Jeśli aktywność mózgu jest niewielka, wirus słabnie.

Thomas splótł ramiona na piersi. W tych słowach kryło się coś bardzo ważnego, ale nie był w stanie tego wskazać.

- Więc... to nie jest lek? Mimo że spowalnia rozwój wirusa?

- Nie daje najmniejszych szans na wyleczenie. Po prostu odwleka nieuniknione. W końcu Pożoga zawsze wygrywa. Tracisz zdolność racjonalnego myślenia, zdrowy rozsądek, współczucie. Tracisz to, co czyni cię człowiekiem.

Thomas milczał. Może silniej niż kiedykolwiek czuł, że jakieś wspomnienie - ważne wspomnienie - usiłuje się przecisnąć przez pęknięcia w ścianie, która odgradzała go od przeszłości. Pożoga. Mózg. Popadanie w szaleństwo. Środek otępiający, Nirwana.

DRESZCZ. Próby. To, co powiedział Szczurowaty, że w tym wszystkim chodzi tylko o ich reakcje na Zmienne.

- Zasnąłeś? - zagadnęła Brenda po kilku minutach ciszy.

- Nie. Po prostu dostałem za dużo informacji naraz. - To, co powiedziała, budziło w nim niejasną obawę, ale nadal nie był w stanie sensownie poskładać kawałków układanki. - Ciężko to wszystko przetrwać.

- Cóż, w takim razie się zamknę. - Odwróciła się do niego plecami, oparła głowę o drzwi. - Wyrzuć to wszystko z pamięci. Inaczej nie wyjdzie ci na zdrowie. Potrzebujesz odpoczynku.

- Aha - wymamrotał Thomas, sfrustrowany, że ma do dyspozycji tyle wskazówek, ale żadnych prawdziwych odpowiedzi. Jednak Brenda miała rację - zdecydowanie przyda mu się przespana noc. Ułożył się wygodnie i robił co mógł, ale minęło dużo czasu, zanim w końcu zapadł w drzemkę. I zaczął śnić.

Tym razem jest starszy, ma prawdopodobnie czternaście lat. On oraz Teresa klęczą na posadzce, przyciskając uszy do szczeliny w drzwiach, nasłuchując. Podsluchując. Wewnątrz rozmawiają ze sobą mężczyzna i kobieta. Thomas słyszy ich wystarczająco wyraźnie.

Mężczyzna odzywa się pierwszy.

- Czy dostałaś wykaz dodatkowych punktów, które zostały dodane do listy Zmiennych?

- Wczoraj w nocy - odpowiada kobieta. - Podoba mi się to, co Trent dodał na zakończenie Prób Labiryntu. Brutalne, ale rzeczywiście tego potrzebujemy. Powinno stworzyć trochę interesujących wzorów.

- Zdecydowanie. Podobnie jak scenariusz zdrady, jeśli w ogóle kiedyś dojdzie do jego realizacji.

Kobieta wydaje odgłos, który najwyraźniej jest śmiechem, ale sprawia wrażenie wymuszonego i pozbawionego wesołości.

- Tak, to samo pomyślałam. Znaczący, Boże święty, ile te dzieciaki mogą znieść, zanim zwariują niezależnie od choroby?

- Poza tym to ryzykowne. Co jeśli on zginie? Wszyscy zgadzamy się, że do tego czasu z pewnością będzie już jednym z głównych Kandydatów.

- Nie zginie. Nie pozwolimy na to.

- Mimo wszystko. Nie jesteśmy Bogiem. Może zginąć.

Długa chwila milczenia. Potem mężczyzna mówi:

- Może nie będzie trzeba wdrażać tego scenariusza. Ale wątpię. Psychowie mówią, że

to zastymuluje furę tych wzorów, których potrzebujemy.

- No cóż, coś takiego wywołuje mnóstwo emocji - odpowiada kobieta. -1 wytwarza niektóre z tych wzorów, które są najtrudniejsze do stworzenia, zgodnie z tym, co mówi Trent. Sądzę, że plan dotyczący tych Zmiennych to najpewniej jedyne, co zadziała.

- Naprawdę sądzisz, że Próby dadzą efekt? - pyta mężczyzna. - Skala oraz logistyka tej operacji są naprawdę niewiarygodne. Pomyśl, ile rzeczy może się posypać!

- Może, masz rację. Ale jaką mamy alternatywę? Trzeba spróbować, a jeśli się nie uda, po prostu znajdziemy się znów w tym samym punkcie, gdzie bylibyśmy, gdybyśmy nie podjęli żadnych działań.

- Też prawda.

Teresa ciągnie Thomasa za koszulę; chłopak ogląda się na nią i widzi, że przyjaciółka wskazuje palcem za siebie, w głąb korytarza. Pora się wynosić. Thomas kiwa głową, ale z powrotem nachyla się do drzwi, żeby sprawdzić, czy uda mu się podsłuchać jeszcze ostatnie zdanie czy dwa. Udaje mu się. Mówi kobieta.

- Wielka szkoda, że nie będzie nam dane ujrzeć końca Prób.

- Wiem - odpowiada mężczyzna. - Ale przyszłość nam podziękuje.

Tym, co obudziło Thomasa po raz drugi, była pierwsza, purpurowa zapowiedź świtu. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby choć raz poruszył się we śnie, odkąd w środku nocy rozmawiał z Brendą - nawet po tym, jak sen się skończył.

Ten sen. Był najdziwniejszy ze wszystkich, jakie przyśniły mu się do tej pory - w rozmowie padło tam mnóstwo stwierdzeń, zbyt skomplikowanych, żeby był w stanie je zrozumieć i dopasować do tych fragmentów przeszłości, które powoli, bardzo powoli zaczynały się z powrotem składać w całość. Pozwolił sobie żywić cień nadziei, że może nie był aż tak dalece wtajemniczony w Próby, jak wcześniej zaczynał sądzić. Choć nie rozumiał zbyt wiele z tego, co działo się we śnie, to fakt, że on i Teresa podsłuchiwali pod drzwiami, oznaczał, że nie uczestniczyli we wszystkich aspektach Prób.

Ale jaki mógł być cel tego wszystkiego? Dlaczego przyszłość miałaby dziękować tym ludziom?

Przetarł oczy i przeciągnął się, potem spojrzał na Brendę - wciąż jeszcze miała zamknięte oczy, jej pierś unosiła się i opadała w powolnym, równym oddechu, usta były rozchylone. Chociaż jego ciało wydawało się jeszcze bardziej zeszytywniałe niż poprzedniego dnia, to zdrowy sen podzielał fantastycznie na jego morale. Thomas czuł się orzeźwiony. Pełen energii. Cokolwiek skonsternowany i w kropce w związku z najnowszym wspomnieniem oraz tym wszystkim, co mu powiedziała Brenda, ale pełen energii pomimo

to.

Przeciągnął się raz jeszcze i właśnie donośnie ziewał, kiedy jego wzrok padł na coś, co znajdowało się na ścianie zamykającej zaułek. Duża metalowa tabliczka przynitowana do muru. Tabliczka, która wyglądała bardzo znajomo.

Otworzył drzwi kabiny, potykając się w pośpiechu zlaźł na ulicę i podszedł do niej. Wyglądała niemal identycznie, jak tabliczka w Labiryncie, na której pisało: Departament Rozwoju Eksperymentów, Strefa Zamknięta: Czas Zagłady. Ten sam matowy metal, takie same litery. Tyle że na tej tutaj napisane było coś zupełnie innego. I Thomas wpatrywał się w ten napis przez bite pięć minut albo i dłużej, zanim poruszył się choćby o centymetr.

Napis głosił:

THOMAS, TY JESTEŚ PRAWDZIWYM PRZYWÓDCĄ

Thomas być może gapiłby się na tabliczkę przez cały dzień, gdyby Brenda nie wyszła z ciężarówki.

- Czekałam na odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć - odezwała się wreszcie, wrywając go z zamyślenia.

Gwałtownie odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Co? O czym ty mówisz?

Nie odwzajemniła jego wzroku, tylko dalej wpatrywała się w napis.

- Odkąd odkryłam, jak masz na imię. Jorge tak samo. Prawdopodobnie to dlatego zdecydował się zaryzykować wyruszenie z tobą przez miasto i do tej waszej bezpiecznej przystani.

- Brenda, ale o czym ty mówisz? - powtórzył Thomas.

W końcu popatrzyła mu w oczy.

- Te znaki wiszą w całym mieście. Na wszystkich napisane jest to samo. Dokładnie to samo.

Thomas poczuł, że uginają się pod nim kolana. Odwrócił się i usiadł ciężko na ziemi, opierając się plecami o ścianę.

- Jak... Jak to jest w ogóle możliwe? To znaczy, przecież ta tabliczka wygląda, jakby wisiała tu już jakiś czas... - Naprawdę nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Nie wiem - odparła Brenda, siadając obok niego. - Nikt z nas nie wiedział, co to znaczy. Ale kiedy wyście się tu pojawili, a ty powiedziałeś, jak się nazywasz... No cóż, uznaliśmy, że to nie wygląda na zbieg okoliczności.

Thomas przyszpilił ją twardym spojrzeniem, czując wzbierający gniew.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Trzymałaś mnie za rękę, opowiadałaś, jak

zabito twojego ojca, a o tym nie?

- Nie powiedziałam ci, bo bałam się, jak zareagujesz. Sądziłam, że pewnie pobiegiesz szukać tych znaków i zapomnisz o mnie.

Thomas westchnął. Miał tego wszystkiego dość. Stłumił gniew i głęboko odetchnął.

- Przypuszczam, że to po prostu jeszcze jedna część tego całego koszmaru, która nijak nie trzyma się kupy.

Brenda przekreśliła się, żeby spojrzeć w górę, na znak.

- Jak możesz nie wiedzieć, co to znaczy? Przecież to już chyba prostsze być nie może? Masz być przywódcą, przejąć dowodzenie. Pomagając ci, zapracuję na członkostwo w waszej grupie. Zapracuję na miejsce w bezpiecznej przystani.

Thomas zaśmiał się.

- Tkwię w mieście pełnym popierniczonych Poparzeńców, grupa dziewczyn chce mnie zabić, a ja mam się martwić o to, kto jest prawdziwym przywódcą mojej grupy? To jakiś nonsens.

Brenda zmarszczyła twarz w wyrazie niezrozumienia.

- Dziewczyny, które chcą cię zabić? O czym ty mówisz?

Thomas nie odpowiedział, zastanawiając się, czy naprawdę powinien jej opowiedzieć wszystko od początku do końca. Zastanawiając się, czy ma siłę znów się w to wgłębiać.

- No? - naciskała.

Doszedłszy do wniosku, że miło byłoby to wreszcie zrzucić z serca, i mając poczucie, że zyskała już jego zaufanie, dał za wygraną i wszystko jej opowiedział. Wcześniej napomynał powierzchownie o tym i owym, ale teraz poświęcił sporo czasu na wdawanie się w szczegóły. O Labiryncie, o tym, jak ich uratowano, o tym, jak się przebudzili i odkryli, że wszystko znów jest do luftu. O Arisie i Grupie B. O Teresie zaledwie krótko wspomniał, ale kiedy wymienił ją z imienia, zorientował się, że Brenda coś zauważyła. Może coś w jego oczach.

- To jak, coś jest między tobą a tą całą Teresą? - zapytała, kiedy skończył.

Thomas nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy coś rzeczywiście było między nimi?. Byli ze sobą blisko, byli przyjaciółmi, tyle wiedział na pewno. Choć odzyskał tylko część swoich wspomnień, wyczuwał, że przed Labiryntem on i ona byli może nawet czymś więcej niż tylko przyjaciółmi. W tym okropnym okresie, kiedy pomagali zaprojektować to paskudztwo.

A potem był jeszcze ten pocałunek...

- Tom? - odezwała się Brenda.

Popatrzył na nią ostro.

- Nię mów tak na mnie.

- Że co? - spytała, ewidentnie zaskoczona, może nawet urażona. - Dlaczego?

- Po prostu... nie rób tego. - Czuł się okropnie, ale nie mógł cofnąć tego, co powiedział. Tak mówiła na niego Teresa.

- W porządku. Mam się do ciebie zwracać: panie Thomasie? A może: królu Thomasie? Albo jeszcze lepiej, po prostu Wasza Wysokość?

Thomas westchnął.

- Przepraszam. Nazywaj mnie, jak chcesz.

Brenda roześmiała się sarkastycznie, a potem oboje zamilkli.

Siedzieli tak, oparci plecami o ścianę, a minuty wlokły się leniwie. Cisza była niemalże kojąca, aż do momentu, gdy Thomas usłyszał dziwny głuchy łomot i przestraszył się.

- Słyszysz to? - zapytał, w okamgnieniu czujny i skupiony.

Brenda zamarła z przekrzywioną głową, wytężając słuch.

- No. Brzmi, jakby ktoś walił w bęben.

- Znaczy, chyba skończył się dzień dziecka. - Wstał, po czym pomógł Brendzie zrobić to samo. - Jak sądzisz, co to takiego?

- Są duże szanse, że nic dobrego.

- Ale co, jeśli to nasi przyjaciele?

Basowe lupluplup wydawało się teraz dochodzić zewsząd, echa odbijały się tam i z powrotem między murami domów. Jednak po kilku dłużących się sekundach Thomas nabrał pewności, że dźwięk dobiega z rogu zaułka. Mimo świadomości, że ryzykuje, pobiegł w tamtym kierunku, żeby się rozejrzeć.

- Co ty wyprawiasz?! - warknęła Brenda, ale kiedy ją zignorował, podążyła za nim.

Thomas podszedł do zamykającej zaułek ściany z popękanych i wyblakłych cegieł, gdzie cztery schodki prowadziły w dół do obdrapanych i zniszczonych drewnianych drzwi. Tuż nad nimi znajdowało się maleńkie prostokątne okienko z wybitą szybą. W górnej części framugi trzymał się jeszcze pojedynczy ostry kawałek szkła, niczym nadłamany ząb.

Thomas słyszał muzykę, teraz dużo głośniejszą niż przedtem. Była rytmiczna i szybka, z mocno nagłośnionym basem, brzękliwym łoskotem perkusji i wyciem gitar. Mieszały się z nią śmiechy, okrzyki i odgłosy śpiewania razem z wokalistą. I wszystko to... nie do końca tchnęło zdrowiem psychicznym. Zgiełk miał w sobie coś wytrącającego z równowagi, przyprawiającego o gęsią skórę.

Wyglądało na to, że Poparzeńcy nie ograniczają się do poszukiwania nosów, które

mogliby ludziom odgryźć, i Thomas nabral bardzo złych przeczuć - ten hałas nie miał nic wspólnego z jego przyjaciółmi.

- Lepiej się stąd wynośmy - stwierdził chłopak.

- Tak myślisz? - odparła Brenda, stojąc tuż przy nim.

- Chodź. - Thomas odwrócił się, ona także, ale oboje zamarli. W czasie, gdy ich uwaga była skupiona na czym innym, w zaułku pojawiły się trzy osoby. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, którzy teraz stali zaledwie kilka kroków dalej.

Obrzuciwszy nowo przybyłych szybkim spojrzeniem, Thomas zdrętwiał. Ich ubrania były postrzępione, włosy - niechlujne, twarze - umorusane. Ale gdy przyjrzał się im uważniej, zauważył, że nie mają żadnych widocznych obrażeń, a w ich oczach widać błyski inteligencji. Poparzeńcy, ale niezupełnie jeszcze szaleni Poparzeńcy.

- Cześć, wy tam - odezwała się kobieta. Miała długie rude włosy ściągnięte w koński ogon. Dekolt jej bluzki był wycięty tak głęboko, że Thomas z trudem zmusił się, aby patrzeć jej w oczy. - Przyszliście na naszą imprezę? Mnóstwo tańczenia. Mnóstwo barabara. Mnóstwo gorzały.

W jej głosie pobrzmiewała nutka, która wzbudziła w chłopaku lęk. Nie wiedział, co to oznacza, ale ta pani nie zachowywała się sympatycznie. Drwiła sobie z nich.

- Ee, nie, dzięki - odrzekł Thomas. - My, ee, my po prostu...

Brenda weszła mu w słowo.

- Próbujemy odszukać naszych przyjaciół. Jesteśmy tu nowi, dopiero zaczynamy się zadomawiać.

- Witajcie w naszej Pożogowej bajce. A może nawet w krainie DRESZCZowców. - To był jeden z mężczyzn, wysoki, brzydki typ o tłustych włosach. - Nie martwcie się, większość tych tam - skinął głową w kierunku schodków - jest najwyżej na wpół szalona. Możecie oberwać łokciem w twarz, ewentualnie kopniaka w nabiął. Ale nikt nie spróbuje was zjeść.

- W nabiął? - powtórzyła Brenda. - Co proszę?

Mężczyzna wskazał palcem Thomasa.

- Mówiłem do chłopaka. Dla ciebie sprawy mogą się troszkę bardziej skomplikować, jeśli nie będziesz się trzymała blisko nas, zważywszy, że jesteś płci żeńskiej.

Cała ta rozmowa przyprawiała Thomasa o mdłości.

- Brzmi ciekawie. Ale musimy już iść. Odszukać kumpli. Może później tu wrócimy.

Drugi mężczyzna wystąpił do przodu. Był dość niski, ale przystojny, z jasnymi włosami ściętymi na jeża.

- Jesteście tylko dzieciakami. Czas, żebyście się czegoś nauczyli o życiu. Czas,

żebyście się trochę zabawili. Oficjalnie zapraszamy was na imprezę. - Wymówił każde słowo ostatniego zdania powoli i wyraźnie, i bez krztyny życzliwości.

- Dzięki, ale nie, dzięki - odparła Brenda.

Blondynek wyciągnął z kieszeni swojej długiej kurtki pistolet. Broń była srebrzysta, lecz brudna i zmatowiała. Niemniej, zdaniem Thomasa bezsprzecznie wyglądała wystarczająco groźnie i śmiertelnie.

- Nie wydaje mi się, żebyście mnie dobrze zrozumieli - rzekł mężczyzna. - Zostaliście zaproszeni na naszą imprezę. Tego zaproszenia się nie odrzuca.

Wysoki Brzydał wyjął nóż. Koński Ogon wyciągnęła śrubokręt, którego końcówka była czarna od czegoś, co musiało być zaschniętą krwią.

- Co wy na to? - zapytał Blondynek. - Chcecie iść na imprezę?

Thomas popatrzył na Brendę, ale ta nie odwzajemniła jego spojrzenia. Oczy miała wlepione w blondyna, a wyraz jej twarzy świadczył, że zamierza zrobić coś bardzo głupiego.

- Dobra - powiedział pospiesznie chłopak. - W porządku. Pójdziemy.

Brenda gwałtownie odwróciła głowę.

- Co?!

- Jeden gość ma pistolet. Drugi ma nóż. Ich kumpela ma śrubokręt! Nie jestem dziś w nastroju na to, żeby mi wgnieciono oko w czaszkę!

- Zdaje się, że twój chłoptaş nie jest głupi - stwierdził Blondynek. - A teraz chodźmy się zabawić. - Wskazał lufą pistoletu schodki i uśmiechnął się. - Śmiało, idźcie pierwsi.

Brenda ewidentnie była wściekła, ale jej oczy mówiły też, że dobrze wie, iż nie mają innego wyjścia.

- W porządku.

Blondynek znów się uśmiechnął. Żmii byłoby do twarzy z jego miną.

- I o to chodzi. Wszystko gra, nie ma się czego obawiać.

- Nikt nie robi wam krzywdy - dodał Wysoki Brzydał. - Chyba że zaczniecie nam utrudniać życie. Chyba że będziecie się zachowywać jak wredne bachory. Gdy impreza się skończy, nabierzecie ochoty, żeby dołączyć do naszej grupy. Możecie mi wierzyć.

Thomas musiał walczyć z ogarniającą go paniką.

- Po prostu chodźmy - powiedział do Blondynka.

- Czekamy tylko na was. - Mężczyzna ponownie wskazał pistoletem schodki.

Thomas wyciągnął rękę i chwycił dłoń Brendy, przyciągnął dziewczynę do siebie.

- Chodźmy na imprezę, kochanie. - Włożył w te słowa tyle sarkazmu, ile tylko mógł. - Ależ to będzie czad!

- Jakież to słodkie - powiedziała Koński Ogon. - Widok zakochanych zawsze wzrusza mnie do łez. - Udała, że ociera oczy.

Mając Brendę przy boku, Thomas zbliżył się do schodków, mając przez cały czas świadomość, że lufa pistoletu wymierzona jest w jego plecy. Zeszli aż do dużych starych drzwi; schodki miały akurat taką szerokość, że mogli po nich zejść obok siebie. Kiedy byli już na dole, Thomas zobaczył, że drzwi nie mają klamki. Unosząc brwi, spojrzał do tyłu, na Blondynka, który stał za nimi, dwa stopnie wyżej.

- Musisz zapukać w umówiony sposób - wyjaśnił mężczyzna. - Walisz pięścią trzy razy wolno, potem trzy razy szybko, a potem dwa razy stukasz tak normalnie.

Thomas czuł odrazę do tych ludzi. Okropnie nie podobało mu się, że mówią tak spokojnie, przez większość czasu używając miłych słów, a wszystko to podszyte jest drwiną. Ci Poparzeńcy byli w pewnym sensie gorsi niż beznosy facet, którego chłopak zadźgał poprzedniego dnia - przynajmniej w przypadku tamtego szaleńca wiadomo było dokładnie, z czym mają do czynienia.

- Zrób to - wyszeptała Brenda.

Thomas zacisnął dłoń w pięść i zaczął uderzać w drzwi, najpierw powoli, potem szybko. Na koniec dwukrotnie zastukał w drewno. Drzwi otwały się natychmiast; wypuszczając łoskot muzyki niczym gwałtowny podmuch wiatru.

Typ, który ich powitał, był potężnej postury, cały w tatuażach. W uszach i w twarzy miał kilka kolczyków. Jego włosy były siwe i długie, sięgające daleko za ramiona. Ale Thomas zaledwie miał czas zarejestrować to wszystko, zanim mężczyzna przemówił.

- Hej, Thomas. Czekaliśmy na ciebie.

Następna minuta czy dwie były jedną niewyraźną plamą wrażeń z oszołomionych pięciu zmysłów.

Powitanie zaszokowało Thomasa, ale zanim zdążył odpowiedzieć, długowłosy mężczyzna praktycznie wciągnął jego oraz Brendę do środka, po czym zaczął ich prowadzić przez zbitą masę tańczących ciał, obracających się, skaczących, tulących się i wirujących. Muzyka ogłuszała, każde uderzenie bębnow było dla Thomasa niczym uderzenie młotem w czaszkę. Z sufitu zwieszało się kilka latarek zaczepionych na drucie; kołysały się w przód i w tył, gdy ludzie wpadali na nie, posyłając rozchwiane smugi światła w różnych kierunkach.

Gdy przeciskali się przez tłum tańczących, Długowłosy nachylił się i wykrzyczał coś na cały głos do Thomasa, który mimo to ledwie był w stanie go zrozumieć.

- Dzięki niech będą Bogu za baterie! Jak ich zabraknie, to dopiero będzie kiepsko!

- Skąd znaliście moje imię? - krzyknął w odpowiedzi chłopak. - Dlaczego na mnie

czekaliście?

Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Obserwowaliśmy was całą noc! Potem dziś rano zobaczyliśmy przez okno twoją reakcję na znak i domyśliliśmy się, że to ty musisz być tym sławetnym Thomasem!

Brenda już wcześniej objęła Thomasa oburącz w pasie, prawdopodobnie tylko po to, żeby tłum ich nie rozdzielił.

Prawdopodobnie. Ale kiedy usłyszała te słowa, jej uścisk stał się jeszcze bardziej kurczowy.

Thomas obejrzał się do tyłu, zobaczył, że Blondynek oraz jego dwoje przyjaciół idą tuż za nimi. Pistolet został schowany, ale chłopak wiedział, że właściciel może go w każdej chwili wyjąć.

Muzyka grała na pełny regulator. Basy grzmiały i pulsowały tak, że wszystko dygotało. Naokoło ludzie tańczyli i skakali, świetlne ostrza przeszływały ciemność. Poparzeńcy byli mokrzy i śliscy od potu, ciepło tych wszystkich ciał sprawiało, że w pomieszczeniu panowało nieprzyjemne gorąco.

Gdy znaleźli się mniej więcej pośrodku sali, Długowłosa zatrzymał się i odwrócił do nich tak gwałtownie, że jego dziwna biała grzywa zafalowała.

- Bardzo chcemy, żebyście do nas dołączyli! - krzyknął.

- Coś musi w was być! Ochronimy was przed złymi Poparzeńcami!

Thomas cieszył się, że nie wie już więcej. Może ostatecznie nie będzie tak źle. Pograć przez jakiś czas w ich grę, udawać, że jest jakimś szczególnym Poparzeńcem, i może jemu oraz Brendzie uda się przeżyć wystarczająco długo, żeby w odpowiednim momencie niepostrzeżenie się wymknąć.

- Pójdę i przyniosę wam po drinku! - zawołał Długowłosa.

- Bawcie się dobrze! - Po tych słowach odszedł pośpiesznie, znikając w falującym ścisku.

Thomas odwrócił się i zobaczył, że Blondynek oraz jego dwójka przyjaciół nadal stoją w tym samym miejscu, nie tańcząc

- jedynie obserwując. Koński Ogon zamachała do niego ręką.

- Równie dobrze można potańczyć! - krzyknęła. Ale sama nie usłuchała własnej rady.

Thomas okręcił się tak, żeby znaleźć się twarzą w twarz z Brendą. Musieli porozmawiać.

Jakby czytając mu w myślach, uniosła ręce i objęła go za szyję, przyciągając go do siebie, aż jej usta znalazły się tuż przy jego uchu. Jej oddech był gorący i wywoływał

mrowienie na jego spoconej skórze.

- Jakim sposobem wpakowaliśmy się w tę gównianą sytuację? - zapytała.

Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, Thomas otoczył ramionami jej plecy i talię. Czuł ciepło jej ciała przez wilgotne ubranie. Coś w nim drgnęło, przemieszane z wyrzutami sumienia oraz tęsknotą za Teresą.

- Godzinę temu nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może się stać - stwierdził w końcu, z ustami zanurzonymi w jej włosach. Było to jedyne, co mu przyszło do głowy.

Muzyka zmieniła się, kolejny utwór był mroczny i niesamowity. Tempo stało się nieco wolniejsze, a brzmienie perkusji jakby niższe. Thomas nie był w stanie rozróżnić słów, ale zdawało się, że wokalista opłakuje jakąś straszliwą tragedię; jego głos był zawodzący, wysoki i pełen bólu.

- Może powinniśmy po prostu zostać na jakiś czas z tymi ludźmi - powiedziała Brenda.

Thomas zorientował się nagle, że teraz oboje tańczą, choć nie mieli takiego zamiaru i nie myśleli o tym. Poruszali się w rytm muzyki, obracając się powoli, ciało przy ciele, obejmując się nawzajem.

- O czym ty mówisz? - spytał, zaskoczony. - Już dajesz za wygraną?

- Nie. Jestem po prostu zmęczona. Może tutaj byłibyśmy bezpieczniejsi.

Pragnął jej ufać, miał wrażenie, że może. Ale coś w tym wszystkim go niepokoiło - czy specjalnie go tutaj przyprowadziła? Wydawało się to nadinterpretacją.

- Brenda, nie poddawaj się jeszcze. Jedyna szansa, jaką mamy, to dotrzeć do bezpiecznej przystani. Istnieje lek na to świństwo.

Brenda nieznacznie potrząsnęła głową.

- Tak ciężko uwierzyć, że to prawda. Ciężko mieć nadzieję.

- Nie mów tak. - Nie chciał tak myśleć i nie chciał tego słuchać.

- Czemu mieliby wysyłać tutaj tych wszystkich Poparzeńców, gdyby istniał lek? To się po prostu nie trzyma kupy.

Thomas odsunął się, żeby na nią popatrzeć, zaniepokojony tą nagłą zmianą nastawienia. Jej oczy były mokre od łez.

- Mówisz, jakbyś oszalała - stwierdził, po czym zawahał się. Oczywiście miał własne wątpliwości, ale nie chciał jej zniechęcać. - Lek naprawdę istnieje. Musimy... - Zamilkł, spojrzał spod oka na Blondynka, który nadal wbijał w niego wzrok. Facet prawdopodobnie nie był w stanie niczego usłyszeć, ale lepiej dmuchać na zimne. Thomas nachylił się z powrotem, żeby mówić wprost do ucha Brendy. - Musimy się stąd wydostać. Chcesz zostać z

ludźmi, którzy grożą ci pistoletami i śrubokrętami?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Długowłosy wrócił, trzymając w każdej dłoni po plastikowym kubku. Brązowawa ciecz w środku chlupała, gdy przepychał się przez tancerzy, napierających ze wszystkich stron.

- Pijcie! - zawołał.

W tym momencie w Thomasie coś jakby się ocknęło. Przyjęcie drinka od tych nieznajomych nagle wydało mu się bardzo, ale to bardzo złym pomysłem. Choć wcześniej zdawało się to niemożliwe, całe to miejsce i sytuacja zaczęły sprawiać jeszcze bardziej niepokojące wrażenie.

Jednak Brenda już wyciągała rękę po napój.

- Nie! - wrzasnął Thomas, zanim zdążył się powstrzymać, po czym pospiesznie spróbował zatuszować swoją reakcję. - To znaczy, nie, naprawdę nie sędzę, żeby to nam posłużyło. Dawno nic nie piliśmy, powinniśmy się teraz raczej napić wody. My, ee, po prostu chcemy chwilę potańczyć. - Starał się zachowywać naturalnie, ale w środku cały aż się skulił, wiedząc, że jego słowa zabrzmiały idiotycznie, zwłaszcza kiedy Brenda dziwnie na niego spojrzała.

Coś niedużego i twardego szturchnęło go w żebra. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, co to takiego: pistolet Blondynka.

- Poczęstowałem was drinkami - odezwał się ponownie Długowłosy. Tym razem z jego wytatuowanej twarzy zniknęły wszelkie pozory życzliwości. - Bardzo niegrzecznie byłoby odmówić. - Znów wyciągnął kubki w ich stronę.

Thomasa ogarnęła narastająca panika. Przestał mieć choćby drobne wątpliwości - coś było bardzo nie tak z tymi drinkami.

Blondynek jeszcze mocniej szturchnął go pistoletem.

- Liczę do jednego - powiedział mu na ucho. - Tylko do jednego.

Thomas nie musiał się zastanawiać. Wyciągnął rękę i wziął kubek, przytknął go do ust i wypił zawartość jednym haustem. Ciecz paliła jak ogień; gdy ją przełykał, zapiekło go w gardle i w przełyku. Zaniósł się gwałtownym, suchym kaszlem.

- Teraz ty - powiedział Długowłosy, podając Brendzie drugi kubek.

Spojrzała na Thomasa, po czym wzięła naczynie i wypila wszystko. Napój, jak się zdawało, nie zrobił na niej większego wrażenia; zmrużyła tylko nieznacznie oczy, przełykając go.

Długowłosy zabrał z powrotem puste kubki, uśmiechając się teraz od ucha do ucha.

- No i pięknie! A teraz tańczcie sobie dalej!

W brzuchu Thomasa już pojawiło się dziwne uczucie. Kojące ciepło, spokój, narastający i ogarniający całe ciało. Chłopak z powrotem objął Brendę, przygarnął ją mocno do siebie, gdy tak kołysali się w rytm muzyki. Jej usta muskały jego szyję. Za każdym razem, gdy jej wargi ocierały się o jego skórę, przenikał go oszołamiająco przyjemny dreszcz.

- Co to było? - spytał. Bardziej wyczuwał niż był w stanie usłyszeć, że mówi niewyraźnie.

- Coś niedobrego - odparła; ledwo ją słyszał. - Zawierało narkotyk. Dzieją się ze mną dziwne rzeczy.

Taa, pomyślał Thomas. Coś dziwnego. Miał wrażenie, że pomieszczenie zaczyna wirować wokół niego, o wiele szybciej, niż mogło wynikać z ich powolnego obracania się w tańcu. Twarze roześmianych ludzi wydawały się rozciągać, ich usta zmieniały się w ziejące czarne dziury. Muzyka stała się wolniejsza, rozbrzmiewała w niższej tonacji; głos wokalisty również się pogłębił, poszczególne zgłoski dźwięczały dłużej.

Brenda odchyliła głowę do tyłu, ujęła twarz chłopaka w obie dłonie. Wpatrywała się w niego, choć jej oczy sprawiały wrażenie rozbieganych. Wydawała mu się piękna. Piękniejsza niż cokolwiek, co dotąd widział. Wszystko wokół nich ściemniało do czerni. Uświadomił sobie, że jego umysł zaczyna się wyłączać.

- Może tak jest lepiej - powiedziała. Jej słowa nie pasowały do ruchu warg. Jej twarz zataczała kręgi, jakby oddzielona od szyi. - Może będziemy mogli z nimi zostać. Może tutaj moglibyśmy pozostać szczęśliwi do czasu, aż przekroczymy Granicę. - Uśmiechnęła się okropnym, budzącym grozę uśmiechem. - Wtedy zawsze możesz mnie zabić.

- Nie, Brendo - odrzekł, ale jego głos wydawał się dobiegać z odległości miliona kilometrów, jakby z głębin nieskończenie długiego tunelu. - Nie...

- Pocałuj mnie - poprosiła. - Tom, pocałuj mnie. - Mocniej zacisnęła dłonie na jego twarzy. Zaczęła go ciągnąć ku sobie.

- Nie - zaprotestował, opierając się. Znieruchomiała, a na jej twarzy pojawił się wyraz urazy.

Na jej szybującej, zamazującej się twarzy.

- Czemu? - zapytała.

Ciemność wchłonęła go już niemal bez reszty.

- Nie jesteś... nią. - Jego głos, z oddali. Zaledwie echo. - Nigdy nie będziesz nią.

A potem odleciała w dal, podobnie jak jego umysł.

Thomas przebudził się w mroku i miał wrażenie, że umieszczono go w jakiejś starożytnej maszynie tortur, które powoli wbija w jego czaszkę niezliczone gwoździe.

Jęknął - ten urywany, okropny dźwięk sprawił jedynie, że ból w jego głowie się nasilił. Chłopak zmusił się do zamilknięcia, spróbował sięgnąć w górę, żeby pomasować...

Jego ręce nawet nie drgnęły. Coś je unieruchamiało, coś lepkiego, ciasno otaczającego nadgarstki. Taśma. Gwałtownie spróbował poruszyć nogami, ale one także były związane. Próba ruchu sprawiła, że kolejna fala bólu przeszła jego głowę oraz ciało. Oklapł, jęcząc cicho. Zachodził w głowę, jak długo był nieprzytomny.

- Brenda? - szepnął. Żadnej odpowiedzi.

Zapaliło się światło.

Jaskrawe i klujące. Zacisnął powieki, po czym rozchylił jedno oko, zaledwie na tyle, żeby cokolwiek widzieć. Stały nad nim trzy osoby, ale ich twarze skryte były w cieniu, bo światło znajdowało się za ich plecami.

- Pobudka - odezwał się zachrypnięty głos. Ktoś zarechotał z drwiną.

- Chcecie jeszcze trochę tej wody ognistej? - To powiedziała kobieta. Ta sama osoba zarechotała powtórnie.

Thomas w końcu oswoił się ze światłem i przestał mrużyć oczy. Siedział na drewnianym krześle; jego nadgarstki były ciasno przytwierdzone do poręczy, a kostki do nóg mebla za pomocą szerokiej szarej taśmy klejącej. Przed nim stało dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Blondynek. Wysoki Brzydał. Koński Ogon.

- Czemu po prostu nie ciuknęliście nas tam w zaułku? - zapytał Thomas.

- Ciuknąć was? - odparł Blondynek. Jego głos wcześniej nie był ochrypły; teraz brzmiał tak, jakby właściciel spędził ostatnich kilka godzin, wrzeszcząc na parkiecie ile sił w płucach.

- Za kogo nas masz, za jakąś dwudziestowieczną mafię? Gdybyśmy chcieli was ciuknąć, to leżelibyście już martwi na ulicy.

- Nie chcemy was zabijać - weszła mu w słowo Koński Ogon. - To zepsułoby smak mięsa. Lubimy zjadać nasze ofiary, kiedy jeszcze oddychają. Zjeść tyle, ile się da, zanim się wykrwawia na śmierć. Nie uwierzyłybyś, jak soczyste i... słodkie jest takie mięsko.

Wysoki Brzydał zaśmiał się, ale Thomas nie potrafił poznać, czy Koński Ogon mówi serio. Niezależnie od tego, czy mówiła prawdę, czy tylko kpiła, jej słowa go przerażały.

- Ona się z was nabija - oznajmił Blondynek. - Jadaliśmy ludzi tylko wtedy, kiedy byliśmy kompletnie zdesperowani. Ludzkie mięso smakuje jak świńskie gówno.

Kolejny wybuch chichotu ze strony Wysokiego Brzydala. Nie rehotu, nie śmiechu. Chichotu. Thomas nie wierzył już, że mówią serio - o wiele bardziej martwiło go to, jak bardzo... skrzywione wydawały się ich umysły.

Blondynek uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd Thomas go spotkał.

- To też tylko żart. Nie jesteśmy jeszcze aż tak Poparzeni. Ale założę się, że ludzie faktycznie nie są zbyt smacznymi.

Wysoki Brzydał oraz Koński Ogon pokiwali głowami.

O rany, ci ludzie naprawdę zaczynają świrować, pomyślał Thomas. Usłyszał stłumiony jęk po lewej i spojrzał tam. Brenda siedziała w rogu pokoju, tak samo unieruchomiona jak on. Ale jej zaklejono taśmą również usta, co kazało mu przypuszczać, że może w przeciwieństwie do niego walczyła, zanim straciła przytomność. Wyglądało na to, że dopiero się budzi, a kiedy spostrzegła trójkę Poparzeńców, zaczęła się wiercić na krześle, jęcząc przez knebel. Jej oczy zapłonęły ogniem.

Blondynek wymierzył w nią pistolet, który jak za sprawą magii pojawił się w jego dłoni.

- Zamknij się! Zamknij się albo twój mózg wyląduje na ścianie!

Brenda znieruchomiała i zamilkła. Thomas spodziewał się, że zacznie pisać, płakać czy coś w tym stylu. Ale nie zaczęła, i natychmiast zrobiło mu się głupio, że to pomyślał. Już udowodniła, jaka jest twarda.

Blondynek opuścił pistolet.

- Tak lepiej. Boże święty, powinniśmy ją byli zabić tam na górze, kiedy zaczęła krzyczeć. I gryźć. - Spojrzał na swoje przedramię, gdzie czerwieniała długa, półkolista pręga.

- Jest z nim - powiedziała Koński Ogon. - Póki co nie możemy jej zabić.

Blondynek wziął sobie krzesło spod najdalszej ściany i zajął miejsce zaledwie półtora metra od Thomasa. Pozostali zrobili to samo, z wyrazem ulgi na twarzach, jakby godzinami czekali na pozwolenie, żeby usiąść. Blondynek oparł pistolet o udo, celując prosto w Thomasa.

- Dobra - powiedział. - Mam całkiem sporo do obgadania i nie zamierzam się z tobą cackać, koleś. Jeśli będziesz próbował kręcić, odmawiać odpowiedzi czy cokolwiek w tym stylu, strzelę ci w nogę. Potem w drugą. Za trzecim razem kula idzie prosto w twarz twojej przyjaciółki. Tak sobie myślę, że prosto między oczy. I sądzę, że możesz się bez trudu domyślić, co stanie się za czwartym razem.

Thomas kiwnął głową. Chciałby móc sobie powiedzieć, że jest twardy, że jest w stanie postawić się tym Poparzeńcom. Ale wolał się kierować zdrowym rozsądkiem. Był przywiązany do krzesła, bez broni, bez sojuszników, bez niczego. Chociaż autentycznie nie miał nic do ukrycia. Odpowie na każde pytanie, jakie ten facet uzna za stosowne mu zadać. Cokolwiek się stanie, nie miał ochoty oberwać kulą w nogę. A nie sądził, by mężczyzna

blefował.

- Pierwsze pytanie - odezwał się Blondynek. - Kim jesteś i dlaczego twoje imię widnieje na tabliczkach rozwieszonych w całym tym gównianym mieście?

- Nazywam się Thomas. - Gdy tylko padły te słowa, twarz Blondynka wykrzywiła się w gniewie. Thomas uświadomił sobie swój idiotyczny błąd i pośpiesznie kontynuował: - Oczywiście, to już wiecie. No cóż, to, jak się tutaj znalazłem, to naprawdę strasznie dziwna historia i wątpię, czy mi uwierzycie. Ale przysięgam, że mówię prawdę.

- Nie przywieziono cię tutaj górolotem, tak jak nas wszystkich? - zapytała Koński Ogon.

- Górolotem? - Thomas nie wiedział, co to znaczy, ale tylko potrząsnął przecząco głową i mówił dalej. - Nie. Wyszliśmy z jakiegoś podziemnego tunelu mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd. Wcześniej przeszliśmy przez coś, co nazywało się Płaski Przenoś. A jeszcze wcześniej...

- Moment, moment, moment - przerwał mu Blondynek, unosząc dłoń. - Płaski Przenoś? Zastrzeliłbym cię tu i teraz, ale nie ma ludzkiej mocy, żebyś to zmyślił.

Thomas zmarszczył czoło, zdeorientowany.

- Czemu?

- Tylko dureń próbowałby nam wcisnąć tak oczywiste kłamstwo. Przeszliście przez Płaski Przenoś? - Mężczyzna był ewidentnie zaskoczony.

Thomas zerknął na pozostałych Poparzeńców. Mieli równie zaszokowane miny.

- Owszem. Czemu tak trudno w to uwierzyć?

- Masz w ogóle pojęcie, ile kosztuje transport przez Płaskie Przenosy? Ten wynalazek pojawił się dopiero tuż przed rozbłyskami. Tylko rządy państw oraz milionerzy mogą sobie pozwolić na korzystanie z niego.

Thomas wzruszył ramionami.

- No cóż, wiem, że mają mnóstwo pieniędzy, a ten gość tak właśnie to nazwał. Płaski Przenoś. Coś w rodzaju szarej ściany, która wywołuje lodowate mrówki, kiedy przez nią przechodzisz.

- Jaki gość? - spytała Koński Ogon.

Thomas ledwo co zaczął mówić, a już miał zamęt w głowie. Jak można komuś opowiedzieć taką historię?

- Sądzę, że był z DRESZCZu. Poddają nas jakiemuś eksperymentowi czy testowi. Właściwie to nie wiem wszystkiego. My... Wymazano nam wspomnienia. Część moich wróciła, ale niewiele.

Blondynek przez chwilę nie reagował, po prostu siedział bez ruchu, wpatrując się w chłopaka. Niemalże świdrując go wzrokiem na wylot, by wbić spojrzenie w znajdującą się z tyłu ścianę. Wreszcie powiedział:

- Byłem prawnikiem. Dawno temu, jeszcze zanim rozbłąski oraz ta choroba wszystko zrujnowały. Umieć poznać, kiedy ktoś kłamie. Byłem w tym bardzo, bardzo dobry.

O dziwo Thomas odprężył się.

- Więc wiesz, że ja nie...

- Owszem, wiem. Chcę usłyszeć o wszystkim. Gadaj.

Thomas zaczął opowiadać. Nie umiałby wyjaśnić, dlaczego, ale wydawało się to słusznym wyborem. Instynkt podpowiadał mu, że ci Poparzeńcy są zwyczajnymi ludźmi, wysłanymi tutaj, aby przeżyć swoje okropne ostatnie lata we władzy niszczącej ich stopniowo Pożogi. Starali się tylko wywalczyć sobie jakąś przewagę nad innymi, znaleźć drogę ucieczki. Każdy by tak postępował na ich miejscu. A spotkanie z facetem, którego imię figurowało na tabliczkach rozwieszonych w całym mieście, stanowiło doskonały pierwszy krok. Gdyby Thomas znajdował się na ich miejscu, prawdopodobnie postępowałby tak samo. Może bez pistoletu i więzów - oby.

Zaledwie dzień wcześniej opowiedział tę całą historię Brendzie i teraz streścił wszystko w mniej więcej podobnych słowach. Labirynt, ucieczkę, dormitoria. To, jak dostali misję polegającą na przebyciu Pogorzelska. Postarał się, żeby zabrzmiało to tak, jakby była ona bardzo ważna, i podkreślił, że na końcu drogi czeka lek. Ponieważ stracili szansę na to, żeby Jorge pomógł im się wydostać z miasta, może uda mu się zacząć od nowa z tymi ludźmi. Wyraził też swój niepokój o pozostałych Streferów, ale kiedy zapytał, czy rozmówcy widzieli jego przyjaciół - lub też dużą grupę dziewcząt - odpowiedź brzmiała „nie”.

Znowu nie mówił zbyt wiele na temat Teresy. Nie chciał ryzykować, że ściągnie na nią niebezpieczeństwo, choć nie miał pojęcia, czy mówienie o niej może jej w jakiś sposób zagrozić. Trochę kłamał też w kwestii Brendy. A ściślej - w zasadzie ani razu nie skłamał tak dosłownie. Po prostu postarał się, żeby z opowieści wynikało, że była z nim od samego początku.

Gdy skończył, urywając na tym, jak spotkali w zaułku te trzy osoby, które teraz siedziały przed nim, zaczerpnął głęboko tchu i spróbował się wygodniej usadowić na krześle.

- Proszę, czy możecie teraz zdjąć ze mnie tę taśmę?

Jego uwagę przykuł drobny ruch dłoni Wysokiego Brzydala. Chłopak zerknął w tamtą stronę i zobaczył, że w ręku mężczyzny pojawił się bardzo ostry, błyszczący nóż.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się Brzydal do Blondynka.

- Jasne, czemu nie. - Blondynek wysłuchał wszystkich rewelacji Thomasa z niewzruszonym wyrazem twarzy, jak dotąd w żaden sposób nie dając po sobie poznać, czy wierzy w jego opowieść.

Wysoki Brzydał wzruszył ramionami, wstał i podszedł do Thomasa. Pochylał się właśnie, wyciągając rękę z nożem, gdy piętro wyżej wszczął się tumult. Donośne uderzenia w sufit, kilka wrzasków. Potem rozległ się taki hałas, jakby setka ludzi biegła. Gorączkowe kroki, skakanie, więcej głuchych uderzeń. Więcej wrzasków.

- Musiała nas znaleźć inna grupa - powiedział Blondynek, blednąc gwałtownie. Wstał, dał znak dwójgu pozostałym, żeby poszli za nim. Kilka sekund później już ich nie było, wspięli się po schodach, znikając w mroku. Jakież drzwi otwarły się i zamknęły. Chaos na górze trwał.

Wszystko to łącznie przyprawiło Thomasa o śmiertelny strach. Chłopak popatrzył na Brendę, która siedziała bez ruchu, nasłuchując. Jej oczy w końcu napotkały jego spojrzenie. Wciąż jeszcze zakneblowana, mogła jedynie unieść brwi.

Nie podobały mu się ich szanse na przetrwanie w sytuacji, gdy pozostawiono ich tak, przykrępowanych do krzeseł. Nie było możliwości, aby Poparzeńcy, których widział zeszłej nocy, mieli jakieś szanse w starciu z takimi wariatami, jak Pan Nos.

- Co jeśli tam na górze buszuje banda kompletnie szalonych Poparzeńców? - spytał.

Brenda wymamrotała coś zza taśmy.

Thomas napiął wszystkie mięśnie i zaczął przesuwając swoje krzesło małutkimi krokami w stronę dziewczyny. Nie pokonał jeszcze nawet metra, gdy tumult wyżej nagle ucichł. Chłopak zamarł, wpatrując się w sufit.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem na górze zaszurały kroki jednej lub dwóch osób. Zabrzmiało głuche łup. Drugie głuche łup. I jeszcze raz. Thomas wyobraził sobie ciała rzucane na podłogę.

Drzwi u szczytu schodów otwarły się.

Potem zabrzmiały kroki, donośne i ciężkie. Ktoś zbiegał w dół. Schody pograżone były w mroku i ciało Thomasa zalała lodowata panika, gdy tak czekał, zastanawiając się, kogo ujrzy.

W końcu ten ktoś wyszedł na oświetloną przestrzeń.

Minho. Brudny i zakrwawiony, ze śladami oparzeń na twarzy. Z nożami w obu rękach. Minho.

- Myślałby kto, że wam tu dobrze - powiedział.

Mimo wszystkiego, przez co przeszedł, Thomas nie pamiętał, kiedy ostatnio tak

kompletnie zabrakło mu słów.

- Co... Jak... - wyjąkał, usiłując coś wykrztusić.

Minho uśmiechnął się, co było bardzo pożądanym widokiem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak okropnie wyglądał.

- Złapali was tuż po tym, jak was znaleźliśmy. Myślisz, że pozwolilibyśmy tej bandzie smrodasów zrobić wam krzywdę? Masz u mnie dług. I to duży. - Podeszedł i zaczął rozcinać taśmę.

- Co masz na myśli mówiąc, że nas znaleźliście? - Thomas był tak szczęśliwy, że miał ochotę chichotać jak głupi. Nie tylko zostali uratowani, ale jego przyjaciele żyli. Żyli!

Minho ciął dalej.

- Jorge prowadził nas przez miasto, unikając Poparzeńców i wyszukując dla nas jedzenie. - Skończył uwalniać Thomasa i podeszedł do Brendy, mówiąc dalej przez ramię. - Wczoraj rano trochę się rozproszyliśmy, wędząc tu i tam. Patelniak stał akurat za rogiem, zaglądając do tego zaułka tam na górze, kiedy tych troje sztamaków wycelowało w was pistolet. Wrócił, wkurzyliśmy się, zaczęliśmy planować atak. Większość tych smrodasów albo była schlana, albo spała.

Brenda zerwała się z krzesła, odpychając Minho, gdy tylko jej więzy zostały przecięte. Skierowała się w stronę Thomasa, ale się zawahała - nie umiał poznać, czy jest wściekła, czy tylko zmartwiona. W końcu podeszła do niego, szarpnięciem odklejając taśmę z ust, i stanęła u jego boku.

Gdy Thomas wstał, jego głowa momentalnie znów zapulsowała bólem, a pokój zafalował, powodując mdłości. Chłopak opadł z powrotem na krzesło.

- O rany. Ma ktoś trochę aspiryny?

Minho tylko się zaśmiał. Brenda podeszła już do podnóża schodów i stanęła tam z założonymi rękami. Coś w jej pozie i ruchach faktycznie sprawiało, że wyglądała na zagniewaną. Potem Thomas przypomniał sobie, co jej powiedział tuż przed tym, zanim stracił przytomność od narkotyku.

Och, szlag, pomyślał. Powiedział jej, że nie jest i nigdy nie będzie Teresą.

- Brenda? - zagadnął z zakłopotaniem. - Żyjesz? - Nie zamierzał wspominać w obecności Minho o ich dziwnym tańcu i tamtej wymianie zdań.

Kiwnęła głową, ale nie odwzajemniła jego spojrzenia.

- Nic mi nie jest. Chodźmy. Chcę się zobaczyć z Jorge. - Krótkie, zwięzłe zdania. Pozbawione emocji.

Thomas jęknął, zadowolony, że ból głowy dostarcza mu alibi. Owszem, była na niego

wściekła. Choć może wściekła nawet nie pasowało tu do końca. Wyglądała raczej na urażoną.

A może w ogóle jej to nie ruszyło, tylko on wyobrażał sobie nie wiadomo co.

Minho podszedł do niego, wyciągnął rękę.

- Chodź, stary. Czy cię głowa boli, czy nie, musimy wiać. Nie wiadomo, jak długo jeszcze uda się nam utrzymać jeńców tam na górze pod kontrolą.

- Jeńców? - powtórzył Thomas.

- Czy jak tam zechcesz ich nazwać. Nie możemy zaryzykować wypuszczenia ich, póki się stąd nie wydostaniemy. W tej chwili dwunastu ludzi trzyma w szachu ponad dwadzieścioro i tamci nie są szczególnie uszczęśliwieni. Gotowi wkrótce uznać, że mogą się na nas rzucić i wygrać. Jak tylko przestanie ich dręczyć kac.

Thomas ponownie dźwignął się na nogi, tym razem dużo wolniej. Ból w jego głowie falował i pulsował niczym miarowe bicie bębna; zdawało się, że każde uderzenie naciska od tyłu na gałki oczne. Zamknął oczy i nie otwierał ich do czasu, aż przestał mieć wrażenie, że wszystko wokół wiruje. Głęboko zaczerpnął tchu, popatrzył na Minho.

- Nic mi nie będzie.

Minho wyszczerzył się do niego w uśmiechu.

- Prawdziwy twardziel z ciebie. Chodź.

Thomas poszedł za przyjacielem w stronę schodów. Na moment zatrzymał się obok Brendy, ale nic nie powiedział. Minho zerknął do tyłu, na Thomasa, z miną mówiącą: A tej co jest? Thomas tylko potrząsnął nieznacznie głową.

Minho wzruszył ramionami, po czym wspiał się pośpiesznie po schodach i opuścił pomieszczenie. Jednak Thomas na chwilę został z tyłu, przy Brendzie. Zdawało się, że dziewczyna nie ma jeszcze ochoty się ruszać. Unikała też patrzenia mu w oczy.

- Przepraszam - powiedział, żałując szorstkich słów, które wypowiedział tuż zanim stracił przytomność. - Zdaje się, że powiedziałem coś niezbyt miłego...

Gwałtownie uniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

- A idź w cholerę, gównie mnie obchodzie, ty i twoja dziewczyna! Po prostu tańczyłam, chciałam się chwilę zabawić, zanim wszystko się spierniczyło. Co ty sobie myślisz, że się w tobie zakochałam, czy co? Ze nie mogę się doczekać dnia, gdy mnie poprosisz, żebym została twoją Poparzoną panną młodą? Weź się obudź.

Jej słowa były tak pełne wściekłości, że urażony Thomas aż cofnął się o krok, czując się, jakby dała mu w twarz. Zanim zdążył odpowiedzieć, dziewczyna zniknęła piętro wyżej, idąc demonstracyjnie ciężkimi krokami i wzdychając. Nigdy jeszcze tak nie tęsknił za Teresą, jak w tej chwili. Pod wpływem impulsu zawołał do niej w myślach. Ale nadal jej nie było.

Smród uderzył go, zanim jeszcze chłopak wszedł do pomieszczenia, gdzie wcześniej tańczyli.

Pot i wymiociny.

Podłogę zaścielały ciała. Jedni z leżących spali, inni kulili się jeden przy drugim, dygocząc, a byli i tacy, którzy wyglądali na martwych. Wśród tego wszystkiego stali na warcie Jorge, Newt i Aris; obracali się powoli, trzymając noże w pogotowiu.

Thomas zobaczył też Patelniaka i pozostałych Streferów. Choć głowa nadal tętniła mu bólem, poczuł falę ulgi i podniecenia.

- Co się z wami działo, chłopaki?! Gdzieście byli?

- Hej, to Thomas! - ryknął Patelniak. - Żywy i równie brzydki, jak zawsze!

Newt podszedł do niego, posłał mu szczery uśmiech.

- Cieszę się jak cholera, że nie zginąłeś, Tommy. Naprawdę, naprawdę się cieszę.

- Ja też się cieszę, że cię widzę żywego. - Thomas z przedziwną obojętnością uświadomił sobie, jak teraz wygląda jego życie. Tak witało się teraz ludzi po jednym czy dwóch dniach rozłąki. - Czy wszyscy tutaj dotarli? Dokąd wyście poszli? Jak się tutaj dostaliście?

Newt skinął głową.

- Nadal jest nas jedenastu. Plus Jorge.

Pytania Thomasa padały szybciej, niż ktokolwiek był w stanie na nie odpowiedzieć.

- Widzieliście jakiś ślad Barkleya i pozostałych? Czy to oni spowodowali tamten wybuch?

Tym, który odpowiedział, był Jorge - Thomas zobaczył, że Latynos stoi najbliżej drzwi, dzierżąc bardzo paskudnie wyglądającą szpadę, której ostrze aktualnie spoczywało na ramieniu Wysokiego Brzydala we własnej osobie. Koński Ogon znajdowała się obok; oboje leżeli skuleni na podłodze.

- Nie widzieliśmy ich od tamtej pory. Dostyc szybko wzięliśmy nogi za pas, a oni za bardzo się boją zagłębiać w miasto.

Widok Wysokiego Brzydala uruchomił w głowie Thomasa dzwonek alarmowy. Blondynek. Gdzie był Blondynek? W jaki sposób Minhó i pozostali mieliby sobie poradzić z jego pistoletem? Rozejrzał się, ale nie wypatrzył mężczyzny nigdzie w pomieszczeniu.

- Minhó - szepnął Thomas, po czym gestem przywołał przyjaciela. Gdy już zarówno Minhó, jak i Newt stali tuż obok niego, pochylił się ku nim. - Ten gość z bardzo krótkimi blond włosami. Sprawiał wrażenie przywódcy. Gdzie on jest?

Minhó wzruszył ramionami i spojrzał na Newta, oczekując odpowiedzi.

- Musiał zwiać - odparł Newt. - Garstce się udało, nie byliśmy w stanie powstrzymać wszystkich.

- Czemu pytasz? - zagadnął Minho. - Martwisz się o niego?

Thomas rozejrzał się, po czym jeszcze bardziej zniżył głos.

- Miał pistolet. Był jedyną osobą, jaką widziałem, która dysponowała czymś gorszym od noża. I nie był szczególnie sympatyczny.

- A kogo to, purwa, obchodzi? - odparł Minho. - Za godzinę wydostaniemy się z tego durnego miasta. I powinniśmy się stąd zwiać. I to już.

Brzmiało to jak najlepszy pomysł, jaki Thomas usłyszał na przestrzeni ostatnich kilku dni.

- Dobra. Chcę się stąd wydostać, zanim on wróci.

- Słuchajcie! - zawołał Minho, dając krok w tył i zaczynając iść przez tłum. - Wynosimy się stąd. Jeśli nie będziecie za nami szli, nic wam się nie stanie. Jeśli spróbujecie za nami pójść, będziecie martwi. Wybór jest dość prosty, nie sądzicie?

Thomas zachodził w głowę, kiedy i w jaki sposób Minho przejął od Jorge rolę przywódcy. Popatrzył na starszego z mężczyzn i zauważył, że Brenda stoi w milczeniu pod ścianą, wpatrując się w podłogę. Czuł się paskudnie w związku z tym, co stało się poprzedniego dnia. Naprawdę chciał ją pocałować. Ale z jakiegoś powodu zarazem brzydziło go to. Może przez narkotyk. Może w związku z Teresą. A może...

- Hej, Thomas! - wrzasnął na niego Minho. - Obudź się, chłopie! Idziemy!

Kilku Streferów już wyszło przez drzwi na zewnątrz, w blask słońca. Jak długo był nieprzytomny z powodu narkotyku? Cały dzień? Czy też zaledwie kilka godzin, od rana? Ruszył za kolegami, zatrzymując się przy Brendzie, żeby ją lekko popchnąć. Przez sekundę martwił się, że dziewczyna nie zechce do nich dołączyć, ale zawahała się tylko przez moment, po czym też ruszyła do drzwi.

Minho, Newt i Jorge zaczęli, stojąc na straży z bronią w pogotowiu, póki wszyscy poza Thomasem i Brendą nie opuścili pomieszczenia. Stojąc przy drzwiach, Thomas patrzył, jak tych trzech wycofuje się, powoli wodząc w powietrzu czubkami noży i szpad. Ale nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek zamierzał im narobić kłopotów. Wszyscy Poparzeńcy prawdopodobnie mieli ochotę jak najszybciej zapomnieć o zajściu, ciesząc się, że w ogóle żyją.

Streferzy zebrali się w zaułku, w pewnej odległości od schodów. Thomas pozostał w pobliżu pierwszego schodka, ale Brenda przeszła między zebranymi, by stanąć po drugiej stronie grupy. Poprzysiągł sobie, że spróbuje z nią pogadać w cztery oczy, gdy tylko znajda

się w bezpiecznym miejscu daleko stąd. Przeprowadzi z nią długą rozmowę. Polubił ją i chciał być jej przyjacielem. Co więcej, teraz żywił do niej dość podobne uczucia, jak do Chucka. Z jakiegoś powodu ogarnęło go przemożne poczucie odpowiedzialności za nią.

-...ruszyć w te pędy.

Thomas potrząsnął głową, uświadamiając sobie, że Minho coś mówi. Jego czaszkę przeszyły sztylety bólu, ale zdołał się skupić.

- Zostało tylko ciut ponad półtora kilometra - ciągnął Minho. - A tym Poparzeńcom wcale nie tak trudno spuścić manto. Więc zróbmy tak...

- Hej!

Ten okrzyk rozległ się za plecami Thomasa, donośny, wpadający niemal w falset. Pobrzmiwało w nim szaleństwo. Chłopak okręcił się na pięcie i ujrzał, że na najniższym schodku, przy otwartych drzwiach stoi Blondynek, wyciągając rękę. W dłoni o zbiegających kostkach, która o dziwo nie drżała, zaciskał pistolet, z zaskakującym spokojem celując prosto w Thomasa.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, mężczyzna nacisnął spust. Wystrzał wstrząsnął wąskim zaułkiem niczym ogłuszający grzmot.

Lewe ramię Thomasa rozdarł przeraźliwy ból.

Impet strzału pchnął Thomasa w tył i okręcił go naokoło, tak, że chłopak upadł plackiem na twarz, rozbijając sobie nos o ziemię. Jakimś cudem poprzez ból oraz stłumione dzwonięcie w uszach usłyszał, jak pistolet wypala raz jeszcze, a potem odgłosy stęknąć i ciosów pięścią, wreszcie zaś - stukot metalowego przedmiotu upadającego na beton.

Chłopak przekręcił się na plecy, mocno przyciskając dłonią miejsce postrzału; zbierał w sobie odwagę, by spojrzeć na ranę. Dzwonięcie w uszach przybrało na sile. Kątem oka zaledwie spostrzegł, że Blondynek został powalony na ziemię. Ktoś tłukł go pięściami ile sił.

Minho.

Thomas w końcu odważył się sprawdzić, jakie obrażenia odniósł. To, co ujrzał, sprawiło, że serce zaczęło mu bić dwa razy szybciej.

Nieduża dziura w koszuli ukazywała mazistą czerwoną plamę dokładnie w mięśniu ramienia, nad pachą. Z rany ciekła krew. Bolało. Cholernie bolało. Sądził, że jego ból głowy tam na dole był paskudny, ale to teraz było jak trzy albo cztery takie bóle, zwinięte ciasno w jeden kolczasty kłęb tkwiący w jego ramieniu. I rozprzestrzeniający się na resztę ciała.

Newt stał nad nim, z niepokojem spoglądając w dół.

- Postrzelił mnie. - Te słowa po prostu wydostały się z ust Thomasa: nowy numer jeden na liście najgłupszych rzeczy, jakie w życiu powiedział. Ten ból, niczym żywe

metalowe zszywki przebijające jego wnętrzności, kłujące i drapiące małymi ostrymi końcówkami. Thomas czuł, jak ciemność ogarnia jego umysł po raz drugi tego dnia.

Ktoś podał Newtowi koszulę, a ten przycisnął ją mocno do rany, sprawiając, że ciało Thomasa przeniknęła kolejna fala męczarni. Krzyknął, nie troszcząc się o to, że brzmi jak beksa. Rana bolała bardziej niż cokolwiek, co w życiu czuł. Świat wokół niego ściemniał o kolejnych kilka tonów.

Zemdlej - błagał sam siebie Thomas. Proszę, zemdlej, niech to minie.

Z oddali znów dobiegły głosy, tak, jak jego własny głos wydawał się dochodzić z daleka na parkiecie, po wypiciu narkotyku.

- Potrafię z niego wyciągnąć to draństwo. - To był, o dziwo, Jorge. - Ale będę potrzebował ognia.

- Nie możemy tego zrobić tutaj. - Czy to był Newt?

- Wynosmy się z tego pikolonego miasta. - Zdecydowanie Minhó.

- Dobra. Pomóżcie mi go nieść. - Cholera wie kto.

Ręce ujmujące go od spodu, łapiące go za nogi. Ból. Ktoś mówiący coś o liczeniu do trzech. Ból. Naprawdę, naprawdę bolało. Raz. Ból. Dwa. Auu. Trzy!

Podniesiono go ku niebu, i ból eksplodował z nową siłą, świeży i palący.

Potem życzenie Thomasa spełniło się - stracił przytomność i czern pochłonęła jego problemy.

Gdy się ocknął, w głowie miał mgłę.

Oślepiało go światło; nie był w stanie otworzyć do końca oczu. Jego całe ciało kołysało się i podskakiwało, kilka par rąk nadal trzymało go mocno. Słyszał oddechy, sapiące i przyspieszone. Tupot butów na chodniku. Czyjeś krzyki, choć zszywki przebijające jego wnętrzności, kłujące i drapiące małymi ostrymi końcówkami. Thomas czuł, jak ciemność ogarnia jego umysł po raz drugi tego dnia.

Ktoś podał Newtowi koszulę, a ten przycisnął ją mocno do rany, sprawiając, że ciało Thomasa przeniknęła kolejna fala męczarni. Krzyknął, nie troszcząc się o to, że brzmi jak beksa. Rana bolała bardziej niż cokolwiek, co w życiu czuł. Świat wokół niego ściemniał o kolejnych kilka tonów.

Zemdlej - błagał sam siebie Thomas. Proszę, zemdlej, niech to minie.

Z oddali znów dobiegły głosy, tak, jak jego własny głos wydawał się dochodzić z daleka na parkiecie, po wypiciu narkotyku.

- Potrafię z niego wyciągnąć to draństwo. - To był, o dziwo, Jorge. - Ale będę potrzebował ognia.

- Nie możemy tego zrobić tutaj. - Czy to był Newt?
- Wynośmy się z tego pikolonego miasta. - Zdecydowanie Minho.
- Dobra. Pomóżcie mi go nieść. - Cholera wie kto.

Ręce ujmujące go od spodu, łapiące go za nogi. Ból. Ktoś mówiący coś o liczeniu do trzech. Ból. Naprawdę, naprawdę bolało. Raz. Ból. Dwa. Auu. Trzy!

Podniesiono go ku niebu, i ból eksplodował z nową siłą, świeży i palący.

Potem życzenie Thomasa spełniło się - stracił przytomność i czern pochłonęła jego problemy.

Gdy się ocknął, w głowie miał mgłę.

Oślepiało go światło; nie był w stanie otworzyć do końca oczu. Jego całe ciało kołysało się i podskakiwało, kilka par rąk nadal trzymało go mocno. Słyszał oddechy, sapiące i przyspieszone. Tupot butów na chodniku. Czyjeś krzyki, choć nie był w stanie rozróżnić słów. W oddali szaleńcze wrzaski Poparzeńców. Na tyle blisko, że być może oznaczały pogoń.

Upał. Powietrze było rozpalone.

Jego ramię również płonęło. Ból wybuchł w nim serią toksycznych eksplozji i Thomas ponownie uciekł w mrok.

Rozchylił powieki.

Tym razem światło było o wiele mniej intensywne. Złota poświata zachodu słońca. Leżał na wznak na twardej ziemi. Jakiś kamień gniótł go w okolice krzyża, ale to uczucie było czymś niebiańskim w porównaniu ze zgnilizną żrącą jego ramię. Wokół tłoczyli się ludzie, wymieniając między sobą krótkie, napięte szepty.

Dzikie rechoty Poparzeńców dobiegały teraz z większej odległości. Thomas widział nad sobą tylko niebo, żadnych budynków. Ból w ramieniu. Och, ten ból.

Gdzieś w pobliżu trzaskało i syczało ognisko. Chłopak poczuł, że owiewa go żar - gorący powiew w gorącym powietrzu.

Ktoś powiedział:

- Lepiej trzymajcie go mocno. Ręce i nogi.

Choć umysł Thomasa nadal spowijała mgła, te słowa nie wróżyły dobrze.

Odblask światła na srebrze w polu jego widzenia, zachodzące słońce odbijające się w... klindze noża? Czy żarzyła się czerwienią?

- To będzie bolało jak jasny piorun. - Nie miał pojęcia, kto to powiedział.

Usłyszał syk tuż przed tym, zanim w jego ramieniu eksplodowały tony dynamitu.

Jego umysł po raz trzeci powiedział: do widzenia.

Tym razem, gdy Thomas się ocknął, wyczuł, że minęło sporo czasu. Kiedy ponownie otworzył oczy, w górze błyszczały gwiazdy, jakby nieznany sprawca podziurawił ciemne niebo szpilkami, wpuszczając przez otworki światło dzienne. Ktoś trzymał go za rękę. Thomas spróbował odwrócić głowę, ale ten ruch sprawił, że wzdłuż jego kręgosłupa popłynęła nowa fala męczarni.

Nie musiał patrzeć. To była Brenda.

Bo kto inny? Poza tym ta dłoń była miękka i drobna. Brenda, bez dwóch zdań.

Wcześniejszy straszliwy ból ustąpił miejsca innym doznaniom. Pod pewnymi względami chłopak czuł się teraz gorzej. W jego wnętrznościach rozpełzało się coś, co było chyba chorobą. Gryzące, swędzące plugastwo. Coś ohydneho, niczym larwy much wijące się w jego żyłach, w jamach wewnątrz kości i między mięśniami. Zżerające go.

Bolało, ale teraz ten ból przeszedł w tępe ćmienie. Głębokie i dojmujące. Żołądek chłopaka burczał i buntował się, a w żyłach płonął ogień.

Nie wiedział, skąd to wie, ale był pewien, że coś jest nie w porządku.

Słowo zakażenie pojawiło się w jego umyśle i pozostało tam.

Odpłynął w niebyt.

Rano Thomasa obudził wschód słońca. Pierwsze, co chłopak sobie uświadomił, to że Brenda już go nie trzyma za rękę. Potem poczuł na skórze chłodne powietrze wczesnego ranka, co dało mu króciutką chwilę przyjemności.

Potem w pełni zdał sobie sprawę z pulsującego bólu, który załagał się w jego ciele, ogarniając, jak się zdawało, nawet najmniejsze molekuły. To nie miało już nic wspólnego z ramieniem i raną postrzałową. Coś okropnego stało się z całym jego organizmem.

Zakażenie. Znów to słowo.

Nie wiedział, jak ma przetrwać następnych pięć minut. Albo następną godzinę. Jakim cudem ma przeżyć cały dzień? Potem zasnąć, a rano niech wszystko zacznie się od nowa? Thomasa ogarnęła rozpacz, ziejąca próżnia, która groziła mu wessaniem w jeszcze straszniejszą otchłań. Wybuchła w nim podszyta paniką szalona gonitwa myśli. A wszystko to przenikał ból.

I wtedy zaczęły się dziać naprawdę dziwne rzeczy.

Pozostali wcześniej niż Thomas usłyszeli, że coś się dzieje. Minho oraz reszta ekipy w pewnym momencie zaczęli się gorączkowo zrywać i rozglądać za czymś. Wiele przepatrywało niebo. Niebo? Czemu mieliby to robić?

Ktoś - chyba Jorge - wykrzyczał słowo „górolot”.

Potem Thomas usłyszał ten dźwięk. Głębokie dudnienie, pełne głuchych uderzeń.

Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, stało się głośniejsze, i wkrótce poczuł się tak, jakby hałas tłukł się wewnątrz jego czaszki, wprawiając żuchwę oraz bębny uszu w bolesne wibracje i spływając w dół kręgosłupa. Ciągłe, miarowe bicie jakby w największe bębny świata, a poza tym wszystkim potężny pomruk ciężkiej maszynierii. Zerwał się wiatr, i Thomas w pierwszej chwili przestraszył się, że znów zaczyna się burza, ale niebo było nieskazitelnie błękitne. Ani jednej chmurki.

Hałas sprawił, że dręczący go ból stał się jeszcze bardziej dokuczliwy i Thomas znów zaczął odpływać w nieświadomość. Ale walczył z tym, rozpaczliwie chcąc zobaczyć, co jest źródłem dźwięków. Minho wykrzyczał coś, wskazując ręką na północ. Thomas był zbyt obolały, żeby się przekręcić i spojrzeć. Wiatr nasilił się, chłopak czuł na ciele jego podmuchy, szarpiące gwałtownie za ubranie. Powietrze wypełniło się kurzem. Nagle przy boku Thomasa znów pojawiła się Brenda. Mocno ścisnęła go za rękę.

Nachyliła się tak, że jej twarz znalazła się tylko kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony.

- Przepraszam - powiedziała, choć ledwie ją słyszał. - Nie chciałam... To znaczy, wiem, że ty... - Daremnie szukając słów, odwróciła wzrok.

O czym ona mówiła? I czemu nie powiedziała mu, co to za okropny hałas?! Wszystko tak strasznie go bolało...

Na twarzy Brendy pojawił się wyraz dziwnej zgrozy; jej oczy rozszerzyły się, rozwarła usta. W następnej chwili odepchnęło ją na bok dwóch...

Teraz Thomasa ogarnęła panika. Dwóch ludzi, ubranych w najdziwniejsze stroje, jakie kiedykolwiek widział. Jednocześnie, workowate i ciemnozielone, z wypisanymi na piersi literami, których nie był w stanie odczytać. Ich twarze skryte były za goglami. Nie, nie za goglami. To było coś w rodzaju maski gazowej. Wyglądali ohydnie i obco. Złowroźnie, jak olbrzymie, obłąkane, ludożercze insekty otulone plastikiem.

Jeden z nich chwycił Thomasa za nogi w kostkach. Drugi wsunął pod niego rękę, chwycił go pod pachami, a chłopak wrzasnął. Unieśli go, a ból przeszył jego ciało. Thomas zdążył się już niemal przyzwyczaić do ciągłych męczarni, ale teraz było jeszcze gorzej. Próby szamotania się zanadto nasilały cierpienie, więc oklapł.

Potem ruszyli, niosąc go, i oczy chłopaka po raz pierwszy odzyskały ostrość widzenia na tyle, żeby przeczytać litery na piersi osoby, która trzymała go za nogi. DRESZCZ.

Ciemność znów upomniała się o niego. Pozwolił jej się wchłonąć, lecz ból towarzyszył mu nadal.

Po przebudzeniu Thomas znów ujrzał oślepiający biały blask, który tym razem świecił

mu z góry prosto w oczy Natychmiast zorientował się, że to nie słońce - ta jasność była inna. Poza tym jej źródło znajdowało się w pobliżu. Nawet gdy zacisnął powieki, powidok żarówki nadal płynął przez ciemność.

Chłopak usłyszał głosy - a raczej szepty. Nie był w stanie zrozumieć ani słowa. Mówiono zbyt cicho, akurat wystarczająco daleko, żeby nie dało się rozróżnić treści.

Do jego uszu dotarło szczęknięcie i postukiwanie metalu o metal. Ciche odgłosy, i pierwsze, o czym pomyślał, to narzędzia chirurgiczne. Skalpele oraz ta lustreczka z długim uchwytem. Te obrazy wypłynęły z mrocznych głębin jego pamięci, i zestawiając je ze światłem, już wiedział.

Zabrano go do szpitala. Szpital. Ostatnie, czego Thomas spodziewałby się na Pogorzelsku. A może zabrano go gdzieś daleko? Bardzo daleko? Może przez Płaski Przenoś?

Światło przeciął cień i Thomas otworzył oczy. Ktoś spoglądał na niego z góry, ktoś ubrany w taki sam idiotyczny strój jak ci, którzy go tutaj sprowadzili. Maski gazowe, czy cokolwiek to było. Duże gogle. Za szklami ochronnymi chłopak ujrzał ciemne oczy wpatrzone w niego. Oczy kobiety, choć nie wiedział, po czym to poznał.

- Słyszysz mnie? - zapytała. Tak, to była kobieta, choć maska zniekształcała jej głos.

Thomas spróbował kiwnąć głową, lecz nie wiedział, czy mu się ostatecznie udało, czy nie.

- To się nie miało zdarzyć. - Nieznacznie odchyliła twarz do tyłu i spojrzała w inną stronę, z czego chłopak wywnioskował, że ta uwaga nie była skierowana do niego. - Jakim cudem komuś udało się przemycić do tego miasta działającą broń palną? Macie pojęcie, ile brudu i produktów korozji musiało się znajdować na tej kuli? Nie mówiąc już o zarazkach.

Jej głos brzmiał bardzo gniewnie.

Jakiś mężczyzna odpowiedział:

- Po prostu rób swoje. Musimy go odesłać z powrotem. I to szybko.

Thomas zaledwie nadążał z przetwarzaniem w głowie tego, co mówili. W jego ramieniu na nowo rozkwitł ból, teraz niemożliwy do zniesienia.

Chłopak stracił przytomność po raz nie wiadomo który.

Po czym znów się ocknął.

Coś się zmieniło. Nie potrafił poznać, co. To samo światło jarzyło się w górze, w tym samym miejscu; tym razem, zamiast zamykać oczy, spojrzał w bok. Teraz widział lepiej, ostrzej. Dostrzegł srebrzyste kwadratowe płytki, którymi wyłożony był sufit, oraz stalowe ustrojstwo z mnóstwem różnych pokręteł, przełączników i ekranów. Nie miał pojęcia, do czego to wszystko służy.

Potem nagle spadło na niego olśnienie. Ogarnął go taki szok i zachwyt, że chłopak z trudem był w stanie uwierzyć, iż to prawda.

Nie czuł w ogóle bólu. Żadnego. Zupełnie nic.

Wokół niego nie stali już ludzie. Żadnych kosmitów w wariackich zielonych kombinezonach, żadnych gogli, nikogo dłubiącego mu skalpelem w ramieniu. Wyglądało na to, że Thomas jest sam, a nieobecność bólu była dlań czystą ekstazą. Nie wiedział, że można się czuć tak dobrze.

Nie można. Musieli go czymś naszprycować.

Odpłynął w płytki sen.

* * *

Drgnął, słysząc ciche głosy, choć dotarły do niego przez mgiełkę narkotycznego otępienia.

Jakimś cudem wiedział, że nie wolno mu otwierać oczu. Chciał sprawdzić, czy uda mu się cegokolwiek dowiedzieć na temat ludzi, którzy go zabrali. Ludzi, którzy najwyraźniej go połatali i wyleczyli z zakażenia.

Mówił jakiś mężczyzna.

- Mam pewność, że to niczego nie spieprzy?

- Ja mam stuprocentową. - To była kobieta. - No, powiedzmy, tak stuprocentową, jak to możliwe. Jeśli już, może to zastymfować w strefie zagłady wzór, którego się nie spodziewaliśmy. Taki mały bonus? Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło pchnąć jego lub kogokolwiek innego w kierunku, który uniemożliwiłby powstanie innych wzorów, o które nam chodzi.

- Boże święty, mam nadzieję, że się nie mylisz - odparł mężczyzna.

Odezwała się inna kobieta. Jej głos był wysoki, niemal krystalicznie dźwięczny.

- Jak sądzicie, ilu spośród tych, którzy przeżyli do tej pory, pozostaje realnymi Kandydatami? - Thomas wyczuł w tym słowie wielką literę: Kandydaci. Skonfundowany, starał się pozostać w bezruchu, nasłuchiwać.

- Zostało nam już tylko czterech czy pięciu - odparła pierwsza kobieta. - Obecny tu Thomas jest jak dotąd naszą największą nadzieją. Bardzo gwałtownie reaguje na Zmienne. Czekajcie, mam wrażenie, że jego oczy się poruszyły.

Thomas zamarł, starając się patrzeć dokładnie na wprost, w ciemność swoich powiek. Było to trudne, ale zmusił się, żeby oddychać tak równo, jakby spał. Nie wiedział, o czym właściwie mówią ci ludzie, ale desperacko pragnął usłyszeć więcej. Wiedział, że musi usłyszeć więcej.

- A kogo to obchodzi, jeśli podsłuchuje? - zapytał mężczyzna. - Nie ma możliwości, by zrozumiał wystarczająco dużo, żeby mogło to w jakikolwiek sposób wpłynąć na jego reakcje. Dobrze mu robi świadomość, że zrobiliśmy gigantyczny wyjątek, żeby mu wyleczyć to zakażenie. Ze DRESZCZ robi to, co musi, gdy zajdzie konieczność.

Kobieta o wysokim głosie roześmiała się i był to jeden z najmielszych dźwięków, jakie Thomas kiedykolwiek słyszał.

- Jeżeli nas słuchasz, Thomasie, nie ekscytuj się zanadto. Zaraz zrzucimy cię z powrotem tam, skąd cię wzięliśmy.

Zdawało się, że poziom leków we krwi chłopaka gwałtownie wzrósł, bo Thomas poczuł, że tonie w rozkosznej nieświadomości. Próbował otworzyć oczy, ale nie był w stanie. Zanim odpłynął, usłyszał jeszcze jedną rzecz, z ust pierwszej kobiety. Coś bardzo dziwnego.

- Sam byś tego od nas oczekiwał.

Tajemniczy ludzie dotrzymali słowa.

Tym razem, kiedy Thomas się przebudził, znajdował się w powietrzu, mocno przywiązany do wyposażonych w uchwyty noszy z grubego płótna, które kołysały się to w jedną, to w drugą stronę. Wisiały na grubej linie umocowanej do kółka z niebieskiego metalu i były powoli opuszczane z czegoś olbrzymiego przy nieustającym akompaniamencie tej samej burzy pomruków oraz głuchych łupnięć, jakie słyszał, gdy po niego przylecieli. Przerażony, mocno uchwycił się krawędzi noszy.

Wreszcie poczuł lekki wstrząs, a w następnej chwili wokół niego pojawił się milion twarzy. Minho, Newt, Jorge, Brenda, Patelniak, Aris, pozostali Streferzy Lina odcepila się od noszy i śmignęła w górę. Niemal w tej samej chwili statek, z którego Thomas został spuszczone na ziemię, gwałtownie wzbił się wyżej, znikając w jaskrawym blasku słońca wiszącego bezpośrednio nad ich głowami. Odgłosy silników ścichły i wkrótce zniknęły w oddali.

Wtedy wszyscy zaczęli gadać jeden przez drugiego.

- O co w tym chodziło?

- Nic ci nie jest?

- Co oni ci zrobili?

- Kto to był?

- Dobrze się bawiłeś na pokładzie górolotu?

- Jak tam twoje ramię?

Thomas zignorował to wszystko i spróbował wstać, ale zorientował się, że sznury, którymi został przywiązany do noszy, nadal mocno trzymają. Odnalazł spojrzeniem Minho.

- Pomożecie mi z tym?

Kiedy Minho i paru pozostałych biedziło się nad tym, żeby go rozwiązać, Thomasowi przemknęła przez głowę niepokojąca myśl. Ludzie z DRESZCZu pojawili się dosyć szybko, żeby go uratować. Z tego co mówili, było to coś, czego nie zaplanowali, ale zrobili to tak czy owak. To oznaczało, że obserwowali ich grupę i mogli interweniować, żeby ich uratować, gdy tylko chcieli.

Ale dotąd nie postąpili tak ani razu. Ilu ludzi zginęło na przestrzeni kilku ostatnich dni, podczas gdy DRESZCZ tylko biernie się przyglądał? I dlaczego w przypadku Thomasa stało się inaczej, tylko dlatego, że został postrzelony skorodowaną kulą?

Było tego za dużo, żeby się głowić nad wszystkim.

Gdy Thomas wreszcie został uwolniony, dźwignął się na nogi i spróbował rozruszać mięśnie, ignorując drugą lawinę pytań. Dzień był upalny, brutalnie upalny, i gdy chłopak się przeciągał, uświadomił sobie, że nie czuje żadnego bólu poza najlżejszym ćmieniem w ramieniu. Spojrzał w dół i zobaczył, że ma na sobie świeże ubranie, a pod lewym rękawem koszuli widnieje wybrzuszenie bandaża. Ale jego myśli natychmiast pomknęły w inną stronę.

- Ej, co wy robicie na otwartej przestrzeni? Skóra się wam upiecze!

Minho nie odpowiedział, tylko wskazał ręką za siebie. Thomas popatrzył w tamtą stronę i ujrzał bardzo nędzną chatkę. Sklecono ją z suchego drewna, które wyglądało, jakby mogło się w każdej chwili rozsypać w proch, ale była wystarczająco duża, żeby zapewnić schronienie wszystkim obecnym.

- Lepiej schowajmy się z powrotem pod dach - powiedział Minho. Thomas uświadomił sobie, że musieli wybiec na zewnątrz tylko po to, żeby zobaczyć, jak zostaje spuszczone na ziemię z olbrzymiego latającego... górolotu? Jorge nazwał tę maszynę górolotem.

Cała grupa wróciła do chatki; Thomas w tym czasie zdążył im powtórzyć z tuzin razy, że wyjaśni wszystko od początku do końca, gdy tylko usiądą. Brenda odnalazła go, szła tuż przy nim. Ale nie wyciągnęła do niego ręki, co Thomas przyjął z niepewną ulgą. Nie odezwała się też do niego ani słowem, więc on do niej też nie.

Żałosne miasto Poparzeńców znajdowało się teraz kilka mil za nimi, skulone w całym swym rozkładzie i szaleństwie na południu. Nigdzie nie było ani śladu zarażonych ludzi. Na północy wznosiły się teraz góry, odległe o jakiś dzień drogi. Urwiste i pozbawione życia, wznosiły się coraz wyżej, kończąc się spiczastymi brązowymi turniami. Nierówne wcięcia w skałach sprawiały, że cały łańcuch wzniesień wyglądał tak, jakby jakiś olbrzym całymi dniami siekał go potężnym toporem, odreagowując swoją olbrzymią frustrację.

Dotarli do schronienia. Drewno chatki było suche niczym spróchniała kość. Konstrukcja wyglądała tak, jakby stała tu od stu lat, może zbudowana przez jakiegoś farmera na krótko przed tym, zanim świat uległ spustoszeniu. Całkowitą zagadką było, jakim sposobem oparła się zniszczeniu. Ale przypuszczalnie wystarczyłaby jedna zapalka, żeby całość spłonęła w jakieś trzy sekundy.

- Dobra - powiedział Minho, wskazując miejsce w cieniu, w głębi chatki. - Siadaj tam, rozgość się i zacznij gadać.

Thomas nie mógł uwierzyć, jak dobrze się czuje - jedyną pamiątką niedawnych wydarzeń było tępe ćmienię w ramieniu. I nie wydawało mu się, żeby w jego organizmie pozostały jeszcze jakieś ślady leków przeciwbólowych. Lekarze, w których ręce DRESZCZ go oddał, musieli być świetni w swoim fachu. Usiadł i poczekał, aż pozostali rozlokują się przed nim, siadając po turecku na rozgrzanej, pylistej ziemi. Przypominał nauczyciela przygotowującego się do poprowadzenia lekcji - jeszcze jeden zamazany przeblask z przeszłości.

Minho zajął miejsce jako ostatni, siadając tuż obok Brendy.

- Dobra, opowiedz nam o swojej przygodzie z kosmitami w ich wielkim, groźnym statku kosmicznym.

- Jesteś pewien, że chcesz, żebym gadał? - spytał Thomas. - Ile dni nam zostało na przejście przez te góry do bezpiecznej przystani?

- Pięć dni, stary. Ale wiesz, że nie możemy łązić w tym słońcu, nie mając niczego, pod czym moglibyśmy się schować. Opowiesz nam, co masz do opowiedzenia, potem pójdziemy spać, a potem wszyscy będziemy zasuwać do upadłego na piechotę przez całą noc. Dawaj.

- Ogay - odrzekł Thomas, zastanawiając się, co tamci robili pod jego nieobecność. Uświadomił sobie jednak, że nie ma to aż takiego znaczenia. - Dzieci, zachowajcie pytania na koniec. - Gdy ani jedna osoba się nie roześmiała, ani nawet nie uśmiechnęła, odkasznął i pospieszenie mówił dalej. - To DRESZCZ przyleciał i mnie zgarnął. Co rusz traciłem przytomność, ale zabrali mnie do jakichś lekarzy, którzy mnie poskładali do kupy. Słyszałem, jak mówili, że to się nie miało zdarzyć, że ten pistolet był czynnikiem, którego się nie spodziewali. Kula spowodowała paskudne zakażenie, i wydaje mi się, że mieli bardzo sprecyzowane poglądy w kwestii tego, że jeszcze nie pora, abym umierał.

Pozbawione wyrazu twarze wpatrywały się w niego.

Thomas wiedział, że to będzie dla nich trudne do zaakceptowania - nawet po tym, jak już opowie im całą historię.

- Tylko powtarzam to, co usłyszałem.

Kontynuował wyjaśnianie. Opisał każdy szczegół tego, co był w stanie sobie przypomnieć, w tym dziwną konwersację przy łóżku, którą podsłuchał. Wzmianki o wzorach w strefie zagłady i o Kandydatach. Więcej mówienia o Zmiennych. Za pierwszym razem nic z tego nie trzymało się kupy, a teraz, gdy starał się odtworzyć te wypowiedzi słowo po słowie, brzmiały jeszcze bardziej bezsensownie. Streferzy - jak również Jorge i Brenda - wyglądali na tak samo sfrustrowanych, jak Thomas się czuł.

- No cóż, to naprawdę wyjaśniło parę rzeczy - stwierdził w końcu Minho. - Ta historia musi mieć coś wspólnego z tamtymi znakami na twój temat w mieście.

Thomas wzruszył ramionami.

- Dobrze wiedzieć, że tak się cieszysz, widząc mnie żywego.

- Hej, jeśli chcesz być przywódcą, nie ma sprawy. Naprawdę cieszę się, że cię widzę żywego.

- Nie, dzięki. Zatrzymaj sobie tę fuchę.

Minho nie odpowiedział. Thomas nie mógł zaprzeczyć, że znaki również i jemu poważnie dają do myślenia: co to tak naprawdę znaczyło, że DRESZCZ chce, aby on był przywódcą? I co powinien z tym teraz zrobić?

Newt dźwignął się na nogi; jego twarz była zmarszczona w grymasie głębokiego skupienia.

- Więc wszyscy jesteśmy potencjalnymi kandydatami do czegoś. I może celem tego całego cholernego fujstwa, przez jakie przeszliśmy, miało być wyeliminowanie tych, którzy się nie kwalifikują. Ale z jakiegoś powodu cała ta historia z pistoletem i skorodowaną kulą nie była częścią... normalnych testów. Czy Zmiennych, jak zwał, tak zwał. Jeśli Thomas ma kopnąć w kalendarz, zgodnie z ich zamierzeniem nie ma się to stać z powodu jakiegoś cholernego zakażenia.

Thomas kiwnął głową, sznurując usta. Jego zdaniem takie podsumowanie brzmiało świetnie.

- W praktyce to oznacza, że nas obserwują - powiedział Minho. - Dokładnie tak samo, jak w Labiryncie. Czy ktoś zauważył biegającego gdziekolwiek żukolca?

Kilku Streferów przecząco pokręciło głowami.

- Czym, do cholery, jest żukolec? - zapytał Jorge.

Thomas odpowiedział:

- Małe mechaniczne jaszczurkowate stwory, które nas szpiegowały w Labiryncie przy pomocy kamer.

Jorge przewrócił oczami.

- Jasne. Sorry, że spytałem.

- Labirynt z całą pewnością był obiektem leżącym w zamkniętej przestrzeni, pod dachem - odezwał się Aris. - Ale teraz już po prostu nie ma możliwości, żebyśmy się znajdowali wewnątrz jakiejś budowli. Choć, jak przypuszczam, mogliby wykorzystywać satelity albo kamery zdolne filmować z dużej odległości.

Jorge odchrząknął.

- Co jest takiego w Thomasie, co czyni go tak szczególnym? Te znaki w mieście głoszące, że jest prawdziwym przywódcą, a później przyłot tych ludzi tutaj, żeby uratować mu tyłek po tym, jak się pochorował. - Popatrzył na Thomasa. - Nie próbuję być niemiły, muchacho, jestem po prostu ciekaw. Co czyni cię lepszym od reszty twoich kolegów?

- Nie jestem nikim szczególnym - odparł Thomas, choć wiedział, że coś ukrywa. Nie wiedział tylko, co. - Słyszałeś, co tamci powiedzieli. Tam na zewnątrz można odnieść śmierć na mnóstwo sposobów, ale tamten pistolet nie powinien się do nich zaliczać. Myślę, że uratowaliby każdego, kto by został postrzelony. Nie chodziło o mnie, to ta kula wszystko zepsuła.

- Mimo wszystko - odrzekł Jorge z drwiącym uśmiechem - myślę, że od tej pory będę się trzymał blisko ciebie.

Wywiązało się kilka dalszych dyskusji, ale Minho nie pozwolił im się długo ciągnąć. Upierał się, że wszyscy potrzebują snu, jeżeli planują maszerować przez całą noc. Thomas nie narzekał - stawał się bardziej zmęczony z każdą sekundą siedzenia w gorącym powietrzu na gorącej ziemi. Może sprawiło to jego gojące się ciało, a może tylko upał. Tak czy inaczej sen go wzywał..

Nie mieli koców ani poduszek, więc Thomas skulił się na ziemi w tym samym miejscu, gdzie jeszcze niedawno siedział i przemawiał. Oparł głowę na złożonych rękach. Brenda jakimś sposobem znalazła się tuż obok niego, chociaż nic nie mówiła i z całą pewnością nie próbowała go dotykać. Thomas nie wiedział, czy kiedykolwiek uda mu się ją rozgryźć.

Powoli zaczerpnął głęboki oddech, zamknął oczy i z ulgą powitał odpoczynek, to ciężkie uczucie senności, które już zaczynało go ściągać w głębinę. Dźwięki wokół niego wydawały się cichnąć, powietrze - gęstnieć. Ogarnął go spokój, a potem sen.

Słońce wciąż jeszcze płonęło na nieboskłonie, kiedy w głowie Thomasa rozbrzmiał głos, który go obudził.

Głos dziewczyny.

Teresa.,

Po iluś dniach całkowitego milczenia Teresa zaczęła z nim telepatycznie rozmawiać, w pośpiechu wyrzucając z siebie lawinę słów.

- Tom, nawet nie próbuj mi odpowiadać, po prostu słuchaj. Jutro przydarzy ci się coś strasznego. Okropna, okropna rzecz. Będzie cię bolało i będziesz przerażony. Ale musisz mi zaufać. Bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, co zobaczysz, bez względu na to, co usłyszysz, bez względu na to, co będziesz myślał. Musisz mi ufać. Nie będę mogła z tobą rozmawiać.

Zamilkła na moment, ale Thomas był tak oszołomiony i tak usilnie starał się zrozumieć, co powiedziała - upewnić się, że wszystko zapamiętał - że nie zdążył wtrącić ani słowa, zanim znów zaczęła mówić.

- Muszę już iść. Przez jakiś czas nie będziesz miał ode mnie żadnych wieści.

Jeszcze jedna pauza.

- Aż do czasu, gdy się znów spotkamy.

Nieskładnie próbował odpowiedzieć, ale jej głos i obecność zniknęły, znów pozostawiając po sobie tylko pustkę.

Upłynęło dużo czasu, zanim Thomasowi znów udało się zapaść w sen.

Nie miał żadnych wątpliwości, że to naprawdę była Teresa. Najmniejszych. Podobnie jak wcześniej, ilekroć rozmawiali ze sobą, tak i teraz czuł jej obecność, wychwytywał jej emocje. Była z nim, nawet jeśli tylko przez krótki czas. A kiedy zniknęła, zdawało się, że potężna otchłań w jego wnętrzu została odsłonięta na nowo. Jakby w dniach od czasu zniknięcia dziewczyny powoli napłynęła tam gęsta ciecz i wypełniła tę kawernę, tylko po to, aby ponowne pojawienie się i odejście Teresy na nowo wyssało ją do sucha.

Tak w ogóle, co ona miała na myśli? Miało go spotkać coś strasznego, ale było konieczne, żeby jej zaufał? Nie potrafił tego ogarnąć umysłem na tyle, żeby trzymało się kupy. I, choć jej ostrzeżenie brzmiało tak złowroźnie, jego myśli cały czas krążyły wokół jej ostatniej wypowiedzi, tej o tym, że znowu się spotkają. Czy była to próba mamienia go fałszywą nadzieją? A może znaczyło to, że Teresa liczy, iż Thomas przetrwa to coś paskudnego i wyjdzie z tego cało? Znowu dołączy do niej? Przez jego głowę przebiegały wizje różnych możliwości, ale wszystkie wydawały się lądować w przygnębiającym ślepych zaułku.

Dzień stawał się coraz gorętszy i gorętszy, podczas gdy chłopak wiercił się i przewracał z boku na bok, prześladowany przez swoje myśli. Już niemal zdążył się przyzwyczaić do nieobecności Teresy, a fakt ten teraz przyprawiał go o mdłości. Co gorsza, czuł się tak, jakby ją zdradził, pozwalając Brendzie zostać jego przyjaciółką, tak bardzo przywiązując się do niej.

Jak na ironię, jego pierwszym, instynktownym odruchem było wyciągnąć rękę i zbudzić Brendę, porozmawiać o tym z nią. Czy to było złe? Czuł się tak sfrustrowany i ogłupiony, że miał ochotę wrzeszczeć.

Po prostu coś wspaniałego dla kogoś starającego się z powrotem zasnąć w okropnym upale.

Słońce przepelzło połowę drogi w stronę horyzontu, zanim w końcu udało mu się zapaść w sen.

Poczuł się nieco lepiej późnym wieczorem, kiedy Newt obudził go potrząsaniem. Krótka wizyta Teresy w głowie Thomasa wydawała się teraz snem. Chłopak niemal był w stanie uwierzyć, że to się w ogóle nie wydarzyło.

- Dobrze spałeś, Tommy? - zapytał Newt. - Jak tam twoje ramię?

Thomas usiadł, przetarł oczy. Choć z pewnością nie spał dłużej niż trzy czy cztery godziny, to jego sen był głęboki i niczym niezakłócony. Chłopak potarł ramię, żeby sprawdzić jego stan, i znów poczuł zaskoczenie.

- Właściwie to miewa się bardzo dobrze. Troszkę pobolewa, ale nie za bardzo. Trudno uwierzyć, że wcześniej bolało tak strasznie.

Newt spojrzał przez ramię na Streferów, przygotowujących się do wymarszu, a potem z powrotem na Thomasa.

- Mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy za wiele, odkąd opuściliśmy tamto pieprzone dormitorium. Fakt, nie było za bardzo czasu, żeby spokojnie posiedzieć i wypić herbatkę.

- Taa. - Z jakiegoś powodu te słowa sprawiły, że Thomas pomyślał o Chucku, i w jednej chwili powrócił do niego cały ból spowodowany śmiercią przyjaciela. Co tylko kazało mu od nowa znienawidzić ludzi, którzy stali za tym wszystkim. Chłopak przypomniał też sobie frazę, którą zapisała Teresa.

- Nie rozumiem, jak DRESZCZ może być dobry.

- Ze co?

- Pamiętasz, co Teresa napisała sobie na rękę po tym, jak się po raz pierwszy ocknęła? Wiedziałaś o tym w ogóle? Napisała: DRESZCZ jest dobry. Trochę trudno mi w to uwierzyć.

- Sarkazm w jego głosie nie był bynajmniej skrywany.

Na twarzy Newta malował się dziwny uśmiech.

- No cóż, dopiero co uratowali ci pieprzone życie.

- Taa, prawdziwe z nich anioły. - Thomas nie mógł zaprzeczyć, że jest skonfundowany. Faktycznie, uratowali mu życie. Wiedział też, że kiedyś dla nich pracował. Ale nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy.

Brenda, która od jakiegoś czasu wierciła się przez sen, teraz w końcu usiadła i głośno ziewnęła.

- Dzień dobry. Albo dobry wieczór. Wszystko jedno.

- Jeszcze jeden dzień na tym świecie - odparł Thomas, po czym uświadomił sobie, że Newt może nie mieć pojęcia, kim jest Brenda. Zupełnie się nie orientował, co działo się w grupie, odkąd go postrzelono. - Zakładam, że mieliście już czas się poznać? Jeśli nie, Brendo, to jest Newt. Newt, Brenda.

- Taa, już wiemy. - Newt wyciągnął rękę i żartobliwie uścisnął jej dłoń. - Ale dzięki raz jeszcze za zadbanie o to, żeby ta cholerna beksa nie postradała życia, kiedy imprezowaliście sobie na mieście.

Jej twarz rozjaśnił najlżejszy ślad uśmiechu.

- Imprezowaliśmy. Jaasne. Najlepiej się bawiłam, kiedy chciano nam obcinać nosy. - Popatrzyła na nich trochę ze

- Taa. - Z jakiegoś powodu te słowa sprawiły, że Thomas pomyślał o Chucku, i w jednej chwili powrócił do niego cały ból spowodowany śmiercią przyjaciela. Co tylko kazało mu od nowa znienawidzić ludzi, którzy stali za tym wszystkim. Chłopak przypomniał też sobie frazę, którą zapisała Teresa.

- Nie rozumiem, jak DRESZCZ może być dobry.

- Ze co?

- Pamiętasz, co Teresa napisała sobie na rękę po tym, jak się po raz pierwszy ocknęła? Wiedziałaś o tym w ogóle? Napisała: DRESZCZ jest dobry. Trochę trudno mi w to uwierzyć.

- Sarkazm w jego głosie nie był bynajmniej skrywany.

Na twarzy Newta malował się dziwny uśmiech.

- No cóż, dopiero co uratowali ci pieprzone życie.

- Taa, prawdziwe z nich anioły. - Thomas nie mógł zaprzeczyć, że jest skonfundowany. Faktycznie, uratowali mu życie. Wiedział też, że kiedyś dla nich pracował. Ale nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy.

Brenda, która od jakiegoś czasu wierciła się przez sen, teraz w końcu usiadła i głośno ziewnęła.

- Dzień dobry. Albo dobry wieczór. Wszystko jedno.

- Jeszcze jeden dzień na tym świecie - odparł Thomas, po czym uświadomił sobie, że Newt może nie mieć pojęcia, kim jest Brenda. Zupełnie się nie orientował, co działo się w grupie, odkąd go postrzelono. - Zakładam, że mieliście już czas się poznać? Jeśli nie, Brendo, to jest Newt. Newt, Brenda.

- Taa, już wiemy. - Newt wyciągnął rękę i żartobliwie uścisnął jej dłoń. - Ale dzięki raz jeszcze za zadbanie o to, żeby ta cholerna beksa nie postradała życia, kiedy imprezowaliście sobie na mieście.

Jej twarz rozjaśnił najłżejszy ślad uśmiechu.

- Imprezowaliśmy. Jaasne. Najlepiej się bawiłam, kiedy chciano nam obcinać nosy. - Popatrzyła na nich trochę ze wstydem, a trochę z rozpaczą. - Przypuszczam, że jeszcze trochę i ja też stanę się takim psycholem.

Thomas nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Przypuszczalnie nie jesteś w dużo bardziej zaawansowanym stadium choroby niż my. Pamiętaj, że...

Brenda nie pozwoliła mu dokończyć.

- Taa, wiem. Zabierzcie mnie do miejsca, gdzie dostanę czarodziejski lek. Wiem. - Wstała, w oczywisty sposób ucinając rozmowę.

Thomas popatrzył na Newta, który wzruszył ramionami. Potem, dźwignąwszy się na klęczki, nachylił się i szepnął:

- Ona jest twoją nową dziewczyną? Naskarżę Teresie. - Zachichotał do siebie, po czym odszedł.

Thomas jeszcze przez minutę siedział w miejscu, przytłoczony tym wszystkim. Teresa, Brenda, jego przyjaciele. Ostrzeżenie, które otrzymał. Pożoga. Fakt, że zostało im tylko kilka dni na przejście przez te góry. DRESZCZ. To, co czekało na nich w bezpiecznej przystani oraz w przyszłości.

Za dużo. Za dużo było tego wszystkiego.

Musiał przestać myśleć. Był głodny, i ten problem mógł rozwiązać. Więc wstał i poszedł szukać czegoś do zjedzenia.

I Patelniak spełnił pokładane w nim nadzieje.

* * *

Wyruszyli akurat w momencie, gdy słońce skryło się za horyzontem, sprawiając, że pylista, pomarańczowa kraina nabrała niemalże purpurowej barwy. Thomas był zesztywniały i zmęczony. Wprost palił się do tego, żeby wylądować w marszu trochę energii i rozluźnić mięśnie.

Góry stopniowo stały się poszarpanymi wyniosłościami cienia; w miarę jak szli, rosły coraz bardziej. W zasadzie nie było pogórza; płaska nizina po prostu rozciągała się aż do miejsca, gdzie grunt gwałtownie wspinał się ku niebu pionowymi urwiskami oraz stromymi zboczami. Wszystkie te skały były brązowe i brzydkie, pozbawione życia. Thomas miał

nadzieję, że gdy już dojdą tak daleko, ujrzą jakąś wyraźną ścieżkę.

Gdy tak maszerowali, prawie nikt się nie odzywał. Brenda trzymała się w pobliżu, ale milczała. Nie rozmawiała nawet z Jorge. Ten stan rzeczy doprowadzał Thomasa do szału. To, że relacje między nim a Brendą nagle stały się tak niezręczne. Lubił ją, prawdopodobnie bardziej niż lubił teraz kogokolwiek poza Newtem i Minho. Oraz, oczywiście, Teresą.

Kiedy zapadła ciemność, a ich jedynym drogowskazem stały się gwiazdy i księżyc, do Thomasa podszedł Newt. Dostępne światło wystarczało - nie potrzeba go było wiele, skoro grunt był płaski i jedyne, co trzeba było robić, to iść w stronę majaczącej przed nimi masy skał. W powietrzu rozlegało się chrup chrup chrup ich kroków na twardej ziemi.

- Myślałem trochę - odezwał się Newt.

- O czym? - Thomasa tak naprawdę to nie interesowało; cieszył się po prostu, że jest ktoś, kto może z nim pogadać i odwrócić jego uwagę od różnych rzeczy.

- O DRESZCZU. Wiesz, złamali dla ciebie swoje własne pieprzone reguły.

- To znaczy?

- Powiedzieli nam wcześniej, że nie ma żadnych reguł. Powiedzieli, że mamy tyle i tyle czasu na dotarcie do tej cholernej bezpiecznej przystani i tyle. Żadnych reguł. Ludzie giną jak muchy, a ci potem przylatują pikolonym latającym potworem i ratują twój tyłek. To się kupy nie trzyma. - Zamilkł na moment. - Nie żebym narzekał: cieszę się, że żyjesz i tak dalej.

- Ojej, dzięki. - Thomas wiedział, że przyjaciel trafił w sedno, ale miał już dość myślenia o tym.

- A potem te wszystkie znaki w mieście. Dziwna sprawa.

Thomas popatrzył z ukosa na Newta. Z trudem był w stanie rozróżnić w mroku twarz przyjaciela.

- Co ty, zazdrosny jesteś czy jak? - zapytał, starając się obrócić sprawę w żart. Próbuując zignorować fakt, że owszem, te znaki musiały sygnalizować coś ważnego.

Newt roześmiał się.

- Nie, ślamajdo. Po prostu nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, co tu się właściwie dzieje. O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

- Taa. - Thomas kiwnął głową. Zgadzał się w całej rozciągłości. - Tamta delikwentka powiedziała, że tylko kilku z nas jest wystarczająco dobrych, żeby być Kandydatami. I faktycznie powiedziała, że ja jestem najlepszym Kandydatem oraz że nie chcą, żebym stracił życie z powodu czegoś, czego nie zaplanowali. Ale nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. To ma coś wspólnego z całym tym nawijaniem o wzorach w strefie zagłady.

Maszerowali przez minutę czy dwie, zanim Newt ponownie się odezwał.

- Przypuszczam, że nie warto, żebyśmy sobie nad tym łamali łepetyny. Co ma być, to będzie.

Thomas omal nie wyznał mu, co powiedziała w jego umyśle Teresa, ale z jakiegoś powodu nie wydawało się to właściwe.

Nie odzywał się, i w końcu Newt powoli się oddalił, aż Thomas znów maszerował przez ciemność sam jeden.

Upłynęło parę godzin, zanim odbył kolejną rozmowę, tym razem z Minhó. Wymienili mnóstwo słów, ale w ostatecznym obrachunku tak naprawdę niewiele powiedzieli. Marnowali tylko czas, wałkując na okrągło te same pytania, nad którymi wszyscy członkowie grupy głowili się już milion razy.

Nogi Thomasa były trochę obolałe od wysiłku, ale nie zanadto. Góry przybliżały się coraz bardziej. Powietrze stało się znacznie chłodniejsze, cudownie przyjemne. Brenda nadal milczała, zachowując dystans.

Szli dalej.

Gdy pierwsza zapowiedź świtu nadała niebu głęboką ciemnoniebieską barwę, a gwiazdy zaczęły przygasać przed nadchodzącym dniem, Thomas wreszcie zebrał dość odwagi, żeby podejść do Brendy i porozmawiać z nią o czymś. O czymkolwiek. Urwiska majaczyły teraz dużo bliżej, widać już było uschnięte drzewa oraz sterczące tu i ówdzie pojedyncze bryły skalne. Thomas był pewien, że do czasu, gdy słońce wyłoni się zza horyzontu, dotrą do samych gór.

- Hej - odezwał się do dziewczyny. - Jak się miewają twoje stopy?

- W porządku. - Zabrzmiało to oschle, ale szybko przemówiła znowu, jakby chcąc zatrzeć to wrażenie. - A ty jak się czujesz? Z ramieniem wszystko dobrze?

- Tak, aż trudno uwierzyć. Prawie w ogóle nie boli.

- To świetnie.

- Taa. - Bez powodzenia usiłował wymyślić, co jeszcze mógłby powiedzieć. - No więc, ee, przykro mi z powodu wszystkich tych dziwnych zdarzeń, do których doszło. I... przepraszam za wszystko, co wcześniej mówiłem. Z moją głową dzieją się naprawdę pokręcone rzeczy.

Popatrzyła na niego z ukosa i w jej oczach ujrział odrobinę ciepła.

- Zlituj się, Thomas. Ostatnie, co musisz robić, to przepraszać. - Znów skierowała wzrok na to, co leżało przed nimi.

- Po prostu mamy różne charaktery. Poza tym masz tę swoją dziewczynę. Nie

powinnam była próbować cię całować i robić tych innych głupot.

- Ona nie jest tak naprawdę moją dziewczyną. - Natychmiast pożałował, że to powiedział; nie wiedział nawet, co go podkusiło.

Brenda naburmuszyła się.

- Nie bądź głupi. I mnie nie obrażaj. Jeśli masz się temu oprzeć - zrobiła pauzę i, uśmiechając się drwiąco, powłóczyłym gestem obu dłoni obrysowała całą swoją sylwetkę - to lepiej, żebyś miał po temu naprawdę dobry powód.

Thomas roześmiał się - całe napięcie i niezręczność właśnie zniknęły bez śladu.

- Punkt dla ciebie. Pewnie i tak beznadziejnie się całujesz.

Wymierzyła mu lekki cios pięścią w ramię, na szczęście w to zdrowe.

- Błąd. Wierz mi, nie mógłbyś się bardziej mylić.

Thomas miał właśnie rzucić w odpowiedzi coś głupiego, lecz nagle stanął jak wryty. Ktoś niemal wpadł na niego od tyłu i potykając się zdołał go wyminąć, ale chłopak nie był w stanie poznać, kto - wlepił oczy w punkt bezpośrednio przed sobą, a jego serce zupełnie zamarło.

Niebo zdążyło już znacznie pojaśnieć, a najbliższa krawędź górskiego zbocza znajdowała się zaledwie jakieś sto czy dwieście metrów dalej. W połowie drogi, jaka została im do pokonania, dopiero co - znikąd, jak się zdawało - pojawiła się dziewczyna, podnosząc się z ziemi. Szła teraz ku nim szybkim krokiem.

Dzierżyła włócznię o dużym, paskudnym ostrzu, przywiązany rzemieniami do długiego drzewca.

Była to Teresa.

Thomas nie do końca wiedział, jak interpretować to, co zobaczył. Nie poczuł zaskoczenia ani radości, widząc, że Teresa żyje - był już tego świadom. Zaledwie poprzedniego dnia przemówiła do niego w myślach. Ale ujrzienie jej w tym momencie i tak poprawiło mu humor. Do chwili, gdy przypomniał sobie jej ostrzeżenie, że wydarzy się coś złego. I do chwili, gdy pomyślał o fakcie, że dziewczyna trzyma w ręku włócznię.

Pozostali Streferzy zauważyli to tuż po nim i wkrótce wszyscy stanęli, gapiąc się na Teresę, która maszerowała ku nim, zaciskając dłonie na swojej broni, z kamienną, zaciętą twarzą. Wyglądało na to, że gotowa jest zacząć dźgać pierwszy obiekt, który się poruszy.

Thomas postąpił o krok do przodu, w zasadzie nie wiedząc, co zamierza zrobić. Ale wtedy więcej poruszeń kazało mu się zatrzymać.

Po obu stronach Teresy pojawiły się dziewczyny; zdawało się, że one także wyłoniły się znikąd. Odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie. Otaczało ich przynajmniej dwadzieścia

dziewcząt.

I wszystkie one dzierżyły broń; różnej wielkości noże, zardzewiałe szpady oraz wyszczerbione maczety. Kilka dziewcząt miało łuki i strzały, których groźnie wyglądające groty już wycelowane były w grupę Streferów. Thomas poczuł ukłucie strachu. Bez względu na zapowiedź Teresy, że wydarzy się coś złego, z pewnością nie pozwoliłaby, żeby to towarzystwo zrobiło im krzywdę. Prawda?

W jego umyśle zjawiły się słowa: Grupa B. I tatuaż mówiący, że mają go zabić.

Jego rozmyślenia zostały gwałtownie ucięte, kiedy Teresa się zatrzymała, niecałe dziesięć metrów od ich grupy. Jej towarzyszki uczyniły to samo, formując zamknięty krąg wokół Streferów. Thomas odwrócił się ponownie, żeby ogarnąć to wszystko wzrokiem. Wszystkie nowo przybyłe, co do jednej, stały sztywno, mrużąc oczy, z bronią w pogotowiu. Najbardziej przerażały go łuki - on oraz inni nie mieliby szans cegokolwiek zrobić, zanim te strzały pofruną, by utkwic w czyjejś klatce piersiowej.

Zatrzymał się, stojąc twarzą w twarz z Teresą. Patrzyła prosto na niego.

Minho przemówił pierwszy.

- Teresa, co to do fuja ma być? Ładnie się witasz z kumplami po długiej rozłące!

Gdy padło imię Teresa, Brenda określiła się gwałtownie i popatrzyła ostro na Thomasa. Krótco skinął głową, a zaskoczenie malujące się na jej twarzy z jakiegoś powodu go zasmuciło.

Teresa ani słowem nie zareagowała na pytanie, i w grupie zapadła pełna grozy cisza. Słońce tymczasem pełzło w górę, powoli zbliżając się do punktu, gdy jego lejący się z góry żar stanie się nie do zniesienia.

Teresa znów ruszyła w ich kierunku i zatrzymała się jakieś trzy metry od miejsca, gdzie ramię przy ramieniu stali Minho i Newt.

- Teresa? - zapytał Newt. - Co do jasnej...

- Zamknij się - odparła Teresa. Nie warknęła ani nie wykrzyzczała tego. Wypowiedziała te słowa spokojnie i z przekonaniem, co sprawiło, że w uszach Thomasa zabrzmiały jeszcze straszniej. - I niech tylko któryś z was się poruszy, a te łuki zaczną strzelać.

Teresa uniosła włócznię tak, by znaleźć się w dogodniejszej pozycji do ataku. Wodząc ostrzem tam i z powrotem, przeszła obok Newta i Minho, a potem przez grupę Streferów, zachowując się tak, jakby czegoś szukała. Podeszła do Brendy, zatrzymała się na moment. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa, lecz widać było ich wzajemną nienawiść. Teresa minęła tamtą, nawet na chwilę nie spuszczać z niej lodowatego wzroku.

A potem znalazła się przed Thomasem. Próbował powiedzieć sobie, że nigdy nie użyłaby tej broni w stosunku do niego, ale niełatwo było w to uwierzyć, wpatrując się z bliska w groźną krawędź ostrza.

- Tereso - szepnął, zanim zdołał się powstrzymać. Mimo włóczni, mimo zaciętego wyrazu jej twarzy, mimo tego, jak napinała mięśnie, jakby zamierzała go lada chwila uderzyć, jedyne, czego pragnął, to wyciągnąć ku niej rękę. Nie mógł zapomnieć tego, jak go pocałowała. Uczucia, jakie temu towarzyszyło.

Ani drgnęła, jedynie wpatrywała się w niego. Wyraz jej twarzy był nieodgadniony, jeśli nie liczyć ewidentnie malującego się tam gniewu.

- Tereso, co...

- Zamknij się. - Ten sam spokojny głos. Bezdyskusyjnie rozkazujący. Było to zupełnie niepodobne do niej.

- Ale co...

Teresa zamachnęła się i rąbnęła go tępym końcem drzewca, trafiając w prawy policzek. Eksplozja bólu przeszła jego czaszkę, jego szyję; osunął się na kolana, przyciskając twarz dłonią w miejscu, gdzie go walnęła.

- Powiedziałam, zamknij się. - Sięgnęła w dół, chwyciła go za koszulę i dopóty szarpała do góry, aż z powrotem stanął na nogi. Ponownie ujęła oburącz drzewce włóczni i wycelowwała broń w niego. - Masz na imię Thomas?

Zagapił się na nią. Świat walił się wokół niego, choć chłopak powtarzał sobie, że przecież go ostrzegła. Powiedziała mu, że bez względu na to, co się stanie, ma jej ufać.

- Przecież wiesz, kim...

Tym razem zamachnęła się jeszcze mocniej, waląc tępym końcem drzewca w bok jego głowy, prosto w ucho. Ból był dwa razy gorszy niż za pierwszym razem. Chłopak głośno krzyknął, łapiąc się za głowę. Ale tym razem nie upadł.

- Wiesz, kim jestem! - wrzasnął.

- W każdym razie kiedyś wiedziałam - odrzekła głosem tyleż cichym, co pełnym obrzydzenia. - Teraz zamierzam cię zapytać jeszcze raz. Czy masz na imię Thomas?.

- Tak! - wrzasnął w odpowiedzi. - Mam na imię Thomas!

Teresa kiwnęła głową, po czym zaczęła się cofać, znów celując czubkiem ostrza włóczni w jego pierś. Ludzie schodzili jej z drogi, gdy mijała członków grupy, aż dołączyła z powrotem do kręgu dziewcząt, który ich otaczał.

- Pójdiesz z nami - zawołała. - Thomas. Chodź! Pamiętajcie, niech tylko ktoś czegoś spróbuje, polecą strzały.

- Nie ma mowy! - wrzasnął Minho. - Nigdzie go nie zabierzesz!

Teresa udała, że nie usłyszała. Wzrok miała wlepiony w Thomasa, gapiała się na niego w ten dziwny sposób zza przymrużonych powiek.

- To nie jest jakaś durna gra. Zaraz zacznę liczyć. Za każdym razem, gdy wypowiem wielokrotność pięciu, zabijemy strzałą jednego z was. Będziemy to robić, aż zostanie tylko Thomas, a potem i tak go zabierzemy. Wasz wybór.

Thomas dopiero teraz zauważył, że Aris dziwnie się zachowuje. Stał po prawej, zaledwie jakieś półtora metra dalej i obracał się powoli, gapiąc się na poszczególne dziewczyny, jakby dobrze znał każdą z nich. Ale jakimś cudem nie odezwał się ani słowem.

Oczywiście, pomyślał Thomas. Jeśli to naprawdę była Grupa B, to Aris przecież był wcześniej z nimi. Faktycznie je znał.

- Jeden! - krzyknęła Teresa.

Thomas nie zamierzał ryzykować. Ruszył do przodu, przepychając się między ludźmi, aż wyszedł na otwartą przestrzeń, po czym podążył wprost ku Teresie. Zignorował komentarze Minho i pozostałych. Zignorował wszystko. Wpatrzony w Teresę, próbując nie okazywać żadnych emocji, szedł, aż stanął tuż przed nią.

W końcu tak czy owak tego właśnie chciał, nieprawdaż? Chciał z nią być. Nawet jeśli w jakiś sposób została skierowana przeciwko niemu. Nawet jeśli padła ofiarą manipulacji DRESZCZu, tak, jak wcześniej Alby i Gally. Kto wie, mogli przecież znowu wymazać jej pamięć. To nie miało znaczenia. Wyglądało na to, że dziewczyna mówi serio, i Thomas nie zamierzał ryzykować, że ktoś z jego przyjaciół zostanie zastrzelony z łuku.

- W porządku - powiedział. - Zabierzcie mnie.

- Zdążyłam policzyć tylko do jednego.

- Taa. W ten sposób wychodzi na to, że naprawdę dzielny ze mnie gość.

Walnęła go włócznią tak mocno, że znowu upadł na ziemię. W jego zuchwie i głowie żarzył się ból. Thomas splunął, ujrzał, jak na pylistej ziemi ląduje rozbryzg krwi.

- Przynieście worek - usłyszał w górze głos Teresy.

Kątem oka zobaczył, że podchodzą do niego dwie dziewczyny, które schowały gdzieś swoją broń. Jedna z nich - ciemnoskóra, z włosami ostrzyżonymi tuż przy skórze - trzymała duży, wytarty worek z grubego płótna. Zatrzymały się mniej niż metr od niego; dźwignął się na czworaki, bojąc się zrobić cokolwiek więcej, żeby znowu nie oberwać.

- Zabieramy go! - wrzasnęła Teresa. - Jeśli ktokolwiek za nami pójdzie, walnę go jeszcze raz i zaczniemy do was strzelać. Nie będziemy się za bardzo bawić w celowanie. Po prostu pozwolimy strzałom lecieć, gdzie uznają za stosowne.

- Teresa! - To był głos Minho. - Tak szybko złapałaś Pożogę? Wyraźnie już ci rozum odebrało.

Koniec drzewca włóchni rąbnął Thomasa w tył głowy. Chłopak upadł na brzuch; czarne gwiazdy pływały w pyłe centymetry od jego twarzy. Jak mogła mu to zrobić?

- Chcesz jeszcze coś powiedzieć? - zapytała Teresa. Po długiej chwili ciszy oznajmiła:
- Tak myślałam. Nałóżcie na niego worek.

Czyjeś dłonie szorstko chwyciły go za ramię i obróciły na wznak - ich chwyt uraził ranę od kuli wystarczająco mocno, żeby fala tępego bólu przeniknęła tors Thomasa po raz pierwszy, odkąd DRESZCZ udzielił mu pomocy.

Zajęczał. Twarze - nie wyglądały nawet szczególnie gniewnie - zawisły nad nim, gdy dwie dziewczyny zaczęły opuszczać otwór worka na jego głowę.

- Nie broń się - powiedziała ta ciemnoskóra. Jej twarz lśniła od potu. - Bo będzie tylko jeszcze gorzej.

Thomasa ogarnęło zdumienie. Jej oczy i głos wskazywały, że szczerze mu współczuje. Ale jej dalsze słowa świadczyły o czymś wprost przeciwnym.

- Lepiej po prostu grzecznie pozwól, żebyśmy cię zabiły. Nic ci nie przyjdzie z tego, że po drodze jeszcze dodatkowo się nacierpisz.

Worek nasunął się na jego głowę i chłopak nie widział już nic oprócz brzydkiego brązowego światła.

Przetaczały go po ziemi, aż naciągnęły worek na całe jego ciało. Potem zawiązały sznurem otwór przy jego stopach. Mocno zasupłały sznur, następnie zaś owinęły nim resztę worka, unieruchamiając Thomasa w środku i zaciskając drugi supeł tuż nad jego głową.

Thomas poczuł, jak worek się napina; potem szarpnięto jego głowę do góry. Wyobraził sobie dziewczyny trzymające za koniec tej niemożliwie długiej liny. Mogło to oznaczać tylko jedno - zamierzały go wlec po ziemi. Nie mógł tego dłużej znieść, zaczął się wiercić, choć wiedział, co go czeka za karę.

- Tereso! Nie rób mi tego!

Tym razem pięść trafiła go prosto w żołądek. Zawył. Chciał zgiąć się wpół, złapać się za brzuch, ale nieszczęsny worek uniemożliwił mu to. Chłopak poczuł falę mdłości, ale zwalczył ją, udało mu się nie zwymiotować.

- Ponieważ najwyraźniej nie dbasz o siebie - oświadczyła Teresa - odezwij się jeszcze raz, a zaczniemy strzelać do twoich przyjaciół. Pasuje ci to?

Thomas nie odpowiedział; z jego gardła wyrwał się jedynie milczący, udręczony szloch. Czy naprawdę jeszcze wczoraj myślał, że sprawy zaczynają wyglądać lepiej?

Wyleczono go z zakażenia i załatano ranę, wydostali się z miasta Poparzeńców, od bezpiecznej przystani dzielił ich już tylko szybki i forsowny marsz przez góry... Chłopak zreflektował się, że po wszystkim, przez co przeszedł do tej pory, powinien być mądrzejszy.

- Mówiłam poważnie! - wrzasnęła Teresa do Streferów. - Nie będzie żadnych ostrzeżeń. Tylko spróbujcie iść za nami, a pofruną strzały.

Thomas zobaczył zarys jej sylwetki, gdy uklękła przy nim. Usłyszał, jak sucha ziemia zachrzęściła pod jej kolanami. W następnej chwili Teresa chwyciła go przez tkaninę worka i zbliżyła głowę do jego głowy, tak, że jej usta znalazły się zaledwie centymetr od jego ucha. Zaczęła szeptać, tak cicho, że musiał wyteżyc słuch, aby ją zrozumieć, skupiając się na odróżnieniu jej słów od wiatru.

- Uniemożliwiają mi mówienie do ciebie w myślach. Pamiętaj, zaufaj mi.

Thomas, zaskoczony, z trudem zmusił się do milczenia.

- Co do niego mówisz? - zapytała jedna z dziewczyn trzymających linę przywiązaną do worka.

- Daję mu do zrozumienia, jak bardzo mi się to podoba. Jak bardzo podoba mi się zemsta. Macie coś przeciwko?

Thomas nigdy jeszcze nie słyszał, by mówiła z taką arogancją. Albo była naprawdę doskonałą aktorką, albo rzeczywiście zaczęła wariować. Zyskała jedną czy dwie dodatkowe osobowości.

- No cóż - odparła tamta dziewczyna - cieszę się, że tak świetnie się bawisz. Ale musimy się pośpieszyć.

- Wiem - odrzekła Teresa. Jeszcze mocniej uchwyciła głowę Thomasa, ścisnęła ją oburącz i potrząsnęła nią. Potem przycisnęła usta do szorstkiej tkaniny, gniotąc jego ucho. Kiedy znów przemówiła, tym samym natarczywym szeptem, przez warstwę płótna poczuł jej gorący oddech. - Trzymaj się. To się niedługo skończy.

Jej słowa wprawiły mózg Thomasa w odrętwienie. Chłopak nie miał pojęcia, co myśleć. Czyżby wyrażała sarkazm?

Puściła go i wstała z powrotem.

- Dobra, wynośmy się stąd. Starajcie się natrafiać po drodze na tyle kamieni, na ile tylko się da.

Jego porywaczki zaczęły iść, wlokąc go za sobą. Thomas czuł każdą nierówność gruntu, po którym był ciągnięty; duży worek nie dawał absolutnie żadnej ochrony. Bolało. Chłopak wygiął plecy w łuk, przenosząc całą wagę ciała na stopy, pozwalając, żeby z powodu tarcia cierpiały przede wszystkim jego buty. Wiedział jednak, że jego siła wkrótce się

wyczerpie.

Gdy go tak ciągnęły za sobą, Teresa szła tuż obok. Był w stanie z trudem rozróżnić jej sylwetkę przez płótno.

Potem Minho zaczął krzyczeć. Odległość już częściowo tłumila jego głos, a bycie wleczonym po ziemi jeszcze bardziej utrudniało rozróżnienie słów. Jednak to, co Thomasowi udało się usłyszeć, dało mu odrobinę nadziei. Wśród zniekształconych przez dystans obelg do uszu chłopaka dotarły frazy „znajdziemy was”, „we właściwym czasie” i „broń”.

Teresa znów walnęła Thomasa pięścią w brzuch, co sprawiło, że Minho zamilkł.

Szli tak przez pustynię i szli, a Thomas objął się o grunt niczym worek starych ubrań.

W miarę jak posuwali się naprzód, wyobrażał sobie okropne rzeczy. Nogi słabły mu z każdą sekundą i wiedział, że wkrótce będzie musiał pozwolić, by jego ciało osunęło się na ziemię. Wyobraził sobie krwawiące rany, trwałe oszpecenia.

Ale może to będzie bez znaczenia. I tak planowały go zabić.

Teresa powiedziała, żeby jej zaufał. I choć przychodziło mu to z trudem, starał się jej uwierzyć. Czy to możliwe, żeby wszystko, co mu zrobiła, odkąd ponownie się pojawiła z bronią i w towarzystwie Grupy B, naprawdę było tylko udawaniem? A jeśli nie, to czemu wciąż szeptała, żeby jej zaufał?

Obracał to wszystko w myślach, aż nie był już w stanie się skoncentrować. Jego ciało było ocierane do krwi o ziemię i wiedział, że musi coś wymyślić, zanim każdy centymetr jego skóry ulegnie zdarciu.

Uratowały go góry.,,

Kiedy zaczęła się wspinaczka po stromym zboczu, dziewczyny zaczęły mieć ewidentne trudności z wleczeniem jego ciała pod górę tak, jak wcześniej robiły to w płaskim terenie. Początkowo próbowały go ciągnąć szybkimi szarpnięciami, pozwalając mu się potem osunąć metr czy półtora metra w dół, następnie ciągnąc go znowu w górę, tylko po to, żeby raz jeszcze zsunął się w dół. W końcu Teresa stwierdziła, że prawdopodobnie łatwiej będzie go nieść za ramiona i za kostki. I że mają się przy tym zmieniać.

Wtedy Thomasa olśnił pomysł, który wydawał się tak oczywisty, że chłopak pomyślał, iż chyba coś musiało mu umknąć.

- Czemu po prostu nie pozwolicie mi iść?! - krzyknął z wnętrza worka; jego głos był stłumiony i łamał się z pragnienia. - Słuchajcie, przecież macie broń. Co niby mogę zrobić?

Teresa kopnęła go w bok.

- Zamknij się, Thomas. Nie jesteśmy idiotkami. Czekamy, aż twoi kumple ze Strefy nie będą już mogli nas zobaczyć.

Zrobił, co mógł, żeby powstrzymać się od jęku, kiedy jej stopa walnęła go w żebra.

- He? Dlaczego?

- Bo tak nam kazano. A teraz stul dziób!

- Po co mu to powiedziałaś? - wyszeptała szorstko jedna z pozostałych dziewczyn.

- A jakie to ma znaczenie? - odparła Teresa, nie starając się nawet ukryć przed nim swoich słów. - I tak zamierzamy go zabić. Kogo to obchodzi, czy będzie wiedział, jakie dostałyśmy rozkazy?

Rozkazy, pomyślał Thomas. Od DRESZCZu.

Odezwała się inna dziewczyna.

- No cóż, już ledwie ich widzę. Kiedy dotrzemy do tej szczeliny tam wyżej, znajdziemy się poza zasięgiem ich wzroku, a potem już nie ma siły, żeby nas znaleźli. Nawet gdyby rzeczywiście poszli naszym śladem.

- W porządku - odparła Teresa. - Wystarczy, że doniesiemy go do tego miejsca.

Wkrótce kilka par rąk chwyciło Thomasa ze wszystkich stron, unosząc go w powietrze. Sądząc z tego, co był w stanie zobaczyć przez worek, niosła go Teresa razem z trzema spośród swoich nowych przyjaciółek. Omijały głązy i uschnięte drzewa, pnąc się coraz wyżej, wyżej i wyżej. Słyszał ich ciężkie oddechy, czuł zapach ich potu, z każdym chwiejnym krokiem nienawidził ich coraz bardziej. Nawet Teresy. Podjął jeszcze jedną, ostatnią próbę dotarcia do jej umysłu, by ocalić swoje zaufanie do niej, lecz ona milczała.

Mozolna wędrówka po zboczu góry trwała może z godzinę - z przystankami, żeby niosące Thomasa dziewczyny mogły się zmieniać - a co najmniej drugie tyle czasu upłynęło, odkąd pozostawili za sobą Streferów. Słońce wspięło się już na tyle wysoko, że zaczynało się stawać niebezpieczne, jego żar dławił oddech. Ale wtedy obeszły potężną skalną ścianę, nachylenie zbocza się zmniejszyło i wkroczyły w cień. Chłodniejsze powietrze przyniosło ulgę.

- W porządku - powiedziała Teresa. - Spuśćcie go na ziemię.

Bezceremonialnie wypełniły polecenie i Thomas z głuchym stęknieniem rąbnął o grunt. Wstrząs odebrał mu oddech. Chłopak leżał tak, z trudem łapiąc powietrze, podczas gdy one zaczęły rozsupływać liny. Do czasu, gdy przestał dyszeć, worek został zdjęty.

Thomas zamrugał, patrząc w górę na Teresę i jej koleżanki.

Wszystkie trzymały broń wycelowaną w niego, co wydawało się po prostu idiotyczne.

Jakimś cudem zdobył się na odrobinę odwagi.

- Musicie mnie naprawdę wysoko oceniać, was jest dwadzieścia z nożami i maczetami, a ja nie mam nic. Czuję się zaszczycony.

Teresa zamachnęła się włócznią.

- Czekaj! - zawołał Thomas, a ona znieruchomiała. Uniósł dłonie w pełnym szacunku geście, powoli dźwignął się na nogi. - Słuchajcie, nie zamierzam niczego próbować. Po prostu zabierzcie mnie tam, dokąd się kierujemy, gdziekolwiek to jest, a potem będę grzecznym chłopcem i pozwolę, żebyście mnie zabiły. I tak nie mam już po co żyć.

Mówiąc to, popatrzył wprost na Teresę, starając się zawrzeć w słowach tyle złośliwości, ile tylko był w stanie. Wciąż żywił nikłą nadzieję, że jakimś cudem wszystko jeszcze się wyjaśni, ale po tym, jak został potraktowany, nie był w najlepszym nastroju.

- Chodźmy - powiedziała Teresa. - Mam już tego po dziurki w nosie. Wejźmy do Przejścia, żebyśmy mogły przespać dzień. Dziś wieczorem zaczniemy wędrówkę na drugą stronę.

Ciemnoskóra dziewczyna, która pomagała załadować Thomasa do worka, odezwała się jako następna.

- A co z tym gościem, którego targaliśmy ze sobą przez ostatnich kilka godzin?

- Nie martw się, zabijemy go - odparła Teresa. - Zabijemy go dokładnie tak, jak nam kazano. To jego kara za to, co mi zrobił.

Thomas nie pojmował, co mają znaczyć ostatnie słowa Teresy. Co niby jej zrobił? Ale jego umysł popadł w odrętwienie, gdy tak szli i szli, najwyraźniej kierując się z powrotem do obozowiska Grupy B. Wspinali się cały czas w górę, aż mięśnie nóg zaczęły go palić z wysiłku. Pionowe urwisko po lewej zapewniało im cień w czasie marszu, ale wszystko było nadal rdzawobrazowe i rozpalone. Suche. Pyliste. Dziewczyny dały mu kilka łyków wody, ale był pewien, że wszystko wyparowało, zanim jeszcze trafiło do jego żołądka.

W końcu, kiedy nad ich głowami zaświeciło południowe słońce - złota kula ognia, ze wszystkich sił starająca się ich spalić na popiół - dotarli do dużego wcięcia we wschodniej ścianie. Płytki pieczara sięgała na jakieś dwanaście metrów w głąb górskiej ściany; był to ewidentnie obóz dziewczyn i wyglądało na to, że ich grupa przebywa tu już dzień czy dwa. Porozrzucane tu i ówdzie koce, pozostałości ogniska, trochę śmieci zgromadzonych z boku. Kiedy dotarli na miejsce, w obozie znajdowały się tylko trzy osoby - również dziewczyny - co oznaczało, że Grupa B uznała za stosowne wyruszyć w niemal pełnym składzie, by porwać Thomasa.

Z łukami i strzałami, nożami i maczetami? Wydawało się to niemal śmieszne. Wystarczyłoby kilka osób.

Po drodze Thomas dowiedział się kilku rzeczy. Ciemnoskóra dziewczyna miała na imię Harriet, a ta, która jej zawsze towarzyszyła, o rudoblond włosach i białutkiej skórze,

nazywała się Sonya. Chociaż nie miał pewności, domyślał się, że to głównie one dwie dowodziły grupą, dopóki nie pojawiła się Teresa. Dysponowały pewnym autorytetem, ale przed podjęciem ostatecznej decyzji zawsze zwracały się do niej.

- Dobra - powiedziała Teresa. - Przywiążmy go do tego brzydkiego drzewa. - Wskazała biały jak kość szkielet dębu, którego korzenie wciąż jeszcze trzymały się kamienistej gleby, choć drzewo musiało być martwe od wielu lat. - I równie dobrze możemy go nakarmić, żeby nam tu nie jęczał przez cały dzień i nie przeszkadzał w spaniu.

Czy mi się zdaje, czy ona ciut przegina? - pomyślał Thomas. Niezależnie od prawdziwych intencji Teresy, jej słowa zaczynały brzmieć cokolwiek absurdalnie. I nie mógł już zaprzeczyć - naprawdę zaczynał jej nienawidzić, niezależnie od tego, co powiedziała na początku.

Nie bronił się, gdy przywiązywały mu tors do drzewa, pozostawiając wolne ręce. Kiedy już go unieruchomiły, dały mu kilka słodkich owsianych batonów oraz butelkę wody. Żadna z dziewczyn nie próbowała z nim nawiązać rozmowy ani choćby spojrzeć mu w oczy. I, co ciekawe, o ile wzrok go nie mylił, wszystkie sprawiały wrażenie, jakby trochę doskwierało im poczucie winy. Thomas zaczął jeść, a równocześnie uważnie obserwował otoczenie. Jego myśli krążyły wokół różnych spraw, podczas gdy dziewczyny zaczęły się układać na ziemi, żeby przespać resztę dnia. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

Zachowanie Teresy z całą pewnością nie sprawiało wrażenia udawanego. Od samego początku wyglądało na autentyczne. Czy to możliwe, że było dokładnie na odwrót w stosunku do tego, co próbowała mu wmówić - starała się go przekonać, aby jej zaufał, podczas gdy jej prawdziwy plan, i wcześniej, i teraz...

Thomas aż drgnął, gdy nagle przypomniał sobie tabliczkę przy jej drzwiach, tam w dormitorium. Zdrajczyni. Zupełnie o tym zapomniał, aż do teraz. Wszystko zaczynało się układać w spójniejszą całość.

To DRESZCZ tu dowodził. Oni byli jedyną nadzieją grupy na przetrwanie. Gdyby naprawdę kazali Teresie go zabić, czy zrobiłaby to? Żeby ocalić własne życie? A o co chodziło z tym, co warknęła, że on jej coś zrobił? Czy to możliwe, że manipulowali jej umysłem? Sprawili, żeby zaczęła go nienawidzić?

I był jeszcze ten jego tatuaż oraz znaki w mieście. Tatuaż go ostrzegał; znaki powiedziały mu, że to on jest prawdziwym przywódcą. Tabliczka przy drzwiach Teresy stanowiła kolejne ostrzeżenie.

Mimo wszystko - nie miał broni i tkwił przywiązany do drzewa. Grupa B ponad dwudziestokrotnie przewyższała go liczebnością i wszystkie dziewczyny miały broń.

Naprawdę łatwa sprawa.

Wzdychając, skończył jeść i fizycznie poczuł się trochę lepiej. I chociaż nie wiedział do końca, jak interpretować to wszystko, teraz zyskał nową pewność, że znalazł się bliżej rozwiązania zagadki. I że nie wolno mu dać za wygraną.

Harriet i Sonya naszykowały sobie posłania w pobliżu; przygotowując się do snu, co rusz zerkwały na Thomasa. Znów spostrzegł na ich twarzach ten dziwny wyraz wstydu czy też poczucia winy. Zinterpretował to jako dobrą okazję, aby zawalczyć o swoje życie za pomocą słów.

- Tak naprawdę wcale nie chcecie mnie zabijać, prawda? - Zadał to pytanie takim tonem, jakby przyłapał je na kłamstwie. - Czy do tej pory chociaż raz zabiłyście kogoś?

Harriet spiorunowała go wzrokiem, spuszczać oczy dopiero tuż przed tym, jak złożyła głowę na zrolowanych kocach. Podparła się na łokciu.

- Bazując na tym, co nam powiedziała Teresa, uciekłyśmy z naszego Labiryntu trzy dni wcześniej niż wasza grupa. Straciłyśmy przy tym mniej ludzi i zabiłyśmy więcej Bóldożerców. Myślę, że sprzątnięcie jednego małego, nikomu niepotrzebnego nastolatka nie powinno być zbyt trudne.

- Pomyśl o wyrzutach sumienia, które będą was potem gnębić. - Mógł jedynie mieć nadzieję, że ta myśl będzie je gryzła.

- Jakoś przeżyjemy. - Pokazała mu język; autentycznie pokazała mu język! Potem z powrotem położyła głowę na posłaniu i zamknęła oczy.

Sonya siedziała po turecku, wyglądając na tak mało senną, jak to tylko możliwe.

- Nie mamy wyboru. DRESZCZ powiedział, że to nasze jedyne zadanie. Jeśli tego nie zrobimy, nie dopuszczą - nas do bezpiecznej przystani. Umrzemy tutaj, na Pogorzelisku.

Thomas wzruszył ramionami.

- Hej, rozumiem. Poświęćcie mnie, żeby uratować własne życie. Bardzo szlachetnie.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas; musiał walczyć ze sobą, żeby nie spuścić oczu. W końcu odwróciła wzrok i położyła się, plecami do niego.

Podeszła do nich Teresa, krzywiąc się z irytacją.

- O czym rozmawiacie?

- O niczym - wymamrotała Harriet. - Powiedz mu, żeby się zamknął.

- Zamknij się - powiedziała Teresa.

Thomas zaśmiał się sarkastycznie.

- A jeśli nie, co mi zrobisz? Zabijesz mnie?

Nie odpowiedziała, po prostu dalej wpatrywała się w niego z nieodgadzionym

wyrazem twarzy.

- Czemu nagle zaczęłaś mnie nienawidzić? - zapytał. - Co ci zrobiłem?

Zarówno Sonya, jak i Harriet odwróciły się w trakcie tej wymiany zdań, żeby słuchać, spoglądając to na Thomasa, to na Teresę.

- Dobrze wiesz, co zrobiłeś - odrzekła w końcu Teresa.

- I cała ta grupa też wie. Wszystko im opowiedziałam. Ale mimo to nie zniżyłabym się do twojego poziomu i nie próbowałabym cię zabić. Robimy to tylko dlatego, że nie mamy wyboru. Sorry. Życie jest ciężkie.

Czy coś właśnie błysnęło w jej oczach? - zastanawiał się Thomas. Co próbowała mu powiedzieć?

- O czym ty mówisz, o jakim znizaniu się do mojego poziomu? Nigdy nie zabiłbym przyjaciela, żeby uratować własny tyłek. Nigdy.

- Ja też nie. I dlatego cieszę się, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Zaczęła się odwracać.

- Więc co ja ci takiego zrobiłem? - zapytał pośpiesznie Thomas. - Sorry, tak jakby umknęło mi to z pamięci - no wiesz, to się tutaj często zdarza. Przypomnij mi.

Odwróciła się z powrotem i spiorunowała go płonącym wzrokiem.

- Nie obrażaj mnie. Nie waż się tak po prostu siedzieć i udawać, że nic się nie stało. A teraz zamknij się, bo nabiję ci jeszcze jednego siniaka na tej twojej ślicznej buźce.

Odeszła gniewnym krokiem, a Thomas zachował milczenie. Wiercił się, aż udało mu się przyjąć w miarę wygodną pozycję, z głową opartą o martwą powierzchnię uschniętego drzewa. Wszystkie aspekty sytuacji, w której się znalazł, wydawały się jednakowo beznadziejne, ale był zdecydowany rozgryźć ją jakoś - i przetrwać.

W końcu zasnął.

Thomas przespał niespokojnie kilka godzin, wiercąc się i kręcąc, usiłując znaleźć w miarę wygodną pozycję na twardej skale. W końcu zapadł w głęboki sen - i zaczął śnić.

Thomas ma piętnaście lat. Nie wie, czemu jest tego pewien. Ma to coś wspólnego z umiejscowieniem tego wspomnienia w czasie. Czy to jest wspomnienie?

On i Teresa stoją przed olbrzymią ścianą ekranów, a wszystkie one wyświetlają różne obrazy ze Strefy i z Labiryntu. Niektóre z obrazów poruszają się, i chłopak wie, dlaczego. Wszystkie te ujęcia pochodzą z żukolców, a te od czasu do czasu muszą zmienić pozycję. Kiedy się poruszają, przypomina to patrzenie oczami szczura.

- Nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy nie żyją - mówi Teresa.

Thomas czuje zamęt w głowie. Znów nie rozumie do końca, co się dzieje. Znajduje się

wewnątrz tego chłopaka, który niby ma być nim, ale nie wie, o czym Teresa mówi. Jest oczywiste, że nie o Streferach - na jednym z ekranów widzi Minhó i Newta idących w stronę lasu, na innym Gally'ego siedzącego na ławce. Potem Alby ego, krzyczącego na kogoś, kogo Thomas nie rozpoznaje.

- Wiedzieliśmy, że tak będzie - odpowiada w końcu, niepewny, czemu to powiedział.

- Ale i tak ciężko to przyjąć do wiadomości. - Nie patrzą na siebie nawzajem, analizują to, co widać na ekranach. - Teraz wszystko jest w naszych rękach. Naszych i tych ludzi z baraków.

- To dobrze - mówi Thomas.

- Jest mi ich prawie tak samo żal, jak Streferów. Prawie.

Thomas głowi się, co to oznacza, podczas gdy jego młodsza wersja odchrząkuje.

- Sądysz, że nauczyliśmy się już wystarczająco dużo? Naprawdę sądzisz, że jesteśmy w stanie to zrobić, mimo że wszyscy Stwórcy z pierwotnego zespołu są martwi?

- Musimy, Tom. - Teresa podchodzi do niego i łapie go za rękę. Chłopak patrzy w dół na nią, ale nie jest w stanie odczytać wyrazu jej twarzy. - Wszystko jest już naszykowane. Mamy rok, żeby wyszkolić zastępców i się przygotować.

- Ale nie powinniśmy tego robić. Jak możemy od nich oczekiwać, żeby...

Teresa przewraca oczami i ściska jego dłoń tak mocno, że to aż boli.

- Wiedzą, w co się pakują. Nie powtarzaj więcej takich rzeczy.

- W porządku. - Thomas jakimś sposobem wie, że w wizji, którą ogląda, ten chłopak będący jego wersją czuje się w środku martwy. Jego słowa nic nie znaczą. - Jedyne, co się teraz liczy, to wzory. Strefa zagłady. Nic więcej.

Teresa kiwa głową.

- Nie ma znaczenia, ilu zginie czy zostanie rannych. Jeśli Zmienne nie podzielają, wszyscy i tak skończą tak samo. Wszystkich to czeka.

- Wzory - mówi Thomas.

Teresa ściska jego dłoń.

- Wzory.

Kiedy się zbudził, światło już przygasło do matowej szarości, bo słońce zniżyło się w kierunku horyzontu, którego nie widział. Harriet i Sonya siedziały zaledwie jakieś półtora metra od niego. Obie wpatrywały się w niego jakoś dziwnie.

- Dobry wieczór - powiedział z udawanym entuzjazmem; niepokojący sen wciąż pozostawał żywy w jego pamięci.

- W czym mogę paniom pomóc?

- Chcemy wiedzieć, co ty wiesz - powiedziała cicho Harriet.

Utrzymująca się mgielka senności zniknęła błyskawicznie.

- Czemu miałbym wam pomagać? - Chciał posiedzieć i zastanowić się nad swoim ostatnim snem, ale wiedział, że coś się zmieniło - widział to w oczach Harriet - i nie mógł przepuścić szansy na ocalenie swojego życia.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał wybór - odrzekła Harriet.

- Ale jeśli podzielisz się tym, czego udało ci się dowiedzieć czy domyślić, może my będziemy mogli pomóc tobie.

Thomas rozejrzał się za Teresą, ale jej nie zobaczył.

- Gdzie jest...

Sonya przerwała mu w pół słowa.

- Powiedziała, że chce sprawdzić teren, żeby zobaczyć, czy twoi przyjaciele poszli za nami. Oddaliła się jakąś godzinę temu.

Thomas w myślach nadal widział Teresę ze swojego snu. Wpatrzoną w te ekrany, mówiącą o martwych Stwórcach i o strefie zagłady. Mówiącą o wzorach. Jak się to wszystko łączyło ze sobą?

- Zapomniałeś języka w gębie?

Zogniskował spojrzenie na Sonyi.

- Nie, ee... Czy to znaczy, że zaczynacie zmieniać zdanie w kwestii zabicia mnie? - Wypowiedziane słowa zabrzmiały głupio w jego uszach, i zaczął się zastanawiać, ilu ludzi w historii świata kiedykolwiek zadało takie pytanie.

Harriet uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie bądź taki szybki z wyciąganiem wniosków. I nie myśl sobie, że nagle odezwała się w nas szlachetność. Powiedzmy, że nabrałyśmy wątpliwości i chcemy porozmawiać, ale twoje szanse nadal są marne.

Sonya podjęła jej tok rozumowania.

- W tym momencie najrozsądniejsze wydaje się postąpienie tak, jak nam kazano. Nas jest dużo więcej, ty tylko jeden. Znaczy, sam popatrz. Gdyby to była twoja decyzja, co byś zrobił?

- To raczej pewne, że postanowiłbym nie zabijać sam siebie.

- Nie zachowuj się jak cymbał. To nie jest śmieszne. Gdybyś mógł wybierać, a dwie opcje wyglądałyby tak, że albo umierasz ty, albo umieramy wszyscy, to którą byś wybrał? Albo ty, albo my.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że dziewczyna mówi bardzo poważnie, i jej pytanie

raǳnęło Thomasa niczym cios w klatkę piersiową. W pewien sposób miała słuszność. Gdyby rzeczywiście miało być tak, że one wszystkie zginą, jeśli nie pozbędą się jego, to jak mógł od nich oczekiwać, żeby tego nie robiły?

- Odpowiesz w końcu? - naciskała Sonya.

- Właśnie myślę. - Zamilkł na chwilę, wytarł pot z czoła. Ujrzana we śnie wizja znów próbowała wypłynąć na powierzchnię jego świadomości i musiał ją zepchnąć z powrotem w głąb. - No dobra, tak z ręką na sercu. Przysięgam, że mówię uczciwie. Gdybym był na waszym miejscu, postanowiłbym mnie nie zabijać.

Harriet przewróciła oczami.

- Łatwo ci mówić, bo to o twoje życie tu chodzi.

- Nie tylko dlatego. Myślę, że to jest jakiś test i może tak naprawdę macie tego nie robić. - Serce Thomasa zabiło szybciej; naprawdę wierzył w prawdziwość tego, co powiedział, ale wątpił, czy dziewczyny by mu uwierzyły, nawet gdyby spróbował to wyjaśnić. - Może faktycznie powinniśmy podzielić się wszystkim, co wiemy, i spróbować wyciągnąć wnioski.

Harriet i Sonya wymienily długie spojrzenie.

W końcu Sonya kiwnęła głową. Wtedy Harriet powiedziała:

- Od początku miałyśmy wątpliwości co do tej całej sprawy. Coś tutaj jest nie tak. Więc owszem, lepiej powiedz, co wiesz. Ale najpierw ściągnijmy tu całe towarzystwo. - Wstały, żeby zawołać resztę grupy.

- Pospieszcie się w takim razie - powiedział Thomas, zastanawiając się, czy rzeczywiście ma szansę wykaraskać się z opresji. - Lepiej załatwmy to, zanim wróci Teresa.

Nie trwało długo, zanim zwołały całą grupę - Thomas uznał, że widać żadna z dziewczyn nie chciała przepuścić okazji, żeby posłuchać, co skazany na śmierć ma do powiedzenia. Wszystkie zebrały się przed nim, skupione ciasno jedna przy drugiej; on nadal przywiązany był do brzydkiego uschniętego drzewa.

- W porządku - powiedziała Harriet. - Ty mów pierwszy, potem my.

Thomas kiwnął głową i odchrząknął. Zaczął mówić, chociaż jeszcze nie zaplanował sobie do końca, co chce powiedzieć.

- Jedyne, co wiem o waszej grupie, to to, czego się dowiedziałem od Arisa. I zdaje się, że w Labiryncie wszyscy przeszliśmy mniej więcej przez to samo. Ale odkąd uciekliśmy, sporo rzeczy wyglądało już inaczej. I nie jestem pewien, ile wiecie na temat DRESZCZu.

Sonya weszła mu w słowo.

- Niewiele.

To dodało Thomasowi odwagi, sprawiło, że poczuł, iż ma w ręku atut. Odniósł też wrażenie, że przyznanie się do niewiedzy było ze strony Sonyi dużą pomyłką.

- No cóż, ja się sporo dowiedziałem na ich temat. Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób wyjątkowi: jesteśmy poddawani testom czy coś w tym rodzaju, bo DRESZCZ wiąże z nami plany. - Zrobił w tym miejscu pauzę, ale ponieważ żadna ze słuchaczek nie zareagowała, kontynuował. - Wiele spośród tych rzeczy, które nas spotykają, wydają się nie mieć sensu, bo są tylko częścią prób: tym, co DRESZCZ określa mianem Zmiennych. Sprawdzanie, jak zareagujemy w określonych sytuacjach. Nie rozumiem tego wszystkiego, nawet w przybliżeniu, ale myślę, że ta cała akcja z zabijaniem mnie to po prostu kolejna warstwa. Czy też kolejne kłamstwo. Więc... myślę, że to jest po prostu kolejna Zmienna, która ma sprawdzić, co wszyscy zrobimy.

- Innymi słowy - odezwała się Harriet - chcesz, żebyśmy my zaryzykowały życiem w związku z tym, co tak błyskotliwie wydedukowałeś?

- Nie rozumiecie? Zabicie mnie nie ma żadnego sensu. Może to test dla was, nie wiem. Ale wiem na pewno, że mogę wam pomóc, jeśli będę żywy, a nie martwy.

- Albo - odparła Harriet - sprawdzają, czy jesteśmy na tyle twarde, żeby zabić przywódcę naszych rywali. Czy to nie oto w tym wszystkim chodzi? Żeby zobaczyć, której grupie się uda? Odsiać słabych i zostawić silnych?

- Ja przecież nawet nie byłem przywódcą, to Minho nami dowodzi. - Thomas stanowczo potrząsnął głową. - No, zastanówcie się nad tym. Czy naprawdę pokazujecie siłę, zabijając mnie? Ja jestem jeden, was jest dużo i macie tyle broni. W jaki sposób to miałyby udowodnić, kto jest silniejszy?

- Więc o co tu miałyby naprawdę chodzić? - zawołała jakaś dziewczyna stojąca z tyłu.

Thomas zrobił pauzę, starannie dobierając słowa.

- Myślę, że to test, który ma na celu sprawdzić, czy potraficie myśleć samodzielnie, zmieniać plany, podejmować racjonalne decyzje. Im więcej nas jest, tym większe mamy szanse na dotarcie do bezpiecznej przystani. Zabicie mnie nie ma sensu, nie przynosi nikomu korzyści. Jeśli miałyście udowodnić swoją siłę, zrobiliście to, porywając mnie. Teraz pokażcie im, że nie wypełnicie rozkazów ślepo do końca.

Zamilkł i usiadł swobodniej, opierając się plecami o drzewo. Nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć. Zrobił, co mógł.

- Interesujące - stwierdziła Sonya. - Brzmi bardzo jak coś, co mogłaby powiedzieć osoba, która desperacko chce się uchronić przed śmiercią.

Thomas wzruszył ramionami.

- Naprawdę wydaje mi się, że taka jest prawda. Myślę, że jeśli mnie zabijecie, oblejecie prawdziwy test, przed którym postawił was DRESZCZ.

- Taa, założę się, że faktycznie tak myślisz - powiedziała Harriet. Wstała. - Słuchaj, tak z ręką na sercu, nam chodziły po głowie podobne myśli. Ale chcieliśmy sprawdzić, co ty masz do powiedzenia. Słońce powinno wkrótce zajść i jestem pewna, że Teresa wróci lada chwila. Pogadamy o tym, kiedy tu przyjdzie.

Thomas przemówił szybko, w obawie, że Teresa nie da się przekonać.

- Nie! To znaczy, ona wydaje się najbardziej zdeterminowana, żeby mnie zabić. - Powiedział to, chociaż w głębi serca miał nadzieję, że to nieprawda. Niezależnie od tego, jak paskudnie go potraktowała, z pewnością nie zamierzała na serio posunąć się aż do morderstwa. - Myślę, że wy powinniście podjąć tę decyzję.

- Uspokój się - odparła Harriet z nieznacznym uśmiechem. - Jeśli postanowimy cię nie zabijać, ona figę będzie mogła z tym zrobić. Ale jeśli... - Zamilkła z dziwnym wyrazem twarzy. Czy przestraszyła się, że powiedziała za dużo? - Rozkminimy to.

Thomas z wysiłkiem powstrzymał się od okazania ulgi. Możliwe, że udało mu się troszkę im zagrać na ambicji, ale starał się nie pozwolić, żeby poniosła go nadzieja.

Patrzył, jak dziewczyny zbierają swoje rzeczy i pakują je do plecaków. - Skąd je mają? - zastanawiał się - przygotowując się do nocnej wędrówki, dokądkolwiek ta miała prowadzić. W powietrzu niosły się pomruki i szepty, towarzystwo co rusz zerkało w jego stronę, ewidentnie dyskutując nad tym, co powiedział.

Mrok stawał się coraz gęstszy i gęstszy, aż w końcu pojawiła się Teresa. Nadeszła z tego samego kierunku, z którego przyszli wcześniej. Natychmiast poznała, że coś się zmieniło. Przypuszczalnie zauważyła, jak wszyscy popatrują na nią, to na Thomasa.

- Co jest? - zapytała z tą samą hardą miną, która malowała się na jej twarzy od poprzedniego dnia.

Osobą, która odpowiedziała, była Harriet.

- Musimy pogadać.

Teresa wyglądała na zdezorientowaną, ale posłusznie skierowała się w drugi kraniec pieczary razem z resztą grupy. Natychmiast rozległy się gwałtowne szepty, ale Thomas nie był w stanie rozróżnić ani słowa z czyjejkolwiek wypowiedzi. Żołądek zacisnął mu się w oczekiwaniu na werdykt.

Z miejsca, gdzie się znajdował, chłopak widział, że wymiana zdań zaczyna się stawać gniewna, a Teresa sprawiała wrażenie równie zdenerwowanej, co rozmówczynię. Obserwował, jak na jej twarzy odmalowuje się coraz większa zawziętość, podczas gdy

dziewczyna starała się dać coś dobitnie do zrozumienia. Wyglądało na to, że jest sama przeciwko całej reszcie grupy, co bardzo niepokoiło Thomasa.

W końcu, gdy panowała już niemal całkowita noc, Teresa odwróciła się na pięcie, gwałtownie odeszła od grupy dziewczyn i zaczęła się oddalać od obozowiska, kierując się na północ. Przewiesiła włócznię przez jedno ramię, a plecak przez drugie. Thomas patrzył za nią, póki nie zniknęła w ciasnym przesmyku Przejścia.

Spojrzał z powrotem na grupę; dziewczyny w większości miały miny pełne ulgi. Po chwili podeszła do niego Harriet. Bez słowa uklękła i rozwiązała sznur, którym Thomas przykrępowany był do drzewa.

- No i? - zagadnął w końcu chłopak. - Podjęłyście jakąś decyzję?

Harriet nie odpowiedziała, póki nie skończyła go uwalniać. Wtedy przysiadła na piętach i popatrzyła na niego. W jej ciemnych oczach odbijała się słaba poświata gwiazd i księżyca.

- To twój szczęśliwy dzień. Postanowiliśmy oszczędzić twój chuderlawy tyłek. To nie może być zbieg okoliczności, że wszystkim nam chodziły po głowie podobne myśli.

Thomas nie poczuł spodziewanego przyływu ulgi. W tym momencie uświadomił sobie, iż przez cały czas wiedział, że taka właśnie będzie ich decyzja.

- Ale coś ci powiem - dorzuciła Harriet, wstając i wyciągając rękę, żeby jemu też pomóc stanąć na nogi. - Teresa cię nie lubi. Na twoim miejscu miałabym oczy naokoło głowy, kiedy ona jest w pobliżu.

Thomas pozwolił, żeby Harriet pomogła mu wstać. W jego głowie zamęt walczył o lepsze z rozpaczą.

Teresa naprawdę chciała, żeby zginął.

Thomas, milcząc, posilił się wraz z grupą B i przygotował się do wymarszu. Wkrótce ruszyli mrocznym górskim wąwozem, kierując się w stronę bezpiecznej przystani, która miała czekać po drugiej stronie. Dziwnie było nagle znaleźć się na przyjacielskiej stopie z tymi dziewczynami po tym, co go spotkało z ich strony, ale zachowywały się tak, jakby nie stało się nic niezwykłego. Traktowały go jak, no cóż, jak jedną spośród siebie.

Mimo wszystko trzymał się od nich nieco na dystans, w tyle kolumny, zastanawiając się, czy powinien im w pełni zaufać i uwierzyć, że zmieniły swoje zamiary w stosunku do niego. Co miał zrobić? Nawet gdyby Harriet i reszta pozwoliły mu odejść, to czy powinien spróbować odnaleźć swoją własną grupę, Minho, Newta i pozostałych? Desperacko pragnął znów znaleźć się w towarzystwie przyjaciół oraz Brendy. Wiedział jednak, że ich czas się kończy, nie miał też jedzenia ani wody, które pozwoliłyby mu na samodzielny marsz. Musiał

po prostu liczyć, że oni też odnajdą drogę do bezpiecznej przystani.

Szedł więc naprzód, trzymając się w pobliżu Grupy B, ale nie za blisko.

Minęło kilka godzin, w czasie których za towarzystwo miał jedynie wysokie skaliste urwiska oraz chrzęszczenie ziemi i kamyków pod stopami. Przyjemnie było móc się znowu ruszać, rozprostować nogi i rozciągnąć mięśnie. Jednak wyznaczony termin szybko się zbliżał. I kto wie, jaka przeszkoda może się teraz pojawić na ich drodze? A może dziewczęta zaplanowały dla niego coś jeszcze? Dużo rozmyślał o nawiedzających go snach, ale nadal nie był w stanie poskładać ich w całość na tyle, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Harriet zwolniła kroku, pozostając w tyle za koleżankami, aż znalazła się z Thomasem ramię w ramię.

- Przepraszam, że wlokłyśmy cię przez pustynię w worku - powiedziała. W gasnącym świetle nie widział wyraźnie jej twarzy, ale mógł sobie wyobrazić, że maluje się tam uśmiezek.

- Och, nie ma za co, fajnie było na jakiś czas dać odpocząć nogom. - Thomas wiedział, że musi dobrze grać swoją rolę, okazać trochę humoru. Nie mógł jeszcze do końca zaufać dziewczynom, ale nie widział żadnych innych opcji.

Zaśmiała się i ten dźwięk sprawił, że Thomas się nieco odprężył.”

- Taa, no cóż, gość z DRESZCZu dał nam bardzo dokładne instrukcje, gdy chodzi o ciebie. Ale to Teresa dostała praktycznie obsesji na tym punkcie. Prawie tak, jakby zabicie ciebie było jej pomysłem.

To zabolalo Thomasa, ale wreszcie zyskał szansę, żeby dowiedzieć się paru rzeczy, i nie zamierzał jej przepuścić.

- Czy ten typek miał na sobie biały garnitur i wyglądał trochę jak szczur przemieniony w człowieka?

- No - odparła bez wahania. - To ten sam gość, który rozmawiał z wami?

Thomas kiwnął głową.

- Jakie... konkretnie instrukcje wam dał?

- No cóż, przez większość czasu wędrowaliśmy tunelami pod ziemią. To dlatego nie widzieliście nas na pustyni. Pierwsze, co musiałyśmy zrobić, to ta dziwna akcja, kiedy ty i Teresa rozmawialiście przy tamtym budynku na południe od miasta. Pamiętasz?

Thomas poczuł, że serce w nim zamiera. Była wtedy ze swoją grupą?

- Ee, tak, pamiętam.

- No więc pewnie już się do tej pory domyśliłeś, ale to wszystko było zaaranżowane. Coś w rodzaju przygrywki, żeby ci dać fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Powiedziała nam

nawet, że ją w jakiś sposób... kontrolowano na tyle długo, żeby ją zmusić do pocałowania ciebie. To prawda?

Thomas przystanął i zgiął się wpół, kładąc dłonie na kolanach. Coś wyszło z niego oddech. To już koniec. Ostatecznie i nieodwołalnie stracił wszelki ślad wątpliwości. Teresa zwróciła się przeciwko niemu. A może nigdy tak naprawdę nie była po jego stronie.

- Wiem, że to paskudne - powiedziała cicho Harriet. - Wygląda na to, że kiedyś była dla ciebie kimś naprawdę bliskim.

Thomas wstał i powoli wziął głęboki oddech.

- Ja... Po prostu... Miałem nadzieję, że było na odwrót. Ze zmuszali ją, aby próbowała nam zrobić krzywdę, że wyłamała się spod kontroli na tyle długo, żeby... Żeby mnie pocałować.

Harriet położyła dłoń na jego ramieniu.

- Odkąd do nas dołączyła, cały czas mówiła o tobie jak o jakimś potworze, który zrobił jej coś naprawdę strasznego, tylko nigdy nie chciała nam powiedzieć, co to było. Ale muszę ci powiedzieć: w ogóle nie jesteś taki, jak cię opisywała. Chyba to przede wszystkim dlatego zmieniłyśmy zdanie.

Thomas zamknął oczy i spróbował uspokoić bijące serce. Potem otrząsnął się i wznowił marsz.

- Dobra, opowiedz mi resztę. Muszę to usłyszeć. Wszystko.

Harriet dostosowała swoje tempo do jego kroków.

- Cała reszta instrukcji w kwestii zabicia cię dotyczyła złapania cię na pustyni, tak, jak to zrobiłyśmy, i sprowadzenia cię tutaj. Powiedziano nam nawet, że mamy cię trzymać w worku, dopóki nie znajdziemy się poza zasięgiem wzroku Grupy A. Potem... no cóż, wielki dzień miał nastąpić pojutrze. Na północnym zboczu góry jest ponoć wbudowana jakaś konstrukcja. Specjalne miejsce, żeby... cię zabić.

Thomas miał ochotę znowu przystanąć, ale zmusił stopy do ruchu.

- Miejsce? Co to w praktyce znaczy?

- Nie wiem. Powiedział nam po prostu, że kiedy tam dotrzemy, będziemy wiedziały, co robić. - Zrobiła pauzę, po czym strzeliła palcami, jakby coś właśnie przyszło jej do głowy.

- Założę się, że to tam Teresa poszła wcześniej.

- Czemu? Jak blisko tamtej strony jesteśmy?

- Wiesz co, nie mam zielonego pojęcia.

Zamilkli i szli dalej.

Wędrówka trwała dłużej, niż Thomas się spodziewał. W połowie drugiej nocy marszu

okrzyki z przodu kolumny obwieściły, że dotarli do końca Przejścia. Thomas, który trzymał się z tyłu, poderwał się do biegu, żeby dopędzić czołówkę; desperacko pragnął zobaczyć, co znajduje się po północnej stronie gór. Bądź co bądź, tam czekało jego przeznaczenie.

Grupa dziewczyn skupiła się w obrębie szerokiego jęzora piarg, który rozpościerał się wachlarzowato u wylotu wąskiego kanionu Przejścia, a potem opadał stromo aż do podnóża góry, daleko w dole. Widoczny w trzech czwartych księżyc oświetlał rozciągającą się przed nimi dolinę, sprawiając, że wydawała się ciemnopurpurowa i niesamowita. I całkiem płaska. Na wiele mil w przód nie było tam nic, tylko sucha, martwa ziemia.

Zupełnie nic.

Ani śladu czegokolwiek, co mogłoby być bezpieczną przystanią. A rzekomo miało ich od niej dzielić już tylko kilkanaście kilometrów.

- Może po prostu jej nie widzimy. - Thomas nie wiedział, która z dziewczyn to powiedziała, ale był pewien, że wszyscy obecni bardzo dobrze wiedzą, co nią kierowało. Chęć podtrzymania nadziei.

- No - dodała Harriet pełnym optymizmu tonem. - To może być po prostu kolejne wejście do jednego z tych ich podziemnych tuneli. Daję głowę, że tam jest.

- Jak sądzicie, ile kilometrów nam jeszcze zostało? - zapytała Sonya.

- Nie więcej niż szesnaście, bazując na tym, skąd wyruszyliśmy i jaki dystans mieliśmy przebyć, zgodnie z tym, co powiedział ten gość - odparła Harriet. - Prawdopodobnie raczej jedenaście czy dwanaście. Myślałam, że wyjdziemy tutaj i zobaczymy piękny, duży budynek, a na nim uśmiechniętą buźkę.

Thomas przez cały czas przepatrywał ciemność, ale on też nic nie widział. Tylko morze czerni rozciągające się aż po horyzont, wyglądający tak, jakby spuszczone tam rozgwieżdżoną kurtynę. I nigdzie ani śladu Teresy.

- No cóż - odezwała się Sonya. - Nie mamy za bardzo innego wyboru, jak tylko iść dalej na północ. Powinniśmy byli przewidzieć, że nie należy się spodziewać czegoś łatwego. Może do wschodu słońca damy radę dotrzeć do podnóża góry. Będziemy dzisiaj spać na płaskim gruncie.

Reszta grupy przyklasnęła jej i dziewczyny już miały ruszyć w dół ledwie widoczną ścieżką odchodzącą od wachlarza piarg, kiedy Thomas zapytał:

- Gdzie jest Teresa?

Harriet obejrzała się na niego; księżyc oblewał jej twarz bladą poświatą.

- W tym momencie niespecjalnie mnie to obchodzi. Jeśli jest na tyle dużą dziewczynką, żeby się obrazić i pobiec cholera wie gdzie, kiedy coś poszło nie po jej myśli, to

jest też wystarczająco duża, żeby nas odszukać i dogonić, kiedy jej przejdzie. Chodź.

Ruszyli w dół wijącą się ostrymi zakosami ścieżką. Luźna ziemia i kamienie chrzęściły pod stopami. Thomas nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić okiem za siebie, przepatrując zbocze góry oraz wąski wylot Przejścia w poszukiwaniu Teresy. Był zupełnie skonfundowany tym wszystkim, ale nadal dręczyło go dziwne pragnienie, żeby ją zobaczyć. Wpatrywał się w ciemne wzniesienia, ale widział jedynie cienie oraz odbłaski księżycowego światła.

Odwrócił się i zaczął iść, czując nieomal ulgę, że jej nie dostrzegł.

Grupa powoli schodziła w dół, w milczeniu pokonując zakosy ścieżki. Thomas znów został z tyłu, zaskoczony pustką, jaką czuł teraz w głowie. Odrętwieniem. Nie miał pojęcia, gdzie są teraz jego przyjaciele ani jakie niebezpieczeństwa mogą na niego czyhać.

Po mniej więcej godzinie wędrówki, gdy mięśnie nóg zaczynały go już palić od obciążającego je schodzenia, grupa dotarła do zagajnika uschniętych drzew, który ciągnął się szerokim klinem w górę zbocza. Wyglądało to niemalże tak, jakby to dziwne skupisko roślinności zasiliał swego czasu wodospad. Choć jeśli tak było, ostatnie krople wody dawno temu pochłonęło Pogorzelisko.

Thomas, nadal idący jako ostatni w szeregu, właśnie opuszczał zagajnik, kiedy usłyszał swoje imię, co zaskoczyło go tak, że omal się nie potknął. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał, jak zza splątanej kępy białych pni wyłania się Teresa, z włócznią zaciśniętą w prawej dłoni. Twarz dziewczyny niknęła w cieniu. Koleżanki z grupy najwyraźniej jej nie usłyszały, bo szły dalej.

- Tereso - szepnął. - Co... - Nie wiedział nawet, co powiedzieć.

- Tom, musimy porozmawiać - odparła, a jej głos brzmiał prawie tak, jak głos tej dziewczyny, o której Thomas sądził, że ją zna. - Nie przejmuj się nimi, po prostu chodź ze mną. - Szybkim ruchem głowy wskazała drzewa za swoimi plecami.

Obejrzał się na dziewczyny z Grupy B, które cały czas się od niego oddalały, po czym ponownie zwrócił się twarzą do Teresy.

- Może powinniśmy...

- Po prostu chodź. Udawanie się skończyło. - Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź i wkroczyła do uschniętego gaju.

Thomas intensywnie myślał przez całe dwie sekundy; w głowie miał zamęt, a instynkt wrzeszczał na niego, żeby tego nie robić. Ale chłopak poszedł za nią.

Drzewa może i były martwe, ale ich gałęzie mimo to szarpały Thomasa za ubranie i drapały jego skórę. Drewno lśniło bielą w świetle księżyca, a rysujące się na ziemi smugi i

jeziora cienia nadawały zagajnikowi wygląd miejsca nawiedzanego przez duchy. Teresa szła przed siebie w milczeniu, płynąc w górę zbocza niczym zjawą.

W końcu nabrał odwagi, żeby przemówić.

- Dokąd idziemy? I naprawdę spodziewasz się, że uwierzę, że tamto wszystko było udawane? Czemu nie przestałaś, kiedy cała reszta grupy postanowiła mnie nie zabijać?

Ale jej odpowiedź była dziwna. Niemal nie odwracając głowy, Teresa zapytała:

- Poznałeś Arisa, prawda? - Nawet na moment nie zwolniła kroku.

Thomas zatrzymał się na sekundę, kompletnie zaskoczony.

- Aris? A ty skąd w ogóle o nim wiesz? Co on ma z tym wspólnego? - Przyspieszył kroku, żeby znowu się z nią zrównać, zaciekawiony, ale z jakiegoś powodu lękający się usłyszeć odpowiedź.

Nie odpowiedziała od razu, bo właśnie przedzierała się przez szczególnie ciasno splątane gałęzie; jedna odskoczyła i uderzyła chłopaka w twarz po tym, jak Teresa wypuściła ją z ręki. Gdy dziewczyna wreszcie przedostała się na drugą stronę, odwróciła się do niego, przystanawszy akurat w miejscu, gdzie sączący się z góry księżycowy blask oświetlał jej rysy. Wyglądała na nieszczęśliwą.

- Tak się składa, że znam Arisa bardzo dobrze - oznajmiła napiętym tonem. - Dużo lepiej, niż byłbyś skłonny zaakceptować. Nie tylko stanowił znaczącą część mojego życia przed Labiryntem, ale on i ja możemy też rozmawiać w myślach, tak, jak kiedyś ty i ja. Nawet wtedy, kiedy przebywałam w Strefie, komunikowaliśmy się przez cały czas. I wiedzieliśmy, że prędzej czy później znów umieszczą nas razem.

Thomas poszukiwał odpowiedzi. Jej wypowiedź była tak nieoczekiwana, że pomyślał, iż to musi być żart. Kolejna sztuczka DRESZCZu.

Dziewczyna czekała z założonymi rękami, jakby patrzenie, jak Thomas daremnie szuka słów, sprawiało jej przyjemność.

- Kłamiesz - powiedział w końcu. - Wszystko, co mówisz, to kłamstwa. Nie rozumiem, dlaczego, ani co się dzieje, ale...

- Och, daj spokój, Tom - odparła. - Jak możesz być aż tak głupi? Po wszystkim, co cię spotkało, jak możesz się jeszcze czemukolwiek dziwić? Wszystko, co między nami zaszło, było częścią jakiegoś idiotycznego testu. A ten test już się zakończył. Aris i ja zrobimy to, co nam kazano zrobić, i życie potoczy się dalej. Jedyne, co się teraz liczy, to DRESZCZ. To wszystko.

- O czym ty mówisz? - Nie mógłby się już czuć bardziej pusty.

Teresa popatrzyła wstecz, ponad jego ramieniem. Thomas usłyszał trzask gałązek

łamiących się pod czyimiś stopami i jakimś cudem udało mu się zachować dość godności, żeby nie obejrzeć się za siebie, sprawdzając, kto się do niego podkradł.

- Tom - podjęła Teresa. - Aris jest tuż za tobą i trzyma wielki nóż. Jeśli spróbujesz wywijać jakieś numery, poderżnie ci gardło. Idziesz z nami i będziesz robił dokładnie to, co ci powiemy. Rozumiesz?

Thomas gapił się na nią, mając nadzieję, że gniew, który czuł w środku, maluje się wyraźnie na jego twarzy. Jeszcze nigdy w życiu - a przynajmniej w tej części życia, którą pamiętał - nie był równie wściekły.

- Powiedz cześć, Aris - dorzuciła. A potem, i to było najgorsze ze wszystkiego dotąd, uśmiechnęła się.

- Cześć, Tommy - powiedział chłopak za jego plecami. Tak, to był na pewno on, tylko jego głos nie brzmiał już tak przyjaźnie, jak wcześniej. - Fajnie znów się z tobą zobaczyć. - Czubek jego noża lekko dotknął pleców Thomasa.

Thomas milczał.

- No cóż - odezwała się Teresa. - Przynajmniej zachowujesz się jak dorosły. Po prostu idź dalej za mną. Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Dokąd idziemy? - zapytał Thomas lodowato.

- Dowiesz się niedługo. - Odwróciła się i wznowiła marsz przez zagajnik, podpierając się włócznią jak kijem.

Thomas pospieszył za nią, nie pozwalając, by Aris zdążył go popędzić. Drzewa stawały się coraz grubsze i coraz gęstsze, blask księżyca już nie przedostawał się przez ich gałęzie. Napierająca ciemność wydawała się wysysać z chłopaka światło i życie.

Dotarli do jaskini; gąszcz drzew tworzył niemal ścianę przed jej wejściem. Nic nie ostrzegło Thomasa - w jednej minucie przedzierali się przez kłujące gałęzie, a w następnej mieli przed sobą wysoki, wąski otwór w zboczu góry. W jego głębi znajdowało się źródło słabego światła - mdły zielonkawy prostokąt. Poświata ta upodobniła Teresę do zombie, gdy dziewczyna stanęła z boku, żeby chłopcy mogli wejść do środka.

Aris wyminął Thomasa, celując nożem w jego pierś niczym pistoletem, cofnął się pod ścianę naprzeciwko Teresy i oparł o skałę. Thomas mógł jedynie spoglądać to na jedno, to na drugie z nich. Dwoje ludzi, co do których instynkt dotąd mówił mu, że są jego przyjaciółmi. Aż do teraz.

- Cóż, jesteśmy na miejscu - oznajmiła Teresa, spoglądając na Arisa.

Chłopak nie odrywał wzroku od Thomasa.

- No, jesteśmy. Serio powiadasz, że przekonał resztę, aby go oszczędziły? Co on, jest

jakimś superpsychologiem czy jak?

- W pewnym sensie to nawet nam pomogło. Łatwiej było go tutaj ściągnąć. - Teresa posłała Thomasowi pogardliwe spojrzenie, następnie zaś przeszła przez całą szerokość jaskini, żeby stanąć obok Arisa. Na oczach Thomasa wspięła się na palce, pocałowała drugiego chłopca w policzek i uśmiechnęła się szeroko. - Tak się cieszę, że w końcu znów jesteśmy razem.

Aris również się uśmiechnął. Ostrzegawczo popatrzył na Thomasa, po czym zaryzykował odwrócenie wzroku na wystarczająco długo, żeby pochylić głowę ku Teresie. I pocałować ją w usta.

Thomas z trudem oderwał od nich wzrok i zamknął oczy. Jej prośby, by jej zaufała, jej pospieszny szept, by wytrzymała - wszystko było tylko po to, żeby go tutaj ściągnąć. Żeby łatwiej dało się go sprowadzić w to miejsce.

Żeby Teresa mogła zrealizować jakiś złowrogi cel, postawiony przez nią przez DRESZCZ.

- Skończcie z tym - powiedział wreszcie, nie mając jeszcze odwagi otworzyć oczu. Nie chciał wiedzieć, co robią, czemu się nie odzywają. Ale chciał, żeby pomyśleli, iż dał za wygraną. - Po prostu zróbcie, co macie zrobić.

Kiedy nie odpowiedzieli, nie mógł się powstrzymać od zerknięcia. Szeptali do siebie, pomiędzy słowami wymieniając pocałunki. Poczuł się tak, jakby do żołądka wlewano mu rozpalony olej.

Ponownie odwrócił wzrok, skupiając się na dziwnym źródle światła w tylnej części jaskini. Duży prostokąt bladej zieleni osadzony w ciemnej skale pulsował eteryczną poświatą. Miał taką wysokość, jak średniego wzrostu człowiek, i mniej więcej metr dwadzieścia szerokości. Jego matową powierzchnię pokrywały plamy; brudne okno na coś, co wyglądało jak radioaktywny szlam, świecący i niebezpieczny.

Kątem oka Thomas zobaczył, że Teresa cofa się od Arisa; ich miłosne gruchanie najwyraźniej dobiegło końca. Popatrzył na nią, zastanawiając się, czy w jego oczach widać, do jakiego stopnia go zdruzgotała.

- Tom - powiedziała. - Jeśli to coś pomoże, naprawdę mi przykro, że cię zraniłam. Tam w Labiryncie zrobiłam to, co musiałam, a zakumplowanie się z tobą wydawało się najlepszą szansą na odzyskanie tych wspomnień, których potrzebowaliśmy, żeby rozgryźć tamten kod i uciec. A tutaj na Pogorzelsku nie miałam za bardzo wyboru. Jedyne, co mieliśmy zrobić, żeby przejść Próby, to sprowadzić cię tutaj. A teraz albo ty, albo my.

Teresa zamilkła na sekundę, w jej oczach pojawił się dziwny błysk.

- Tom, Aris jest moim najlepszym przyjacielem - oznajmiła bez drgnienia w głosie.

I właśnie to sprawiło, że Thomas w końcu pękł.

- Mam... to... gdzieś! - wrzasnął, choć nic nie mogłoby być bardziej odległe od prawdy.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział. Jeśli ci na mnie zależy, powinieneś zrozumieć, czemu jestem gotowa zrobić wszystko, co będzie trzeba, żeby przez to przejść i zapewnić mu bezpieczeństwo. Czy ty nie zrobiłbyś dla mnie tego samego?

Thomas nie mógł uwierzyć, ile go teraz dzieliło od dziewczyny, którą kiedyś uważał za swoją najlepszą przyjaciółkę. Nawet we wszystkich jego wspomnieniach - zawsze byli tam tylko oni, we dwoje.

- Co to ma być? Próbujesz mi dokopać na wszelkie sposoby, jakie istnieją we wszechświecie? Weź po prostu zamknij, purwa, dziób i zrób to, co macie ze mną zrobić! - Jego pierś unosiła się i opadała w gniewnych oddechach, a serce łomotało w morderczym tempie.

- W porządku - odrzekła. - Aris, otwórzmy drzwi. Czas się pozbyć Toma.

Ale z pewnością nie zamierzał się poddać bez walki. Postanowił czekać i wypatrywać najlepszej sposobności.

Aris nadal celował w niego nożem, podczas gdy Teresa podeszła do dużej, prostokątnej, podświetlonej szyby z zielonego szkła. Thomas nie mógł zaprzeczyć, że te drzwi budzą jego ciekawość.

Dotarła do miejsca, w którym poświata oblewała całe jej ciało, zacierając kontury sylwetki, tak, jakby dziewczyna zaczynała się rozpuszczać. Przeszła przez całą szerokość jaskini, aż znalazła się zupełnie poza zasięgiem światła. Sięgnęła ku skalnej ścianie i zaczęła wciskać palcem przyciski na czymś, co musiało być niedużą, niewidoczną dla Thomasa klawiaturą.

Skończyła i z powrotem podeszła do nich.

- Zobaczymy, czy to w ogóle zadziała - odezwał się Aris.

- Zadziała - odparła Teresa.

Zabrzmiął głośny odgłos przypominający wyciąganie korka z butelki, a potem ostry syk. Na oczach Thomasa prawa krawędź szklanej tafli zaczęła się odchyłać na zewnątrz niczym otwierające się drzwi. W rozszerzającej się szparze zawirowały smużki białej mgły, prawie natychmiast rozwiewając się w nicość. Wyglądało to tak, jakby porzucona dawno temu zamrażarka uwalniała swe zimne powietrze w upalną noc. Wewnątrz czał się mrok, choć szklany prostokąt nadal emanował dziwną zieloną poświatą.

Więc te drzwi w ogóle nie były oknem, pomyślał Thomas. To tylko zielone drzwi. Może w najbliższej przyszłości jednak nie czekało go bliskie spotkanie z toksycznymi odpadami. Miał taką nadzieję.

Drzwi z lodowatym skrzypieniem uderzyły w końcu o pełną nierówności skalną ścianę i znieruchomiały. W miejscu, gdzie znajdowały się wcześniej, ziała teraz czarna jama - w jaskini nie było dość światła, żeby dało się zobaczyć, co skrywały. Mgła też zdążyła już zniknąć. Thomas poczuł, że otwiera się pod nim otchłań strachu.

- Masz latarkę? - spytał Aris.

Teresa odłożyła włócznię na ziemię, po czym ściągnęła plecak i zaczęła przetrząsać jego zawartość. Po chwili wyciągnęła latarkę i pstryknęła włącznikiem.

Aris skinął głową w stronę otworu.

- Zajrzyj tam, a ja go popilnuję. Niczego nie próbuj, Thomas. Dam głowę, że to, co dla ciebie zaplanowali, jest mniej przykre niż zadżganie na śmierć.

Thomas nie odpowiedział, dochowując swej żalosnej przysięgi, że już do samego końca będzie milczał. Myślał o nożu i o tym, czy jest w stanie go odebrać Arisowi.

Teresa podeszła tymczasem do samego prawego brzegu zięjącego prostokątnego otworu. Poświeciła do środka latarką. Powiodła snopem światła w górę i w dół, a potem z lewa na prawo. Przeciął rzadką mgiełkę, lecz było jej już na tyle niewiele, że bez trudu dało się rozróżnić wystrój wnętrza.

Pomieszczenie było nieduże, miało zaledwie niecałe dwa metry głębokości. Jego ściany wyglądały na zrobione z jakiegoś srebrzystego metalu; ich powierzchnię znaczyły nieduże wypukłości, wysokie na jakieś dwa i pół centymetra, z których każda kończyła się czarnym otworem. Te małe wyloty czy też dysze rozmieszczone były mniej więcej co dwanaście centymetrów i pokrywały ściany jednolitą siatką prostopadłych linii.

Teresa odwróciła się do Arisa i wyłączyła latarkę.

- Wygląda mniej więcej tak, jak powinno - powiedziała.

Aris gwałtownie przekręcił głowę, żeby popatrzeć na Thomasa, który tak bardzo skupił się na oglądaniu dziwnego pomieszczenia, że umknęła mu kolejna szansa, by coś zrobić.

- Dokładnie tak, jak powiedzieli.

- Więc... sądzę, że już czas? - spytała Teresa.

Aris skinął głową, po czym przełożył nóż do drugiej ręki, ujmując go mocniej.

- Już czas. Thomas, bądź grzecznym chłopcem i wejdź do środka. Kto wie, może to wszystko to tylko wielki test, a kiedy tam wejdiesz, wypuszczą cię i będziemy mogli sobie

urządzić fajną imprezę wspominkową.

- Zamknij się, Aris - rzuciła Teresa. Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez nią od jakiegoś czasu, które nie sprawiły, że Thomas miałby ochotę rąbnąć ją pięścią. Potem odwróciła się z powrotem do Thomasa, unikając jego wzroku. - Skończmy to.

Aris machnął nożem, nakazując Thomasowi gestem, żeby ruszył naprzód.

- Dalej. Nie zmuszaj mnie, żebym cię tam wciągnął.

Thomas popatrzył na niego, usiłując zachować nieprzeniknioną minę, podczas gdy w jego głowie kłębił się milion myśli. Raptem ogarnęła go fala paniki. Teraz albo nigdy. Walcz albo giń.

Odwrócił wzrok w stronę otwartych drzwi i zaczął powoli iść w ich kierunku. Trzy kroki - i już pokonał połowę dystansu. Teresa wyprostowała się, a jej ręce się napięły na wypadek, gdyby chciał sprawiać kłopoty. Aris nadal mierzył nożem w szyję Thomasa.

Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Teraz Aris znajdował się bezpośrednio po jego lewej, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej. Teresa stała za nim, niewidoczna w mroku, a tuż przed sobą Thomas miał otwarte drzwi i dziwne srebrne pomieszczenie o ścianach pokrytych otworkami.

Zatrzymał się, popatrzył z ukosa na Arisa.

- Jak wyglądała Rachel, gdy się wykrwawiała na śmierć? - Zaryzykował w nadziei, że odwróci tym jego uwagę.

Zaskoczony i zraniony, Aris zamarł, dając Thomasowi ułamek sekundy, którego ten potrzebował.

Rzucił się w stronę drugiego chłopca i zamachnął się lewą ręką, wybijając mu nóż z dłoni. Broń ze stukotem potoczyła się po kamieniach. Thomas rąbnął Arisa prawą pięścią w żołądek, posyłając go na ziemię, desperacko próbującego złapać oddech.

Brzęknięcie metalu o kamień powstrzymało go przed wymierzeniem powalonemu kopniaka. Podniósł wzrok i zobaczył, że Teresa ujęła swoją włócznię. Ich oczy spotkały się na sekundę; potem dziewczyna zaatakowała. Thomas wyrzucił w górę ręce, próbując się zasłonić, ale było za późno - drzewce włóczni zatoczyło w powietrzu łuk i walnęło go w bok głowy. Przed oczami zawirowały mu gwiazdy i upadł, usiłując nie stracić przytomności. Gdy tylko zetknął się z gruntem, spróbował się w pośpiechu dźwignąć na czworaki i uciec.

Jednak usłyszał krzyk Teresy, a sekundę później drzewce rąbnęło go w ciemię. Thomas z głuchym stukiem upadł ponownie; coś mokrego zaczęło mu ciec przez włosy, spływając po obu skroniach. Jego głowę przeszywał ból, jakby w czaszce tkwiła siekiera. Ogarnął również resztę ciała, przyprowadzając chłopaka o mdłości. Thomas jakimś cudem

zdołał się pozbierać z ziemi i przekręcić na plecy, tylko po to, by zobaczyć nad sobą Teresę, zamierzającą się do trzeciego ciosu.

- Wejdź tam, Thomas - powiedziała, dysząc ciężko. - Wejdź tam albo rąbnę cię jeszcze raz. Przysięgam, że będę to robić tak długo, aż albo zemdlejesz, albo się wykrwawisz na śmierć.

Aris zdążył tymczasem dojść do siebie i dźwignąć się na nogi; stał teraz tuż obok niej.

Thomas uniósł obie nogi i kopnął z całej siły, trafiając ich oboje. Z krzykiem stracili równowagę, wpadając na siebie nawzajem. Wysiłek fizyczny sprawił, że ciało Thomasa przeniknęła straszliwa fala bólu. Oślepiły go białe rozbłyski; świat wirował wokół niego. Jęcząc, poruszył się z wysiłkiem, przewrócił z powrotem na brzuch, próbował podeprzeć się rękoma. Zaledwie zdążył się unieść na kilkanaście centymetrów, kiedy Aris skoczył mu na plecy, spychając go z powrotem na ziemię. Ramię chłopaka szybko owinęło się wokół szyi Thomasa i zaczęło go dusić.

Thomas nie był w stanie zebrać dość sił, by z nimi walczyć. Dwa ciosy w głowę jakimś sposobem wyssały z niego wszystko, tak, jakby wszystkie jego mięśnie zapadły w letarg, bo mózg nie dysponował wystarczającą ilością energii, żeby wydawać im rozkazy. Teresa pospieszenie złapała obie jego ręce i zaczęła go wlec w stronę otwartych drzwi, a Aris popychał go z tyłu. Thomas niemrawo próbował kopać. Kamienie wbijały mu się w skórę.

- Nie róbcie tego - wyszeptał, poddając się rozpacz. Każde słowo atakowało jego nerwy falą bólu. - Błagam... - Teraz widział już tylko białe rozbłyski na tle czerni. Wstrząs mózgu, uświadomił sobie. Miał potworny wstrząs mózgu.

Do jego świadomości ledwo dotarło, że przeciągają jego ciało przez próg, że Teresa opiera jego ramiona o chłodny metal tylnej ściany pomieszczenia, potem przestępuje nad nim, by pomóc Arisowi unieść i opuścić jego nogi, tak, że teraz leżał bezwładnie, twarzą w bok. Nie znalazł w sobie dość sił, żeby na nich spojrzeć.

- Nie - powiedział, ale z jego gardła wydobył się jedynie szept. W jego umyśle pojawił się obraz chorego chłopca, Bena, i jego Wygnanie do Labiryntu. Dziwne, że to wspomnienie wróciło właśnie teraz, ale Thomas wiedział już, jak tamten dzieciak się czuł w ciągu ostatnich paru sekund, zanim ściany zatrzęsły się z hukiem, już na zawsze więząc go w Labiryncie.

- Nie - powtórzył, ale tak cicho, że nie wierzył, by tamci go usłyszeli. Bolało go całe ciało, od stóp do głów.

- Jesteś taki uparty - usłyszał głos Teresy. - Musiałeś to sobie utrudnić! Utrudnić nam wszystkim!

- Tereso - wyszeptał Thomas. Walcząc z bólem, spróbował zawołać do niej

telepatycznie, chociaż już od dawna mu się to nie udawało. - Tereso.

- Przykro mi, Tom - odparła, znów w jego umyśle. - Ale dzięki, że zechciałeś być naszą ofiarą.

Nie zauważył, że drzwi się zamykają, ale zatrzasnęły się akurat w momencie, gdy to ostatnie, straszne słowo przepływało przez jego gasnące myśli.

Tylna strona drzwi, które tamci zatrzasnęli, jarzyła się zielono, czyniąc z małego pomieszczenia upiorne, budzące mdłości więzienie. Thomas może by płakał, może łalby łzy, usmarkał się i wył jak niemowlę, gdyby głowa go tak okropnie nie bolała. Ból wwiercał mu się w czaszkę, a oczy, zdawałoby się, tkwiły zanurzone we wrzającej lawie.

Ale, mimo tego wszystkiego, zakorzeniony głębiej ból spowodowany definitywną już utratą Teresy nadal kęsał jego serce. Thomas po prostu nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zapłakać.

Leżąc tam, zupełnie zatracił poczucie czasu. Było tak, jakby ci, którzy stali za tym wszystkim, chcieli mu dać możliwość refleksji nad wszystkim, co się wydarzyło, podczas gdy czekał na koniec. Nad tym, że prośba dziewczyny, by jej zaufała bez względu na wszystko, okazała się być jedynie okrutnym podstępem, który tylko pokazał jeszcze dobitniej, jaka Teresa jest dwulicowa i zdradziecka.

Minęła godzina. Może dwie albo trzy. Może tylko trzydzieści minut. Nie miał pojęcia.

A potem rozległ się syk.

W słabym blasku świecących drzwi Thomas ujrzał pióropusze mgły wytryskujące z otworów, którymi podziurawione były metalowe ściany w jego polu widzenia. Przekręcił głowę, co sprawiło, że jego czaszkę przeszyła nowa fala bólu, i ujrzał, że ze wszystkich dysz wydobywają się takie same strumienie mlecznego oparu.

I wszystko to syczało niczym wijące się kłębowisko jadowitych zmij.

Więc to już konieci - pomyślał. Po wszystkim, przez co przeszedł, po wszystkich tajemnicach, walkach i ulotnych momentach nadziei, zamierzali go po prostu zabić przy pomocy jakiegoś trującego gazu? Ależ to było takie głupie. Po prostu głupie. Walczył z Bóldożercami i z Poparzeńcami, przeżył postrzał i infekcję. DRESZCZ. Przecież to oni go uratowali! A teraz zamierzali go po prostu zagazować na śmierć?

Usiadł i aż krzyknął z bólu wywołanego zmianą pozycji. Rozejrzał się, wypatrując czegokolwiek, czego mógłby użyć do...

Zmęczony. Taki zmęczony.

Coś było nie tak z jego klatką piersiową. I czuł mdłości.

Gaz.

Zmęczony. Obolały. Wyczerpane ciało.

Wdychał gaz.

Nie był w stanie się powstrzymać.

Taki... zmęczony...

W środku. Coś nie tak.

Teresa. Czemu to się musiało tak skończyć?

Zmęczony...

Samym skrajem świadomości zarejestrował, że jego głowa głucho stuknęła o posadzkę.

Zdrada.

Taki...

Zmęczony...

Thomas nie wiedział, czy umarł, czy żyje, ale czuł się tak, jakby spał. Zachował świadomość, lecz jego umysł wydawała się spowijać mgła. Osunął się w kolejny wspomnieniosen.

Thomas ma szesnaście lat. Przed nim stoją: Teresa i jeszcze jedna dziewczyna, której nie rozpoznaje.

I Aris.

Aris?

Wszyscy troje patrzą na niego z ponurymi, zaciętymi minami. Teresa płacze.

- Pora iść - mówi Thomas.

Aris kiwa głową.

- Na Zatarcie, a potem do Labiryntu.

Teresa tylko ociera łzy.

Thomas wyciąga rękę, a Aris wymienia z nim uścisk dłoni. Potem Thomas powtarza ten gest z dziewczyną, której nie zna. ‘

Potem Teresa podbiega i zagarnia go w uścisk. Szlocha, i Thomas uświadamia sobie, że on również płacze. Jego łzy spływają na jej włosy, gdy mocno ją obejmuje.

- Musicie już iść - mówi Aris.

Thomas spogląda na niego. Czeki. Próbuje się nacieszyć tą chwilą w towarzystwie Teresy. Ostatnią chwilą, gdy jeszcze posiada nienaruszoną, kompletną pamięć. Bardzo dużo czasu upłynie, zanim znowu będą mogli być razem - i pamiętać.

Teresa spogląda w górę, na niego.

- To zadziała. Wszystko zadziała.

- Wiem - odpowiada Thomas. Czuje smutek, który sprawia, że boli go każda, nawet najmniejsza cząstka ciała i duszy.

Aris otwiera drzwi i gestem wzywa Thomasa, by ten szedł za nim. Thomas posłusznie zaczyna iść, ale udaje mu się jeszcze po raz ostatni obejrzeć w stronę Teresy. Próbuje przybrać minę pełną nadziei.

- Do zobaczenia jutro - mówi.

Co jest prawdą, i to boli.

Wizja zgasła, a Thomas zapadł w najczarniejszy sen swojego życia.

To właśnie Thomas usłyszał, gdy zaczął odzyskiwać przytomność. Ciche, lecz szorstkie, drapiące bębny niczym papier ścierny. Nie rozumiał ani słowa. Było tak ciemno, że minęła sekunda, nim się zorientował, że ma otwarte oczy.

Twarz miał przyciśniętą do czegoś chłodnego i twardego. Do posadzki. Nie poruszył się, odkąd pod wpływem gazu stracił przytomność. Co zaskakujące, czaszka już go nie bolała. W zasadzie nic go nie bolało. W zamian wypełniało go uczucie odświeżenia i euforii, niemal przyprawiające o zawroty głowy. Może po prostu cieszył się, że żyje.

Oparł ręce o podłoże i dźwignął się do pozycji siedzącej. Rozejrzał się, lecz nic to nie dało - w ciemności nie było widać nawet najslabszego prześwitu światła. Zastanawiał się, co stało się z zieloną poświatą drzwi, które zatrzasnęła za nim Teresa.

Teresa.

Cała radość go opuściła, gdy przypomniał sobie zdradę dziewczyny. Ale potem...

Nie był martwy. Chyba że życie pozagrobowe miało polegać na tym, że człowiek siedzi w fujowej nieoświetlonej klitce.

Odpoczywał przez kilka minut, żeby się do reszty obudzić i odzyskać jasność myślenia. Potem wreszcie stanął na nogi i zaczął macać wokół siebie. Wyczuł trzy chłodne metalowe ściany, pokryte rozmieszczonymi w równych odstępach otworkami, i jedną gładką ścianę, która w dotyku wydawała się plastikowa. Nie było wątpliwości - nadal znajdował się w tym samym ciasnym pomieszczeniu.

Zaczął walić pięściami w drzwi.

- Hej! Jest tam kto?

Jego myśli zaczęły wirować. Te wizje przeszłości, których doznał już kilka - tyle rzeczy musiał przetrwać, tyle miał pytań. Rzeczy, które po raz pierwszy wróciły do niego podczas Przemiany w Labiryncie powoli zaczynały się wyostrzać, układać w całość. Był częścią planów DRESZCZu, częścią tego wszystkiego. On i Teresa byli ze sobą blisko, byli najlepszymi przyjaciółmi. Wszystko to wydawało się słuszne. Mieli poczucie, że robią te

rzeczy w imię wyższego dobra.

Tylko że teraz Thomas nie był już zadowolony z siebie. Czuł wyłącznie gniew i wstyd. Jak cokolwiek mogło usprawiedliwić ich postępowanie? To, co robił DRESZCZ - i co robili oni sami? Chociaż oczywiście już tak o sobie nie myślał, on i pozostali byli tylko dziećmi. Dziećmi! Już nie czuł szczególnej sympatii do siebie. Nie był pewien, kiedy osiągnął ten punkt zwrotny. Ale coś w nim nieodwracalnie pękło.

I była jeszcze Teresa. Jakim cudem mógł kiedykolwiek tyle do niej czuć?

Coś zatrzęszczało, a później zasyczało, przerywając jego rozmyślania.

Drzwi zaczęły się powoli otwierać na zewnątrz. Za nimi, w bladym świetle wczesnego poranka, stała Teresa ze smugami łez na twarzy. Gdy tylko było na to dość miejsca, zagarnęła Thomasa w gwałtowny uścisk, wtulając twarz w jego szyję.

- Tak mi przykro, Tom - powiedziała; czuł na skórze wilgoć jej łez. - Tak strasznie, strasznie mi przykro. Powiedzieli, że cię zabiją, jeśli nie zrobimy wszystkiego dokładnie tak, jak nam kazali. Niezależnie od tego, jak okropne to będzie. Przepraszam cię, Tom!

Thomas nie był w stanie odpowiedzieć, nie mógł się zmusić do tego, żeby ją uściskać w odpowiedzi. Zdrada. Tabliczka przy drzwiach Teresy, rozmowa między ludźmi z jego snów. Kawałki układanki łączyły się w całość. Niewykluczone, że znów próbowała go oszukać. Zdrada oznaczała, że już nie mógł jej ufać, a serce mówiło mu, że nie jest w stanie jej wybaczyć.

Niby zdawał sobie sprawę, że Teresa mimo wszystko dotrzymała pierwszej obietnicy, jaką mu złożyła. Zrobiła te okropne rzeczy wbrew swojej woli. To, co powiedziała wtedy pod tamtym budynkiem, było prawdą. Ale wiedział też, że nic między nimi już nigdy, przenigdy nie będzie takie samo.

W końcu odepchnął Teresę. Szczerość w jej niebieskich oczach nie była w stanie rozwiać dręczących go nadal wątpliwości.

- Ee... może powinnaś mi wytłumaczyć, co się stało.

- Mówiłam, żebyś mi zaufał - odparła. - Powiedziałam ci, że spotkają cię okropne, okropne rzeczy. Ale wszystkie te okropne rzeczy były tylko udawane. - Uśmiechnęła się, a ten uśmiech był tak śliczny, że Thomas z całego serca pragnął znaleźć jakiś sposób, aby zapomnieć o tym, co zrobiła.

- Taa, ale nie odniosłem wrażenia, żebyś musiała szczególnie ze sobą walczyć, kiedy robiłaś ze mnie miazgę za pomocą drzewca włóczni, a potem wypychałaś mnie do komory gazowej. - Nie potrafił ukryć nieufności, która kłębiła się w jego sercu. Zerknął na Arisa, który sprawiał wrażenie zmieszanego, jakby niechcący stał się świadkiem prywatnej

rozmowy.

- Przepraszam - powiedział Aris.

- Cemu nie powiedziałeś mi wcześniej, że się wszyscy znaliśmy w przeszłości? - odparł Thomas. - Co... - Nie wiedział, co powiedzieć.

- Myśmy wszystko udawali, Tom - powiedziała Teresa.

- Musisz nam uwierzyć. Od samego początku zapewniano nas, że nie umrzesz. Że ta cała akcja z komorą ma jakiś swój cel, a potem będzie po wszystkim. Tak mi przykro.

Thomas obejrzał się do tyłu, na drzwi do pomieszczenia, nadal stojące otworem.

- Chyba potrzebuję czasu, żeby to wszystko przetrwać.

- Teresa chciała, żeby jej wybaczył, żeby wszystko od razu było znowu tak, jak wcześniej. I instynkt podpowiadał Thomasowi, że najlepiej zrobi, ukrywając swoje gorzkie uczucia, lecz było to trudne.

- Co tam się stało, tak w ogóle? - spytała Teresa.

Thomas odwzajemnił jej spojrzenie.

- Może ty mów pierwsza, a ja po tobie. Myślę, że zasłużyłem przynajmniej na tyle.

Chciała go wziąć za rękę, ale cofnął dłoń, udając, że swędzi go szyja. Kiedy ujrzał, że przez twarz dziewczyny przemknął wyraz bólu, poczuł najłżejszy cień satysfakcji.

- Słuchaj - powiedziała Teresa. - Masz rację. Zasługujesz na wyjaśnienie. Myślę, że teraz możemy ci już wszystko powiedzieć - nie żebyśmy wiedzieli zbyt dużo o przyczynach.

Aris odkasznął, ewidentnie po to, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

- Ej, ale lepiej róbmy to, idąc. Albo biegnąc. Zostało nam już tylko kilka godzin. Dziś jest ostatni dzień.

Te słowa całkowicie wybiły Thomasa z odrętwienia. Spojrzał na zegarek. Zostało tylko pięć i pół godziny, jeśli Aris miał rację, że dwa tygodnie właśnie dobiegały końca - sam Thomas trochę stracił rachubę czasu, nie wiedząc, jak długo znajdował się w komorze. A jeśli nie uda im się w porę dotrzeć do bezpiecznej przystani, wszystko inne i tak będzie bez znaczenia. Pozostawało mieć nadzieję, że Minh i pozostali już ją znaleźli.

- Dobra. Zapomnijmy o tym póki co - powiedział, a następnie zmienił temat. - Czy coś na zewnątrz wygląda teraz inaczej? Znaczący, patrzyłem tam, kiedy było ciemno, ale...

- Wiemy - weszła mu w słowo Teresa. - Nie widać ani śladu jakiegokolwiek budynku. Nic. Za dnia wygląda to jeszcze gorzej. Tylko płaskie pustkowia, ciągnące się Bóg wie jak daleko. Nie ma tam ani jednego drzewa czy wzgórza. A co dopiero bezpiecznej przystani.

Thomas popatrzył na Arisa, a potem z powrotem na Teresę.

- Więc co niby mamy zrobić? Dokąd iść? - Pomyślał o Minh i Newcie, o Streferach,

o Brendzie i Jorge. - Widzieliście kogoś z pozostałych?

Aris odpowiedział:

- Wszystkie dziewczyny z mojej grupy są tam w dole i idą na północ, tak, jak nam kazano. Przewędrowały już spory kawał. Zauważyliśmy też twoich przyjaciół u podnóża góry, jakieś dwa czy trzy kilometry na zachód stąd. Patrząc stąd, nie sposób mieć pewności, ale wygląda na to, że nikogo więcej nie ubyło, i zmierzają w tym samym kierunku, co dziewczyny.

Thomasa ogarnęła ulga. Jego przyjaciele dotarli aż tutaj - miał nadzieję, że wszystkim się to udało.

- Musimy ruszać - powiedziała Teresa. - Nieważne, że nic tam nie ma. Kto wie, co wykombinował DRESZCZ? Musimy po prostu robić, co nam kazali. Chodźcie.

Thomasa chwilę wcześniej ogarnęło pragnienie, by dać za wygraną, usiąść i zapomnieć o wszystkim - pozwolić, by stało się to, co ma się stać. Ale niemal równie szybko, jak się pojawiło, to uczucie zniknęło. - W porządku, chodźmy. Ale lepiej opowiedz mi wszystko, co wiesz.

- Tak zrobię - odparła. - Co powiecie na bieg, kiedy tylko wydostaniemy się z tego uschniętego gaju?

Aris kiwnął głową, ale Thomas przewrócił oczami.

- Litości. Jestem Zwiadowcą.

Uniosła brwi.

- No cóż, więc przekonamy się po prostu, kto wymięknie przed kim.

W odpowiedzi Thomas jako pierwszy wyszedł z jaskini i wkroczył do pozbawionego życia lasu, odmawiając nurzania się teraz w burzy wspomnień i emocji, które chciały go pochłonać.

W miarę upływu poranka niebo nie rozjaśniało się zbyt. Wiatr napędzał coraz to nowe chmury, szare i gęste, tak gęste, że gdyby nie zegarek, Thomas nie miałby pojęcia, która jest godzina.

Chmury. Ostatnim razem, gdy się pojawiły...

Może ta burza nie będzie aż tak straszna. Może.

Gdy wydostali się z gęstwiny martwych drzew, nie zatrzymali się. W dolinę wiodła wyraźna ścieżka, biegnąca zakosami tam i z powrotem niczym poszarpana blizna na górskim zboczu. Zgodnie z oceną Thomasa, samo dostanie się na dół zajmie im parę godzin - zbieganie po śliskiej stromiźnie wyglądało na świetny sposób, żeby złamać kostkę czy nogę. A w takim wypadku przenigdy nie dotarliby do celu.

Wszyscy troje zgodzili się, że zejść na dół energicznym krokiem, ale zachowując ostrożność, a potem, gdy już znajdą się na równinie, pognają biegiem. Zaczęli schodzić - Aris, za nim Thomas, i na końcu Teresa. Ciemne chmury kłębiły się nad ich głowami, a podmuchy wiatru wydawały się pędzić we wszystkich kierunkach. Tak, jak powiedział Aris, Thomas był w stanie dostrzec dwie oddzielne grupki ludzi na pustyni poniżej - swoich przyjaciół ze Strefy, niedaleko podnóża góry, i Grupę B, jakieś dwa czy trzy kilometry dalej.

Znów poczuł ulgę, i odniósł wrażenie, że nagle łatwiej mu się idzie.

Po trzecim zakręcie ścieżki Teresa odezwała się za jego plecami:

- Dobra, myślę, że zacznę opowieść od miejsca, gdy się rozstaliśmy.

Thomas tylko kiwnął głową. Nie mógł uwierzyć w to, w jak świetnej jest kondycji - jego żołądek jakimś cudem był pełen, ból spowodowany pobiciem zniknął, a świeże powietrze i rześki wiatr sprawiały, że czuł w sobie życie. Nie miał pojęcia, co zawierał tamten gaz w komorze, ale ewidentnie bynajmniej nie był trujący, wprost przeciwnie. Mimo to chłopaka gryzła nieufność wobec Teresy; nie miał ochoty być dla dziewczyny zbyt miły.

- Wszystko zaczęło się w momencie, gdy rozmawialiśmy ze sobą w środku nocy - tamtej zupełnie pierwszej nocy tuż po tym, jak nas uratowano z Labiryntu. Tak jakby na wpół spałam, kiedy w moim pokoju zjawili się jacyś dziwnie ubrani ludzie. Trochę upiorni. W workowatych kombinezonach i goglach.

- Serio? - zapytał przez ramię Thomas. Opis bardzo przypominał tych ludzi, których chłopak widział po tym, jak go postrzelono.

- Przeraziłam się i chciałam do ciebie krzyknąć, ale to nagle przestało działać. Ta cała telepatia, znaczy. Nie umiem powiedzieć, po czym to poznałam, ale po prostu znikła. Od tamtej pory aż do teraz czasem pojawia się zrywami, a potem znów jej nie ma.

Potem przemówiła w jego umyśle.

- Teraz świetnie mnie słyszysz, prawda?,

- Tak. Czy ty i Aris naprawdę rozmawialiście, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w Labiryncie?

- No...

Głos Teresy ucichł, a kiedy Thomas obejrzał się na nią, miała zmartwioną minę.

- Co jest? - zapytał, z powrotem skupiając się na ścieżce, żeby nie zrobić za chwilę czegoś głupiego, na przykład nie potknąć się i nie sturlać w dół zbocza.

- Nie chcę się w to teraz wgłębiać. Jeszcze nie.

- Wgłę... - Udało mu się w porę powstrzymać od wypowiedzenia tego na głos. - Wgłębiać w co konkretnie?

Teresa nie odpowiedziała.

Thomas wysilił się, żeby jak najgłośniej wykrzyczeć w jej umyśle:

- Wgłębiać w co?!

Milczała jeszcze przez kilka sekund, nim w końcu odpowiedziała.

- Tak, on i ja rozmawialiśmy, odkąd po raz pierwszy pojawiłam się w Strefie. Głównie wtedy, kiedy tkwiłam w tej głupiej śpiączce. trzymać i nie odwrócić do niej.

- Co takiego? Czemu mi o nim nie powiedziałaś wtedy w Labiryncie? - Tak jakby potrzebował jeszcze jednego powodu, żeby nie lubić ich obojga.

- Ej, czemu przestaliście rozmawiać? - zapytał nagle Aris. - Papłacie o mnie w tych swoich ślicznych główkach? - Niewiarygodne, ale nie wydawał się już w najmniejszym stopniu złowrogi. Niemal można byłoby pomyśleć, że wszystko, co wydarzyło się wcześniej, w martwym zagajniku, stanowiło tylko wytwór wyobraźni Thomasa.

Thomas wypuścił głęboki oddech, który od dłuższej chwili zbierał się w jego płucach.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wy dwoje... - Urwał, uświadamiając sobie, że w zasadzie może nie powinien się aż tak dziwić. W końcu widział Arisa we fragmentach wspomnień z najnowszego snu. Aris też był tego częścią, czymkolwiek to było. A to, jak wszyscy zachowywali się względem siebie w tej krótkiej wizji, wydawało się świadczyć, że byli po tej samej stronie. Przynajmniej kiedyś.

- Mniejsza z tym - stwierdził w końcu Thomas. - Po prostu mów dalej.

- Dobrze - odparła Teresa. - Muszę ci wyjaśnić mnóstwo rzeczy, więc od tej pory po prostu bądź cicho i słuchaj. W porządku?

W nogach Thomasa zaczynał się odzywać palący ból wskutek nieprzerwanego schodzenia po stromym zboczu.

- Dobra, ale... skąd wiesz, kiedy rozmawiasz ze mną, a kiedy z nim? Jak to działa?

- Po prostu działa. To tak, jakbym spytała, skąd wiesz, kiedy każesz prawej nodze zrobić krok, a kiedy lewej. Po prostu... wiem. To jest w jakiś sposób wbudowane w mój mózg.

- My też tak ze sobą rozmawialiśmy, chłopie - dodał Aris.

- Nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam - wymamrotał Thomas, rozdrażniony i sfrustrowany pod tyloma względami. Gdyby tylko mógł wszystko odzyskać - wszystkie wspomnienia, co do jednego - wiedział, że wówczas poszczególne kawałki złożyłyby się w całość, a on mógłby po prostu zostawić to za sobą i żyć dalej. Nie był w stanie zrozumieć, czemu DRESZCZ uważał, że to tak ważne, aby ich umysły były wyczyszczone ze wspomnień. I skąd brały się ostatnio

te występujące od czasu do czasu przecieki? Były umyślnie wywołane czy przypadkowe? A może stanowiły utrzymujący się efekt Przemiany?

Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele pikolonych pytań bez żadnej odpowiedzi.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Będę trzymał buzię i mózg na kłódkę. Mów dalej.

- Na temat Arisa i mnie możemy podyskutować później. Nawet nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, bo gdy się obudziłam, dotarło do mnie, że straciłam prawie wszystko. Nasze śpiączki musiały być częścią Zmiennych, więc może pozwolono się nam komunikować po prostu po to, żebyśmy nie zwariowali. Znaczący, ostatecznie braliśmy udział w szykowaniu tego wszystkiego, no nie?

- W szykowaniu tego wszystkiego? - powtórzył Thomas.

- Ale ja...

Teresa wyciągnęła rękę i pacnęła go w plecy

- Myślałam, że miałeś być cicho?

- Taa - mruknął zrzędlawie Thomas.

- W każdym razie ci ludzie weszli do mojego pokoju, ubrani w te upiorne stroje, a moja telepatyczna rozmowa z tobą się urwała. Byłam przestraszona i tylko na wpół przytomna. Przyszło mi do głowy, że może to tylko taki paskudny koszmar senny. Następnie, co poczułam, to że zasłonili mi usta czymś, co okropnie śmierdziało, a potem straciłam przytomność. Kiedy się zbudziłam, leżałam w łóżku w innym pomieszczeniu, przede mną siedziała na krzesłach grupa ludzi i oddzielała mnie od nich jakaś dziwna szklana szyba. Nie widziałam jej, póki jej nie dotknęłam - była prawie jak pole siłowe czy coś w tym guście.

- Taa - powiedział Thomas. - My też widzieliśmy coś takiego.

- No więc wtedy zaczęli ze mną rozmawiać. Właśnie wtedy streścili mi cały plan dotyczący tego, co Aris i ja mieliśmy z tobą zrobić - i oczekiwali, że mu to powtórzę. No wiesz, rozmawiając z nim w myślach, choć wtedy był już z waszą grupą. Naszą grupą. Grupą A. Zabrali mnie z pokoju i odesłali do Grupy B, a potem opowiedzieli nam o misji, której celem jest dotarcie do bezpiecznej przystani, o tym, że wszystkie jesteśmy zarażone Pożogą. Byłyśmy przestraszone, zdezorientowane, ale nie miałyśmy wyboru. Szłyśmy podziemnymi tunelami aż do samych gór - w ogóle nie wchodziłyśmy do miasta. Kiedy ty i ja spotkaliśmy się w tamtym małym budynku, a potem wszystko, co się wydarzyło od momentu, gdy zeszliśmy do was w dolinie, z całą tą bronią - to było od początku do końca zaplanowane z góry.

Thomas pomyślał o urywkach wspomnień, które wracały do niego w snach. Coś

mówiło mu, że wiedział, iż konieczna może się okazać realizacja takiego scenariusza, zanim jeszcze wyruszył do Strefy i Labiryntu. Istniało sto pytań, które pragnął zadać Teresie, ale postanowił wstrzymać się jeszcze przez chwilę.

Minęli kolejny zakręt ścieżki, po czym Teresa podjęła:

- Dwie rzeczy, i tylko dwie, wiem na pewno. Po pierwsze, ci z DRESZCZu powiedzieli, że jeśli w jakikolwiek sposób zadziałam wbrew ich planom, zabiją cię. Powiedzieli, że „dysponują innymi opcjami”, cokolwiek to miałoby znaczyć. Drugie, co wiem, to że wszystko, co się zdarzyło, musiało się stać, bo oni chcieli, abyś się poczuł absolutnie i stuprocentowo zdradzony. Wszystko, co ci zrobiliśmy, miało służyć właśnie temu.

Thomas znów wrócił myślami do swoich wspomnień. I on, i Teresa tuż przed rozstaniem użyli słowa wzory. Co ono oznaczało?

- No i? - zagadnęła Teresa po tym, jak jakiś czas szli w milczeniu.

- No i... co? - odparł Thomas.

- No i co o tym wszystkim myślisz?

- To wszystko? To całe twoje wyjaśnienie? I mam się teraz czuć zajeżdżenie szczęśliwy?

- Tom, nie mogłam ryzykować. Byłam przekonana, że oni cię zabiją, jeśli się nie podporządkuję. Bez względu na wszystko, na końcu musiałeś mieć poczucie, że całkowicie cię zdradziłam. Dlatego włożyłam w to tyle wysiłku. Ale czemu to było takie ważne? Nie mam pojęcia.

Thomas uświadomił sobie raptem, że wszystkie te informacje znowu przyprawiły go o ból głowy.

- No cóż, cholernie przekonująco ci to wyszło. A w tamtym budynku? Kiedy mnie pocałowałaś? I... dlaczego Aris musiał być wplątany w to wszystko?

Teresa chwyciła go za ramię, zmuszając, żeby się odwrócił do niej twarzą.

- Wszystko mieli wykalkulowane. Wszystko pod kątem Zmiennych. Nie wiem, jak się to wszystko łączy w całość.

Thomas powoli potrząsnął głową.

- No cóż, jak dla mnie nic z tego całego bałaganu nie trzyma się kupy. I przepraszam, że jestem ciut wkurzony.

- Udało się?

- Hę?

- Z jakiegoś powodu chcieli, żebyś się poczuł zdradzony, i to się udało. Tak?

Thomas zrobił pauzę, przez długą chwilę patrzył w jej niebieskie oczy.

- Taa. Udało się.

- Przykro mi z powodu tego, co zrobiłam. Ale żyjesz, podobnie jak ja. I Aris.

- Taa - powtórzył. W zasadzie nie miał już ochoty dłużej z nią rozmawiać.

- DRESZCZ dostał to, czego chciał, i ja też dostałam to, czego chciałam. - Teresa spojrzała na Arisa, który przez jakiś czas szedł dalej po tym, jak oni się zatrzymali, a teraz stał na ścieżce poniżej nich. - Aris, odwróć się twarzą w stronę doliny.

- Co? - odparł. Wyglądał na zdezorientowanego. - Czemu?

- Po prostu to zrób. - W jej głosie już nie pobrzmiwała podła nuta, nie było jej tam od czasu szamotaniny pod komorą gazową, ale Thomas tylko stał się w związku z tym jeszcze bardziej podejrzliwy. Co ona znowu knuła?

Aris westchnął i przewrócił oczami, ale zrobił, co kazała, odwracając się do nich plecami.

Teresa nie zawahała się. Objęła Thomasa za szyję, przyciągając go do siebie. Nie miał dość siły woli, żeby się oprzeć.

Pocałowali się, ale w Thomasie nic nawet nie drgnęło. Nic nie poczuł.

Wiatr przybrał na sile, dał kierunek porywami.

Od strony ciemniejszego nieba dobiegł pomruk grzmotu, dając Thomasowi wymówkę pozwalającą odsunąć się od Teresy. Ponownie postanowił ukryć urazę. Czas się kończył, a oni mieli jeszcze do przebycia kawał drogi.

Wykazując się najlepszym aktorstwem, na jakie było go stać, Thomas posłał Teresie uśmiech i powiedział:

- Chyba rozumiem: zrobiłaś masę dziwnych rzeczy, ale byłaś do tego zmuszona, a w efekcie ja żyję. Do tego się to sprowadza, no nie?

- Mniej więcej.

- W takim razie zamierzam przestać o tym myśleć. Musimy dogonić resztę. - Największą szansę na dotarcie do bezpiecznej przystani gwarantowała mu współpraca z Teresą i Arisem, więc zamierzał z nimi współpracować. Rozmyślać o Teresie i o wszystkim, co zrobiła, może później.

- Skoro tak twierdzisz - odrzekła z wymuszonym uśmiechem, jakby wyczuła, że coś jest nie całkiem w porządku. A może nie podobała jej się perspektywa znalezienia się oko w oko ze Streferami po tym, co zaszło.

- Ej, wy tam, załatwiliście, co mieliście załatwić? - wrzasnął Aris, nadal patrząc w przeciwnym kierunku.

- Tak! - odchrząknęła Teresa. - I nie spodziewaj się, że jeszcze kiedykolwiek pocałuję ciebie w policzek. Zdaje się, że mam teraz grzyba na wardze.

Thomas prawie się zakrztusił, słysząc to. Ruszył znowu w dół zbocza, żeby oddalić się od Teresy, zanim ta spróbuje go wziąć za rękę.

* * *

Dotarcie do podnóża góry zajęło im kolejną godzinę. W miarę jak schodzili coraz niżej, nachylenie zbocza malało, co pozwoliło im zwiększyć tempo. W końcu zakosy się skończyły i przetruchtali ostatnią milę czy dwie, które dzieliły ich od płaskiego, wymarłego pustkowia rozciągającego się aż po horyzont. Powietrze było nagrzane, lecz zachmurzone niebo oraz wiatr utrzymywały temperaturę w granicach dających się wytrzymać.

Thomas nadal nie mógł się dobrze przyjrzeć Grupie A i Grupie B, które powoli zbliżały się do siebie gdzieś tam z przodu, zwłaszcza że teraz nie patrzył już z lotu ptaka, a powietrze zmętniało od kurzu. Ale zarówno chłopcy, jak i dziewczyny nadal posuwali się oddzielnie, w zbitych grupkach, zmierzając na północ. Nawet z miejsca, gdzie stał, wyglądało na to, że idą pochyleni, walcząc z coraz silniejszym wiatrem.

Oczy Thomasa piekły od lecącego przez powietrze kurzu. Co rusz je przecierał, co tylko pogarszało sprawę, bo podrażniało otaczającą je skórę. Świat ciemniał z każdą chwilą, w miarę jak coraz gęstsze chmury zasnuwały niebo.

Po krótkiej przerwie, żeby coś przegryźć i się napić - resztki ich zapasów gwałtownie się kurczyły - wszyscy troje poświęcili kilka sekund na to, żeby przyjrzeć się dwóm wędrującym grupom.

- Po prostu idą w tamtą stronę - powiedziała Teresa, wskazując przed siebie jedną ręką, a drugą osłaniając oczy od wiatru. - Czemu nie biegną?

- Bo do wyznaczonej pory zostały nam jeszcze ponad trzy godziny - odparł Aris, spoglądając na zegarek. - O ile czegoś kompletnie nie pokręciliśmy, bezpieczna przystań powinna się znajdować po tej stronie gór, zaledwie kilka kilometrów dalej. Ale nic tu nie widzę.

Thomas nie miał najmniejszej ochoty przyznawać tego nawet sam przed sobą, ale nadzieja, że z daleka po prostu coś przeoczyli, już się rozwiała.

- Sądząc po tym, jak się wloką, ewidentnie też niczego nie widzą. Widać naprawdę nic tam nie ma - nie ma do czego biec, tylko pustynia.

Aris spojrzał na szaroczarne niebo.

- Tam w górze nie wygląda to za ładnie. Co zrobimy, jeśli rozpęta się następna z tych fajnych burz z błyskawicami?

- W takim wypadku bylibyśmy bezpieczniejsi, gdybyśmy zostali w górach - odparł Thomas. To byłoby doprawdy wspaniałe zakończenie tej całej historii, pomyślał. Usmażeni na skwarki przez pioruny, kiedy szukaliśmy jakiejś bezpiecznej przystani, której tu nigdy nie było i nie miało być.

- Po prostu ich dokończymy - powiedziała Teresa. - Potem możemy się głowić, co dalej. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na obu chłopców, i wsparła ręce na biodrach. - Gotowi?

- Taa - odparł Thomas. Starał się nie osunąć w przepaść niepokoju i paniki, która gotowa była go pochłonąć w każdej chwili. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego. Musiało.

Aris tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Więc biegnijmy - powiedziała Teresa. I zanim Thomas zdążył odpowiedzieć, już jej nie było, a Aris pędził tuż za nią.

Thomas głęboko zaczerpnął tchu. Z jakiegoś powodu wszystko to przypomniało mu pierwszą wyprawę do Labiryntu w towarzystwie Minho. Zaniepokoiło go to skojarzenie. Wypuścił powietrze z płuc i ruszył za dwójką towarzyszy.

Po jakichś dwudziestu minutach biegu, w czasie których wiatr zmuszał go do większego wysiłku niż kiedykolwiek w Labiryncie, Thomas przemówił w myślach do Teresy.

- Wydaje mi się, że wróciło do mnie trochę więcej wspomnień. W snach. - Już od jakiegoś czasu chciał jej o tym powiedzieć, ale niekoniecznie w obecności Arisa. Przede wszystkim chciał z tego zrobić test, sprawdzić, jak dziewczyna zareaguje na to, co pamiętał. Sprawdzić, czy uda mu się wychwycić jakiejkolwiek przesłanki co do jej prawdziwych intencji.

- Naprawdę? - spytała.

Był w stanie wyczuć jej szok.

- Taa. Dziwne rzeczy, bez ładu i składu. Wspomnienia z czasów, kiedy byłem dzieckiem. ty też tam byłaś. Widziałem przeblyski tego, jak traktował nas DRESZCZ. I odrobinę tego, co się działo tuż przed Labiryntem.

Chwilę milczała, zanim odpowiedziała, może bojąc się zadać pytania, które w końcu do niego przypląnęły.

- Czy cokolwiek z tych rzeczy może się nam przydać? Ile z tego pamiętasz?

- Większość. Ale nie było tego wystarczająco dużo, żeby dało się wyciągnąć naprawdę sensowne wnioski.

- Co widziałeś?

Thomas zrelacjonował jej wszystkie, nawet najdrobniejsze urywki wspomnień - czy

snów - jakie ujrzał na przestrzeni ostatnich dwóch tygodni. O tym, jak widział swoją mamę, jak podsłuchiwał rozmowy o operacji, o tym, jak on i ona szpiegowali członków DRESZCZu i usłyszeli rzeczy, które nie miały większego sensu. O tym, jak testowali i ćwiczyli swoją telepatię. I wreszcie o ich pożegnaniu tuż przed tym, jak wyruszył do Strefy.

- Więc Aris tam był? - spytała, ale zanim zdążył odpowiedzieć, ciągnęła: - Oczywiście, już wcześniej o tym wiedziałam.

Ze nasza trójka była częścią tego wszystkiego. Ale dziwi mnie ta wzmianka o tym, że wszyscy umarli, o zastępcach i tak dalej. Jak sądzisz, co to może znaczyć?

- Nie wiem - odparł. - Ale coś mi mówi, że gdybyśmy mieli czas po prostu usiąść i o tym porozmawiać, moglibyśmy sobie nawzajem pomóc przywołać wszystko z powrotem.

- Ja też tak sądzę, Tom. Naprawdę mi przykro. Widzę, że ciężko ci przychodzi wybaczenie mi.

- Czy gdybyś wiedziała, że tak będzie, postąpiłabyś inaczej?

- Nie. Tak jakby to zaakceptowałam, w pewien sposób. Że uratowanie cię jest warte utraty tego, co mogłoby być między nami.

Thomas nie miał pojęcia, co na to odrzec.

Zresztą nawet gdyby chciał, nie byłiby w stanie rozmawiać dużo dłużej. Teraz, kiedy wyła wichura, powietrze było pełne kurzu i latających śmieci, chmury kłębiły się i stawały coraz czarniejsze, a dystans dzielący ich od pozostałych malał...

Po prostu nie było czasu.

Więc biegli dalej.

* * *

Dwie grupy przed nimi w końcu spotkały się w oddali. Dla Thomasa bardziej interesujący był jednak fakt, że to spotkanie wcale nie wyglądało na przypadkowe. Dziewczyny z Grupy B dotarły do pewnego punktu i przystały; potem Minh - Thomas był już w stanie go rozpoznać z daleka i z ulgą przyjął fakt, że przyjaciel jest cały i zdrowy - oraz pozostali Streferzy zmienili kierunek marszu i skręcili na wschód, żeby dojść do nich.

A teraz, zaledwie niecały kilometr dalej, wszyscy oni stali wokół czegoś, czego Thomas nie mógł dojrzeć, skupieni w ciasnym kręgu, przypatrując się temu czemuś.

- Co tam się dzieje? - zapytała Teresa w umyśle chłopaka.

- Nie wiem - odrzekł.

Zarówno oni dwoje, jak i Aris przyspieszyli.

Czekało ich już tylko kilka minut biegu przez pylistą, smaganą wiatrem równinę, zanim dotarli do Grup A oraz B.

Minho odłączył się od grupy i stanął twarzą do nich, kiedy wreszcie się zbliżyli. Splótł ręce na piersi, ubranie miał sztywne od brudu, włosy tłuste, a jego twarz nadal znaczyły ślady oparzeń. Ale jakimś cudem się uśmiechał. Thomas nie mógł uwierzyć, jak dobrze było znów zobaczyć ten złośliwy uśmiezek.

- Najwyższa pora, żebyście do nas dołączyli, ślamajdy! - krzyknął do nich Minho.

Thomas zatrzymał się tuż przed nim i zgiął się wpół, żeby złapać oddech, a po kilku sekundach wyprostował się.

- Sądziłem, że będziesz się z tymi dziewczynami tłukł bez litości po tym, co nam zrobiły. A w każdym razie mi.

Minho popatrzył do tyłu, na przemieszaną teraz grupę chłopców i dziewczyn, potem spojrzał z powrotem na Thomasa.

- No cóż, przede wszystkim mają paskudniej wyglądającą broń, nie wspominając o łukach i strzałach. Poza tym laska imieniem Harriet wszystko nam wyjaśniła. To my powinniśmy się dziwić - że wciąż jeszcze jesteś z nimi. - Spiorunował wzrokiem Teresę, potem Arisa. - Nigdy nie ufałem żadnemu z tych pikolonych zdrajców.

Thomas starał się ukryć swoje mieszane uczucia.

- Oni są po naszej stronie. Możesz mi wierzyć. - I w jakiś pokręcony, przewrotny sposób naprawdę zaczynał tak uważać. Choć mdliło go na samą myśl.

Minho zaśmiał się gorzko.

- Podejrzewałem, że powiesz coś w tym stylu. Pozwól mi zgadnąć, to długa historia?

- Taa, bardzo długa historia - odparł Thomas, po czym zmienił temat. - Czemu zatrzymaliście się tutaj? Na co wszyscy tak się gapią?

Minho odsunął się na bok i zamasyżując wskazał ręką za siebie.

- A weź sam zobacz! - Następnie krzyknął do grupy: - Ej, wy tam, zróbcie przejście!

Kilkoro Streferów oraz dziewczyn obejrzało się na niego, po czym tłumek bez pośpiechu się rozstał, robiąc nieco miejsca. Thomas natychmiast zobaczył, że obiekt, na którym skupiała się uwaga wszystkich, to po prostu zwykły patyk sterczący z suchej ziemi. Z jego czubka zwieszała się wąska pomarańczowa wstążka, łopocząca na wietrze. Widniały na niej drukowane litery.

Thomas i Teresa wymienili spojrzenia; potem Thomas przepchnął się do przodu, żeby dokonać dokładniejszej inspekcji. Zanim jeszcze podszedł do samego patyka, mógł już przeczytać słowa wydrukowane na wstążce, czarne na pomarańczowym tle:

BEZPIECZNA PRZYSTAŃ

Mimo wichury oraz rozbrzmiewającego wokół gwaru, wokół Thomasa wszystko na

chwilę przycichło, jakby napchano mu do uszu waty. Chłopak osunął się na kolana i tępo wyciągnął rękę, żeby dotknąć trzepoczącej pomarańczowej wstążki. To miała być bezpieczna przystań? Nie budynek, schronienie, cokolwiek?

Potem, równie szybko jak zniknęły, dźwięki napłynęły ponownie, gwałtownie przywracając go do rzeczywistości. Głównie donośny szum wiatru i odgłosy rozmów.

Odwrócił się z powrotem do Teresy i Minhó, którzy stali obok siebie; Aris znajdował się tuż za nimi i zerkał zza ich ramion.

Thomas spojrzał na zegarek.

- Została nam ponad godzina. Nasza bezpieczna przystań to patyk wetknięty w ziemię? - Nie był pewien, co ma o tym sądzić i co powiedzieć; jego myśli ogarnął kompletny zamęt.

- Nie było tak źle, ogólnie rzecz biorąc - powiedział Minhó. - Dotarła tu więcej niż połowa z nas. Wygląda na to, że z grupy dziewczyn nawet więcej niż połowa.

Thomas wstał, walcząc z ogarniającym go gniewem.

- Czy Pożoga już ci rozum odebrała? Owszem, dotarliśmy tutaj. Cali i zdrowi. Do patyka.

Minhó parsknął kpiąco.

- Chłopie, nie ściągnęliby nas tutaj bez powodu. Dotarliśmy na miejsce o czasie. Teraz po prostu zaczekamy aż do wyznaczonej godziny i wtedy coś się wydarzy.

- To właśnie mnie martwi - stwierdził Thomas.

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć - dodała Teresa - ale zgadzam się z Thomasem. Po wszystkim, co z nami robili do tej pory, to byłoby o wiele za łatwe, gdyby tutaj postawili znak, a później w nagrodę przylecieli po nas helikopterem. Wydarzy się coś złego.

- A mów sobie co chcesz, zdrajco - odparł Minhó. Jego twarz w najmniejszym stopniu nie kryła nienawiści, jaką darzył Teresę. - Nie chcę już od ciebie słyszeć ani słowa. - Oddalił się. Thomas jeszcze nigdy nie widział go równie zagniewanego.

Thomas zerknął na Teresę, która była ewidentnie zdumiona.

- Nie powinnaś mu się dziwić.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Mam już dość przepraszania. Zrobiłam to, co musiałam zrobić.

Thomas nie mógł uwierzyć, że dziewczyna mówi serio.

- Wszystko jedno. Muszę znaleźć Newta. Chcę...

Zanim zdążył skończyć, z tłumu wyłoniła się Brenda. Spoglądała to na niego, to na Teresę. Wiatr targał jej długie włosy, szarpiąc je z furją, tak że co chwila zgarniała je za uszy,

tylko po to, by za chwilę znów zostały rozwiane.

- Brenda - powiedział. Z jakiegoś powodu poczuł wyrzuty sumienia.

- Hejka - odparła Brenda, podchodząc. Stała tuż przed nim i Teresą. - To jest ta dziewczyna, o której mi opowiadałeś? Kiedy leżeliśmy razem w tamtej ciężarówce?

- Taa. - To słowo wysnęło się Thomasowi, zanim zdążył się powstrzymać. - Nie. To znaczy... tak.

Teresa wyciągnęła rękę do Brendy, która uściśnęła jej dłoń.

- Jestem Teresa.

- Miło cię poznać - odparła Brenda. - Jestem Poparzeńcem. Powoli wariuję. Cały czas mam ochotę odgryzać sobie palce i zabijać losowo wybranych ludzi. Obecny tu Thomas obiecał, że mnie uratuje. - Chociaż było oczywiste, że żartowała, na jej twarzy nie pojawił się nawet ślad uśmiechu.

Thomas musiał ukryć grymas zażenowania.

- Bardzo śmieszne, Brenda.

- To miłe, że nadal jesteś w stanie podchodzić do tego z humorem - skwitowała Teresa. Ale jej twarz mogłaby zamienić wodę w lód.

Thomas spojrzał w dół, na zegarek. Zostało pięćdziesiąt pięć minut.

- Muszę pogadać z Newtem. - Odwrócił się i pospiesznie odszedł, zanim którakolwiek z dziewcząt zdążyła coś powiedzieć. Chciał się znaleźć tak daleko od nich, jak to możliwe.

Newt siedział na ziemi razem z Minho i Patelniakiem. Wszyscy trzej wyglądali tak, jakby czekali na koniec świata.

Wichura niosła teraz mikroskopijne kropelki wilgoci, a skłębione, przewalające się chmury znacznie się obniżyły, niczym ciemna mgła, opadająca, by pochłonąć ziemię. Tu i ówdzie chwilami rozjaśniała je poświata - żarzące się plamy purpury i pomarańcza wśród szarości. Thomas nie dostrzegł jeszcze wprawdzie ani jednej prawdziwej błyskawicy, ale wiedział, że te lada chwila się pojawią. Tamta pierwsza wielka burza zaczęła się dokładnie tak samo.

- Hej, Tommy - odezwał się Newt, kiedy Thomas do nich dołączył. Usiadł obok przyjaciela i otoczył kolana ramionami. Dwa proste słowa bez żadnych podtekstów. Było tak, jakby Thomas po prostu wybrał się na spacer, a nie został porwany i prawie zabity.

- Cieszę się, żeście zdołali tutaj dotrzeć - powiedział Thomas.

Patelniak prychnął swoim krótkim śmiechem, przypominającym szczeknięcie zwierzaka.

- I nawzajem. Ale wygląda na to, że tyś się lepiej bawił. Trafiła ci się randka z tą twoją

boginią miłości. I co, daliście sobie buzi na zgodę?

- Nie całkiem - odparł Thomas. - Wcale nie było tak fajnie.

- No więc co się stało? - zapytał Minhó. - Jak możesz nadal jej ufać po tym wszystkim?

Thomas w pierwszej chwili się zawahał, ale wiedział, że musi im o wszystkim opowiedzieć. A nie było lepszego momentu niż teraz. Głęboko zaczerpnął tchu i zaczął mówić. Opowiedział im o planie, jaki naszykował dla niego DRESZCZ, o obozie, o swojej rozmowie z Grupą B, o komorze gazowej. Wszystko to nadal nie dawało się w żaden sposób sensownie wytłumaczyć, ale kiedy opowiedział o tym przyjaciółom, poczuł się trochę lepiej.

- I przebaczyłeś tej wiedźmie? - zapytał Minhó, kiedy Thomas wreszcie skończył. - Ja jej nie przebaczę. Cokolwiek zechcą zrobić ci pikoleni goście z DRESZCZu, niech im będzie. Cokolwiek ty zechcesz zrobić, niech ci będzie. Ale nie ufam jej, nie ufam Arisowi, i nie lubię żadnego z nich.

Wyglądało na to, że Newt bardziej wnikliwie głowi się nad całą opowieścią.

- Zadali sobie tyle trudu - tyle planowania i udawania - tylko po to, żebyś się poczuł zdradzony? To się za fuja nie trzyma kupy.

- Mnie to mówisz? - wymamrotał Thomas. - I nie, nie przebaczyłem jej. Ale wydaje mi się, że chwilowo jedziemy na tym samym wózku. - Rozejrzał się. Większość ludzi siedziała, gapiąc się w dal. Mało kto rozmawiał, a obie grupy trzymały się raczej na dystans od siebie nawzajem. - A wy? Jak tu dotarliście?

- Znaleźliśmy przejście przez góry - odrzekł Minhó. - Musieliśmy walczyć z grupą Poparzeńców, którzy obozowali w jakiejś jaskini, ale poza tym nie mieliśmy żadnych problemów. Z tym że prawie nie mamy już zarcia ani wody. I bolą mnie nogi. I jestem prawie pewien, że niedługo kolejna wielka błyskawica rąbnie z nieba i upodobni mnie do ochłapa Patelniakowej smażeniny.

- Taa - przytaknął Thomas. Zerknął za siebie, na góry. Jak oceniał, od podnóża najbliższego wzniesienia mogło ich dzielić nieco ponad sześć kilometrów. - Może powinniśmy olać tę całą bezpieczną przystań i poszukać schronienia. - Ale już wypowiadając te słowa zrozumiał, że nie ma takiej opcji. Przynajmniej nie przed wyznaczoną godziną.

- Nie ma mowy - odparł Newt. - Nie przyszliśmy aż tutaj po to, żeby się teraz cofać. Miejmy tylko nadzieję, że ta cholerna burza jeszcze chwilkę zaczeka. - Krzywiąc się, popatrzył w górę na niemal czarne chmury.

Trzej pozostali Streferzy zamilkli. Wichura wzmagala się z każdą chwilą, a jej szumiące ryki i gwałtowne uderzenia i tak utrudniały słyszenie się nawzajem. Thomas

spojrzał na zegarek.

Trzydzieści pięć minut. Trzeba byłoby cudu, żeby burza rozpętała się dopiero za...

- A to co?! - wykrzyknął Minho, zrywając się na równe nogi; wskazał coś ponad ramieniem Thomasa.

Wstając, Thomas obejrzał się we wskazanym kierunku, czując, że ogarnia go strach. Wyrazu przerażenia na twarzy Minho nie dało się pomylić z niczym innym.

Niecałe dziesięć metrów od grupy duży fragment pustynnego gruntu... otwierał się. Idealny kwadrat - szeroki na jakieś pięć metrów - obracał się wzdłuż swojej przekątnej; pokryta ziemią strona powoli zanurzała się w głąb, a to, co znajdowało się poniżej, wznosiło się, by ją zastąpić. Powietrze przeszywał jękliwy zgrzyt stali trącej o stal, głośniejszy od ryczącego wichru. Wkrótce obracający się kwadrat odwrócił się o pełne sto osiemdziesiąt stopni, a tam, gdzie wcześniej znajdowała się pustynna ziemia, widniała teraz płyta z czarnego tworzywa, na której stał dziwny obiekt.

Był podłużny i biały, o zaokrąglonych krawędziach. Thomas widział już wcześniej coś bardzo podobnego. Widział więcej takich obiektów. Po tym, jak uciekli z Labiryntu i przedostali się do olbrzymiego pomieszczenia, z którego przychodzili Bóldożercy, zobaczyli tam większą liczbę tych przypominających trumny pojemników. Wtedy nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ale teraz pomyślał, że widać to w nich Bóldożercy przebywali - spali? - kiedy nie polowali na ludzi w Labiryncie.

Zanim miał czas zareagować, więcej fragmentów gruntu - otaczających ich grupę szerokim kręgiem - zaczęło się odwracać, odsłaniając pustą przestrzeń niżej, niczym mroczne, rozwarte paszcze.

Całe ich tuziny.

Z ogłuszającym piskiem metalu kwadratowe płyty powoli obracały się na swoich osiach. Thomas przycisnął dłonie do uszu, próbując wytłumić ten dźwięk. Inni członkowie grupy zrobili to samo. Wszędzie wokół nich rozmieszczone w równych odstępach na obwodzie okręgu fragmenty pustynnej ziemi odwracały się, aż zniknęły, a miejsce każdego z nich zajął duży czarny kwadrat, który znieruchomiał ostatecznie z głośnym szczękiem. Pośrodku każdego z kwadratów spoczywała jedna z tych białych trumien z zaokrąglonym wiekiem. Było ich łącznie co najmniej trzydzieści.

Jękliwy zgrzyt metalu trącego o metal ustał. Nikt się nie odzywał. Wiatr smagał ziemię, ciskając strugami pyłu i suchej ziemi w zaokrąglone pojemniki. Towarzyszyło temu podzwanianie drobinek piachu i żwiru o twardą powierzchnię. Pojemników było tyle, że dźwięki te zlewały się w jeden odgłos, który przyprawiał Thomasa o mrowienie wzdłuż

kręgosłupa. Chłopak musiał zmrużyć oczy, żeby nie dostawał się do nich pył. Nic innego się nie poruszyło, odkąd pojawiły się te dziwne obiekty, wyglądające niemalże jak z innej planety. Był tylko ten dźwięk oraz wichura, zimno i piekące oczy.

- Tom! - zawołała do niego w myślach Teresa.

- Aha:t

- Pamiętasz te pojemniki, prawda?

- Tak.

- Myślisz, że w środku są Bóldożercy!

Thomas uświadomił sobie, że pomyślał dokładnie to samo, ale zarazem wreszcie uświadomił sobie, że nie wolno mu niczego zakładać z góry. Zastanawiał się przez sekundę, zanim odpowiedział.

- Nie wiem. Znaczący, Bóldożercy mieli naprawdę wilgotne ciała - ciężko byłoby im tutaj wytrzymać. - Brzmiało to dosyć głupio, ale próbował się chwytać każdej odrobiny nadziei.

- Może zgodnie z założeniem powinniśmy... wejść do tych pojemników - powiedziała po chwili milczenia. - Może to one są bezpieczną przystanią, albo przeniosą nas dokądś.

Thomasowi zupełnie nie podobał się ten pomysł, ale chłopak pomyślał, że może Teresa ma rację. Z trudem oderwał spojrzenie od wielkich kapsuł i rozejrzał się za nią. Już szła w jego kierunku. Na szczęście była sama. Nie wytrzymałby, gdyby musiał akurat teraz rozmawiać z nią i z Brendą równocześnie.

- Hej - powiedział na głos, ale odniósł wrażenie, że wiatr porywa dźwięki, zanim jeszcze te wydostaną się z jego ust. Zaczął wyciągać rękę, żeby ująć jej dłoń, ale raptem się cofnął. Prawie już zdążył zapomnieć, jak diametralnie wszystko się zmieniło. Zachowując się, jakby niczego nie zauważyła, Teresa podeszła do Minho oraz Newta i szturchnęła ich obu na przywitanie. Odwrócili się do niej, a Thomas podszedł, żeby się naradzić z nimi wszystkimi.

- No więc co robimy? - zapytał Minho. Posłał Teresie rozdrażnione spojrzenie, jakby nie chciał, żeby miała jakikolwiek udział w podejmowaniu decyzji.

- Jeśli w tych pudłach siedzą Bóldożercy, najlepiej zacznijmy się, kurwa, szykować do walki z tymi śmierdzielami - odpowiedział Newt.

- O czym wy mówicie?

Thomas odwrócił się i zobaczył Harriet oraz Sonyę - osobą, która przemówiła, była Harriet. A tuż za nimi stała Brenda, z Jorge przy boku.

- Och, super - wymamrotał Minho. - Dwie królowe wspaniałej Grupy B.

Harriet po prostu udała, że nie słyszy.

- Zakładam, że wy wszyscy też widzieliście te kapsuły wtedy w komorze DRESZCZu. Musiały służyć Bóldożercom jako miejsce, gdzie te stwory ładowały baterie, czy co tam robiły.

- Taa - przytaknął Newt. - To pasuje.

W górze rozległ się trzask i huk gromu, a rozbłyśki światła stały się jaśniejsze. Wicher szarpał ubrania i wszystko pachniało wilgocią oraz kurzem - przedziwne połączenie. Thomas ponownie sprawdził czas.

- Zostało tylko dwadzieścia pięć minut. Albo będziemy walczyć z Bóldożercami, albo o wyznaczonej godzinie musimy wejść do tych wielkich trumien. Może to one są...

Powietrze przeciął ostry syk, dolatujący ze wszystkich stron. Dźwięk przeszył bębunki Thomasa, który znów przycisnął dłonie do uszu. Jego uwagę przykuło poruszenie na obwodzie kręgu, który tworzyły pojemniki. Patrzył czujnie, co się dzieje z wielkimi białymi kapsułami.

Po jednej stronie każdego z pojemników pojawiła się linia ciemnoniebieskiego światła, rozszerzająca się w oczach, w miarę jak górna połowa obiektu wędrowała w górę, otwierając się niczym opatrzone zawiasami wieko trumny. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, w każdym razie nie na tyle głośny, by dało się go słyszeć ponad szumem wiatru i pomrukiem grzmotów. Thomas wyczuł, że Streferzy i reszta powoli zbijają się w jeszcze ciaśniejszą grupkę. Wszyscy starali się oddalić od kapsuł tak bardzo, jak tylko się dało - i wkrótce stłoczyli się w jedną masę ciał, otoczoną przez jakieś trzydzieści zaokrąglonych białych pojemników.

Wieka dalej się wznosiły, aż wszystkie otwały się na oścież i opadły na ziemię. Wewnątrz każdego z pojemników spoczywało coś masywnego. Thomas nie był w stanie rozróżnić zbyt wielu szczegółów, ale z miejsca, gdzie stał, nie widział niczego, co przypominałoby dziwaczne odnóża Bóldożerców. Nic się nie poruszało, ale wiedział, że musi zachować czujność.

- Tereso? - odezwał się w myślach. Obawiał się mówić na tyle głośno, by go usłyszano - ale musiał przemówić do kogoś, żeby nie zwariować.

- Aha?

- Ktoś powinien pójść i tam zajrzeć. Zobaczyć, co jest w środku. - Powiedział to, ale naprawdę nie miał ochoty być tym kimś.

- Chodźmy razem - odparła bez wahania.

Zaskoczyła go jej odwaga.

- Czasem masz niewiarygodnie beznadziejne pomysły - odparł. Dołożył starań, żeby te

słowa nasycić odczuciem sarkazmu, ale znał prawdę dużo lepiej, niż miał ochotę się przyznać sam przed sobą. Był przerażony.

- Thomas! - zawołał Minho. Ryk szalejącej wciąż wichury zagłuszały teraz przybliżające się grzmoty i trzask błyskawic, które eksplodowały w swej jaskrawej krasie nad nimi oraz na horyzoncie. Burza lada chwila spadnie na nich z całą furją.

- Co?! - odkrzyknął Thomas.

- Ty, ja i Newt! Chodźmy to sprawdzić!

Thomas miał właśnie się ruszyć, kiedy coś wyłoniło się z jednej z kapsuł. Z garded osób stojących najbliżej Thomasa wyrwało się zbiorowe westchnienie i chłopak odwrócił głowę, żeby baczniej się przyjrzeć. We wszystkich pojemnikach coś się poruszało, coś, czego początkowo nie był w stanie zidentyfikować. Czymkolwiek były te kształty, ewidentnie wydostawały się ze swoich podłużnych schronień. Skupił się na kapsule stojącej najbliżej niego, wyteżył wzrok, próbując rozpoznać, z czym lada chwila będzie się musiał zmierzyć.

Ponad krawędzią pojemnika zwieszała się zdeformowana ręka, a jej dłoń kołysała się zaledwie kilkanaście centymetrów nad ziemią. Kończyła się czterema zniekształconymi palcami - zaledwie kikutami o chorobliwej beżowej barwie - z których każdy był innej długości. Ruszały się i próbowały chwytać powietrze, jakby stwór znajdujący się w środku starał się czegoś złapać, żeby móc się wydźwignąć do góry. Ręka pokryta była zmarszczkami i guzami, a tam, gdzie prawdopodobnie znajdował się staw łokciowy, tkwiło coś wyjątkowo dziwnego. Idealnie okrągłe wybrzuszenie czy narośl, średnicy mniej więcej dziesięciu centymetrów, jarzące się jaskrawopomarańczowym światłem.

Wyglądało to tak, jakby do ręki stwora przyklejona była żarówka.

Poczwara wyłaziła dalej. Z pojemnika wyłoniła się noga, której stopa była bezkształtną bryłą mięsa zakończoną czterema kikutami palców. Ruszały się równie intensywnie, jak palce dłoni. A na kolanie również znajdowała się świecąca pomarańczowa kula, która zdawała się wyrastać wprost ze skóry.

- Co to jest, do cholery?! - wrzasnął Minho, przekrzykując ryk narastającej burzy.

Nikt nie odpowiedział. Thomas, oszołomiony, gapił się na stwora - zahipnotyzowany i przerażony zarazem. W końcu oderwał odeń wzrok na tyle długo, żeby zobaczyć, że z każdego pojemnika gramolą się podobne paskudztwa - wszystkie w tym samym tempie - po czym znów skupił uwagę na najbliższym.

Poczwara zdołała się tymczasem na tyle mocno zaprzeć o ziemię prawą ręką i nogą, żeby wywlec z kapsuły resztę ciała. Thomas patrzył ze zgrozą, jak ohydna istota wykonuje ociężałe, niezgrabne ruchy i podryguje, aż w końcu udało jej się przechylić nad krawędzią

pojemnika i wyleźć chwiejnie na ziemię. Była z grubsza człekokształtna, choć co najmniej sześćdziesiąt centymetrów wyższa niż ktokolwiek ze stojących wokół Thomasa, naga i tłusta, o skórze pokrytej zmarszczkami i dziobami jak po ospie. Jednak najbardziej niepokojąco wyglądały te kuliste narośle, w liczbie około dwóch tuzinów, rozmieszczone na całym ciele stwora i jarzące się jaskrawym pomarańczem. Kilka na klatce piersiowej i plecach. Po jednym na każdym łokciu. i kolanie - żarówka na prawym kolanie pękła, sypiąc iskrami, kiedy stwór wylądował na ziemi - oraz kilka wystających z wielkiej bulwy, która... musiała być głową, choć nie było tam widać żadnych oczu, nosa, ust ani uszu. Nie było też włosów.

Potwór dźwignął się na nogi, zakołysał się z lekka, łapiąc równowagę, po czym odwrócił się przodem do grupy ludzi. Szybki rzut oka naokoło powiedział Thomasowi, że z każdego pojemnika wyłonił się jeden stwór, a teraz wszystkie one stały w kręgu wokół Streferów oraz Grupy B.

Wszystkie istoty równocześnie wzniosły ramiona ku niebu. Potem w jednej chwili z czubków ich krótkich palców u rąk i nóg, jak również z barków wystrzeliły cienkie klingi, ostre jak brzytwy. Migoczące na niebie błyskawice odbijały się w ich wypolerowanej srebrnej powierzchni. Choć stwory nie miały niczego, co przypominałoby usta, z ich ciał wydobywał się upiorny, grobowy jęk - Thomas bardziej go wyczuwał niż słyszał. A dźwięk ten musiał być głośny, żeby dało się go słyszeć mimo okropnego huku grzmotów.

- Może z dwójga złego lepsi byliby Bóldożercy - powiedziała Teresa wewnątrz umysłu Thomasa.

- No cóż, są do nich wystarczająco podobni, żeby było oczywiste, kto ich stworzył - odpowiedział, ze wszystkich sił starając się zachować spokój.

Minho odwrócił się prędko, stając twarzą do otaczających Thomasa ludzi, którzy nadal gapili się w oszołomieniu.

- Jest ich mniej więcej po jednym na każdego z nas! Łapcie za broń, co tam kto ma pod ręką!

Niemal jakby usłyszały jego słowa i potraktowały je jak wyzwanie, żarówkowe stwory ruszyły do przodu. Pierwszych kilka metrów pokonały, kołysząc się niezgrabnie, ale potem wyprostowały się, nabierając sił, zręczności i płynności ruchów. Przybliżały się, krok za krokiem.

Teresa podała Thomasowi bardzo długi nóż, prawie miecz. Nie miał pojęcia, gdzie ukrywała to wszystko, ale oprócz włóczni trzymała teraz również krótki sztylet.

Podczas gdy świecące olbrzymy podchodziły coraz bliżej, Minho i Harriet pospiesznie wydawali rozkazy swoim grupom, rozstawiając ludzi. Wiatr porywał ich okrzyki i komendy,

zanim Thomas miał szansę cokolwiek usłyszeć. Odważył się oderwać wzrok od nadchodzących potworów na wystarczająco długo, żeby spojrzeć w niebo. Zygzaki i łuki błyskawic przeskakiwały między brzuchami ciemnych chmur, które wydawały się teraz wisieć mniej niż dwadzieścia metrów nad ziemią. W powietrzu unosiła się ostra woń ozonu.

Thomas z powrotem spuścił wzrok, skupił się na najbliższym stworze. Minho i Harriet zdołali rozstawić grupy tak, że ludzie tworzyli teraz niemal idealny krąg, twarzami na zewnątrz. Teresa stała obok Thomasa, który powiedziałby coś do niej, gdyby cokolwiek przyszło mu do głowy. Odebrało mu mowę.

Najnowsze obrzydlistwa DRESZCZu znajdowały się już zaledwie dziesięć metrów dalej.

Teresa w końcu szturchnęła go łokciem w żebra. Spojrzał na nią i zobaczył, że dziewczyna wskazuje jedną z poczw, sygnalizując Thomasowi - upewniając się, że będzie wiedział - że wybrała swojego przeciwnika. Kiwnął głową, po czym wskazał tego, któremu przyglądał się od samego początku.

Siedem metrów.

Thomas nagle pomyślał, że błędem jest czekać na atak stworów - że powinni się bardziej rozproszyć. Minho musiał sobie uświadomić to samo.

- Teraz! - ryknął ich przywódca. Jego głos był zaledwie bezdźwięcznym, odległym szczeniakiem, zagłuszonym przez odgłosy burzy. - Na nich!

W tejże sekundzie przez umysł Thomasa przeleciała lawina myśli. Niepokój o Teresę, mimo wszystkiego, co się zmieniło między nimi. Niepokój o Brendę, która stała stoicko w szeregu kawałek dalej, dzieliło ich tylko kilka osób - i żal, że odkąd ponownie dołączył do grupy, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Wyobraził sobie, że może doszła tak daleko tylko po to, żeby zginąć z rąk wyhodowanego w laboratorium krwiożerczego stwora. Pomyślał o Bóldożercach oraz o tym, jak on, Chuck i Teresa szarżowali na te monstra tam, w Labiryncie, żeby dostać się do Urwiska i Nory. O tym, jak Streferzy walczyli i ginęli po to, żeby oni mogli wpisać kod i powstrzymać to wszystko.

Pomyślał o tym, przez co przeszli, żeby dotrzeć aż tutaj i raz jeszcze stanąć naprzeciwko biotechnologicznej armii wysłanej przez DRESZCZ. Zastanawiał się, co to wszystko znaczy, czy warto było nadal walczyć o przeżycie. W jego głowie pojawił się obraz Chucka, który własnym ciałem zasłonił go przed nożem. I to przesądziło sprawę. Wyrwało go z trwającego nanosekundy bezruchu spowodowanego zwątpieniem i strachem. Wrzeszcząc ile sił w płucach, Thomas oburącz wznosił nad głową wielki nóż i zaszarżował naprzód, prosto na potwora.

Z lewej i z prawej pozostali również ruszyli do ataku, ale zignorował ich. Musiał, zmusił się do tego. Jeśli nie da rady się rozprawić z tym, co przeznaczono dla niego, martwienie się o innych nie przyniesie żadnego pożytku.

Był coraz bliżej przeciwnika. Pięć metrów. Trzy. Półtora. Stwór zatrzymał się i stanął w pozycji walki, rozstawiając nogi i wyciągając ramiona, wymierzając ostrza prosto w Thomasa. Te jaskrawe pomarańczowe światła pulsowały teraz, na przemian rozbłyskując jaśniej i przygasając, rozbłyskując i przygasając, zupełnie jakby gdzieś wewnątrz obrzydliwego ciała biło serce. Fakt, że potwór nie miał twarzy, czynił go straszniejszym, ale też pomógł Thomasowi traktować tę istotę po prostu jak maszynę. Zaledwie sporządzoną przez ludzi broń, która chciała go zabić.

Tuż zanim Thomas starł się z potworem, podjął decyzję. Padł na kolana i ciał swym podobnym do miecza nożem z szerokiego zamachu, zza pleców, trafiając poczwarcę trzymanym oburącz ostrzem w lewą nogę. Cios był potężny, ale nóż zanurzył się na jakieś trzy centymetry w skórę stwora i szczęknął o coś na tyle twardego, że obie ręce Thomasa zadrżały od wstrząsu.

Monstrum nie drgnęło, nie cofnęło się, nie wydało żadnego dźwięku, czy to ludzkiego, czy nieludzkiego. Z rozmachem opuściło tylko obie najeżone ostrzami dłonie, celując w Thomasa, który klęczał teraz przed nim, nadal trzymając broń, której ostrze tkwiło w ciele potwora. Chłopak wyszarpnął je i rzucił się do tyłu akurat w momencie, gdy brzytwy zaszczękały o siebie w miejscu, gdzie sekundę wcześniej znajdowała się jego głowa. Padł na wznak i w pośpiechu odpelźł od stwora, który uczynił dwa kroki naprzód, kopiąc uzbrojoną w ostrza stopą, omal nie trafiając Thomasa.

Tym razem monstrum wydało ryk - odgłos niemal identyczny, jak udręczone wycie Bóldożerców - i padło na ziemię, wymachując ramionami, starając się przyszpilić chłopaka. Ten okręcił się i trzykrotnie przeturlał po podłożu, słysząc, jak czubki metalowych kling zgrzytają o grunt.

W końcu zaryzykował, zerwał się na nogi i momentalnie odbiegł sprintem kilka metrów, zanim się zatrzymał, oburącz ściskając broń. Stwór również właśnie się podnosił na nogi, tnąc powietrze krótkimi, uzbrojonymi w ostrza palcami.

Łapiąc wielkie hausty powietrza, Thomas kątem oka widział, jak walczą pozostali. Minhó kłuł i siekł nożami trzymanymi w obu rękach, a jego monstrum, o dziwo, cofało się krok za krokiem. Newt umykał na czworakach, a przeciwnik kroczył za nim ciężko i chwiejnie, ewidentnie ranny. Poruszał się coraz wolniej. Znajdująca się najbliżej Teresa podskakiwała, zwijała się w unikach i zadawała wrogowi pchnięcia drzewcem włóczni.

Dlaczego właśnie drzewcem? Jej monstrum również wyglądało na ciężko ranne.

Thomas z powrotem skupił uwagę na własnej walce. Zamazany błysk srebra kazał mu się schylić. Włosy rozwiały mu podmuch wywołany machnięciem ręki stwora. Thomas obrócił się gwałtownie i przypadł do ziemi, zadając pchnięcia na chybił trafił, podczas gdy monstrum podążało za nim. Kilka kolejnych ataków stwora o włos minęło cel. Thomas trafił w jedną z pomarańczowych żarówkopodobnych narośli, miażdżąc ją w eksplozji iskier; światło natychmiast zgasło. Wiedząc, że jego szczęście przypuszczalnie się kończy, zanurkował ku ziemi, znów kuląc się i turlając, aż zerwał się na nogi kilka metrów dalej.

Stwór po trafieniu zatrzymał się na moment - na co najmniej wystarczająco długo, by Thomas zdążył umknąć - ale teraz znowu atakował. W umyśle chłopaka uformował się pomysł, który nabrał jasności, kiedy Thomas raz jeszcze popatrzył na walczącą Teresę. Jej potwór nacierał teraz powolnymi, urywanymi ruchami. Dziewczyna wytrwale atakowała żarówki, rozbijając je; jedna po drugiej wybuchały jak fajerwerki. Zniszczyła już co najmniej trzy czwarte dziwnych narośli.

Żarówki. Jedyne, co musiał zrobić, to zniszczyć żarówki. W jakiś sposób powiązane były z siłą potwora, z jego źródłem zasilania czy życiem. Czyżby to było aż tak łatwe?

Szybki rzut oka na resztę pola bitwy powiedział Thomasowi, że kilkoro pozostałych też już wpadło na ten pomysł, ale większość nie. Walczyli z krwawą desperacją, starając się sieć kończyny, mięśnie, skórę, w ogóle nie trafiając w świecące narośle. Dwie osoby leżały już na ziemi, pokryte ranami, bez życia. Jeden chłopiec. Jedna dziewczyna.

Thomas diametralnie zmienił taktykę. Zamiast szarżować bez pomysłu, skoczył naprzód i dźgnął, celując w jedną z żarówek na piersi poczwary. Chybił, ostrze rozcięło pomarszczoną, żółtawą skórę. Stwór zamachnął się na niego, ale chłopak wycofał się dokładnie w chwili, gdy same czubki brzytwy rozdarły mu koszulę, zostawiając poszarpane dziury. Potem zaatakował znowu, celując w tę samą żarówkę. Tym razem trafił, rozbijając ją i rozsiewając fontannę iskier. Stwór zatrzymał się na całą sekundę, po czym z powrotem przeszedł w tryb bitewny.

Thomas okrążył poczwagę, na przemian doskakując i cofając się, nacierając, dżgając, tłukąc.

Trzask, trzask, trzask.

Jedno z ostrzy stwora drasnęło go w przedramię, pozostawiając długą linię jaskrawej czerwieni. Thomas natarł ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Trzask, trzask, trzask. Tryskały iskry, a stwór za każdym razem dygotał i podskakiwał spazmatycznie.

Po każdym celnym dźgnięciu następowała nieco dłuższa pauza. Thomas poczuł jeszcze kilka zadrapań i draśnień, ale nic poważnego. Walczył wytrwale, koncentrując się na niszczeniu tych pomarańczowych kul.

Trzask, trzask, trzask.

Każde małe zwycięstwo sprawiało, że stworowi ubywało nieco sił, i stopniowo monstrum zaczęło się w widoczny sposób pochylać, choć nie rezygnowało z prób pocięcia Thomasa na kawałki. Żarówka za żarówką, a każdą kolejną było łatwiej zniszczyć. Thomas atakował bez litości. Gdyby tylko zdołał szybko wykończyć to paskudztwo, zabić je. Wtedy mógłby ruszyć z pomocą innym. Skończyć to wre...

Za jego plecami rozbłysło oślepiające światło, a potem zabrzmiał taki huk, jakby wybuchał cały wszechświat, zmiatając przelotny moment radosnego podniecenia i nadziei. Potężna, niewidoczna siła przewróciła chłopaka na ziemię; wylądował na brzuchu, nóż wypadł mu z ręki i odtoczył się z brzękiem. Monstrum także upadło, a powietrze wypełniła woń spalenizny. Thomas przekręcił się na bok, żeby się rozejrzeć, i zobaczył olbrzymią czarną dziurę w ziemi, osmaloną i dymiącą. Na jej skraju leżały, najeżone ostrzami, dłón i stopa jednego z potworów. Po reszcie ciała nie było śladu.

Piorun. Uderzył tuż za nim. Burza w końcu rozpętała się z całą siłą.

Gdy ta myśl zjawiała się w głowie Thomasa, uniósł wzrok - tylko po to, by ujrzeć, jak z czarnych chmur zaczynają padać oślepiające groty białego żaru.

Błyskawice eksplodowały wokół niego z ogłuszającymi trzaskami gromów; w powietrze ze wszystkich stron wzbily się fontanny ziemi. Rozległo się kilka krzyków - jeden, dziewczęcy, gwałtownie się urwał. I ten smród spalenizny. Wszechogarniający. Wylądowania elektryczne zgasły równie szybko, jak się zaczęły, ale w chmurach nadal migotały rozbłyśki światła. Zaczął lać gwałtowny deszcz.

W czasie pierwszej fali wylądowań Thomas nawet się nie poruszył. Nie było powodu, by sądzić, że gdziekolwiek będzie bezpieczniejszy niż w miejscu, gdzie leżał. Ale gdy furia żywiołów chwilowo przygasła, zerwał się na nogi, żeby się rozejrzeć, zobaczyć, co może zrobić lub dokąd uciec, zanim pioruny znów zaczną walić.

Poczwara, z którą walczył, leżała martwa; pół jej ciała było osmalone, a druga połowa zniknęła. Teresa stała nad swoim przeciwnikiem, waląc go drzewcem włóczni, żeby rozbić ostatnią żarówkę; iskry zgasły z sykiem. Minho został powalony, ale pomału gramolił się na nogi. Newt stał obok, zadyszany, łapiąc głębokie, rozdygotane oddechy. Patelniak zgiął się wpół i zwymiotował. Niektórzy leżeli na ziemi; inni - jak Brenda i Jorge - nadal walczyli z potworami. Wszędzie wokół huczały grzmoty, a wśród ulewy błyskało się raz po raz.

Thomas musiał coś zrobić. Teresa znajdowała się niedaleko; stała w odległości kilku kroków od zabitego przez siebie stwora, zgięta w pół, z rękoma opartymi o kolana.

- Musimy się gdzieś schronić! - przemówił w jej umyśle.

- Ile czasu nam zostało?

Thomas popatrzył z bliska na zegarek, mrużąc oczy.

- Dziesięć minut.

- Powinniśmy wejść do tych kapsuł. - Wskazała najbliższą, która spoczywała, zapraszająco otwartą, niczym idealnie przekrojona skorupka jajka. Jej połówki z pewnością były teraz wypełnione wodą.

Spodobał mu się ten pomysł.

- A co, jeśli nie damy rady jej zamknąć?

- Masz jakiś lepszy plan?

- Nie. - Chwycił ją za rękę i zaczął biec.

- Musimy powiedzieć pozostałym! - powiedziała, gdy byli już przy kapsule.

- Sami do tego dojdą. - Wiedział, że nie mogą czekać - lada sekunda mogły rąbnąć kolejne pioruny. Zginęliby, zanim jemu i Teresie udałoby się skomunikować z kimkolwiek. Musiał ufać, że przyjaciele sami wpadną na to, jak się uratować. Wiedział, że może im zaufać w tej kwestii.

Dopadli do kapsuły akurat w momencie, gdy kilka wyładowań elektrycznych przecięło zygzakami powietrze, eksplodując wokół nich. Bryłki ziemi i krople deszczu rozprysły się na wszystkie strony. Thomasowi zaczęło dzwonić w uszach. Zajrzał do lewej połowy pojemnika i nie zobaczył tam nic prócz niewielkiej kałuży brudnej wody. Z wnętrza kapsuły wydobywał się obrzydliwy smród.

- Pospiesz się! - wrzasnął chłopak, włączając do środka.

Teresa poszła w jego ślady. Nie musieli się komunikować, żeby wiedzieć, co dalej. Oboje uklękli i pochylili się, żeby złapać wolny brzeg drugiej połowy pojemnika - była wyścielona jakimś gąbkopodobnym tworzywem, które łatwo dawało się uchwycić. Thomas wsparł tors o krawędź kapsuły i zaczął ciągnąć wieko do góry, wkładając w to całą siłę, jaka mu jeszcze została. Wieko uniosło się z powrotem w ich stronę.

Akurat w chwili, gdy Thomas szykował się, żeby usiąść, podbiegli do nich Brenda i Jorge. Chłopak poczuł falę ulgi, widząc, że są cali i zdrowi.

- Znajdzie się miejsce dla nas?! - wrzasnął Jorge, przekrzykując burzę.

- Włączcie! - odchrząknęła Teresa.

Oboje przeleźli przez krawędź i wpełnęli się do dużego pojemnika, rozchlapując

wodę. Było ciasno, ale jakoś zmieścili się wszyscy czworo. Thomas przesunął się bliżej końca kapsuły, żeby zrobić dla nich więcej miejsca, przytrzymując wieko tak, by pozostawić zaledwie szparę - deszcz bębnił o zewnętrzną powierzchnię kapsuły. Gdy już wszyscy zajęli miejsca, on i Teresa schylili głowy, pozwalając, żeby pojemnik się zatrzasnął. Pomijając głucho dudnienie ulewy, odległe eksplozje piorunów i zadyszane oddechy, zapadła relatywna cisza. Choć Thomasowi nadal dzwoniło w uszach.

Mógł jedynie żywić nadzieję, że jego pozostali przyjaciele też znaleźli bezpieczne schronienie w kapsułach.

- Dzięki za wpuszczenie nas do środka, muchacho - powiedział Jorge, gdy już wszyscy mniej więcej złapali oddech.

- Jasna sprawa - odparł Thomas. W pojemniku panowała całkowita ciemność, ale Brenda siedziała tuż obok niego, potem Jorge, a za nim Teresa, przy samej ścianie.

- Myśleliśmy - odezwała się Brenda - że mogłeś nabrać wątpliwości, czy zabranie nas było właściwym wyborem. Mielicie teraz dobrą okazję, żeby się nas pozbyć.

- Daj spokój - wymamrotał Thomas. Był zbyt zmęczony, żeby się martwić, jak to zabrzmiało. Wszyscy nieomal zginęli, a niebezpieczeństwo przypuszczalnie jeszcze nie minęło.

- Więc to jest nasza bezpieczna przystań? - zapytała Teresa.

Thomas wcisnął mały przycisk podświetlający tarczę zegarka; do wyznaczonej godziny pozostało siedem minut.

- W tej chwili mam szczerą nadzieję, że tak. Może za kilka minut te pikolone kwadratowe płyty znów się obróć i przerzucą nas do jakiegoś ładnego, wygodnego pokoju, gdzie wszyscy będziemy mogli żyć długo i szczęśliwie. Albo i nie.

Trach!

Thomas wydał okrzyk przestachu - coś rąbnęło w wieko kapsuły, wydając najgłośniejszy dźwięk, jaki chłopak słyszał w życiu. Ogłuszający łoskot. W górnej części ich schronienia pojawił się maleńki otwór - zaledwie skrawek szarawego światła. Krople wody gromadziły się tam i spadały jedna za drugą.

- To musiał być piorun - powiedziała Teresa.

Thomas potarł uszy. Dzwoniło mu w nich teraz jeszcze bardziej.

- Jeszcze parę takich i znajdziemy się z powrotem w punkcie wyjścia. - Jego głos brzmiał głucho.

Kolejny rzut okiem na zegarek. Pięć minut. Woda kapkapkapkała do kałuży; wstrętny odór nadal wisiał w powietrzu; dzwony w głowie Thomasa nieco przycichły.

- Nie całkiem tak to sobie wyobrażałem, hermano - odezwał się Jorge. - Myślałem, że zjawimy się tutaj, a ty przekonasz szefostwo, żeby nas wzięli pod swoje skrzydła. Dali nam ten lek. Nie sądziłem, że będziemy tkwić w śmierdzącej wannie, czekając, aż nas piorun usmaży.

- Ile czasu zostało? - zapytała Teresa.

Thomas sprawdził.

- Trzy minuty.

Na zewnątrz szalała burza, salwy piorunów rozrywały ziemię, dudnił deszcz.

Trzask i łoskot znów wstrząsnęły kapsułą, a pęknięcie w wieku powiększyło się na tyle, że do wnętrza zaczęła napływać woda, mocząc Brendę i Jorge. Coś zasyczało i do środka przedostała się również para, bo piorun rozgrzał zewnętrzną powierzchnię ich schronienia.

- Tak czy owak nie przetrwamy już długo! - zawołała Brenda. - Siedzenie tutaj i czekanie na to jest chyba wręcz jeszcze gorsze!

- Zostały już tylko dwie minuty! - odkrzyknął Thomas. - Po prostu wytrzymajcie!

Na zewnątrz odezwał się dźwięk. Z początku cichy, niemal nie do wychwycenia na tle odgłosów burzy. Pomruk. Niski, głęboki. Stopniowo stawał się głośniejszy, wydawał się wibrować w całym ciele Thomasa.

- Co to takiego? - zapytała Teresa.

- Nie mam pojęcia - odparł Thomas. - Ale sądząc po tym, jak do tej pory wyglądał nasz dzień, jestem pewien, że nic dobrego. Musimy wytrzymać jeszcze tylko jakąś minutę.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy i głębszy. Teraz zagłuszał już grzmoty i ulewę. Ścianki kapsuły wibrowały. Thomas usłyszał na zewnątrz porywisty Wiatr, ale w jakiś sposób inny od tej wichury, która szalała przez cały dzień. Potężny. Nieomal... sztuczny.

- Zostało tylko trzydzieści sekund - oświadczył, nagle zmieniając zdanie. - Może macie rację. Może przeoczyliśmy coś ważnego. Ja... Wydaje mi się, że powinniśmy wyrzucić.

- Co? - odparł Jorge.

- Musimy zobaczyć, skąd się bierze ten dźwięk. Dalej, pomóżcie mi to z powrotem otworzyć.

- A jeśli wielki, dorodny piorun rąbnie z góry i usmaży mi tylek?

Thomas wsparł obie dłonie o wieko kapsuły.

- Musimy zaryzykować! Dalej, pchajcie!

- On ma rację - powiedziała Teresa i też zapała się rękami, żeby pomóc.

Brenda poszła w jej ślady. Szybko dołączył do nich również Jorge.

- Tylko mniej więcej do połowy - powiedział Thomas. - Gotowi?

Usłyszawszy trzy potwierdzające pomruki, oznajmił:

- Raz... dwa... trzy!

Wszyscy pchnęli wieko w górę i okazało się, że ich połączona siła to o wiele za dużo. Wieko wyskoczyło w górę i z hukiem zważyło się na ziemię, pozostawiając kapsułę otwartą na oścież. Z furją siekł ich deszcz, niesiony poziomo przez potężny wiatr.

Thomas wychylił się przez krawędź pojemnika, gapiąc się na to, co wisiało w powietrzu zaledwie dziesięć metrów nad ziemią i zniżało się szybko, żeby wylądować. Coś olbrzymiego i okrągłego, migoczącego światłami oraz błękitnymi płomieniami z silników sterujących. To był ten sam latający statek, który go uratował po postrzeleniu. Górolot.

Thomas zerknął na zegarek akurat w chwili, gdy mijała ostatnia sekunda wyznaczonego czasu. Z powrotem podniósł wzrok.

Górolot wylądował, wysuwając stalowe łapy podwozia, a w jego metalowym brzuchu zaczął się rozwierać ogromny luk bagażowy.

Thomas wiedział, że nie wolno im już zmarnować ani sekundy. Żadnych pytań, żadnego strachu, żadnych sprzeczek. Tylko działanie.

- Chodźcie! - wrzasnął i pociągnął Brendę za ramię, wyłaząc z kapsuły. Pośliznął się i przewrócił, lądując w błocie z wilgotnym plaśnięciem. Odepchnął się od podłoża, wypływając śliską maź i przecierając zapaprane oczy, po czym zerwał się z powrotem na nogi. Z góry lał się deszcz, ze wszystkich stron dobiegał łoskot grzmotów, złowróżbne zygzaki błyskawic rozjaśniały niebo.

Jorge i Teresa już wydostali się z kapsuły, Brenda im pomogła. Thomas popatrzył w stronę górolotu, znajdującego się może piętnaście metrów dalej. Jego luk bagażowy stał teraz otworem - rozwarta szeroko paszcza, w głębi której jarzyło się ciepłe światło. Stały tam ciemne postacie, uzbrojone w broń palną, czekając. Ewidentnie nie zamierzali wyjść i komukolwiek pomóc w dostaniu się do bezpiecznej przystani. Prawdziwej bezpiecznej przystani.

- Lećcie! - wrzasnął, podrywając się do biegu. Trzymał nóż przed sobą, ściskając go mocno na wypadek, gdyby któryś z tych potworów jeszcze żył i miał chęć do walki.

Teresa i pozostali dotrzymywali mu kroku.

Rozmiękła od deszczu ziemia utrudniała utrzymanie się na nogach. Thomas dwukrotnie się pośliznął, raz upadł. Teresa złapała go za koszulę i szarpała dopóty, aż się podniósł i znowu zaczął biec. Otoczyli ich inni, również pędzący, by się schronić na statku. Ciemność burzy, zasłona deszczu i oślepiające rozbłyski wylądowań utrudniały rozpoznanie, kto jest kim. Nie było czasu się nad tym zastanawiać.

Z prawej, zza tylnej części latającego pojazdu, wyłonił się tuzin żarówkowych stworów. Ociężałe ruszyły naprzód, by odciąć Thomasowi i jego przyjaciółom drogę do otwartego luku. Ich ostrza ociekały wodą, a niektóre były poplamione czerwienią. Przynajmniej połowa ich upiornych świecących narośli została rozbita, przez co poruszały się chwiejnie, ale wyglądały tak samo niebezpiecznie jak wcześniej. A ludzie wewnątrz górolotu również i teraz nie kiwnęli nawet palcem, tylko patrzyli.

- Rozwalcie ich i wiejemy! - wrzasnął Thomas. Pojawił się Minhó, wraz z Newtem i paroma innymi Streferami, którzy dołączyli do szarży, podobnie jak Harriet i kilka dziewcząt z Grupy B. "Wszyscy wydawali się rozumieć plan, a raczej namiastkę planu: pokonać tych kilka ostatnich potworów i wydostać się stąd.

Może po raz pierwszy, odkąd kilka tygodni wcześniej znalazł się w Strefie, Thomas w ogóle nie czuł strachu. Nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek go poczuje. Choć nie miał pojęcia czemu, coś się zmieniło. Wokół niego eksplodowały pioruny, ktoś wrzasnął, deszcz przybrał na sile. Wichry dały gwałtownymi porywami, siekąc go kamyczkami oraz kroplami wody - jedno i drugie bolało jednakowo. Potwory ze swym budzącym dreszcz wyciem wymachiwały ostrzami, czekając na bitwę. Thomas biegł, z nożem wzniesionym nad głową.

Żadnego strachu.

Gdy znajdował się zaledwie metr od środkowego stwora, wyskoczył w powietrze, wyrzucając przed siebie obie nogi w kopniaku. Trafił stopami prosto w jedną z pomarańczowych żarówek sterczących z klatki piersiowej poczwary. Ta pękła ze skwierczeniem; stwór zawył okropnie i runął na wznak. Z impetem rąbnął o ziemię.

Thomas wylądował w błocie i odturlał się w bok. Natychmiast skoczył na równe nogi i zaczął tańczyć wokół stwora, siekąc i dżgając, rozbijając świecące narośle.

Trzask, trzask, trzask.

Uchylając się i odskakując przed daremnymi cięciami. Kontratakując, dżgając. Trzask, trzask, trzask. Zostały już tylko trzy żarówki; stwór ledwo był w stanie się ruszać. Thomas w przypływie brawury siadł na nim okrakiem i prędko, z furią zadał ostatnie pchnięcia, żeby go dobić.

Ostatnia żarówka pękła, iskry zgasły z sykiem. Martwy.

Thomas wstał i odwrócił się pośpiesznie, żeby sprawdzić, czy ktoś z pozostałych nie potrzebuje pomocy. Teresa właśnie wykończyła swojego przeciwnika. Podobnie Minhó i Jorge. Newt jeszcze walczył, oszczędzając słabszą nogę, Brenda pomagała mu rozbić ostatnie żarówki na jego wrogu.

Kilka sekund później było po walce. Żaden ze stworów już się nie poruszał. Nie

świeciło ani jedno pomarańczowe światło. Było po wszystkim.

Dysząc ciężko, Thomas spojrzał w kierunku wejścia na statek, znajdujący się zaledwie sześć metrów dalej. W tej samej chwili silniki zapłonęły i pojazd zaczął się wznosić.

- Odlatuje! - wrzasnął Thomas najgłośniej, jak potrafił, w panice wskazując ich jedyną drogę ucieczki. - Szybko!

Zaledwie to słowo padło z jego ust, Teresa złapała go za ramię i pociągnęła za sobą, biegnąc w stronę statku. Thomas potknął się, ale odzyskał równowagę. Biegł przez błoto. Za sobą usłyszał trzask gromu, ujrzał, jak błyskawica rozjaśnia niebo. Jeszcze jeden krzyk. Inni obok niego, wokół niego, teraz także przed nim. Pędzący biegiem. Kulejący Newt, Minho przy jego boku, pilnujący, żeby przyjaciel nie upadł.

Górolot znajdował się już metr nad ziemią; powoli się wznosząc, równocześnie skręcał, gotów w każdej chwili dać pełny ciąg i odlecieć. Paru Streferom i trzem dziewczynom udało się go dopaść jako pierwszym; rzucili się szczupakiem na platformę otwartego luku. Statek nadal się wznosił. Inni dobiegali doń, wskakiwali na górę, w pośpiechu gramolili się do środka.

Potem do luku dotarli Thomas z Teresą. Platforma znajdowała się teraz na wysokości klatki piersiowej. Chłopak podskoczył i wsparł dłonie o płaską metalową powierzchnię, z rękami wyciągniętymi sztywno i brzuchem przyciśniętym do grubej krawędzi. Przerzucił do góry prawą nogę, zyskując podparcie, i wturlał się cały na platformę. Statek wciąż się wznosił. Inni włączali nań, wyciągali ręce, żeby wciągnąć kolejnych. Teresie udało się wleźć do połowy, daremnie macała za czymś, czego mogłaby się chwycić.

Thomas złapał jej dłoń i wciągnął ją. Upadła na niego, w przelocie wymienili pełne triumfu spojrzenia. Potem wstała i oboje podeszli na skraj platformy, żeby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy.

Górolot był już prawie dwa metry nad ziemią i zaczynał się przechylać. Troje ludzi nadal zwieszało się z krawędzi. Harriet i Newt wciągali jakąś dziewczynę. Minho pomagał Arisowi. Ale Brenda wisiała tylko na rękach, jej ciało dyndało; kopła nogami, próbując się podciągnąć.

Thomas opadł na brzuch i podsunął się bliżej. Wyciągnął dłoń i złapał dziewczynę za prawe ramię. Teresa chwyciła za drugie. Metal platformy był mokry i śliski; kiedy Thomas szarpnął Brendę, zaczął się zsuwać, ale równie nagle przestał. Szybki rzut okiem do tyłu wyjaśnił powód; Jorge zaparł się obiema nogami, mocno trzymając zarówno Thomasa, jak i Teresę.

Thomas spojrzał z powrotem na Brendę, znów zaczął ją ciągnąć do góry. Z pomocą

Teresy dziewczynę w końcu udało się podnieść na tyle wysoko, że oparła się brzuchem o krawędź; dalej już poszło łatwo. Gdy wpełzła na platformę i głębiej, Thomas raz jeszcze rzucił okiem na zewnątrz, na powoli oddalającą się ziemię. Nie było tam nic prócz zwłok tych okropnych stworów, znieruchomiałych i mokrych, pokrytych obwisłymi fałdami skóry, które jeszcze niedawno były pełne i jasno oświetlone. Kilka martwych ludzkich ciał, ale niewiele, i żadne nie należało do bliskiej Thomasowi osoby.

Odsunął się od krawędzi, czując olbrzymią falę ulgi. Udało im się, w każdym razie większości z nich. Dotarli do celu, nie dali się zabić Poparzeńcom, piorunom ani ohydny monstroom. Udało im się. Wpadł na Teresę, odwrócił się do niej, przyciągnął do siebie i mocno uściskał, na sekundę zapominając o tym, co się wydarzyło. Udało im się.

- Kim są ci ludzie?

Thomas gwałtownie puścił Teresę i obejrzał się, żeby sprawdzić, kto krzyknął - jak się okazało, mężczyzna o krótkich rudych włosach, mierzący z czarnego pistoletu do Brendy i Jorge, którzy siedzieli obok siebie, dygoczący, mokrzy i posiniaczeni.

- Niech mi ktoś odpowie! - krzyknął ponownie.

Thomas odezwał się, zanim zdążył pomyśleć.

- Pomogli nam przejść przez miasto - gdyby nie oni, nie byłoby nas tutaj.

Mężczyzna gwałtownie zwrócił spojrzenie na Thomasa.

- To znaczy... Zabraliście ich ze sobą?

Thomas skinął głową. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Zawarliśmy z nimi układ. Obiecaliśmy, że oni także zostaną wyleczeni. Nadal jest nas mniej, niż kiedy wyruszaliśmy.

- To bez znaczenia - odparł mężczyzna. - Nie powiedzieliśmy, że wolno wam przyprowadzić cywili!

Górolot nadal wznosił się w niebo, ale otwarty luk się nie zamykał. Przez szeroki otwór wpadały gwałtowne podmuchy wiatru; gdyby dostali się w zasięg turbulencji, któreś z nich łatwo mogłoby spaść ku niechybnej śmierci.

Thomas mimo to stanął na nogi, zdecydowany bronić układu, który zawarł.

- No cóż, kazaliście nam tutaj dotrzeć, więc zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić!

Ich uzbrojony w pistolet gospodarz zamilkł na chwilę. Wydawał się rozważać tę linię argumentacji.

- Chwilami zapominam, jak niewiele rozumiecie z tego, co jest grane. W porządku, możecie zatrzymać jedną z tych osób. Druga wylatuje.

Thomas starał się nie okazać wstrząsu, o jaki przypawiły go te słowa.

- Co to ma znaczyć... że druga wylatuje?

Mężczyzna z kliknięciem przestawił coś w pistolecie, po czym zbliżył muszkę do głowy Brendy.

- Nie mamy czasu na takie rzeczy! Masz pięć sekund, żeby wybrać, które z nich zostaje. Jeśli nie wybierzesz, zginą oboje. Jeden.

- Zaczekaj! - Thomas popatrzył na Brendę, na Jorge. Oboje wpatrywali się w podłogę, milcząc. Błdzi ze strachu.

- Dwa.

Thomas stłumił narastającą panikę, zamknął oczy. Nie było tutaj nic nowego. Nie, teraz już rozumiał. Wiedział, co musi zrobić.

- Trzy.

Już żadnego strachu. Żadnego szoku. Żadnego zadawania pytań. Cokolwiek się wydarzy, przyjąć to. Tańczyć, jak zagrają. Zaliczać testy. Przechodzić Próby.

- Cztery! - Twarz mężczyzny poczerwieniała. >- Wybierz teraz, albo oboje zginą!

Thomas otworzył oczy i dał krok do przodu. Potem wskazał Brendę i wypowiedział dwa najbardziej parszywe słowa, jakie kiedykolwiek padły z jego ust:

- Zabij ją.

W związku z dziwnym werdyktem, że tylko jedna osoba może zostać, Thomas sądził, że rozumie, że wie, co się stanie. Że była to jeszcze jedna Zmienna i że tamci zabijają tę - osobę, której on nie wybrał. Mylił się jednak.

Mężczyzna zatknął pistolet za pasek spodni, po czym schylił się i oburącz złapał Brendę za koszulę. Szarpnięciem postawił dziewczynę na nogi i bez słowa ruszył w stronę otwartego luku, wlokąc ją za sobą.

Brenda w panice spojrzała na Thomasa, z twarzą pełną bólu, kiedy obcy ciągnął ją po metalowej podłodze górolotu. W stronę luku i pewnej śmierci.

Kiedy był w połowie drogi, Thomas zadziałał.

Rzucił się do przodu i z całej siły podciął mężczyźnie kolana, obalając go; pistolet wypadł tamtemu z ręki i ze stukotem potoczył się po podłodze. Brenda upadła w bok, ale Teresa stała tam w pogotowiu i chwyciła ją, odciągnęła w tył od niebezpiecznej krawędzi luku. Thomas otoczył lewym przedramieniem gardło mężczyzny, a drugą ręką sięgnął po pistolet. Jego palce namacały broń, chwyciły ją, przyciągnęły bliżej. Zerwał się, odskoczył i ujął pistolet oburącz, mierząc zeń w obcego, który leżał rozciągnięty na wznak.

- Nikt więcej nie zginie - oświadczył Thomas, oddychając ciężko, "cokolwiek zaszokowany własną odwagą. - Jeśli nie zrobiliśmy wystarczająco dużo, żeby przejść wasze

głupie testy, tośmy je oblali. Koniec z testami. - Mówiąc to, zastanawiał się, czy do tej sceny miało dojść. Ale nawet to nie miało znaczenia - każde słowo wypowiedział z pełnym przekonaniem. Bezsensowne zabijanie i umieranie musiało się skończyć.

Twarz obcego rozjaśnił najlżejszy ślad uśmiechu. Mężczyzna usiadł i odsunął się, aż uderzył plecami o ścianę. Równocześnie wielki luk zaczął się zamykać; skrzypienie zawiasów przypominało kwik świń. Nikt nie odezwał się ani słowem, póki płyta się nie zatrzasnęła, wpuszcivszy jeszcze jeden ostatni podmuch wiatru przez szparę.

- Nazywam się David - powiedział mężczyzna; jego głos zabrzmiał donośnie w ciszy, jaka zapadła, przerywanej jedynie niskim pomrukiem silników statku. - I nie martw się, masz rację. Skończone. Już po wszystkim.

Thomas drwiąco skinął głową.

- Taa, już to słyszeliśmy. Tym razem mówimy serio. Nie zamierzamy dłużej potulnie siedzieć i pozwalać, żebyście nas traktowali jak szczury doświadczalne. Koniec z tym.

David poświęcił sekundę na to, żeby rozejrzeć się po obszernej ładowni, może sprawdzając, czy pozostali zgadzają się z tym, co właśnie powiedział Thomas. Chłopak nie odważył się jednak spuścić wzroku. Musiał wierzyć, że w razie czego wszyscy staną murem za nim.

W końcu David popatrzył z powrotem na Thomasa, po czym powoli wstał, unosząc dłoń w uspokajającym geście. Gdy już stanął na nogi, wsadził obie ręce w kieszenie.

- To, czego nie rozumiecie, to że wszystko dotąd toczyło się i nadal będzie się toczyć zgodnie z planem. Ale masz rację, Próby dobiegły końca. Zabieramy was w miejsce, gdzie będziecie bezpieczni - naprawdę będziecie bezpieczni. Żadnych więcej testów, żadnych kłamstw, żadnego zwodzenia. Żadnego więcej udawania. - Zrobił pauzę. - Mogę wam przyrzec tylko jedno. Kiedy dowiecie się, czemu zmusiliśmy was do przejścia przez to wszystko, i dlaczego to tak ważne, że tyłu z was przeżyło, obiecuję, że zrozumiecie.

Minho prychnął.

- To największa kupa klumpu, jaką w życiu słyszałem.

Thomas nie mógł nie poczuć odrobiny ulgi, widząc, że przyjaciel nie stracił ducha walki.

- A co z lekiem? Obiecano nam wyleczenie. Dla nas i dla dwóch osób, które pomogły nam się tutaj dostać. Jak możemy wierzyć w cokolwiek, co nam powiecie?

- Chwilowo wolno wam myśleć, co wam się żywnie podoba - odparł Dawid. - Od tego momentu wszystko ulegnie zmianie, i otrzymacie lek, tak, jak wam obiecano. Gdy tylko dotrzemy z powrotem do bazy. Nawiasem mówiąc, możesz zatrzymać ten pistolet - chętnie

damy wam jeszcze kilka, jeśli chcecie. Nie będzie już nic, z czym musielibyście walczyć, żadnych testów ani prób, które moglibyście zignorować czy odmówić udziału w nich. Nasz górolot wylądował, przekonacie się, że jesteście bezpieczni i wyleczeni, a potem będziecie mogli zrobić, co tylko zechcecie. Jedyne, o co was jeszcze poprosimy, to żebyście posłuchali. Tylko posłuchali. Jestem pewien, że przynajmniej trochę was intryguje, o co w tym wszystkim chodziło?

Thomas miał ochotę zacząć wrzeszczeć na tego człowieka, ale wiedział, że nie przyniesie to żadnego pożytku. W zamian odpowiedział tak spokojnie, jak tylko był w stanie:

- Żadnych więcej gier.

- Przy pierwszych oznakach, że coś jest nie halo - dodał Minho - zaczynamy walczyć. Jeśli to będzie znaczyło, że zginiemy, trudno.

David uśmiechnął się, tym razem szeroko i szczerze.

- Wiecie, to jest dokładnie to, czego się po was spodziewaliśmy na tym etapie. - Skinął ręką w stronę niewielkich drzwi w tylnej części ładowni. - Idziemy?

Teraz odezwał się Newt:

- Co jeszcze mamy na dziś w cholernym programie?

- Zakładaliśmy po prostu, że będziecie chcieli coś zjeść, może wziąć prysznic. Przespać się. - David zaczął obchodzić tłumek Streferów i dziewczyn. - To będzie bardzo długi lot.

Thomas i pozostali przez kilka sekund wymieniali między sobą spojrzenia. Ale w końcu ruszyli za nim. Naprawdę nie mieli innego wyboru.

Przez następne dwie godziny Thomas usilnie starał się nie rozmyślać.

Postawił się twardo, ale potem całe napięcie, odwaga i poczucie zwycięstwa jakby odpłynęły, gdy ich grupa zajęła się, z pozoru, najzwyklejszymi w świecie czynnościami. Gorące jedzenie. Zimne napoje. Badanie lekarskie. Cudownie długie prysznice. Świeże ubrania.

Thomas przez cały czas miał świadomość, że niewykluczone, iż historia się powtarza. Ze starano się ich ułagodzić, powoli prowadząc ku kolejnemu takiemu szokowi, jakiego doznali, gdy przebudzili się w dormitorium po tym, jak ich uratowano z Labiryntu. Ale doprawdy co innego mogli teraz zrobić? David oraz pozostali członkowie personelu nie wypowiadali żadnych gróźb, nie podejmowali żadnych niepokojących działań.

Odświeżony i najedzony, Thomas wylądował ostatecznie na kanapie, która ciągnęła się wzdłuż wąskiej środkowej części górolotu - olbrzymiego pomieszczenia wypełnionego niepasującymi do siebie szaroburymi meblami. Dotąd unikał Teresy, ale teraz podeszła i

usiadła obok niego. Nadal ciężko mu przychodziło nie tylko przebywanie w pobliżu niej, ale też rozmawianie z nią czy z kimkolwiek innym. Jego wnętrzości aż płonęły od zamętu, który czuł w głowie.

Jednak odepchnął to wszystko, bo nic innego nie mógł zrobić. Nie potrafił sterować górolotem, a nawet gdyby zdołał przejąć kontrolę nad statkiem, nie miał pojęcia, dokąd mogliby polecieć. Dadzą się zabrać, gdziekolwiek DRESZCZ uzna za stosowne, wysłuchają, podejmą decyzję.

- O czym myślisz? - zapytała wreszcie Teresa.

Thomas ucieszył się, że powiedziała to na głos - nie był pewien, czy ma ochotę się z nią jeszcze kiedykolwiek komunikować telepatycznie.

- O czym myślę? Głównie staram się tego nie robić.

- Taa. Może powinniśmy się przez jakiś czas po prostu nacieszyć ciszą i spokojem.

Thomas popatrzył na Teresę. Po prostu siedziała obok niego, tak, jakby nic się nie zmieniło między nimi. Jakby nadal byli najlepszymi przyjaciółmi. I nie był już w stanie tego znieść.

- Strasznie mnie wkurza, że zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało.

Teresa spuściła wzrok.

- Staram się zapomnieć, pewnie tak samo jak i ty. Słuchaj, nie jestem głupia. Wiem, że między nami już nigdy nie będzie tak samo. Ale i tak nie zrobiłabym niczego inaczej. Taki był plan i zadziałał. Żyjesz, a dla mnie to znaczy, że było warto. Może pewnego dnia mi wybaczysz.

Thomas niemal jej nienawidził za to, że jej słowa brzmiały tak rozsądnie.

- No cóż, jedyne, co mnie teraz obchodzi, to jak powstrzymać tych ludzi. Nie należało robić tego, co nam zrobili. Wszystko jedno, jak długo świadomie brałem w tym udział. To jest złe.

Teresa lekko się wyciągnęła, żeby móc oprzeć głowę o podłokietnik kanapy.

- Daj spokój, Tom. Może i wymazali nam pamięć, ale nie usunęli nam mózgów. Oboje byliśmy tego częścią, a kiedy

W wszystko nam powiedzą - kiedy sobie przypomnimy, dlaczego zgodziliśmy się przejść przez to wszystko - zrobimy, cokolwiek nam każą.

Thomas myślał nad tym przez sekundę i uświadomił sobie, że nie zgadza się z tym ani trochę. Może kiedyś tak uważał, ale teraz już nie. Aczkolwiek dyskusowanie o tym z Teresą było ostatnim, na co miał ochotę.

- Może masz rację - wymruczał.

- Kiedy ostatnio spaliśmy? - zapytała. - Przysięgam, że nie pamiętam.

Znowu to udawanie, że wszystko jest w porządku. -

- Ja pamiętam. W każdym razie pamiętam, kiedy ja ostatnio spałam. Miało to coś wspólnego z komorą gazową i z tym, jak mnie waliłaś po głowie wielką włócznią.

Teresa przeciągnęła się.

- Nie będę cię przepraszać w nieskończoność. Ty przynajmniej trochę sobie odpocząłeś. Ja nie usnęłam na choćby jedną sekundę, kiedy byłeś nieprzytomny. Wydaje mi się, że nie spałam przez dwie pełne doby.

- Biedactwo. - Thomas ziewnął. Nie mógł się powstrzymać - on też był zmęczony.

- Mmmm?

Popatrzył na nią i zobaczył, że dziewczyna ma zamknięte oczy, a jej oddech stał się wolniejszy. Zasnęła, tak po prostu. Rozejrzał się za pozostałymi Streferami oraz dziewczynami z Grupy B. Większość z nich również zapadła już w sen. Poza Minho - on próbował zagadywać do jakiejś ładnej dziewczyny, ta jednak miała zamknięte oczy. Nigdzie nie było śladu Jorge i Brendy - wydało się to Thomasowi dziwne i co najmniej trochę niepokojące.

Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że okropnie tęskni za Brendą, ale jemu też zaczynały ciążyć powieki, spływało na niego znużenie i fizyczne wyczerpanie. Zapadając się głębiej w kanapę, zdecydował, że później będzie miał czas, by jej poszukać. Potem wreszcie się poddał i pozwolił, by wchłonął go słodki mrok nieświadomości.

Thomas zbudził się, zamrugał, przetarł oczy i nie ujrzał nic prócz czystej bieli. Żadnych kształtów, żadnych cieni, żadnych różnic, nic. Tylko biel.

Na moment ogarnęła go panika, póki nie uświadomił sobie, że to musi być sen. Dziwny, ale z pewnością sen. Czuł swoje ciało, czuł dotyk swoich palców na skórze. Czuł, że oddycha. Słyszał własny oddech. Mimo to otaczał go jednolity i pozbawiony granic świat rozświetlonej nicości.

- Tom.

Głos. Jej głos. Czy była w stanie z nim rozmawiać, kiedy śnił? Czy robiła to już wcześniej? Tak.

- Hej - odpowiedział.

- Czy... dobrze się czujesz? - Słyszał jej niepokój. Nie, czuł(e) niepokój.

- Hej? Tak, wszystko w porządku. Cemu pytasz?

- Myślałam po prostu, że możesz być teraz trochę zdziwiony.

Poczuł nagły zamęt w głowie.

- O czym ty mówisz?

- Niedługo zrozumiesz. Już za małą chwilę.

Thomas dopiero teraz uświadomił sobie, że ten głos nie brzmi do końca tak, jak powinien. Było w nim coś dziwnego.

- Tom?

Nie odpowiedział. Jego wnętrzości powoli wypełnił strach. Okropny, mdlący, toksyczny strach.

- Kim... kim ty jesteś?- zapytał w końcu, panicznie bojąc się odpowiedzi.

Ta nadeszła dopiero po pauzie.

- To ja, Tom. Brenda. Czekają cię nefajne rzeczy. Thomas zaczął wrzeszczeć, nim dotarło do niego, co robi.

Wrzeszczał, wrzeszczał i wrzeszczał, aż w końcu się zbudził.

Usiadł gwałtownie, zlany potem. Zanim jeszcze zdążył w pełni zarejestrować, co go otacza, zanim ta informacja przemknęła przez jego szlaki nerwowe i została przyswojona przez mózg, wiedział już, że wszystko jest nie tak. Ze po raz kolejny wszystko mu odebrano.

Leżał na podłodze, sam jeden, w jakimś pomieszczeniu. Ściany, sufit, podłoga - wszystko było białe. Podłoga pod nim była gąbczasta, twarda i gładka, lecz na tyle sprężysta, by dało się na niej wygodnie leżeć. Popatrzył na ściany - również były wyścielone gąbką, z dużymi guzikowatymi wgłębieniami rozmieszczonymi mniej więcej co metr. Jasne światło padało z prostokąta w suficie, zbyt wysoko, by Thomas zdołał go dosięgnąć. Pachniało tutaj czystością - jakby amoniakiem i mydłem. Chłopak popatrzył w dół i zobaczył, że nawet jego ubranie jest białe: koszulka z krótkim rękawem, bawełniane spodnie, skarpetki.

Niecałe cztery metry od niego stało brązowe biurko. Jedyna rzecz w całym pokoju, która nie była biała. Stare, poobijane i obdrapane, z przysuniętym z tyłu drewnianym krzesłem bez wyściółki. Dalej znajdowały się drzwi, obite taką samą gąbką, jak ściany.

Thomas poczuł dziwny spokój. Instynkt podpowiadał mu, że powinien być już na nogach, krzyczeć o pomoc. Powinien walić w drzwi. Ale chłopak wiedział, że te drzwi się nie otworzą. Wiedział, że nikt go nie będzie słuchał.

Znów znajdował się w Pudle, i powinien był wiedzieć z góry, że nie należy sobie robić nadziei

- Nie panikuj - powiedział sobie. To musiała być kolejna faza Prób, i tym razem będzie walczył o to, żeby coś zmienić - żeby zakończyć to wszystko. Dziwne, ale sama świadomość, że miał plan, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by odzyskać wolność, sprawiło, że ogarnął go dziwny spokój.

- Tereso? - zawołał. Wiedział, że w tym momencie ona i Aris są jego jedyną nadzieją na skomunikowanie się ze światem zewnętrznym. - Słyszysz mnie? Aris? Jesteś tam?

Nikt nie odpowiedział. Ani Teresa, ani Aris. Ani... Brenda.

Ale tamto było tylko snem. Musiało być snem. Brenda nie mogła pracować dla DRESZCZu, niemożliwe, żeby przemawiała w jego umyśle.

- Tereso? - powtórzył, wkładając w to mnóstwo mentalnego wysiłku. - Aris?

Nic.

Wstał i podszedł do biurka, ale kilkadziesiąt centymetrów od mebla zderzył się z niewidzialną ścianą. Bariera, taka sama, jak wtedy w dormitorium.

Thomas nie pozwolił, by wezbrała w nim panika. Nie pozwolił, by opanował go strach. Głęboko zaczerpnął tchu, wrócił w róg pokoju, po czym usiadł i wtulił się w załom ściany. Zamknął oczy i odprężył się.

Czekał. Zasnął.

- Tom? Tom!

Nie wiedział, ile razy to powtarzała, zanim w końcu odpowiedział.

- Tereso? - Obudził się gwałtownie, rozejrzał się i przypomniał sobie o białym pokoju.
- Gdzie jesteś?

- Po tym, jak górolot wylądował, umieścili nas w kolejnym dormitorium. Jesteśmy tu od kilku dni, nic nie robimy, tylko siedzimy beczynn timer. Tom, co się z tobą stało?

Teresa była zaniepokojona - wręcz wystraszona. Tyle wiedział na pewno. Gdy chodzi o niego samego, czuł głównie zamęt w głowie.

- Kilka dni? Co...

- Zabrali cię, gdy tylko górolot wylądował. Wciąż powtarzają nam, że było za późno - że w twoim przypadku Pożoga zdążyła się za bardzo rozwinąć. Powiedzieli, że zacząłeś wariować, stałeś się niebezpieczny.

Thomas starał się powiązać wszystko razem, starał się nie myśleć o tym, że DRESZCZ potrafi wymazywać wspomnienia.

- Tereso... to tylko kolejna część Prób. Zamknęli mnie w jakimś białym pokoju. Ale... mówisz, że minęło kilka dni? Ile?

- Tom, upłynął prawie cały tydzień.

Thomas nie był w stanie odpowiedzieć. Niemal miał ochotę udawać, że nie usłyszał tego, co Teresa właśnie powiedziała. Tłumione dotąd obawy zaczęły powoli wpełzać do jego serca. Czy mógł jej ufać? Tyle razy już go okłamała. I skąd mógł w ogóle wiedzieć, że to naprawdę ona? Najwyższy czas zerwać więzi z Teresą.

- Tom? - zawołała do niego ponownie Teresa. - Co tutaj się dzieje? Nic nie rozumiem.

Thomas poczuł falę emocji, palenie w środku, które niemal sprawiło, że oczy zaszczyły mu łzami. Kiedyś uważał Teresę za swoją najlepszą przyjaciółkę. Ale to już nigdy nie wróci. Teraz jedyne, co czuł myśląc o niej, to gniew.

- Tom! Dlaczego mi nie...

- Tereso, posłuchaj mnie.

- Halo? Właśnie próbuję cię nakłonić, żebyś...

- Nie, po prostu... słuchaj. Nie mów nic więcej, dobra? Po prostu mnie posłuchaj.

Zamilkła na chwilę.

- W porządku. - Cichy, przestraszony głos w jego głowie.

Pulsowała w nim wściekłość. Thomas nie był w stanie dłużej jej kontrolować. Szczęśliwie wystarczyło, by pomyślał te słowa, bo nigdy nie zdołałby ich wypowiedzieć na głos.

- Tereso. Odejdź.

- Tom...

- Nie. Nie mów już ani słowa. Po prostu... zostaw mnie w spokoju. I możesz przekazać DRESZCZowi, że skończyłem już z graniem w ich gierki. Powiedz im, że skończyłem z tym!

Odczekała kilka sekund, nim odpowiedziała.

- W porządku. - Kolejna pauza. - W porządku. W takim razie mam ci już dopowiedzenia tylko jedno.

Thomas westchnął.

- Nie mogę się doczekać.

Nie powiedziała tego od razu, i mógłby pomyśleć, że odeszła, gdyby nie to, że nadal wyczuwał jej obecność. Wreszcie przemówiła znowu.

- Tom?

- Co?

- DRESZCZ jest dobry.

A potem zniknęła.

DRESZCZ Memorandum, Data 23.2.13, Godzina 21:13

DO: Moich współników

OD: Ava Paige, Kanclerz

TEMAT: RE: PRÓBY OGNIA, Grupy A i B

Nie możemy w tej chwili pozwolić, by emocje przeszkodziły nam w realizacji zadania, które przed nami stoi. Owszem, niektóre wydarzenia potoczyły się w kierunku,

którego nie przewidzieliśmy. Nie wszystko wygląda idealnie - pewne rzeczy nie rozegrały się tak, jak powinny - lecz poczyniliśmy olbrzymie postępy i zebraliśmy wiele spośród potrzebnych wzorów. Odczuwam olbrzymią nadzieję.

Oczekuję, że wszyscy zachowamy profesjonalne podejście i będziemy mieć w pamięci nasz cel. Życie tak wielu ludzi spoczywa w rękach tak nielicznej garstki. Dlatego właśnie teraz jest szczególnie ważne, byśmy pozostali czujni i skupieni.

Dni, które teraz nadejdą, mają kluczowe znaczenie dla naszego badania, i jestem absolutnie przekonana, że gdy przywrócimy im wspomnienia, każdy z naszych obiektów będzie gotów na to, czego zamierzamy od nich zażądać. Nadal mamy Kandydatów, których potrzebujemy. Ostatnie fragmenty układanki zostaną odszukane i umieszczone na odpowiednich miejscach.

Przyszłość ludzkości jest ważniejsza niż cokolwiek innego. Ostateczny wynik wart jest wszystkich śmierci i wszystkich ofiar. Nadchodzi ukoronowanie tego monumentalnego przedsięwzięcia, i wierzę, że proces zadziała. Że będziemy mieć komplet wzorów. Że będziemy mieć naszą mapę. Że będziemy mieć nasz lek.

Psychowie właśnie się naradzają. Kiedy zadecydują, że nadszedł odpowiedni moment, cofniemy Zatarcie i powiemy naszym pozostałym przy życiu obiektom, czy są odporni na Pożogę, czy też nie.

Na tę chwilę to wszystko.

KONIEC KSIĘGI DRUGIEJ

PODZIĘKOWANIA

Właściwie nie jestem w stanie tego wyrazić lepiej niż w Tomie I. Dziękuję tym samym osobom, w szczególności Lynette, Kriście, Michaelowi i Lauren. Na zawsze odmieniliście moje życie. Dziękuję również wszystkim ludziom w Random House, którzy tak ciężko pracowali, żeby ta seria odniosła sukces, w tym moim specjalistkom od reklamy, Noreen Herits i Emily Pourciau, jak również wszystkim wspaniałym przedstawicielom handlowym. Doprawdy trudno mi uwierzyć w to, jak niewiarygodne mam szczęście. Dziękuję. A co się tyczy moich czytelników: jesteście super i kocham was.

Próby Ognia za Tobą.

Czy to naprawdę już koniec testów?

Czy możesz już przestać uciekać?

Czy to koniec kłamstw i fałszywych tropów?

James Dashner - Lek na śmierć tom III trylogii Więzień Labiryntu

Thomas wie, że DRESZCZowi nie można ufać, ale oni twierdzą, że czas kłamstw już się skończył, że zgromadzili w toku Prób wszystkie dane, jakie dało się zebrać, a teraz chcą przywrócić Streferom pamięć, bo potrzebują ich pomocy w ostatecznej misji.

Streferzy muszą dobrowolnie pomóc uzupełnić mapę, która pozwoli stworzyć lek na Pożogę.

DRESZCZ nie wie jednak, że stało się coś, czego żadne Próby i żadne Zmienne nie pozwoliłyby przewidzieć. Thomas przypomniał sobie dużo więcej, niż przypuszczają.

I wie, że nie może wierzyć w ani jedno słowo z tego, co twierdzi DRESZCZ.

Czas kłamstw już się skończył. Ale prawda jest bardziej niebezpieczna, niż Thomas kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić.

Czy ktokolwiek przetrwa poszukiwania leku na śmierć?

Fascynujące zakończenie trylogii Więzień Labiryntu Szukaj w księgarniach w 2013 roku!

Zobacz jak to wszystko się zaczęło...

James Dashner - Więzień Labiryntu tom I trylogii Więzień Labiryntu

Kiedy Thomas budzi się w ciemnej windzie, jedyną rzeczą jaką pamięta jest jego imię. Kiedy drzwi się otwierają jego oczom ukazuje się grupa nastoletnich chłopców, która wita go w Strefie - otwartej przestrzeni otoczonej wielkimi murami, która znajduje się w samym centrum wielkiego i przerażającego Labiryntu.

Podobnie jak Thomas, żaden z mieszkańców Strefy nie wie z jakiego powodu się tu znalazł i kto ich tu zesłał. Czują jednak, że ich obecność nie jest przypadkowa i każdego

ranka próbują znaleźć odpowiedź, przemierzając korytarze otaczającego ich Labiryntu. Jednak ta droga nie jest łatwa, bowiem Labirynt skrywa swoje okrutne tajemnice...

Thomas wie, że DRESZCZowi nie można ufać, ale oni twierdzą, że czas kłamstw już się skończył, że zgromadzili w toku Prób wszystkie dane, jakie dało się zebrać, a teraz chcą przywrócić Streferom pamięć, bo potrzebują ich pomocy w ostatecznej misji.

Co to za misja?

Czy rzeczywiście czas kłamstw już się skończył?

Czy to nie kolejna sztuczka DRESZCZu?

Czy rzeczywiście DRESZCZ jest dobry...?